





Purchased for the
LIBRARY *of the*
UNIVERSITY OF TORONTO
from the
KATHLEEN MADILL BEQUEST





399/652

/175.-

PG

7158

P55

1825

t.1



DZIEŁA
WINCENTEGO POŁA

WIERSZEM I PROZĄ.

PIERWSZE WYDANIE ZUPEŁNE

PRZEJRZANE I UPORZĄDKOWANE PRZEZ SAMEGO AUTORA.

TOM PIERWSZY.

SERYA PIERWSZA: POEZYJE.

WŁASNOŚĆ I WYDANIE RODZINY.

LWÓW 1875.

NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

CZCIONKAMI W. MANIECKIEGO.

POEZYE
WINCENTEGO
POLA.

PIERWSZE WYDANIE ZUPEŁNE.

TOM I.

WIT STWOSZ, POEMAT Z POMNIKÓW
HISTORYCZNYCH XV. WIEKU.

PACHOLE HETMAŃSKIE, DYARYUSZ
WALENTEGO ROŻANKI.

Z WYPRAWY WIEDEŃSKIEJ, RAPSOND
RYCERSKI.

LWÓW 1875.

WŁASNOŚĆ I WYDANIE RODZINY.

NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

*Egzemplarze znakiem rodziny nieopatrzone
prawnie poszukiwane będą.*



JW. I PW. JEGM. X. HRABI
JANOWI SCIPIONOWI
K. K. K.
SYNOWI Ś. P. KAROLA
CHRZESTNEGO OJCA MOJEGO

składam.

Z Waszych posiewów przyjm owoc Scipionie!
Chłopięta niegdyś téj lubelskiej ziemi,
Dziś się schodzimy w innéj świata stronie,
Po leciech wielu, między krakowskiemi.

Ojcowie nasi łamali się chlebem,
A co Wasz Rodzic przyrzekł Panu Bogu,
Dając mnie do chrztu — nie zaprę pod niebem,
Lecz chcę dotrzymać i składam w tym progu!

Bo owo idzie pokolenie trzecie,
Jako się nasi wiernie znali z sobą,
A co wiązało w oném lepszém lecie,
Niech to nam będzie na te dni ozdobą.

Owo sędziwa żyje jeszcze Matka,
Co słowu memu z pociechą zaświadczy;
A zresztą biorę już Boga za świadka,
Co nam matczyło i co dziś nam matczy . . .

Wiele-by mówić i przemilczeć wiele
Pisząc do Waszój Miłości potrzeba,
Bo z łaski nieba w Ojczyźnie wesele,
Zresztą nic nie ma prócz Boga i Nieba.

Bo zresztą, zresztą „pobielane groby“,
Pochybne czasy, lata niedoboru,
Niespane noce a i dnie żałoby,
Lub ciche modły sług Bożych śród choru.

Więc nie chcąc błędzić wśród życia manowców,
Jam szedł na modły, kędy Zygmunt woła,
I cichy siedłem w cieniu tych grobowców,
I Pan dał łaskę pod niebem Kościoła.

Bywały niegdyś tu dusze ognistsze,
Wielcy kapłani i pobożni Mistrze,
Wielkie po sobie położyli ślady,
Otóż z ich dziełmi zasiadłem na rady.

Pytam: co geniusz a co świętość znaczy?
I gdym się ciężko przy grobach zadumiał,
Dopiero w skrusze i modłach zrozumiał,
Jak Bóg oboje tam opatrzyć raczy:

„Geniuszby wleciał Archanioła skrzydłem
„Prosto ku Niebu, z kąd mu jasność błyska,
„Gdyby mu pycha nie była wędzidłem,
„Co go ciężarem do ziemi przyciska.

„Geniusz, co bywa w pokorze natchnięty,
„To już nie geniusz — to na ziemi święty!
„Bo czemże świętość, jak nie czystém trwaniem,
„Wieczném natchnieniem — i wieczném Kochaniem?“

WIT STWOSZ.

P O E M A T

Z POMNIKÓW HISTORYCZNYCH XV WIEKU.





Gdzie mię to Panno wiedziesz ku tym progom?
I co mi robić tu na obcej ziemi?
Wszak ja się cudzym nie pokłonię bogom,
Kiedym w zakonie chodził z wybranymi.

A ona na to rzekła mi w miłości:
„Tam w obcej ziemi leżą czyste kości —
Ciebiem wybrała, abyś je wybawił,
I w domu ojców pocziwie postawił;
Boć w dziejach moich pono nie nowina,
Że matka zwłoki wykupuje syna.
Zapłać co trzeba, Pan ci to policzy,
A niech co swoje, ziemia ta dziedziczy.“

Takim wziął rozkaz — i za tym rozkazem,
Jam się wyprawił, jakby grób odpytać? —
Świadki żywota legły już pod głazem,
Teć już dzieł tylko o tę przeszłość pytać.
W dziejach — duch wielki znaczył swoje ślady,
Otóż to z niemi zasiadłem na rady,
A po nich przeszedł Pan w godowej szacie,
Więc po owocach i wy je poznacie.

Czy wy się kiedy spytali tam o to:
Kto te kościoły w ojczyźnie postawił,
I Boga ojców anielską prostotą
Najpierwszą pieśnią na ziemi wysławił?
Kto wam tę drogę ku niebu wyżłobił?
Kto was przez wieki w karności prowadził?
Kto wznosił chrzcielnice? ołtarze ozdobił?
I u Pańskiego stołu nas posadził? —

Był to wiek łaski Pańskiej osobliwy,
Który namaszczał nieskalane skronie
Natchnieniem Bożém, jako źródło żywy,
Gdzie naród chodził po Pańskim zakonie;
Był czas, gdzie łaski swojej Pan nie szczędził,
Gdzie wielka miłość tak małuczki zjęła,
Że duch pokorny ku niebu wypędził
I świadcząc Panu, wielkie czynił dzieła . . .

Dla woli, pracy, ducha i sumienia
Przez imię Pańskie zapragnął skupienia,
I świat się skupił w powszechnym kościele,
I było dobra i miłości wiele! —

Z góry szło światło, z góry namaszczenie,
I łaska z góry od nieba do tronu;
A od rzesz wiernych szło w niebo westchnienie,
I świat się trzymał jednego zakonu.
A jak do ula mknie z pożytkiem pszczoła,
Tak się téż garnał naród do kościoła:
Wielki i mały przed Bogiem się korzył
I do budowy cegiełkę dołożył.

I wszystko było po imieniu zwane
Od cnoty Świętych począwszy do grzechu,

I w Boże węzły wszystko zawiązane,
Od prawa królów aż do bractwa cechu.
Cała zasługa była tylko na tém,
Co kto miał, — dzierzyć! a czém był, — tém zostać!
I najzacniejszym w pośród swoich sprostać,
A w karbach Bożych przejść jak pielgrzym światem.

Przez imię Pańskie i w imię skupienia
Pragnął na ziemi człowiek ślad położyć:
I Pan Bóg dawał prorocze natchnienia
I iskrę swoją — i człek zdołał tworzyć.
Ale nie ze krwi, ani z ciała rodem,
Lecz z ducha tylko brano te pochopy;
Otoż Duch Święty wzniosł się nad narodem,
I w las palmowy sklepiły się stropy.

Cech drobną czeladź garnął wielką matnią,
Cech w Boże węzły wiązał miejską nędzę,
I goił rany tą miłością bratnią,
I wysnuł czystą z dusz pobożnych przedzę
Na chwałę Pańską, jak kadzenia wonne . . .
I wyszła piękność z pod mistrzowskiej ręki,
Były rozkosze, lecz tylko zakonne,
I tylko z nieba zachwycone wdzięki. —

Na chwałę Pańską dla świata nauki
Wzniosły się gmachy, przemówiły sztuki:
I co ogromne, — to wielkie ubóstwem,
A co pobożne, — strojne ozdób mnóstwem;
Boć w cichym duchu nad tą pracą radzi
Grono cierpliwéj kunsztownéj czeladzi,
Co twórczą piękność rozbiła na drzazgi,
W cudny filigran, w anielskie drobiazgi,
I dołożyła wszędy dzielnej ręki,

Że się te prace, choć drobne i marne,
Niby podarki wydają ofiarne;
Bo wzory brane, jak z tkanki pajęczej,
Z szeptu aniołków, i z potopu tęczy,
I cała dusza w każdej pracy leży,
I świadczy Panu, — i kocha, — i wierzy;
I w rozmiar drobne, choć małe — nie małe,
Bo dzielne duchem — choć ciałem dziecinne,
I choć samotne — przecież dziwnie całe,
Po ludzku proste — anielsko-niewinne!

I kościół Boży, a to już świat cały,
I człek w nim niknie, i tak dziwnie mały,
Bo stanął niby pod palmowym lasem,
Bo jednym Ducha Świętego zapasem
Wyszły filary wysmukłe i gonne,
A na nich wsparły się sklepienia wonne,
I stoją niemo i w ciszy proroczej,
A czém się więcej serce ku nim sobi,
Tém się też bardziej oko ziemskie mroczy,
Ale się widniej za to w duszy robi;
Boć to gwiazdami, jak na nocnym niebie,
Nęcą tych sklepień błękitny do siebie,
A co z miłości i z piękności znane,
Tém ściany gmachu uroczo zasiane
Niby kobiercem ozdób i ozdóbek,
I każdy ołtarz i okno się żarzy,
Więc barw tysiącem i tysiącem twarzy
Postaci świętych, mistycznych osóbek.

Dobrzy ci byli, co dzierżyli w cechu
Niesformą czeladź bogobojnie, karnie;
Co się na bezwstyd dziś rozlało w grzechu,
I trując duszę samo ginie marnie,

To na wędzidle wiek surowy chował
I ile można, ku Bogu kierował, —
A pracowicie, — i karno poczęte,
Przy łasce Boga bywało i święte.

W onych to czasiech piękne miasto wzrosło
W pośrodku Niemiec, Norymbergą zwane,
Co się i pilnie i kunsztownie niosło,
I po wszéj Hanzie było ze czcią znane,
W jego to bramy ja was dzisiaj wiodę,
Bo tam to zwłokom pocziwym się legło!

Było to w Maju i w piękną pogodę,
Na wiek szesnasty dobrze już nabiegło.
Miasto w gotycki filigran dziergane,
Z czerwonej cegły drobno wyrabiáne,
Strzeliło strojnie ozdobnemi szczyty
Z za baszt i murów w majowe błękity;
A nad tém strojném i rządнім gniazdeczkiem
Wzniosła się góra z rycérskim zameczkiem,
I po nad miastem mkną stadem gołębie,
A nad zameczkiem ważą się jastrzębie.

I tak się prawie wydaje gród stary,
Jakby sen piękny, który ludzkość miała
W wieku natchnienia i gorącój wiary,
Co cudem niby skamieniał do cała.

Tam na zatyłku niewielkiego domu,
Co nie służebny, nie dłużny nikomu,
A jak klasztorzek cichy i zamknięty,

Wybiegł szczyt domu w koronkę opięty
W mały ogródek, — kędy pośród sadu
Stoi ławeczka w cieniu winogradu.
I drzwi brzęknęły, a niewiasta młoda
Przez próg ostrożnie rękę komuś poda.
I wyszedł starzec — a ona prowadzi
I na ławeczce w cieniu go posadzi.

Czarny gorsecik złotem bramowany,
A na jój głowie namitka w przeźrocze,
Jakby się przyjrzyć nie śmiały i ściany
Temu, co w twarzy dziewiczo-urocze.
U szyi wisi przezrzoczysty krzyżyk,
I drogo złotem dziergany szkaplérzyk,
I przez zasłonę świeci brylant w uszku,
A kieszeń wisi z boku na łańcuszku.
Siadła — i w rękę już robotę trzyma,
Ale na starcu spoczęła oczyma

I któż to będzie ten starzec w żupanie?
O! kto nań okiem choć z przypadku rzuci,
Temu źrenica pewno w miejscu stanie
I już od niego duszy nie odwróci —
Bo jakaś wielka i dzielna wspaniałość
Świeci od czoła zoranego znojem;
W całej postawie jakaś dziwna stałość
Przemawia ciszą i wielkim pokojem,
A jednak robią jeszcze brwi krzaczyste,
Jakby wikłane przez burze wieczyste;
A przy tém dziwna jakaś myśli żywość,
Świadcząca temu, jaką była stałość;
Ale po wszystkiém rozlana jest tkliwość
I choć spokojna, ale wielka żałość;

I rycérz niby z siły i odwagi,
Jakby się z bronią tylko w boju nosił,
A kapłan iście ze czci i z powagi,
Jak gdyby świata słowo Boże głosił.

Kto jest ten starzec? — kto jest ta niewiasta?
I z kąd się biorą w tym zakątku miasta?
Ona do starca dziwnie jest podobna,
Tylko że w sercu nie jest tak żałobna,
Tylko że czysta jako Bóg ją stworzył,
Kiedy swą gwiazdę na czole położył.
A on już takim, jakim świat go zrobił,
Nim się starości i téj ciszy dobił;
Tylko że tutaj wszystko wiosnę wroży,
A tam już zima po jesiennéj burzy.

Lekki wiatr musnął po krzewinach sadu,
A starzec spytał: „Wszak tam pięknie pono?
Podaj mi dziecię listek z winogradu,
Po szmerze wiatru słyszę, że zielono.“

„Moja dzieweńko! a co tam na dworze? —
Coś orzeźwiałem — a z kąd tam tchy Boże?“
— A ona rzekła:

Wiatr od wschodu wieje.

— „Ha zrozumiałem, że od mojej strony,
Bo niby dobrą wieść mi w duszę sieje,
Bo jakoś dziwnie czuję się skrzepiony.“
Rzekł starzec z cicha — i głową w tył rzucił,
I znać tym wiatrem myśl zbolałą cucił
I spytał wnuki:

„Co to robisz dziecię?”

— Koronkę nizam — rzekła mu zyczliwie.

— „O! gdy się bawisz dziecię tak cierpliwie,
To ci coś powiem! —“

— Proszę! gdy raczycie!

— „Tyś już ostatnia moja jest miłości,
Jako krew ze krwi i jako kość z kości!
Tobie mój żywot wnuko znaćby trzeba,
Nim mnie Pan w łasce do siebie powoła,
Nim zeszele do mnie swojego anioła,
A oko ciemne ujrzy znów blask nieba.
Czuję to wnuko, że się koniec zbliża,
I bardzo tęskno mi w tój długiój nocy,
Lecz czuję także, że jest w Bożój mocy,
Bo patrząc w niebo, widzę znamię krzyża!“

„Czyś ty widziała wnuko ukochana
Onego orła pełnego potęgi,
Co jakoś czyta z ócz Świętego Jana,
Kiedy Apostoł pisze Święte Księgi?”

„Takim ja orłem byłem, dziecię, z młodu,
Gdym wśród wielkiego ocknął się narodu,
I jak ów orzeł, jam z pod świętój stopy
Przy łasce Bożój brał w niebo pochopy.“

„Czarna mnie dola w te kraje zaniósła,
Żal mi cię wnuko, żeś tutaj wyrosła! —
Jam się urodził w Polsce i w Krakowie,
I z tchnień ojczyzny brałem wielkie zdrowie.

„Tyś nie zaznała już onego miasta,
Co się nad Wisłą w równinie rozrasta.
Jako mój naród jest rycérz orężny,
Tak twierdzą jego jest ów gród potężny:
Bo jest w ogniwa mnogich baszt ujęty,
Floryańską bramą jako pierścień spięty.
A wielce rządny i bardzo ozdobny,
A kształtem dziwnie do orła podobny.

„Inni znów dzieją, że on Kraków stary
Ozdobnej lutni przypada do miary,
Na której Pan Bóg sam nawiązał struny,
Aby grał światu jako lutnia wcale,
Bo te kościoły w grze liczą za tony
W pieśni, co świadczą wielkiej jego chwale.

„Inni znów dzieją, że ten gród ozdobny
Do rycérskiego łuku jest podobny,
A naród jego — to niby cięciwa
W ręku rycérskim jako struna żywa.

„W królewskim zamku król zasiadł na tronie,
A przy nim zasiadł biskup na stolicy;
A wszystek naród chadzał po zakonie,
Jakby wziął z daru rószczkę gołębicy....
I kogo Pan Bóg wysoko posadził,
Ten jako gwiazda w méj ojczyźnie świeci,
Bo ma to zdane, by o drugich radził;
Ztąd się dźwigają i maluczkich dzieci.

„O moja wnuko! żal mi bardzo ciebie!
Żeś się schowała tu między obcymi,
Bo tu nie świecą gwiazdy tak na niebie,
Jako tam świecą ludzie swojej ziemi!...

Na co człek patrzył, dziwnie w sercu grzało,
 Więc każdy sobie za drugimi w tropy,
 I człek brał z Boga i z ziemi pochopy,
 Bo co się działo, na prawdę się działo!

„Jam urósł zdrowy, silny, urodziwy,
 I w całym mieście nikt mi nie był krzywy,
 Bom się już z młodu wziął do dobrej pracy,
 Stojąc przy cechu — a byli tam tacy,
 Co przed oczyma stali, jak wzór żywy,
 I kierowali do pracy pocziwój.

„Wielka tam piecza jest o rzeczy Boskie!
 Jako klejnoty starego Krakowa,
 Świadczą tam Panu kościoły Piastowskie.
 Alboż ów zamek — co tam za budowa!
 Jakie krużganki — jaki dworzec pański!
 Alboż po zamku — biskupia stolica!
 A w samym mieście — co za dom hetmański!
 A jaki rynek — ratusz — sukiennica!
 A po tych domach w jakież upominki
 Każdy patrycyusz, każdy cech się zdobi?
 Czego tam snycérz i złotnik nie zrobi?
 Czego nie mają nawet miejskie synki?

„I byłem czysty i jeszcze bez grzechu,
 Gdy się wyzwolił już w malarskim cechu,
 I miałem w ręku już kawałek chleba,
 I czekać było tylko łaski nieba!

— „Bóg dopomoże!“ mawiał mistrz — „Bóg żywie!
 Czas na cię, Wicie! popracuj cierpliwie!“

— „To też nie chciałem słowom mistrza kłamać,
 I ciężko z dłutem począłem się łamać . . .

„Mistrzu! nie dźwignę!“ — wołałem przy pracy.
A mistrz mi na to: „Bywali już tacy,
Co krew oddali z żywotami swemi,
Nim się dobili obiecanej ziemi!

„Więc bardzom bolał, — lecz na me pociechy
Pan mi sen zesłał z rzadkimi uśmiechy.“

„We śnie niewiasta stanęła przede mną
Dziwnie anielska, bardzo urodziwa,
Cała owiana zasłoną tajemną,
Wdzięcznie zakonna i miłością żywa.
Przed sobą lampę gorejącą niosła,
Niby to jedna z mądrych dziewic wieńca,
Które witały w Piśmie oblubieńca . . .
Jam też ją przyjął jako niebios posła.“

„Ktoś ty jest Pani?“ — pytałem nieśmiele.
A ona na to: „Czy mnie kochasz Wicie?“
I rzekłem płacząc: „Kocham bardzo wiele!“
— „I będziesz zawsze?“

— „Będę całe życie!“

— „To patrz w to światło!“ A światło w jej rękę
Zagrało cudnie kolorami tęczy,
I chór Aniołów przeszedł się po łęku,
I w siedmiu tonów, w siedmiu barw obręczy
Stanęła czysta na niebiesiech Panna,
I głos słyszałem: „Hosanna! hosanna!“ . . .
I osłupiałem — a mądra dziewica
Z Bożem natchnieniem spojrzała mi w lica,
I rzekła do mnie: „Oto twoja droga! . . .
I od tej lampy duszę twą zapalę,

I będzie świecić na tę chwałę Boga,
I będzie służyć wielkiej jego chwale!

„I w surowości stanęła zakonnój,
I z owéj lampy tęczami płonącój
Na moją głowę zlała olój wonny . . .
I strzelił w niebo płomień gorejący,
I jako Ducha Świętego zesłanie
Język ognisty nad głową mi stanie.
A gdym się wlepiął w te anielskie wdzięki,
Dziewica krzyż mi wcisnęła do ręki,
I w chwili krzyż ów urósł tak ogromnie,
Że całą duszę przyległ mi ciężarem
„I cóż ja pocznę, Pani! z twoim darem?
Płomień twój pali a krzyż mnie twój gniecie!“
A ona na to rzekła w smutku do mnie:
„Krzyż ci puścizną będzie na tym świecie,
I tylko w ów czas zdołasz go podźwignąć,
Jeśli w miłości nie będziesz tu stygnąć,
I za tym jasnym i czystym płomieniem
Przejdiesz po ziemi duchem i sumieniem!“

„To rzekłszy znikła — a jam mówił sobie:
Co ten sen znaczy? — czy krzyż wróży zgubę?
Czy to Pan może stawia mnie na próbę?
Gdy mi krzyż dała — to i krzyż odrobnię!

„I wzięłem dłuto, i rzekłem — co żyje
We mnie po Bogu, w miłości i cześci,
Niechaj to chwali te Pańskie boleści!
A niech o Bożą mękę się rozbije,
Co nie jest człeku do nieba przewodem,
Co nie jest z ducha, ale ze krwi rodem!“

„I był to prawie post czterdziestodniowy,
Kiedym się przybrał do pracy surowej;
I już nie powiem, jakom bardzo bolał,
I ilem razy pracę łzami polał,
Gdy przyszło dłutem wznowić Pańską mękę,
I przebić stopy, i przebić mu rękę,
I wcisnąć z ciernia koronę na głowę:
Tom utrapienia cierpiał Judaszowe!
Ale gdy przyszło Panu bok otworzyć,
Na to już w końcu nie stało odwagi,
I grzeszne dłuto musiałem odłożyć:
Bo Pan przede mną stanął w prawdzie nagięj,
A bez obrony jako na Golgocie.

„Więc jakaś dziwna trwoga serce zjęła,
Jakby mnie szatan opętał w robocie,
I uciekałem od mojego dzieła,
A spasowany w tym ciężkim frasunku
U Sakramentów szukałem ratunku.

„W kaplicy naszej zakonnik zasiadał,
Co jeszcze ojca mojego spowiadał;
I gdym się w żalu do stóp jego rzucił,
Bardzo się z razu nade mną zasmucił,
Bo patrząc na mnie i moje zmięszanie,
Kiedym wymówić słowa nie był w stanie,
O moją duszę począł się już trwożyć,
Więc koił serce słowami pociechy:“
— „„Co ci to, Wicie? jakie twoje grzechy?““

„A ja mu na to: — „Wielką cierpię mękę!
Bom do boleści krzyża ściągnął rękę,
I mam bok Panu na nowo otworzyć,
A tu do pracy nie staje odwagi,

Bo Pan przede mną stanął w prawdzie nagięj!
I duszę szarpią zgryzoty Judasza,
I pada na mnie ta krew Messyasza!

„Na to rzekł kapłan: — „A zaprzaj się siebie,
Krew Przenajświętsza odkupiła człeka,
Syn w Trójcy Świętej króluje na niebie,
A krzyż podany od wieka do wieka . . .
Dobryś jest chłopcze, że miłujesz Pana!
Otoż, i za cię była krew przelana!
Bóg wielki ciężar z twojej duszy zbiera,
Bo chwały Pańskiej twą pracą przymnożysz;
Kto Pana bluźni, ten mu bok otwiera,
Ty za pokutę Panu bok otworzysz!”

— „I było prawie w najświętszą rocznicę,
Kiedym do domu powrócił z kaplice,
Bo w Wielki Piątek — więc z wielką pokutą,
Lecz czystém sercem ująłem znów dłuto,
I otworzyłem ranę, jak kazano
I ani w niebie już straszliwszej wieści,
Ani na ziemi większej już boleści
Nie było pono — jak konać tą raną!

„Tom krzyża tego też nie dał nikomu,
Jako go wziętem z wiary tajemnicą,
I był puklerzem przez wiek mego domu,
I wraz go tylko opuszczę z gromnicą.

„Gdym ten krucyfiks zaniósł był do cechu,
Rzekł mi mistrz stary: „Widzę, żeś bez grzechu!
Bo służysz Panu robotą poczciwie;
Więc cię nawiedzim w twym domu życzliwie...”

— „I przyniósł z sobą cechowe puhary;
I poczył dom mój w znak łaski i wiary. —

„Miałem w mym domu poddasze osobne,
Gdziem sobie siadał, kędym latem rabiął;
Było obszerne i cale ozdobne,
Bom go różnemi czasy przyozdabiał.

„Z małego poszło. — Raz rzekł do mnie starszy:
„„Wyście jest w cechu, Wicie, mąż najjarszy!
K'rzecznych mewacie i nie lekkich gości,
Toć kąt wypada mieć na osobności!
Bo co tam słuchać i patrzeć czeladzi,
Gdy o przedniejszych sprawach starszy radzi!“ —

— „Więc umyśliłem uczynić świetlicę,
A przed świetlicą postroić poddasze.
„„Ze chrztu i krzyża jest przymierze nasze,
Więc na początek dajęć kropielnicę,
By czyste miejsce bywało bez grzechu
Na chwałę Pańską i na sławę cechu.“ —

— „Tak mistrz nakazał — więc wziąwszy początek,
Zwolnam sposobił ów czysty zakątek,
Gdzieby się gościom schadzać na osobne . . .
I naprzód odrzwia czyniłem ozdobne,
A po nad drzwiami Matkę a Dziewicę,
A z prawej ręki dałem kropielnicę.
Z tych drzwi dopiéro nad dziedzińcem naszym
Wzniosły się stropy komnaty z poddaszem.

„Okno komnaty było malowane,
Wyzór daleki i cale przyjemny,
I z czasem nadał się mur nieforemny,
Co od sąsiada czynił wielką ścianę:

Bom go rozebrał niby w żywe członki,
 Na drobne łuki, w misterne koronki,
 Że się to wszystko liściem przyodziało;
 I gdy gość zacny wyszedł na poddasze
 I spojrzął w koło — iście się zdawało,
 Jakbyś mu podał ze czcią wonną czaszę! —

„Nie było także pusto i w komnacie,
 Bom był poczynił całe zdatne gracie!
 Że im się nawet dziwowano w cechu,
 Że gadka o nich biegła aż do dworu.

„Stół z węgierskiego ciosany orzechu,
 Skrzynie od cedru, a ławy z jaworu;
 I wielki komin był przy jednej ścianie,
 A już przy drugiej uczciwe siedzenie;
 I miał stan każdy tam stale osobne,
 W wielkie klejnoty i hasła ozdobne.

„Że Bóg dał króla — więc dla jego chwały
 Stał niby w środku tam tron okazały;
 Boć jemu pierwsza w ojczyźnie pocziwość,
 I gadem legła u stóp mu zelżywość,
 A ku ozdobie dwa lwy ją przysiadły,
 By się nie dźwignął więcej smok zajadły,
 A przy lwach z prawej legła pańska sfora,
 Niby to żywa wierność i pokora,
 A przy lwach z lewej — od serdecznej strony,
 Z harfą Dawida zasiadał lutnista,
 Aby myśl Pańska była taka czysta,
 Jako głos bywa psalmom podchwycony.

„Wyżej dopięro były wielkie godła,
 I niby hasła w pocziwój Koronie,

Które krew dobra na tarcze wywiodła,
Których król dobro obmyśla na tronie . . .
A ponad czołem tych ziemskich miłości
Świeciło oko Bożej opatrności . . .

„Dał Bóg biskupa — toć téż na cześć jemu
Stolec biskupi stał tam po staremu;
A ponad głową gładko urobiony
Święty Stanisław, ów patron Korony,
I król Bolesław kląkł za jedną stroną,
Za drugą giermek z Siewierską koroną,
A drogi paliusz Jadwigi królowej
Znaczył oparcie już powyżej głowy.

„Hetman — jak mówią — prawa ręka Pana
Więc był tam stolec i na cześć Hetmana.
Z rycerstwa wielka jest ojczyzny sława,
A przodek sławie trzyma tam buława.
Więc prawy poręcz — to koń kulbaczony,
A lewy — iście — taran do obrony!
A wyżej nieco stał żóraw z sokołem,
Bo ma iść czujność z tą bystrością społem.
A że to jeszcze była pamięć świeża
Grunwaldzkiej bitwy — wielkiego przymiérza:
Więc co chorągwi na Krzyżakach wziętych
Po świętych grobach wisi tam zatkniętych,
Wszystkie-m pomieścił na wielkim oparciu;
A co klejnotów sławnych w oném starciu,
Wszystkie-m misternie z kolei wykował,
I pas tych herbów zdobył obramował.

„Nie jeden biskup — jest i kapituła!
Z której w ojczyźnie wyrasta infuła;
Więc uczyniłem stałą kanoniczą,
Bo wielki klejnot bracia tam dziedziczą!

„Jako kapłaństwo w tym starym zakonie
Na lud wybrany poszło po Aronie,
Tak i tam przeszła po Aronie stuła,
I trzy korony dzierży kapituła.
Więc jako stoją wśród pańskiego sadu,
I Boga chwałą w Rzeczypospolitej,
Wziąłem je w wieniec misternie uwity
Na poły z kłosów, na pół z winogradu.

„Dał Bóg Rektora — jest tam „Alma mater!“
I hetman głównej szkoły jak bohater
Dwa berła dzierży na Rzeczypospolitę,
Bo jedno dane — a drugie zdobyte!

„Z kościoła dana jest ta bojaźń Boża,
I przed tém berłem zniżają się głowy;
Drugie hetmani mądrości światowej,
Szafując światłem od morza do morza! —
Więc uczyniłem berła skrzyżowane,
Co strzegą wiernie staréj szkoły progę,
Aby świadczyły, co jest wyznawane:
„Cześć rozumowi, co nie zbluźnił Bogu!“ —

„Dał Bóg burmistrza — więc ku jego chwale,
I miejską ławę urobiłem wcale;
Więc na oparciu trzy obronne wieże,
Jak z Trójcy Świątęj początek się bierze,
Bo sławią ludzie, i nie tylko doma
O tym Krakowie — że to „wtóra Roma!“
Toć jak klejnotem jest w staréj Koronie,
Tak święty pielgrzym kłęczy w jego bronie.“ —

„O, méj ojczyźnie dał Bóg wielkie znaki!
I ziemię żyzną i szerokie szlaki!
Umiałem pisać i tęczą i złotem;
Lecz gdzie mi w cechu było wiedzieć otém,
Co najprzedniejsi chowali w swém kole,
I co wybrani posiewali w rolę? —
Toż od wybranych brałem wielką radę,
A co radzili, to ja tylko kładę.

„Czasem się ozwał także między tłumem
Głos Bożej prawdy tak wielkim rozumem,
Jakbyś go wydarł z bardzo staréj karty,
Więc i na niego miałem słuch otwarty:
Boć z ziemskich skarbów pono to najlepsze,
Co człeka w dobrym zamyśle podeprze.

„A więc i lipy więc i dęby stare
Dawały wielką Bożej sprawy miarę! . . .
Jest tam za błoniem góra Bronisławy,
Ścieszka na groble wiedzie między stawy
Do téj pustyni — gdzie przed laty gwiazda
Świeciła ziemi z Odrowążów gniazda.

„Tam to z przeorem chodziliśmy oba,
Miła tam strona i wielka podoba!
Bo ścieszka wiedzie wprost na święte ślady,
A stare drzewa dodawają rady.
W ciemnych konarach gada coś uroczo,
A wody Wisły jak toczą — tak toczą

— O dziecię! — drzewa bardzo są pobożne,
I chwałą Pańską tak arcywielmożne,
Że nie raz — kiedym suchy kloc obrabiał,
Tom i osmutniał i nad nim osłabiał;

Czemu to ścięte? czemu to nie żywe,
Co tam pod liściem takie miłościwe!?
I ledwo mogłem sam siebie rozgrzeszyć,
I ledwo mogłem w tę myśl się pocieszyć,
Że to ma świadczyć, więc i nam i komu,
Z Bożego domu do Bożego domu!
Że z jednej karty pisane na drugą,
Że i to służy — a i ja też sługą,
Że z ziemskich skarbów to pono najlepsze,
Co człeka w dobrym zamysle podeprze

„W onych to czasiech miałem przyjaciela, —
Co mi dodawał dusznego wesela —
Bywał na zamku lutnistą królewskim;
Postać wspaniałą krył płaszczem niebieskim,
A w rysy kołpak głowę przyodziewał,
I czystym głosem czyste pieśni śpiewał.

„Berdysz mu dziano! — żył też po zakonie:
Harfę Dawida wygrzewał na łonie,
A był tak prosty i taki uroczy,
Że jak mąż Boży miewał wzrok proroczy.
Nie wiele mawiał — lubił siadać nisko —
To też mu dłutem obciąłem siedzisko,
Aby wypocząć miał kędy pocziwie,
Gdy raczył dom mój nawiedzić życzliwie;
I odrobiłem na niskim siedzeniu
Króla Dawida z harfą a w natchnieniu.
A gdy siadł sobie i łaskawie bawił,
Tom złoty puhar u stóp jego stawiał.

„A miałem puhar z królewskiego daru,
Tak duży prawie, jak gniazdo gołębie;

Berdysz myśl dobrą brał z tego puharu,
I lubiał patrzeć w tę złocistą głębię.
A kiedy oko jego w puhar wpadło,
To się weń wlepiął, jak w czarów zwierciadło,
I naprzód z cicha na lutni przygrywał,
A potem nucił — aż w końcu zaśpiewał!
A pieśni jego były jak źródło czyste,
A jak żar Ziemi Świętej tak ogniste:
Bo w Ziemi Świętej badał mądrość do dna,
I tam z puharu czytał tajemnice;
A chociaż była myśl jego swobodna,
Nigdy już uśmiech nie wybił na lice, —
Ztąd też źrenicą był w królewskim oku,
I kiedy Pan się myślami obciążył,
Z pieśnią przysiadł się do jego boku
I po nad głową, niby orzeł krążył,
Podniosłym strojem w takiej wysokości,
Że się rozbiły o nią te żałości!

„Lecz kiedy huczno było w Pańskim dworze,
Berdysz na Zamku ostać się nie może;
I z lutnią rankiem bieży już pacholę,
I w moim domu gościa zapowiada;
I zasiadamy z Berdyszem przy stole,
I o przedniejszych sprawach tylko rada.

„Czasami zagrał, czasami zaśpiewał,
A czasem kazał robić mi przy sobie . . .
I zawsze wielki dla mnie to dzień bywał,
Czyli go słuchał, czyli przy nim robię,
Bo mi się serce tak wysoko nosło,
Jak gdyby w piersiach w tyło troje wzrosło;
A czegom nigdy sam nie wyrozumiał,
Tom przy nim dzierżyć, a i czynić umiał;

I dziękowałem zawsze memu Bogu,
Kiedy postawił stopę na mym progu.

„Z wielkiej to ręki wziął był Berdysz wiano!
I wielką mądrość po czystych w puściźnie;
Był tam mąż sławny — nie tylko w ojczyźnie —
Co go Grzegorzem z Sanoka nazwano:
Mądrych rozumem przygarnął do siebie
I ciekawości postronnej posiéwem,
A wszystkie inne zagarnął był śpiéwem,
Jakby podsłuchał głos Cheruba w niebie.

„Z jego ramienia był téż dany Panu
Berdysz lutnista na pociechy duszne;
Nikt nie znał rodu, nie znał jego stanu,
Lecz każde serce było mu posłuszne.

„Bo Berdysz bardzo w narodzie zastynał,
Gdy krwią pod Warną Władysław opłynął;
I pieśni jego w świecie się rozniosły,
Kiedy za królem wyprawiano posły,
Nie wiedząc jeszcze, czy król może żyje?
Czy w obcej ziemi mogiła go kryje?
A trzeba wiedzieć, że takich Polacy
Bardzo miłują, co są prawi pracy,
I lubią sercem wysoko się wspinać,
Choć krzywd nie zwykli na obcych odcinać.

„Więc król Władysław, choć był jeszcze młody,
Wiernie zamieszkał na koniu w narodzie;
Więc wieść o jego śmierci szła na grody,
I naród czekał wieści o przygodzie,
Ale ile razy krzyknął: — „Król nasz żyje!“
I jeszcze w Bogu do Krakowa wróci!

We wszystkie dzwony stary Kraków bije,
A Berdysz pieśni o tój Warnie nuci

„Ale gdy czasu wiele już ubiegło,
A tam pod Warną królowi się legło,
A brat po zmarłym berło odziedziczył,
Zasiadł już Berdysz przy królewskim boku,
I tak mu żywot pieśnią osłodczył,
Że był żrenicą w tym królewskim oku.

„Bo chodził światem długo i szeroko,
I znał co bywa, i patrzył głęboko;
I czy to wzięte, czy to było dane,
Brwi miał myślami bardzo powikłane!
I kiedy radę w dłuto mi położy,
To sam to czułem, że się praca boży!

„Więc z rady jego było wiele wzięte . . .
Lecz wielkie morze jest to Pismo Święte!
Toć czego myślą sam już nie wybrodził,
O to do drugich dla mnie Berdysz chodził.

„A był tam kapłan, wierna pańska rada,
Co wielką mądrość z dawnych ksiąg wyssał,
Żywota Świętych i biskupów bada,
I sprawy królów już pomarłych pisał,
Aby to było wszem w obec niestarte,
Co jest poczczenia i pamięci warte;

„Był Kościołowi, a i Panu k'rzeczy:
Król swoich synów oddał jego pieczy,
Aby ich w Bożej bojaźni prowadził.
To też ów Długosz tak temu poradził,
Że była chwała dla jego miłości:

Bo czterech w świecie na tronach posadził,
A już jednego dał świątobliwości.

„Szeroką ręką brał sprawę narodu,
Sam wielki świecznik z Wieniawitów rodu!
Otoż od niego brał to Berdysz rady,
Gdy mi iść przyszło nieznanemi ślady;
A i mnie czasem do niego prowadził . . .
I byłem mocny gdy Długosz poradził!
I byłem dzielny — i praca mi rosła,
I sława imię po świecie rozniosła.“

„Raz gdym z poddasza patrzył na zaranie,
We drzwi komnaty wchodzi niespodzianie
Długosz z lutnistą — zerwałem się pilnie,
I serce w piersi poczęło bić silnie,
Że gość tak wielki nawiedzał me progi;
Więc mu płaszcz z siebie rzuciłem pod nogi,
A on łaskawie obejrzał się w koło,
A mnie znak krzyża położył na czoło.“

„Wielu bywało panów w mój komnacie,
I oglądało obrazy i gracie;
Wielu bywało także i duchownych;
A nigdym nie znał już takiej radości,
I takich w sercu pociech niewymownych,
Jak gdy Długosza zesłał Pan Bóg w gości.

„Nie jeden patrzył, nie jeden się zdumiał,
Nie jeden łaską bytność swoją znaczył:
Długosz do koła tylko spojrzeć raczył,
I nie rzekł słowa — a wszystko zrozumiał!

Bo wielki w sprawie stał i w łasce Pana.
Więc go też ze czcią wziąłem za kolana,
Prosząc, by łaską gościłą oznaczył,
I choć na chwilę w stali zasiąść raczył!

„Usiadł też sobie, lecz stolec hetmański
Kazał mi w świetle przed sobą postawić;
Bo rycierz z rodu choć w szacie kapłańskiej,
Toć chorągwiami umiał się zabawić;
I wszystko bardzo łaskawie ocenił,
I rzekł: „Jak widzę, toś się Waść nie lenił!
Dobryś jest Wicie i cały bez szczerbu,
Więc rycérskiego prawie godzien stanu.
Powiem to naszym — a ty skłoń się Panu,
A Wieniawici przyjmą cię do herbu!

„Na takie słowa zwiodłem się w rozumie,
I zwielmożniały odpartem mu w dumie:
Panie! jam piérwszy dziś w téj miejskiej matni,
A wśród rycerstwa — ja byłbym ostatni?

Więc rzekł mi na to: „Bóg rycerstwo trzyma,
I wśród wybranych ostatniego nie ma!
Z owoców baczę, żeś brał żywot twardo,
Żeś wiernie czynił i pilnie się starał,
Lecz nie truj duszy, mistrzu, taką wzgardą,
Żeby za pychę Pan Bóg nie ukarał! . . .
W pokorze ducha bywa mąż chwalebny,
Kto swoje zrobił — sługa nie potrzebny.“

„To rzekłszy, wyszedł. — Lutnista się zgniewał,
I długie czasy w mym domu nie bywał;
I upłynęło czasu już nie mało,
Nim się téj ranie zabliznić udało.

I było za co — bo sam król na tronie
Słowo Długosza tak wysoko ważył,
Że województwo Bełzkie był obdarzył
Na prośby jego — i Gryfa w koronie
Nadał Bełzanom.“

— „Więc Berdysz się smucił,
Żem takie łaski niebacznie odrzucił.“

„Jest tam w Krakowie kościół Maryi Panny,
Największy pono w Rzeczypospolitéj;
Gwiazdy obsiały kościelne błękity,
A z wieży hajnał o zorzy porannéj
Niesie tę wielką chwałę Matki Boskiej
Na góry, lasy, na pola i wioski . . .

„W tym to kościele wielki ołtarz stoi,
Tam to się modlą Bogu wszyscy moi . . .
Jako monstrancya, albo ikon święty
Na dzień powszedni ołtarz jest zamknięty;
Lecz kiedy stanie na święto otwarty,
Żywot Chrystusa od złóbka do męki
I żywot naszej Najświętszój Pani
Odczytasz wszystek jakby z żywój karty.

„Moje to dzieło — jam ten ołtarz pisał,
Jam Przenajświętsze Dziecię ukołysał,
I jak się działo z Bożego przejrzenia
Od świętój Lili do Lili uśpienia,
Wszystko tam wielkość Matki Bożój chwali,
Wszystko Ją wielbi, albo Jój się żali!

„Długom się nosił w mém sercu z ciężarem
Błagając nieba, aby było darem,
Czém się dom Pański miało przyozdobić.
I lat dwanaście zbiegło, nim stanęło
Z nowego zrębu ukończone dzieło,
I nim téj chwili mogłem się już dobić,
Aby odsłonić w kościele Maryackim,
Co ledwo znane było w kole brackiém.

„Nadszedł nareszcie i dzień uroczysty,
Gdzie przyszło odkryć ów ołtarz Maryacki;
Dzień był szarawy i jak na to mglisty,
Kiedym szedł rankiem do kaplicy brackiej.
A więc w żałości padłszy na kolana
O promień słońca błagałem ja Pana!
„Com w łasce Twojej uczynił cierpliwie,
„Oświeć twém światłem z niebieskiego dworu,
„I w sercach ludzkich niech to Panie żywie,
„Co Ciebie wielbi z anielskiego choru!

„Tak się modliłem mych wnętrzości siłą.
A gdy m się ocknął, ludzi już nie było:
Tylko lutnista klęczał przy mym boku,
I także, widać, modlił się gorąco:
Bo kiedy powstał, miał jeszcze łzę w oku,
A gdy mnie ujął, czułem rękę drżącą.

„„Wstań i chodź! — rzekł mi — Pan wysłu-
chał ciebie,
I dank mieć będziesz, i słońce na niebie!
I jam się radził téj harfy Dawida,
I podsłuchałem na świętej spowiedzi,
Że się do chwały Pańskiej dzień ten przyda;
Będziesz miał słońce — Bóg te mgły rozrzedzi.““

„I odprowadził mnie do mego domu,
I rzekł po chwili: „Bracie, mistrzu, Wicie!
Niechajże będzie, co się godzi komu:
Dziś się ustrójcie w czarnym axamicie,
Bo wam nie mierzchnąć już w tym szarym tłoku;
Niech chwała nasza nie ginie do końca...
Więc krzywą szablę upnę wam do boku:
Kto Maryą kocha, ten Maryi obrońca!““

„Ucałowałem więc rękę lutnisty.
Jakoż nie bronił — bom go kochał wiele,
I błogosławił -- i stanąłem czysty.

„Wszystkie trzy bramy rozwarło w kościele...
I mnogi naród roił się jak mrowie,
Co tylko żywe, wyległo w Krakowie...
Gdy się lud zgarnął, a starszyzna siadła,
Skinąłem ręką, i zasłona padła.“

„Kiedy mistrz niegdyś wyzwałał mię w cechu,
Rzekł po przysiędze: „Do wszelakich wzorów
Jak Sakramentów jest siedem kolorów;
A jako piękność tęczy jest bez grzechu,
Tak masz szafarzyć tą skarbnicą tęczy!
Bo człek wyzwała — a sam Kościół wieńczy...““

„I miałem siedem kolorów pod ręką,
I nie raz z wielką nawet duszy męką
Prosiłem Boga, aby było żywe,
To co w żywotach takie miłościwe.

„I dłuto było karne i posłuszne,
I szła mi czysta robota od ręki;

A zem ukochał te bez grzechu wdzięki;
Toć wielkie były téż pociechy duszne!
I rad widziałem, że robota czysta;
I nie poganił jój także lutnista.

„Lecz kiedym stanął w Maryackim kościele,
A zewsząd ludu napłynęło wiele,
Kiedy szmer ucichł, a starszyzna siadła,
Gdym ręką skinął, a opona padła:
Spojrzę na ołtarz — a on szaro-bury!!
I praca moja wydała się marną,
I w duszy bardzo zrobiło się czarno....

„W tém wyszło słońce nagle z poza chmury.
I niby piorun, jary promień strzelił,
I chwałą Pańską dom się uweselił!
Bo niby cudem, jednym niby miotem,
Wyszły kolory na podkładzie złotym,
I miłościwe stanęły postacie:
I co czerwone — spłonęło w szkarłacie,
A co niebieskie — błękitem przejrzystym,
Co żółte było — bije złotem czystym!
Seledyn — perłą, złoto — blaskiem słońca!
I jak w żywota księdze miłościwe,
Wszystko a wszystko było duchem żywe
Od stóp ołtarza do samego końca! —

„I mnoga rzesza wielkim głosem jękała,
I przed ołtarzem całym duchem kłękała,
I poświęciła go ręka kapłańska....
I rzekł mi Berdysz: „„Owo łaska Pańska!““

„I rzekli sobie i wielcy i mali:
„„Wielki dar Boży! szczęśliwa to głowa!

Znać Pan to serce w łasce swojej chowa! “
„I kraju mojej szaty dotykali.“

„Więc wśród Narodu po zakonie-m chadzał,
Na Bożą wolę całą pracę-m składał,
I z wybranymi tylko się naradzał,
Z czystymi tylko poza stołem siadał.
I uwierzyłem, że pójdę tym torem:
Że mi się życie złoży gdyby wianek;
Że będzie wieczór taki, jak był ranek;
Że przejdę w pracy poważnie i śmieie,
Jak zwykł przechodzić dzień w Bożym kościele
Poczęty jutrznią — skończony nieszporem . . .

„Nie tak się stało! I jest grzech, co cięży
Na tém, co z prochu, a duszę przylega.
Od krzyża swego nikt się nie wybiega!
Pycha mnie wieńcem otoczyła węży,
I zrozumiałem, że w miłości stygnę,
Gdym mówił: „Pani! ja krzyża nie dźwignę!“ “

„Wprost Maryackiego w Krakowie kościoła
Są tam na rynku porządne kramnice,
Na Hanzę sławne, stare sukiennice:
W nich kramna czeladź roi się wesoła,
I cenną kupię z całego już świata
Do tych sukiennic wszelki naród zmiata.“

„Tam więc bywali kupcy rozmaici . . .
A bacząc sobie, że się naród szczyli
I wielką chwałą i Bożą miłością,
I świątyń Pańskich wielką ozdobnością,

Po swoich kątach roznieśli te wieści,
I ztąd też było dla mnie wiele cześci,
Bo Norymberga, co się na to sadzi,
Że jest ojczyzną kunsztownej czeladzi,
Co bardzo harda i karkiem wyniosła,
Nawet do króla wyprawiła posła,
Prosząc pocziwie, by Pan wejrzyć raczył
Na potrzeb grodu — co się chce sposobić
I domy Boże u siebie ozdobić —
Więc, by mu mistrze sposobne wyznaczył.

„I kanclerz rzekł mi na to: „Tyś jest czysty!
Ty tam pojedziesz!“ — i oddał mi listy.
A w mieście jedni odradzali bardzo,
A drudzy znowu po swojemu hardzą:
„Jedź, mistrzu Wicie! szczęśliwa ci droga,
A po naszymu pochwal Pana Boga!
Jedź, mistrzu Wicie! wszakto z tego kraja
W cały świat poszły Norymberskie jaja?
Niech się też Hanza i nam raz pokłoni,
Niech pozna smaki téj Sarmackiej woni!“
I bardzo, bardzo trzymali mnie w dumie,
Że się aż ciemno czyniło w rozumie.

„Tylko lutnista groźnie brwi nastrzępił,
I patrząc w puhar bardzo się zasępił.

„Co widzisz? pytam“ — „Widzę czarne kruki,
Nie dobre rzeczy, — Hanzeatyckie sztuki;
Nie jedź! — w puharze zakipiało czarno,
Anioł-stróż zniknął; ty tam zginiesz marno!“ —

„Płakała żona, zawodziły dzieci,
Cały cech wielką okrył się żałobą:

— „Czyż to tam jaśniej Boże słońce świeci?
A cóż bez ciebie my tu pocznem z sobą?!“

— „O, wiele było serdecznego jęku!
Lecz jak się cofnąć? — jak się tu obwinić?
Listy królewskie trzymałem już w rękę,
Zapadła klamka, — nie było co czynić! —

„Więc wzięwszy z sobą coś wiernej czeladzi,
Ruszyłem w drogę na niepewne losy,
I długo jeszcze brzmiały w duszy głosy
Z Floryańskiej bramy: „Niech cię Bóg prowadzi!“

„Gdyśmy wjechali w pograniczne lasy,
Zabiega drogę dziewczę dziwniej krasy,
Patrzę, cyganka — by kwiat czarnej róży
Lekko niesiony czarownicami wiatry —
Zaprasza z sobą do poblizkiej szatry:
Bo tam przy ogniu macierz nam powróży.

„Dziwnie nęciło wśród puszczy ognisko . . .
Lecz gdy docierał już do szatry blisko,
Znikła mi postać miła i weselna,
Ale jak jędza i furja piekielna
Z głównią porwała się cyganka stara,
I zawołała głosem przeraźliwym:
„Wracaj do domu, pókiś jeszcze żywym,
Hańba się znaczy w twój drodze i kara.“

Zwróciłem konia — „Sen mara,
Bóg wiara!“

„Niedba o wróżby,
Kto jest z Bożej służby,
Mówiłem sobie — spluwając od czaru . . .

Lecz i lutnista źle wróżył z puharu,
A i syn własny nie najlepiej wróżył,
Choć to z przypadku stała się ta wróżba
I bardzo miłą była sercu służba,
Lecz kloc niezdarny do roboty użył.

„Gdy na tém stało, że pojedę w drogę,
Chciał mi syn matkę pocieszyć niebogę,
Otóż powiada: Twarz ojca odrobuję,
Aby świadczyła, nim wróci do domu,
I nam domowym a jeszcze i komu,
Jako poczynał i czynił tu sobie;
Bo kiedy matka na twarz okiem rzuci,
Nie tak się bardzo wszystkim dom osmuci,
Bo będziem mówić: wszak ci pan nasz z nami,
Ot i nie będziem bez rodzica sami.

„Więc zezwoliłem; a był chłopak zdatny,
I już w przedniejszej robocie popłatny,
Zdatnie mu z dłuta leciały już wióry,
Że mu tam zrównać mógł już mało który.
Jakoż zasiadłem w podróżnej opończy,
I czynił pilnie — i uczynił sprawnie . . .
I nawet macierz miała tę rzecz sławnie.
Lecz gdy robotę po dniach kilku skończy,
Aż tu z policzka nagle sęk wyskoczy,
A i coś dziwnie zmieniły się oczy.
Zganiłem chłopca, że wziął kloc niezdarny;
Więc się utrapił i sęk ów zaprawił,
Ale sęk odlażł przez noc krwawo-czarny,
I rzekłem chłopcu, że się źle zabawił.

„Strapił się chłopiec bardzo na to słowo . . .
Ale lutnista źle pokiwał głową:

— „Ej nie jedź Wicie, bo w puharze czarno,
I sęk z policzka niemiło wyskoczył,
To coś jak piętno tknęło, gdym to zoczył;
Ej nie jedź Wicie, ty tam zginiesz marno.“

— „Trzy liche wróżby—w siodle-m się poprawił . . .
Ale się czarno wszystek świat mi stawił,
Bo z trojój ręki takie słowa wieszczę.
Żebyć cyganka — jeszczećby to jeszcze,
Aleć lutnista, aleć własne dziecię!
Coś i mąż boży, coś i krew przeczuje,
I gorzej wróżba niżli świat otruje.

„Miałem relikwiarz dany mi od księży;
Więc choć zła wróżba bardzo duszy cięży,
Zmówiłem z cicha bezpieczne pacierze,
I pojeżdżałem dalej w dobrej wierze.

„Dopóki Szląskiem — szło mi wszystko gładko,
Bo swoi ludzie, a książęta znane
Listem Królewskim były obesłane;
Więc i gościna bywała nie rzadką.
Lecz kiedym wjechał już w sąsiednie kraje,
Drogi — choć lepsza — co chwila nie staje!
I wszędzie pełno i zbójców i zdrady,
Że trzeba z bronią tylko czuwać wiecznie,
A nawet szlachta bawi się napady;
I w całej drodze miałem się odsiecznić.“

„Toż w Norymberdze szło mi jak po grudzie;
Więc pytam siebie, coto wszystko znaczy? . . .
Tam w naszej Polsce — jakoś to inaczej!
Tam kram dla ludzi — tu dla kramu ludzie!
I czeladź miejska zdała mi się marną,

Dziwnie niegłaźną, — niemiłą, niezdarną,
I nie po duchu, lecz po mieczu karną!“

„Wielki był hałas, kiedym wjeżdżał w miasto...
Ratusz i pręgierz otoczony rzeszą:
Wyrok się pełnił nad jakąś niewiastą...
A nawet dzieci mękami się cieszą!

„Na taki widok przejęła mnie zgroza!
U nas gdy karać już trzeba człowieka,
Srogiego sądu lud ze trwogą czeka;
A zakonnicy polecają duszę,
Aby za grzechy Pan przyjął katusze.

„Tu gdym szyderstwa posłyszał śród tłoku,
Wielkim wstręt uczuł już na pierwszym kroku,
I lichu jakoś powrózyłem sobie:
Żem wjechał w miasto o niezręcznej dobie,
Koń mi się zachnął i utknął znienacka;
Więc się stropiłem — choć wjechałem z gracka,
Bo mnie myśl naszła pośród tego gwaru,
Że mi lutnista źle wróżył z puharu...

„Gdym wjeżdżał w rynek w kilkanaście koni,
Miałem ze sobą książęcych rajtarzy,
Od Sasów wziętych, zdatnych do pogoni,
A sam też byłem konno i przy broni.
I to na wstępie wadziło liczmanom,
Żem się po drodze odpędzał ich panom;
I drzwi poczęli: Co to z tego będzie,
Czy wojewoda, że tak dwornie jedzie?

„Burmistrz, jak na to, szedł na ratusz hardo,
Jak gdyby wagą wszystkiéj Hányi mierzył.

Nie wiem w co więcej — ale w złoto wierzył;
Więc list oddając podniosłem się twardo,
I rzekłem krótko — nie czciami, ale słowy:
„Jak praca będzie, jam do niej gotowy.“

„Zajrzę do cechu — patrzę, a to knechty!
Piwem opiłe, nicponie i szlachty!
Z których cech jeszcze złych sęków nie obił—
Każdy nie oto pyta, coby zrobił,
Lecz o to tylko, co od sztuki płacą?

„Zajrzę do mistrzów, pytam o robotę?
Niema co mówić! było pojrzyć na co!
I wielką pracy uczułem ochotę.
Lecz gdym się pragnął złożyć z bracią nową,
Oni ni sercem — ni ręką — ni mową
Przyjąć nie chcieli mojego przymierza,
I każdy tylko wzrokiem mnie uderza;
I jeden pyta: Czym ja złotnik może?
I wielem przywiózł do ich miasta złota?

„A drugi pyta: Z czém ja kram otworzę?
I czy w targ pójdzie od ręki robota? . . .
I tak udali, że nie znają zgoła,
Że mnie z Krakowa Norymberga woła?
Jakbym z napaścią zabiegł do ich granic?
Jakbym zpod bruku wyrósł samozwaniec?
Więc przekładałem jasno i cierpliwie,
Że cześć w mém sercu dla mistrzostwa żywię,
I jak gość tylko w ich mieście przysiędę,
A co mieć zechcą, to i czynić będę.

„Na to mnie jeden spytał w grzesznym śmiechu:
„Gdziem ja wyzwał się w malarskim cechu,

„Że aż w to miasto na zarobki chodzę?”

„Zkąd czeladź wezmę?” — rzekł drugi nie w porę . . .

Więc rzekłem gniewnie, gdy mnie zbodli srodze:

— „Ja was tu wszystkich na czeladź zabiorę!”

„A był tu prawie stanął pod te czasy

Kościół świętego Sebalda od węgła,

Ale był jeszcze bez Bożej okras;

Ztąd się wbrew czeladź na obcego sprzęgła.

A co w robocie za najcięższe znano,

Ku temu tylko miałem się sposobić.”

„Grób mi świętego Sebalda oddano,

Aby go jako najwięcej ozdobić.

Miał być ze spiżu wszystek odlewany,

A w szkłańcie wieży i bardzo misternie

W drobne koronki, w przeźrocze dziergany.

A więc nad wzorem pracowałem wiernie,

I uczyniony na rozum cierpliwie

Wzór ten złożyłem w ratuszu na stole;

Burmistrz i rajcy siedli w wielkiem kole,

A z tyłu mistrze wyglądali chciwie.”

„Co ci dać za to?” — spytał burmistrz hardo

Rzuciwszy okiem za ledwo na kartę.

— „Znasz się na wadze! — rzekłem mu z pogardą —

To zważ na funty i powiedz, co warte?”

„Obok burmistrza stał Viszer w pobliżu,

Mąż zacnej duszy — wielki mistrz od spiżu!

I kiedy radni do rąk wzór mój biorą,

Patrzę — a jemu oczy ogniem gorą!

Widzę, iż rączo i serdecznie czyta,

Nie tylko patrzy, ale wiarą chwytą!

A w końcu rzekł mi w bardzo zacnej dumie:

— „Dobrą ja wróżę tej pracy nadzieję!“

Więc go spytałem: — „Rozumiesz?“

— „Rozumię!“

— „A czy odlejesz, mój bracie?“

— „Odleję!“

— „To w twoje ręce — rzekłem — wzór mój kładę!

Przyjmij go w darze w znak czci i przymierza!

Niech Pana chwali Sebaldowa wieża . . .

Jest, coście chcieli — ja żegnam i jadę!“

„Gdy się rozbiegły po Niemczech te wieści,
 Żem praw robocie a złota nie głodny,
 Byłem już potem u nich niby w cześci;
 Ale mnie mierzył taki żywot chłodny,
 Żem tak od ludzi musiał sercem stronić,
 I stać na straży i w czujności wiecznej,
 I że się przyszło tylko dumą bronić,
 I mieć się tylko do świata odsiecznie;
 Czułem to nawet, że mi już opornie
 Robota idzie zatruta tym kwasem,
 Że żyję tylko ojczystym zapasem,
 Choć wszystko jeszcze szło na oko sfornie.

„Królowie ślali mi bogate dary,
 Miasta wzywały mistrza na wsze strony,
 Lecz mnie ciągnęło do ziemi i wiary . . .
 I powróciłem do dziatwy i żony.

„Król był już w grobie, gdy z tej pracy wrócił;
 Lutnista lutnię strzaskał i nie śpiewał —
 I po raz pierwszy może się zasmucił,
 Bo hardy kołpak aż na brwie zawdziewał.

„Biskup mnie kazał zawezwać do siebie:
„Wiem, żeś po świecie dobrze zrobił swoje!
A kiedyś nie był na Pańskim pogrzebie,
Pościel dziś Panu na wieczne pokoje...“

„Ha tu już było z czego wątek snować!
Ze czią się lubią tam królowie chować,
Są tam nagrobki dwóch ostatnich Piastów,
A i Jagiełły swoich protoplastów
Złożyli także w katedrze poczciwie...
Więc do téj pracy rzuciłem się chciwie.

„O, wielka szkoda, że już Długosz nie żył,
Gdy biskup po mnie téj pracy zażądał...
Ale lutnista każde cięcie mierzył,
Jakby z rozkazu Pana mnie doglądał.
I gdy z marmuru król się już wyłamał,
Mówił mi z sercem — „Wicie, tyś nie kłamał!
Gdy Pana widzę, czasami się mamie!
Tenże majestat — i dusza — i cnota,
Jakie piastował w sobie za żywota...
I tak ci stoi tam w niebieskiej bramie,
Kędy mi trzeba ponieść służby moje!

„Jakoż zaprawdę był taki podobny,
Że kiedy sobie przy robocie stoję,
A obcy wejdzie do izby osobnej,
Nie raz, i nie sto, tak mi się wydarzy,
Że nikt od progu zbliżyć się nie waży...
A żona moja nim izbę posprząta,
Zawsze się wprzódy pomodli od kąta.

„Gdym począł pracę, wielkie-m czuł wesele,
I znałem w sercu, że po dłucie zbiegnie;
Lecz na czém Panu na wieczność pościelę?

„O! niech na sławie ojców swoich legnie!
I sprawach swoich!“ — lutnista mi rzecze —
„A pamięć jego w pokolenia ciecze . . . :“

„Więc wyścieliłem mu królewskie łoże,
I tarczę z Orłem dałem na podnoże,
A drugą tarczę z litewską Pogonią,
Dalej herb ziem tych, co je odbił bronią;
I bardzo pańskie podniosło się łoże!

„Na tém to łożu Pan w królewskiej szacie
Legł — jako siadał niegdyś w majestacie;
Więc miecz po prawej, a berło po lewej,
Więc lwy przy boku, Orzeł na szyszaku;
A znak pamiętny wielkimi posiewy
W kościele Bożym — w dowód łaski znaku —
U stóp złożyłem jako klejnot jasny,
Bo krzyż podwójny jest Jagiełłom własny . . .

„Była tam w Wilnie świątynia Perkuna,
W koło ozdobna niebieskimi znaki,
Z których wróżyła starych wieszczków struna,
A między niemi był tam i znak taki,
Po którym znano: gdy światem zawładnie,
To i pogaństwo na Litwie upadnie;
I kiedy przyszło na znak panowanie,
Jako mówiono, tak się cudem stanie!
Ztąd krzyż podwójny jest na tarczę wzięty,
Więc i pamiętny, odkąd Chrzest przyjęty.

„Nad łożem Pańskim czyniłem nagrobny
Baldachim ze czcią, godłami ozdobny,
I tam u góry wielkie były rzeczy!“

„Bóg Ojciec zasiadł na przedwiecznym tronie,
A mając cały ród ludzki na pieczy,
Na globie złożył swe ojcowskie dłonie:
Słowy stworzenia szumi jeszcze szata,
Po lewój — Anioł, który strąca pyszne,
Po prawej — zasiadł sam Zbawiciel świata,
A pierworodne i po Ewie grzeszne,
Co się do Ojca zbliżyć nie ośmiela,
Tuli się z trwogą pod krzyż Zbawiciela . . .

„Takto od Boga w początku poczęte,
Co jest przedwieczne i grzeszne i święte!
A już od Pisma ma iść dalszy wątek,
Zkąd téj genezy na ziemi początek:

„Więc Anioł Pański przed Zacharą spada
W czasie ofiary, za kapłańskim progiem,
I przyjście Jana z puszczy zapowiada:
Co będzie mocny i wielki przed Bogiem!
W żywocie matki jeszcze ducha pełny,
Sprostuje ścieżki Pana uprzedziciel,
Bo spaszę biodra w te wielbłądzie wełny,
A w ślady jego postąpi Zbawiciel . . .

„Dalej uklękła dziewica uroczą
W świętej modlitwie, przed księgą zakonną,
Anioł poddaje jój lilią wonną;
A z kąta patrzy Sybilla prorocza,
I we czci wielkiej na duchu przypada,
I „*Ecce Virgo!*“ na świat opowiada.
Marya się bardzo i dziewiczo zlekła,
Ale w pokorze przed Panem uklękła:
„Jam służebnica jest Pana mego,
Niech mi się stanie według słowa Twego.“

„I chwałą Pańską zadrżały niebiosy
Od takiej wieści od takiej miłości,
I chór Aniołów wzbił się w wielkie głosy:
Chwała bądź Panu tu na wysokości,
A święty pokój ludziom dobrej woli!

„I zeszło ziarno przenajświętszej roli:
Marya Dzieciątko piastuje na łonie,
A radość Matki i wielka i czesna,
Obok Niój siedzi już Matka Bolesna,
A na Jój rękę w ciernistej koronie
Pan z krzyża zdjęty — I owo spełnione,
Co od początku wieków przyrzeczone!...

„A więc do walki powstawaj człowiecze,
Gdy przenajświętsza krew już za cię ciecze!
I powstał mocarz z lwem w walce gorącej,
I król — myśliwy — wiernego psa dierzży,
I powstał rycerz — wiarą wojujący,
I na zelżywe toporem uderzy.
Że lew był srogi, wielka chuć myśliwa;
Że twardo topór do drzewa przyłożył,
Więc praca męża ścięła tak do żywa,
Że się na wieczne już przespać położył....

„Usnął w świadectwie przed obliczem Pana!
I Twarz narodu bardzo upłakana —
A dusza syna, co berło dziedziczy,
Taka już pełna żalu i goryczy,
Że ją pokazać światu się nie waży,
Więc zakrył ręką, co wymowne w twarzy....

„Że król był wielki wśród Pańskiego sadu,
Pnie się do koła różczka winogradu

Dobrym owocem pełna i bogata!
I spał się po niej i kozioł ofiarny,
By się nadzieją pocieszała strata:
Że żywot w walce przed Bogiem nie marny!
A o tak wielkiej narodu boleści
Biegną z modłami i do nieba wieści....

„Tu już Zbawiciel w miłościwój szacie
Na sądy świata zasiadł w majestacie;
Po prawej — Matka i Dziewica czysta,
Po lewej — błaga Jan Ewangelista
Za dusze zmarłe — a pełne otuchy
Tulą do Maryi się czyścowe duchy;
A po za świętym Janem się przewija
Z Apokalipsy czarnych duchów żmija....“

„Stanąło wreszcie to śmiertelne łoże,
Które królowi na wieczność posłano,
I z rady padło, że go na niesporze
Odkryć raz pierwszy dla narodu miano.

„W mieście we wszystkie uderzono dzwony!
I we drzwi wielkie wszedł biskup w swój szacie,
I na drzwi wielkie wszedł król w majestacie,
A za nim blaski Litwy i Korony —
Za nimi naród płynął do kościoła . . .
I wielka jasność świeciła od czoła,
Bo gmach tak gorzał światłami rześisto,
Jakby powodzią zalany ognistą.

„Grób był osłonięty od stopy do szczytu
W ciemny fiolet w białe orły szyty,
I cały wdzięcznie, niby tron okryty
W sute podpięcia, w zwoje aksamitu.

„Gdy orszak cały do grobu się zbliżył,
A król w żałobie głowę swą uniżył,
Padła opona takim wdzięcznym wałem,
Że fałdów takich jak żyw nie widziałem!
Tak po królewsku — po prostu — a suto,
Że kiedym złożył u stóp króla dłuto,
Coś jak od szaty Boga Ojca szepce!
I strach mi było: nuż ją kto podepce!

„Lecz i król orła zdeptać się ulęknął,
I wał przestąpił bardzo baczny krok,
Choć był i w żalu i w smutku głębokim.

„Gdy przy ojcowskim grobowcu uklęknął,
Ze czią ojcowskie stopy ucałował,
Jakby dopiero do grobu go chował;
A kiedy powstał — kiedy się oddalił,
Dopiero w on czas naród się rozżalił,
I na grobowiec w miłości się rzucił,
I wielkim płaczem po panu się smucił.

„Jam nie mógł płakać, — lecz jako głaz stałem,
Kiedy się naród rozlał nad tym wałem.
I gdy już myślą chwytam jego zwoje,
Pyta mnie Berdysz: — „Ty nie płaczesz, bracie?“
Rzekłem mu na to: Jam odpłakał swoje!
„O! żeby gorszy płacz nie przyszedł na Cię!“
Rzekł mi proroczno, — „żebyś nie zaszłochał,
Żeś więcej sławne, niż serdeczne kochał!“

„I rok nie ubiegł, a żonę-m pochował,
Nie ubiegł drugi, a syn na mym ręku
Skonał przedwcześnie — i jam się spasował,
I życie oraz obrało się z wdzięku;

I duch uleciał do pracy ochotny . . .
I choć z dniem każdym sława moja rosła,
Z wielką żalością dusza mi się niosła,
I byłem nędzny i w sercu samotny.

„Na Spiżu nowe stawiano kościoły,
Więc tam jechałem, by uciec od smutku;
I praca moja nie była bez skutku . . .
Lecz bardzo wielkie, — wielkie to mozoły,
Pracą się bawić i ująć boleści,
Kiedy dla serca tylko smutne wieści!

„Ledwo, zem otarł pot z mojego czoła,
A już na nowo Norymberga woła;
A i z miast innych téj niemieckiej rzeszy,
Nie jeden poseł z listy do mnie spieszy.
I znowu jedni odradzali bardzo,
A drudzy tylko po swojemu hardzą,
Tylko lutnista siadł nisko i płacze:
„Już ja cię, Wicie, więcój nie zobaczę! —“
Więc rzekłem hardo: — „Ot-byś wróżby rzucił!
Wszakżeś złe wróżył, a jam cały wrócił?“
A on mi na to: „„Już ci serce stygnie!
W puharze, mówię, zakipiało czarno!
Trzymaj się domu, bo tam zginiesz marno,
A co prorocze, teraz cię doścignie!““

„O, wielka nędza, gdy wszystko wygore
W sercu prócz dumy, gdy nie na kochanie,
Lecz dumy tylko dla żywota stanie! . . .
Dla hardéj duszy podróż była w porę,
Bom bez miłości zapragnął kadzidła . . .
Aniół-stróż zniknął i popadłem w sidła.“

„Gdym w Norymberdze stanął po raz drugi,
Wszystko już było na moje usługi.
Tu miałem poczcic tę „mistyczną Różę“ . . .
A więc w powietrzu rozpiąłem różaniec,
I wieniec czystych aniołów na chórze
Zawiódł w obłokach na Jój chwałę taniec!

„Ta cześć Maryi była ludziom miła,
I z niej się nowa praca mi zrodziła:
Miasto cyborium umyśliło sprawić,
Więc cała rada na mnie prośbą natrze,
Aby uczynić większe i bogatsze,
Niżli się zwykło po kościołach stawić.

„Toć plac musiałem obmyślić w kościele,
I plac obrałem przy wolnym filarze,
Gdzie i widoku i przystępu wiele . . .
I bardzo długo myślam się ważę,
I mówię sobie: „brzemię mi zadali!“
I biednej głowy jął się jakiś zamęt,
Bo gdy Sebalda taka wieża chwali,
Jak Przenajświętszy poczcic już Sakrament?

„Otoż do Polski wyprawiłem listy,
Prosząc o radę Matki Rodzicielki . . .
I nadszedł mądry też list od lutnisty,
I dodał sercu rady bardzo wielkiój!

„Bierz, mistrzu Wicie! co jest wzięte z daru!
Kiedym złotego radził się puharu,
Z ust Salomona padła dla cię rada:

„„Gdy Cię niebiosa ogarnąć nie mogą,
Jako mniej Panie dom Cię będzie słaWił,
Com chwale Twojój na przybytek stawił?““

I zrozumiałem, co czynić wypada,
I obmyśliłem, jaką mieć się drogą

„W niebiosa lotem wygonię rybitwy,
Lekką się wieżę w sklepienia napędzę,
Aby ku niebu poniosła modlitwy,
Dając świadectwo tój ducha potędze.
Lecz sam szczyt wieży pod sklepieniem skrzywię,
I znów do ziemi nagnę miłościwie,
By dać świadectwo pod niebem kościoła,
Że duch — wielkości Bożej nie wydoła!

„Tak umyśliłem i sprawiłem iście.
A gdym cierpliwie wzór ów przysposobił,
To go z kamienia już inny odrobił;
I ów przybytek Pański stanął czyście!
I padli na twarz młodzieńcy i starcy,
I była chwała, -- bo téż było arcy!

„Lecz po kościele gdy na ucztę proszą,
Z chytrą się radą widzę rajcy noszą,
I jeden rzecz: „Jest się czemu dziwić!
Ale źleś, mistrzu, na wysokość liczył,
I szczyt wieżycy musiałeś zakrzywić!“

„Jabym nie liczby, lecz serca wam życzył!“
— Rzekłem z pogardą — „tu w waszym kościele,
Nie miałem kędy zapędzić się śmieie!
Bo znam to z rodu, jako czcić świętości,
Zwalcie sklepienie, a wieża się sprości!
Lecz, że was pono jechali tu czarci,
I żeście cudu liczmany nie warci:
Zwalcie sklepienie, ja sprostuję wieżę!“

„O, dzisiaj jeszcze prawie płacz mnie bierze,
Gdy idę śladem mojego żywota,
Boć to ostatnia była już robota!
Kramni i mistrze zawarli przymierze,
Żem się poważył tak wielmożnie chlubić,
I uradzili, ażeby mnie zgubić . . .

„Już gdym wychodził z pamiętnój biesiady,
Po oczach wszystkich wyczytałem zdrady:
I trzy dni całych jeszcze nie ubiegło,
A imię moje na pręgierzu legło.

„Wystąpił jakiś kłamany wierzyciel . . .
Jam zaparł listu, zbił skargi nieprawe;
Lecz kupnych świadków przywiódł oskarzyciel,
I zaprzysięgli krzywą jego sprawę.
I w mgnieniu oka było w mieście świętno:
Że jemu grzywny, mnie wyrok na piętno!“

„Gdy na mnie górą upadła niesława,
Wołałem w sądzie przeciw wyrokowi:
„Wy mnie nie macie tutaj sądzić prawa;
Jeślim zawinił — niech król mój stanowi
O mojej winie i o mojej głowie.““
Ale daremnie! — Burmistrz hardo powie:
„Król na królestwie, ja tu sędzę w mieście!““
I krzyknął katom: „Pod piętno go weźcie!““

„A jak pod ruję ryje stado dzików,
Z takąo chucią śród jadu okrzyków
Zwiło się w kołtun to kramarstwo chciwe,
Wieczyscie głodne tego, co zelżywe,
W koło pręgierza — i kat się nasrożył,
I do oblicza piętno mi przyłożył.“ —

„Tu kiedym ujrzał, że ratunku nie ma,
Stanął mi Długosz żywo przed oczyma,
Jak mi rzekł niegdyś: „dobreś ty się starał,
Ale za pychę żeby Bóg nie karał!“
I tu jęknąłem: jakżem wielce zbłądził,
Żem się nie uciekł pod puklerz Wieniawy,
Dziśby mnie burmistrz w ratuszu nie sądził,
I tam sądzony byłbym bez obawy.

„Czy myślisz może, że już koniec na tém?
Nie dość, że z piętnem miałem już pójsć światem,
Z pręgierza w powrót stawią mię przed radę:
I na krucyfiks przysiądz mi kazano,
Że nigdy w życiu z miasta nie wyjadę!

„Tu zrozumiałem jasno, o co chodzi,
Że moja praca i sława im szkodzi . . .
A jako Tatar przetrąca kolano
Jeńcowi swemu, tak tu rzecz pamiętna:
Że ja pod piętnem — a oni bez piętna!

„Bóg mię ukarał, ciężko za me grzechy,
Że nęcić mogła jeszcze inna sława
Oprócz téj sławy — co Ojczyzna dawa!

„Lecz oni ze mnie nie mieli pociechy:
Dom mój zamknąłem jako grób bez mała,
By mię źrenica ludzka nie dojrzała;
A zastarawszy, w miłości zakrzepłem,
I wpośród wrogów na końcu — oślepiłem.“

„Na co się zdało pocziwe i święte,
Co tam w ojczyźnie było rozpoczęte,

Kiedy świat zmarnił pocziwe miłości;
I gdy nie legną w ziemi Ojców kości,
Trudno ztąd trafić będzie i do nieba,
Gdym zdawna z ludźmi nie łamał już chleba,
I ledwo we mnie Pan się z łask uści,
Gdy kończę żywot z światem w nienawiści.

„Panie! wszak jam Ci żywotem nie kłamał!
I wierniem służył, kiedyś łask nie skąpił,
Za coś mnie, Panie! na starość odstąpił?

I starzec ręce w żałości załamał.

A wnuczka jego słuchając powieści,
Brała robotę, i w powrót ją kładła,
I ledwo mogła wytrwać od boleści.
I to płonęła, to znów nagle bladła,
I łzy się w oczach skręciły dziewczicy,
Lecz nie chcąc płakać podniosła je w górę,
I patrzy w niebo na srebrzystą chmurę,
I znów rozlała się łza po źrenicy,
Co z długiej rzęsy miała perłą trysnąć...
Na sercu ciężko — więc jęła go cisnąć.
Ale się trudno w końcu i obronić:
Kiedy łza za łzą poczęła już gonić,
Kiedy nie było już oprzeć się naczém,
To się zalała w końcu wielkim płaczem.

A starzec słysząc te serdeczne łkania,
Z boleści swojej nagle się ocucił:
I nadstuchując, ku niej się obrócił,
I cały sercem ku wnuczce się słania,
I kładzie rękę na oczach i czole,
Jakby chciał leczyć serce na te bole,

Na które w świecie lekarstwa już niéma.
I ręka jego była mu oczyma.
A gdy nią powiódł z miłością po twarzy,
Rzekł jój po chwili: „Na grobowcu króla
W chórze Aniołów jest tam taki samy,
Jak ty aniołek, co w niebieskie bramy
Lecąc — miłością Cherubów się żarzy,
A nad upadkiem ziemi się rozczuła.
Kiedym go kręślił, znać przeczułem ciebie,
Że będzie taki Anioł mi w potrzebie
Świecił na ziemi i w niebie przede mną;
Lecz nie przeczułem, że tak będzie ciemno . . .

Wiatr pociągnął po krzewinach sadu,
I starzec rzucił listek winogradu . . .
„Ha! i ten listek był z Pańskiej winnicy,
A dziś pomiecie nim wiatr po ulicy!
Prowadź mnie córko, czas dla mnie na łożu,
Tutaj nas jeszcze kto podsłuchać może . . .“

I rok upłynął od owój spowiedzi,
A w małym domku na zakątku miasta
W poważném krześle znowu starzec siedzi,
A przy nim niza koronkę niewiasta.

W tém się odezwał u drzwi wielkich dzwonek;
I wstało dziewczę od złotych koronek,
I jakąś chwilę u drzwi się naradza,
A potem gości do izby wprowadza.

„Kto tam?“ — zapytał starzec zadziwiony —
„Do domu mego wchodzi nieproszony?“

„To my!“ — poważnie rzekli mu mężowie —
„Wpróg wasz wstępujem — a cześć Wam i zdrowie!“
„Kto taki?“ — spytał starzec niecierpliwie —
„Wie jeszcze o tém, że stary Wit żywie?“

„My mistrzu Wicie, wysłannicy rady,
Przychodzim do Cię, by Cię z czią pozdrowić
I ojców naszych przymiérze odnowić!“ —

Na to się zerwał starzec, jak lew srogi,
I krzyknął gniewnie: „Czy na nowe zdrady
Bies was prowadzi w zapomniane progi?
Córko daj rękę! — i podaj mi dłuto!
Wszak w waszój radzie ze czi mię wyzuto?
Ja byłem orłem, kiedym do was zjechał,
I świat szeroki sławą się uśmiechał . . .
I choć gościna moja tu pamiętna,
Wyście do orła przyłożyli piętna.
Dziś ja lew ślepy, ale mam pazury,
I nie leż gadzie! nie leż do lwiój nury!
Bo pójdę z tobą na dłuta i noże,
Kiedy cię czuję dzisiaj w moim progu;
A gdym z boleścią bok otworzył Bogu,
To dziś z rozkoszą łotrom bok otworzę! —
Wnuko! daj rękę, i podaj mi dłuto!
Wszakto w téj radzie ze czi mię wyzuto!“

I zadrzał cały i w szalonym gniewie,
Gdzieby uderzyć — sam już więcój nie wie.
Więc w głębi duszy zadrżeli posłowie,
A jeden z posłów tak po chwili powie:

„Nieprzyjaciele wasi leżą w grobie!
My, mistrzu Wicie, cześć wracamy tobie!

Ci co w złej radzie na ciebie się sprzęgli,
Co oskarżyli i krzywo przysięgli,
Dziś już nie żyją; ale się wykryło,
Że przeciw tobie uknowano zdradę,
Że się Sądowi w wyroku zbłądziło.
A gdy twą krzywdę wzięto znów na radę,
Rada ci Mistrzowi dawną cześć powraca:
I otrąbiono w miasta cztery końce,
Że sława twoja jasna jako słońce,
I znowu mistrza chwali jego praca!““

Na to rzekł starzec: „Czy Fincyng nie żyje?“
A posły na to: „„„Już go ziemia kryje!
Sam się oskarżył na łożu śmiertelnym,
Że uknuł zdradę pod mistrzem tak dzielnym,
I że przed Bogiem stanąć tak nie może;
Ci co świadczyli, nie przeżyli roku,
A i sędziowie zeszedli już z widoku!““

Na to rzekł starzec: „Wielkie sądy Boże!
Chwała ci Panie! chociaż bicz Twój zaciął,
Bo długi żywot padł mi z Twego daru,
Jako mi wróżył lutnista z puharu . . .
I owom przeżył wszystkich nieprzyjaciół!
I sprawiedliwy i czysty się stawię,
I posłom takiej wieści błogosławię!!

„Bo światło Boże wraca do źrenicy,
I czuję radość wielkiego wesela.
Podaj mi, dziecię, ów krzyż Zbawiciela,
Com go wziął w darze od mądrej Dziewicy;
Bo czuję znowu, jakim Bóg wiódł torem:
Że się nachyla do wieczora ranek,

I że się składa z róż i z ciernia wianek
Poczęty jutrznią, skończony nieszporem!“

Boską jest iskra, która z nieba spadnie,
Lecz krzyżem temu, na kogo upadła!
I kto téj drogi w Bogu nie odgadnie,
Temu nie zajrzeć do prawdy zwierciadła.
I biada światu! gdy w złości niweczy
To, co w geniuszu po Panu jest święte;
A geniuszowi biada! jeśli przeczy
Temu, co dane i od Boga wzięte!

I na tém koniec — i koniec powieści:
Grób, to lekarstwo na wielkie boleści...
Na obcój ziemi kości mistrza legły,
Grób zapomniany — i wieki ubiegły
A przy ołtarzach jego klęczą ludzie,
A po grobowcu jego wiek nasz czyta,
I spracowany w bardzo wielkim trudzie
O imię mistrza i zagadki pyta,
Które w swych dziełach wielki duch poznażył,
A nie ma tego, coby je tłómaczył. . . .

Mądra Dziewico! ukaż nam Twe lice,
I Twoją lampą rozświeć tajemnice!
A za Twym śladem i Twoim przewodem
Pójdziem i przejdziem w zakonie pochodem,
Jako ci przeszli, którym olej wonny
Polać raczyłaś po myśli zakonnój.
Bo kto raz poznał, kto pokochał Ciebie
W zorzy porannój i w gwieździstém niebie,

Lub w szumie wody u górskiego stoku,
I w starych gajów uroczystym mroku;
Kto Cię raz poznał na morzu i bitwie,
W ucisku duszy i w rzewnej modlitwie,
Ten już za Tobą pójdzie z krzyżem wiernie,
I patrząc w niebo, przyjmie w siebie ciernie!



W Krakowie — przy Ulicy Kanonnéj w kamienicy Jana
Karnkowskiego, Kanonika Katedralnego Krakowskiego,
Kancelerza Kazimierza Jagiellończyka.

Rzecz zaczęta dnia 17go Grudnia 1853 roku, skoń-
czona dnia 25go Stycznia 1854 roku.

OBJAŚNIENIA.

Kiedyś, i to już bardzo dawno, rzekł P. Alexander Fredro, że dla autora najlepiej byłoby nieżyć. Wyrzekł to, zda się w uczuciu i chwili, kiedy się widział zmuszonym przemówić do słuchaczy swoich o własnych swoich utworach —; w tém samém położeniu widzę się ja dziś.

Wolałbym utworami poetycznymi przemawiać do koła czytelników moich; niż pisać przedmowy do poematów i dodawać do nich objaśnienia. Gdzie przedmowy i objaśnień potrzeba, tam niema już właściwego związku i poczucia między poetą a kołem, dla którego śpiewa. Nie chcemy rozstrzygać tego, czyja wina, — najpewniej, stron obódwu; wszakże jedno co sądzimy, że nam wolno powiedzieć jest, żeśmy się nie puścili utartemi drogami ani w życiu ani w literaturze, ale żeśmy według znania, przekonania i sumienia własnej ścieżki szukali. Co się na niej znalazło, bywa w dobrej czy w złej wierze zagadkowo brane; a że najdziwniejsze zasady przypisują mi laskawi czy nielaskawi interpretatorowie moi za punkt wyjścia, ztąd widzę się zmuszonym do oznaczenia stanowiska, z któregoś wyszedł, kreśląc Wita z Krakowa.

Każdy bohater poematu jest — na co go stać — za swoje trzy grosze bohaterem. Ale trudniejsza sprawa, gdy tym bohaterem jest artysta; bo jak na wielkiem pobojowisku, gdzie rycersey ludzie i dzielne legły rumaki, krąży czarnym korowodem ptastwo z wyostrzonymi dziobami, tak w koło artysty podanego na widok

publiczny (a więc poległego na pobojuwisku) krąży ćma zasad abstrakcyjnych, dyletantów estetycznych, anatomów literackich, żeru głodnych.

Bohatérstwo artysty leży w jego twórczym duchu, a twórczość i jój tajemnica pozostanie pono po wszystkie wieki tajemnicą. Dla tych zaś panów tajemnicy nie ma i być nie może, bo oni słyszą nawet jak trawa rośnie; a z obowiązku i położenia swego muszą wszystko wyświécić jak na dłoni, i wyjaśnić jeżeli nie sobie, to drugim przynajmniej.

I tak na przykład, znamy wszyscy komunały estetyczne, z którymi, mówiąc o artyście i sztuce, koniecznie spotkać się potrzeba, jako to: „Sztuka jest wyższa nad wszystko. — Sztuka ma cel sama w sobie.“ To bezwzględne, abstrakcyjne, i niczém nie określone stanowisko przyznając sztuce, nie wiem, gdzie się spotkamy z Bogiem i człowiekiem, ze stwórcą i stworzeniem, z najdoskonalszą wolą i dowolną twórczością człowieka.

My słyszeliśmy zawsze, że tylko Bóg ma cel sam w sobie, że człowiek jest stworzony na podobieństwo Boskie, że tyle w nim dzielności ducha, ile łaski Bożej.

Zapewne, czuję to, iż się tego rodzaju zdania wydadzą dziwactwem modernistom, estetykom i literatom naszym, bo ostatecznie sprowadzone do prawd katechizmu, nie cierpią i nie dopuszczają repliki; wszakże niech się będzie wolno zapytać, czy ta prawda jest większą, z której się wszystko ostatecznie wyprowadzić daje, czy ten rozum jest wyższy, który na rozstrzygnięcie każdego wypadku osobnej formułki, zasady i tranzakcyi sam dla siebie i dla drugich potrzebuje?

W pogańskich wiekach, gdzie nie znano prawd Bożych, pojmując to, że wyprowadzić usiłowano z treści ducha ludzkiego prawdy wszelkie, że odtwarzano mizernie i sztucznie — na szczudłach filozofii — nawet prawdy wieczyste; ale w świecie chrześcijańskim, w społeczeństwie prawd Bożych objawionych, w społeczeństwie zarządzoném przez Kościół, uciekać się do małych sposobów i sposobików rozumu a może tylko dowcipu, w rozstrzygnięciu kwestyj najwyższych, jest to to samo, co świecić ludziom kagankiem po dniu jasnym i słonecznym, i słuchać gaworzenia niemowlęcia, kiedy już Bóg-człowiek przemówił na zbawienie świata.

Gdybyśmy rzeczywiście czerpali z wielkiego zapasu europejskiego ducha, żywilibyśmy się prawdami Bożemi, które nie jak „głos na puszczy wołający“ dzisiaj przemawiają do świata, lecz jako głos przez Matkę odszukanego Jezusa, który do zwątpionej przemówił Synagogi w kościele Jerozolimskim.

We wszystkich wiekach była Synagoga równie zatwardziałą — i Samarytanie wszystkich czasów byli tacy sami; do niej tedy przymawiać napróżno. Odzywam się tu więc do koła słuchaczy moich po za kołem Synagogi stojących: dla podania kilku szczegółów i przypomnienia kilku epok w sztuce chrześcijańskiej, o których nadmienić wypada; dla właściwego ocenienia pod względem sztuki i historii czasu, w którym żył Wit Stwosz; dla właściwego ocenienia pobudek moralnych, które w owym wieku tak wszechwładnie na artystę wpływały.

Dzisiejsze teorie i pojęcia o sztuce wzięły początek z XVIII wieku, z czasów największego upadku sztuki i człowieka, gdzie człowiek pełen zwątpienia i szału, pełen rozpaczony ducha rzucił się na wszystko, co Boskie lub po ludzku święte, gdzie odrzucił wszelkie religijne i historyczne tradycje, a w nędzy swojej ujrawszy się nagim, uląkł się sam siebie i okrył się łachmanami pogańskiej filozofii.

Gdyby prawdy starożytnego świata mogły być na wsze czasy wystarczać dla człowieka i społeczeństwa ludzkiego, bylibyśmy po dziś dzień poganami niezawodnie; wszakże, gdy to pogaństwo runęło w skutek prawd chrześcijańskich, czyż można po upływie osiemnastu wieków ery chrześcijańskiej karmić ludzi jeszcze dzisiaj ochłapami odpadłemi od pogańskiej uczy? Czy można dziś sztuce naznaczać stanowisko bezwzględne, niezawisłe od Kościoła i dziejów? a co najlepsze, że to czynią ludzie, którzy się mienią heroldami postępowych idei?!

Gdyby sztuka miała cel sama w sobie, i stanowisko bezwzględne w hierarchii duchowej dzielności, mielibyśmy prawo od niej żądać tych wszystkich własności i przymiotów, jakie Chryścianin przypisuje jedynie Bogu. Co że nie jest i być nie może, sądzę, że dowodzenia nie potrzebuje. W hierarchii duchowej dzielności zajmuje człowiek dopiero owe stanowisko, jakie duch na podobieństwo Boże stworzony a ciała ciężarem obleczone, przy-

ciśnięty brzemieniem pierworodnego grzechu, zająć zdołał.

Za tém fałszywém i pogańskiem oznaczeniem stanowiska sztuki poszło także i fałszywe ocenienie stanowiska artysty czyli twórcy w ramach ludzkiej natury i środków ziemskich, w odbłasku duchowego jego pochodzenia, jako lepszej części jego.

Jak prędko sztuka miała cel sama w sobie i stanowisko bezwzględne, stał się artysta Bogiem za tę samą cenę.

Rzecz dziwna, że nawet pogaństwo nie posunęło téj kwestyi do takiego zarozumienia, bo w niem miano najwyższych tylko artystów zaledwo za namaszczonego kapłanów, ale nigdy za półbogów, a tém mniej za bogów Olimpu, choć ci bogowie byli dobrze grzeszni.

W pogańskim, mówię, świecie nawet niedopuszczono się takiego występku duchowego przeciwko wielobóstwu, jakiego się w zeszłym i dzisiejszym wieku dopuszczono grzechu przeciwko Duchowi Śmu. w świecie Chrześcijańskim! . . . Ukaral też Duch Święty: bo sztuka, odrywając się od źródła Bożego swego pochodzenia, stała się nieplodną, a artysta, wyłamując się z pod sankcyi Kościoła, poszedł w poniewierkę i na służbę powszedniego świata, odkąd zapomniał, albo przyznać nie chce, że to, co w nim Boże i wyższe, wzięte i dane jest z góry, a to, co własne jego i marne, że to mu zdobyć wolno.

Cała zasługa artysty leży w tém, w czém i zasługa chrześcianina: w walce tego ducha ze światem, materją i ciałem. Ile łaski z góry, tyle twórczości; a tyle łaski, ile miłości przyniósł do walki w zapasach z życiem, ciałem i materją.

Tak pojmujemy sztukę i artystę — sztukę w świecie chrześcijańskim, a artystę w służbie Kościoła — bo zapatrujemy się tu na niego jedynie w najwyższej sferze jego działalności.

Ciężką pracę i ciężkie zadanie mają artyści XIXgo wieku, biorąc w puściznie wiek XVIIIy z całym jego pogaństwem; bo i jakież jest ich zadanie?

Zapewne nie inne, jak ocucić serca z pogaństwa, ożywić je i rozegrzeć dla prawd religijnych, a przez uczucia narodowe, ziemskie i po ludzku święte sprowadzić na drogę chrześcijańskiego żywota i postawić je w punkcie, gdzie szafarzem łask Ducha Śgo jest Kościół.

Pojmuję to bardzo dobrze, z kim i z czém się trączę, wymawiając otwarcie takie przekonania. Rozumiem, jakie stanowisko w ten sposób naznaczam artyście i sztuce: — artysta będzie laikiem w Kościele i to tylko w najwyższym powołaniu swoim sztuka służebnicą Ducha Śgo, który *usque ad consumationem saeculi* będzie z Kościołem. Tak pojąłem Wita Stwosza, który był człowiekiem artystycznej epoki, nietylko u nas ale w Europie w czasie, w którym żył.

Jak Kościół stoi tradycją, tak téż tradycja jest kluczem do religijnej sztuki. Utwory sztuki są wpływem liturgii, streszczeniem i zobrazowaniem jój, wcieleniem i upostaciowaniem słowa Bożego, a nadto upostaciowaniem tych żywotnych podań, które się od pierwiastków chrześcijaństwa przechowują w Kościele. Trudno by je pojąć, nie znając źródła Bożego, z którego wypłynęły, nie znając ducha podania, który je uzupełnia.

Koleje, jakie kościół przechodzi w dziejach świata, są podaniem żywem w Kościele. Sztuka religijna jest w ten sposób wielkim pomnikiem historii powszechnej, a utwory sztuki mogą być zrozumiane tylko za pomocą słowa Bożego i tych żywych tradycji miejscowych, które — poczynając od ołtarzy i relikwii ŚŚtych aż do grobowców, stal, ławek i kruchty, do pieczar i grobów — co do przeszłości i znaczenia objaśnia podanie miejscowo.

Odnowienie tedy téj tradycyjnej nici — która się od pierwiastków Kościoła, kolejają wieków, aż po nasze przewija czasy — nie będzie może i tutaj bez pożytku, bo nawykliśmy szczególnieź wielkie dzieła sztuki religijnej uważać tylko za wyjątkowe zjawiska w dziejach sztuki, a to głównie z powodu przerwania téj tradycyjnej nici, która je objaśnia i puścizną w żywem słowie ku czci podaje. Co przecież tak nie jest, bo ta nić żywych podań snuje się przez wieki. I więcéj jak połowa tego, w co Kościół powszechny wierzy, co wyznawa i obyczajowo pełni, nie jest spisane — i tylko podaniem żywe. A każdy pomnik religijny, każdy obyczaj Kościoła, każde podanie odpowiada swemu wiekowi i duchowi Matki i Rodzicielki.

Upostaciować słowo Boże i żywą tradycję Kościoła, zakląć je widomie i ująć w nowe kształty kuszownie, nie było zadaniem

łatwém — bo z jednej zasady musiały wyjść tu wszystkie sztuki, wszystkie obrzędy; i obyczaje Kościoła musiały wziąć namaszczenie z góry — bo chrześcijaństwo rozsiało się na społeczeństwach i formach skończonych, na dziejach dokonanych, a duchem nowe i odmienne od pogańskiego świata musiało górować duchem najwykwintniejsze i skończone formy.

Niemalą to rzeczą było żywém słowem zawojować pogaństwo, tego bohatera miecza, i nakryć ramionami krzyża sztukę i filozofią grecką, organizm i prawo pogańskiego Rzymu.

Wcielić ideę niecielesną nie było zadaniem łatwém: otworzyć księgę żywota czytelną dla wszystkich i okazać ją ziemi w poświęceniu Ducha Śgo, na to potrzeba było osobliwej łaski. Typy bowiem starożytnej sztuki były zużyte, były to trzcionki, któremi duch prawd chrześcijańskich wypisać nie zdołał; były to niezdarne środki na wyrażenie prawd Bożych, o których świat pogański nawet nie miał przeczucia. Lubo tedy stał wysoko społecznie i dziejowo, nie miał modły na żywy odlew prawd wychodzących z ducha; i owszem duch ten był tak potężny, tak wszechmocny, że nie mogąc się pomieścić w modle urobionej, rozsadził wszystkie formy pogańskie: bo nie działał według miary i wag, i cielesności, lecz działał jak światło i ciepło, które społeczeństwu dawał.

Typy starożytnej sztuki były, jak mówię, zużyte; wolno też tylko bardzo i tylko żywotem męczenników dorabiał się Kościół swego wzrostu i znaczenia pierwotnych typów w sztuce, obrzędów i obyczajów kościelnych.


Groźno otaczał świat pierwotnych chrześcijan: przekonanie słowa Bożego placono żywotem, żywot męczeński milezieniem. W tej atmosferze duchów, gdzie cierpienie bohaterstwem było, nie stać człowieka na sztukę; przekonanie wystarczało i niepotrzeba było zewnętrznych pobudek dla zmysłów na utwierdzenie tego przekonania.

Tradycya, rodzicielka sztuki, była tu jeszcze tak żywą, że prawdziwém artystostwem ducha było męczeństwo lub niezłomne wyznawstwo; a kto nie upadł w tej walce, nie był powołany do twórczości, ale był błogosławionym. Eraż też męczeńską nazwano dzieje Kościoła aż po czasy Konstantyna Wielkiego, gdzie Kościół już po dniu Bożym i po Bożym świecie szerzyć się po-

czyną — gdzie Kościół wychodzi w chrześcijańskim tryumfie z pomroku katakumb zwycięzko.

Pierwsze tedy najstarsze, najprostsze, a zarazem największe pomniki chrześcijańskiej sztuki znajdują się w katakumbach odwiecznej Romy, na tym pierwotnym — dziś już nie klasycznym — ale męczeńskim gruncie chrześcijaństwa.

Wszystko, coby sztuce mogło dać początek, jest tu tylko prostym znakiem, symbolem oznaczone, wszystko stoi tu i żyje jedynie tradycją; a bez tradycji, téj tajemnicy chrześcijańskiego ducha, niemożnaby tu niczego zrozumieć — ani znaczenia przeszłości, ani obietnic przyszłości.

Krzyż, jako godło wiary i zbawienia — księga żywota na apokaliptyczne pieczęcie zamknięta, jako godło objawienia — baranek Boży, jako godło odkupienia — znak położony na grobie  (pro Christo), jako znak męczeństwa — imię męczennika wyryte mozolnie na kamieniu niewprawną ręką, lub tylko dzień jego śmierci napiszczony czerwoną barwą, jako barwa tryumfu i męczeństwa — pęk makówek lub rozpękniętych granatowych jabłek, jako świadectwo o wielkiem posiewie ducha — pęk ostu, jako godło cierpkiego żywota — rybka (*ichtis IHΘΥΣ*), jako znak samego Zbawiciela Pana — narzędzia męczeństwa wyryte na kamieniu lub złożone w grobie męczennika, jako świadectwo żywota — małe szklanne naczynie z krwią zamurowane widocznie w ścianach katakumb, jako zadatek relikwii — trójkąt, jako znak Trójcy Przenajświętszej — łódka wielkiego rybitwy, jako znak szczęśliwego połowu dusz — ptaszki pijące z naczynia, jako godło źródła żywota — gołębek, jako znak Ducha Ś., a gołębek z różczką w dziobie, jako poseł pokoju wyniesionego z arki nowego przymierza; — w końcu: pierwsze ołtarze, gdzie pierwsi chrześcijanie wspólnie przyjmują Najś. Sakrament — pierwsze konfessionały, w których się wiernie obwiniali i dla siebie szukali pociechy — pierwsze w końcu siedziska starszych kapłanów w kamieniu wykute, które dały początek biskupim stolcom; — oto pierwsze typy i symbola religijnej sztuki, które chrześcijaństwo w pomroku katakumb złożyło. Zrobić tu musimy uwagę, że nie tylko w katakumbach, ale w domach prywatnych schadzali się na modły pierwotni chrześcijanie: część tedy mieszkania była ozdo-

biona krzyżem, około którego zawieszano pieczęcie i sygnety zeszyłych na znak, że pieczętowali przekonania swoje żywotem—; zawieszano téż tam puhary, jako symbola wspólnej uczyty; lampy, jako symbola czci. — Łódka czyli okręt była tam symbolem Kościoła — koziół, symbolem odporności synagogi — palmy, symbolem pokoju po męczeństwie — korona w obłokach, symbolem nadziei — *Bonus pastor* wynoszący z przepaści owieczkę straconą, symbolem samego Zbawiciela Pana — lira, symbolem dusz grających w Panu — kogut, symbolem czujności duszy pobożnej i zaprzania Piotra ś. Te same symbola przenaszano także na groby i grobowce wiernych.

Otóż pierwsze zadatki, typy i symbola religijnej sztuki; są to jakoby hasła wojującego Kościoła, za których wskazaniem i wymówieniem obóz wojujący słowem Bożem zawsze gotów był do walki i na śmierć — są to jakoby ziarna wielkiego posiewu, które dopiero później zejść miały na gruncie, odkupionym krwią wiernych, na gruncie, oświeconym promieniem niebieskiego światła. Z tą bielnością lilii, symbolem czystości ducha; z tą świecą, wyobrazicielką światła wiary; chorągiew w kościele, symbolem tryumfu; szkarłat, pamiątką po krwi męczeńskiej. Z tych kilku podań widzimy, że tu o właściwej sztuce nie ma jeszcze mowy, a przecież są to największe zadatki i godła, które się następnie upostaciowały w religijnej sztuce, poczynając od architektury a kończąc na harmonii chrześcijańskiego chóru, który ostatecznie nie jest niczym innym, jak tylko symbolem żywota w Bogu i najwyższego poczczenia i wyznawstwa wiary, miłości i nadziei.

Wszystko, co wielkie, twórcze i zacnym posiewem pamiętne, zaradza i szerzy się w dziejach świata zawsze tylko w malém kole wybranych i poświęconych, zebranych w duchu i wylanych na prawdę, która je ożywia. To wzmagą się dopiero następnie w płodnej ciszy; w twórczym odosobnieniu urasta potężnie w ducha, w czyny w owoce; rozmaga się szeroko w życiu i staje się podaniem żywem, żywotną zasadą w dziejach.

Taką jest geneza wiary — władzy — sztuki — oświaty; taką jest natura w powszechności posiewu ducha i światła, że w skupieniu tylko działa i tylko z góry podany szerzy się.

Na ducha i jeniusz nie ma definicyi; świat nie ocenia ani dzielności ducha, ani płodów jeniusza podług treści ducha i miary jeniusza, ale dopiero ze skutków, jakie duch lub jeniusz z czasem wywiera —; słowem duch i jeniusz po tém jedynie poznane są w dziejach, że piszą prawa w swoim zawodzie dla sfer pokrewnych sobie duchem lub twórczością.

Puścizna po obydwu rodzi podanie. To podanie było żywe, kiedy święta Helena już w wieku podeszłym, bo już przeszło 80 lat mając, wyprawiwszy się w pielgrzymkę do Ziemi Śtój odszukiwała drogi Zbawiciela Pana po świecie i miejsca pamiętne męką Jego. Pierwsze tedy kościoły, które stawiała na tym historycznym gruncie chrześcian, były w duchu tych podań wzniesione; a pierwotne wieki męczeńskiego Kościoła, żywot pustelniczy chrześcian i męczeńskich katakumb znalazł uświęcenie swoje w tak zwanych kryptach, pieczarach ciemnych i kościołach podziemnych, które nowo wznoszącym się kościołom niejako za kamień węgielny i substrukcyę służyły. W ten sposób przechowała już sama budowa najstarszych kościołów w podziemiach i sklepach swoich — grunt klasyczny pierwotnych chrześcian.

Żaden język tak doskonale tego nie wyraża jak nasz: bo Kościół poszedł od kości, na których stanął.

Kiedy św. Helena pierwsze wznosiła kościoły, poszła w architekturze za typem dawniejszych tradycy; podług niewątpliwych bowiem świadectw istniały już w małej Azji i Palestynie kapliczki i kościoły przez chrześcian wzniesione już w III wieku ery chrześcijańskiej, a mianowicie w tych spokojnych czasach dla chrześcian, które przypadają pomiędzy prześladowstwem Waleryana a Dyoklecyana. Najpiękniejszy i największy kościół z tego czasu wznosił się w Nikomedyi.

Jak kościoły św. Heleny stanęły w Ziemi Świętej na miejscu podania, tak też na katakumbach chrześcijańskiego Rzymu wzniosły się bazyliki postawione z okazałych gruzów pogańskich gmachów i świątyń, nakryte drewnianymi stropami, kiedy kościoły Św. Heleny były sklepione w półokrągłe łuki, według stylu architektury na Wschodzie.

Tę tedy erę, gdzie kościół wyszedł z katakumb i szerzyć się już począł po Bożym i słonecznym świecie, nazwano erą bazylik.

Co do znaczenia i tradycyi też same i jedne — co do kształtu zaś różnią się bazyliki włoskie od bazylik Wschodu.

Pomiędzy bazylikami rzymskimi a kościołami na Wschodzie zachodziła głównie ta różnica, że jak pierwsze gminy chrześcijańskie wyszły głównie w Małej Azji i Ziemi Świętej z łona Izraelskiego narodu, tak też przechowały pierwsze kościoły bizantyńskie w rozkładzie swoim podział według jerozolimskiej świątyni na trzy części: przedsionek dla pogan, nawa dla katachumenów i wiernych a trzecia część, oddzielona zasłoną i kratą, dla kapłaństwa — co się dotąd jeszcze we wschodnim kościele zachowało. Z osobna były kaplice przeznaczone na chrzcielnicę, zwykle kształtu okrągłego, a na wchodzie do kościoła było albo rzeczywiste źródło, albo znajdowało się naczynie z wodą, przeznaczone do obmycia się przed wejściem do świątyni — z zwyczaju także wziętego ze starego zakonu — które zastąpiło kropielnice nasze.

Sztuka grecka niezupełnie jeszcze była upadła na Wschodzie; tam też więcej artystyczności, kiedy się bazyliki rzymskie dźwigały z gruzów i w czasie, gdzie jeszcze sztuka chrześcijańska nie przemówiła była niejako językiem własnym. Do téj epoki należy odnieść bazyliki we Włoszech Św. Pawła za murami, część Lateraneńskiej, Santa Maria maggiore, a w końcu amfiteatralną bazylikę Św. Agnieszki za murami, która w niczem dotąd nie została zmieniona. Bazyliki nie tylko stawiane były z gruzów, ale zmieniano także na nie gmachy publiczne i świątynie pogańskie.

Pomiędzy kryptami a bazylikami jest nieprzerwany łańcuch tradycyj, z tą tylko różnicą, że tu poczyna się już wcielać żywe słowo w postaci.

Relikwie ŚŚ. męczenników wyniesione są z katakumb i złożone w skutek wielkiej tradycyi „*sanguis martyrum semen Christianorum*.“

Cielesnych postaci lękała się bardzo w pierwiastkach religijna sztuka: i pierwsi artyści, którzy wznosili bazyliki, woleli się niecie do mozaiki i do gry kolorów, jako muzykalnego żywiołu w sztuce.

Tu zdziwić się wypada, jak wynalazek mozaiki stał się sfornym środkiem do oddania postaci Pisma Śgo! Powiedziećby nawet można, że, gdy już mozaika w Tyrze i Sydonie, w Kartaginie, Grecyi i Rzymie była doprowadzoną do wielkiej doskonałości,

stała się tak odpowiednim i zdarnym środkiem do wydania na jaw prawd ewangelicznych, iż rzecby trzeba, że ona się w ręku chrześcian uduchowiała, stała się nowym środkiem artystycznym mimo odwiecznego pochodzenia swego — stała się nową dźwignią ducha ludzkiego w dziejach sztuki.

Do typów religijnych, już nam z katakumb znanych, przybywają z każdym dziesiątkiem, z każdym setkiem lat, co raz nowe typy.

Fryz, to było miejsce w pogańskiej architekturze, przeznaczone na najwyższą okrasę gmachu lub świątyni. To też miejsce zajęły mozaiki, przedstawiając żywot Chrystusa Pana, żywot N. P. Maryi lub te tylko chwile z ksiąg Starego Zakonu, które się jako proceze i syboliczne odnosiły do żywota Zbawiciela Pana.

Fryz, to gościniec artystyczny starożytnego świata. Chrześcijaństwo, które nic nie brało ale dawało, osypało ten gościniec kwiatami i owocami Ducha Św. Ale ołtarz wielki był w pogaństwie nieznan, bo nieznanne było skupienie ducha, które tylko być może w tajemnicach wiary chrześcijańskiej — otóż najwspanialsze mozaiki najkolosalniejszych rozmiarów umieszczano w bazylikach na zlocistém tle, na ścianie po za wielkim ołtarzem, za którym stoi kapłan, aż po te czasy twarzą obrócony do ludu, jako pośrednik i szafarz łask pomiędzy niebem a ziemią.

Jeżeli łatwo wymienić było wszystkie prawie typy czyli zadatki sztuki, znajdujące się w katakumbach, to wymienienie typów artystycznych, z Pisma Śgo wziętych, przechodzi już granice tych uwag, gdy pod stropy bazylik wstąpimy: tu już Chrystus na krzyżu z Apostołami lub Chrystus, a pod krzyżem stojąca N. Marya P. i Jan św., lub Marya Panna na odwrotnéj stronie krzyża ze złożonemi rękoma, Piotr święty z kluczami nieba, Paweł św. z mieczem; Marya z Dzieciątkiem Jezus na ręku jest już znacznie późniejszym typem — a jeszcze późniejszym Przenajświętsza Rodzina, Ojcowie Kościoła i Święci Pańscy. Ale Aniołów i chory anielskie znajdujemy już w typach z ery bazylik. Jednym z głównych typów historycznego znaczenia są symbola, tyzące się tryumfu Kościoła, odniesionego nad Synagogą — którą przedstawiano zwykle jako królowę, odartą z korony z zawiązanemi oczyma — naprzód, tylko godła czterech Ewangelistów, jako to, skrzydlatego wołu i lwa, orła i anioła, następuje już i postacie

Ewangielistów, a dopiero u ich stóp umieszczone godła. Z dawnych typów pozostaje krzyż, *Agnus Dei*, *Bonus pastor* Λ et Ω a z nowych przybywa jeleni pijący ze źródła żywota u stóp krzyża: „*Sicut cervus ad fontem aquarum, ita desiderat anima mea ad Te Deus*“. Lew oznacza także często potęgę wiary.

Wszystkie te typy pod względem artystycznym przypominają krągłość i wykończoność kształtów sztuki greckiej; znać tu jeszcze zapatrzenie się na wzory starożytne, ale duch już inny.

Styl bazylik wypada rozróżnić od bizantyńskiego stylu. Bazyliki stanęły na tych kilku rzymskich — styl bizantyński rozwijał się ciągle. Nie odnosimy się tu do lat, ztąd też ostatecznie powiedzieć wypadnie, że czém była bizantyńska sztuka i o ile z pogańskiego aryzmu wzięść mogła, to wzięła, a czém była, to widzimy ostatecznie w kościele Św. Zofii w Konstantynopolu, postawionym przez Justyniana i w kościele św. Marka w Wenecyi.

Nieruchome postacie, wielka prostota w układzie grup, rzeczywiste bogactwo klejnotów i złota, a w końcu jaskrawość kolorytu w obrazach mozaiki i w całym ubarwieniu tła — przypominającego drogie makaty i kosztowne kobierce — to podają zwykle za charakterystyczną cechę tak zwaną bizantyńską szkołę.

Dość tu wypada, że te sądy wychodzą głównie od estetyków XVIII wieku, którzy nie pojmowali wielkiej gry duszy chrześciana, ale tylko ruchy ciała lub rzuty draperyi. Zarzutem tedy głównym, czynionym bizantyńskim postaciom, jest nieruchomość: bo sędziowie nie widzą ruchów fizycznych, a majestat poważnych i spokojnych postaci chrześciańskich jest dla nich tajemnicą.

Mozajki bazylik i pierwszych bizantyńskich kościołów miały to zadanie, aby przemawiały w duchu chrześciańskim do zmysłowych pogan. Bogactwo tedy złota, klejnotów i tak zwana jaskrawość kolorów, była tu na swoim miejscu, bo oznaczała z jednej strony potęgę uczucia w grze silnej kolorów, z drugiej strony chrześciańskie zaparcie się świata w oddaniu ziemskich skarbów na chwałę Boga i na świadectwo wielkiej Jego chwały.

Jeszcze jeden zarzut, który bizantyńskiej sztuce i mozaikom w bazylikach czynią, jest odstrychnienie się od naśladowania natury. Zapewne ostatecznie leżą pierwotne typy wszelkich kształtów w pryzmatach kryształu, w tkaninach roślin, kwiatów i owo-

ców, albo w prostych kształtach zwierząt i postaci ludzkich. Ale twórczość artystyczna chrześcianina nie czerpała w żadnym wieku ani czerpie z natury lecz z ducha, bo twórczości zadaniem nie jest rywalizacja z naturą, ale z ideałem — a tym ideałem dla chrześcianina jest żywot Chrystusa Pana.

Jakby daleko zająć była mogła sztuka chrześciańska na tej drodze, na której ją widzimy, w kościołach bizantyńskich i w bazylikach rzymskich, zasilona całym urokiem i całą potęgą religijnych tradycyj; jak daleko byłaby zaszła przy tej czystości artystycznego ducha, przy tém zaprzaniu się w sztuce indywidualności twórczej — trudno jest przewidzieć, bo naturalne stopniowe jój rozwinięcie się zostało kolejno przerwane przez trzy wielkie wypadki w dziejach świata.

Naprzód przez sektę obrazoborców, którzy od Konstantynopola przeszli aż do Paryża, niszcząc dzieła i pomniki chrześciańskiej sztuki z całą wściekłością, dzikiemu fanatyzmowi właściwą; powtóre przez krzyżowe wojny, które zachód ze wschodem zetknęły i mnóstwo różnorodnych narodowych żywiołów i potrzeb wniosły do kościoła; a w końcu przez upadek państwa bizantyńskiego i jego stariej stolicy na Wschodzie — w skutek czego i wiara w tych krajach upadła, i sztuka nie mogła już ztąd brać zasilku. Jak Konstantyn Wielki wyprowadził kościoły z katakumb, tak Karol uorganizował całe społeczeństwo chrześciańskie hierarchicznie, wychodząc z duchowej hierarchii Kościoła. Tu tedy przybywają nowe środki artystyczne w pomoc społeczeństwu chrześciańskiemu: dzwony, wieże w pogaństwie nieznanne, chorał ambrozjański, gregoriański, perspektywa i sztuczne oświetlenie.

Przez obrazoborców zagrożona sztuka religijna uciekła się do nowych środków zapewniających przyszłość jój w świecie chrześciańskim, przyszłość i upowszechnienie jój tworców; był to czas, gdzie całe narody przechodziły na wiarę chrześciańską. Przeprowadzenie do tych nowych ziem, zdobytych dla krzyża i narodów świeżo nawróconych, była trudna, a biskup czy kapłan apostołujący musiał mieć wszystko z sobą, czego służba Boża wymagała.

W tej epoce tedy wylęwa się sztuka religijna na pergaminowe rękopisy, księgi Pisma Świętego, księgi liturgiczne, kancyonały, kalendarze, psalterze ozdobione minaturowemi malowidłami: w tej

tedy epoce skupia się architektura w drobnej złotniczej robocie, w relikwiarzach, kielichach, monstrancyach, ampulkach, w naczyaniach do olejów świętych, kadzielnicach, chrzcielnicach, kropielnicach, dzwonek, pacyfikałach i pastorałach, słowem w utensyliach kościelnych.

Jak z katakumb przeszła tradycja do bazylik rzymskich i bizantyńskich kościołów, tak przeszła z nich po epoce obrazoborców w miniaturowane pergaminy i sprzęty kościelne — z nich to dopiero rozwija się w czasie krucyat i po nich filigranowy gotycyzm, który nawet w olbrzymich gmachach z kamienia kutech, przechował świadectwo swego pochodzenia, t. j. że ze złotniczych robót i drobnych cacek swoje brał wzory.

Już w IXtym wieku poczęły się wiązać w Europie osobne bractwa, pod sterem duchowieństwa oddające się wyłącznie architekturze kościelnej; miniaturowe rękopisy i utensylia kościelne służyły tu za wzory do budowy kościołów i ich okrasa pod sterem duchowieństwa, które się głównie zajmowało rozpowszechnieniem rękopisów i robót złotniczych, podróżnych ołtarzy, dyptyków, malowideł i rzeźb. Że to były czasy po klęsce Kościoła, już po odszczepieństwie, po epoce obrazoborców, i zagrożeniu Chrześcijaństwu od Wschodu — wszelkie tedy tradycje, od katakumb idące, usiłowano tu skupić w tych drobnych rozmiarach sztuki z całym urokiem pierwotnych tradycji — i to udało się rzeczywiście. A że duch w skupieniu silny, tak też stała się płodną sztuka religijna w tych małych ramach i drobnych rozmiarach zamknięta — i z tego to posiewu bierze w czasie i po wojnach krzyżowych początek tak zwany gotycyzm w architekturze, w malowidle, w rzeźbie i w muzyce kościelnej.

Dodać tu trzeba, że około roku tysięcznego stała cywilizacja arabska na najwyższym stopniu i że sztuka chrześcijańska wydała tam inne plody, gdzie się niejako materyalnie z cywilizacją arabską starła. Czasem widzimy to nawet w tym samym kościele, w tém samym dziele sztuki, jaki wpływ wywarła arabszczyzna na budownictwo chrześcijańskie, mianowicie w południowych krajach.

Pomimo to ma gotycyzm wszędzie te same cechy; i nie można go przypisać wyłącznie żadnemu narodowi. Sztuka gotycka szerząc się, szła od małych rozmiarów do wielkich. Naśladowała

w malowaniach na szkle: pierwotne mozaiki i miniatury — a w budowie ołtarzy: dyptyki albo złotnicze wyroby relikwiarzy i monstrancyj. Trudnoby sobie było inaczej wytłómaczyć to zjawisko, dla czego się sztuka gotycka w tak różnych krajach równocześnie rozwinęła w tym samym duchu, w tym samym kierunku, podług tych samych tradycyjnych typów, a jednakowoż z taką różnorodnością, gdybyśmy dla niej nie przyjęli jednego źródła wspólnego pochodzenia — a takimi były owe miniaturowe malowidła w księgach liturgicznych, kalendarze i utensylia kościelne. Symbolika katakumb, bazylik, bizantyńskich kościołów i miniaturowych malowideł przybiera w gotycyzmie olbrzymie rozmiary.

Arystoteles i Plato i z ich dzieł wyrastająca scholastyczna filozofia organizują w duchu chrześcijańskim nauki ś. Teologii w tych samych rozmiarach —; jak się na tém polu rozszerza duchowa sfera, urasta na zewnątrz architektura gotycka z całym czarodziejstwem sztuki w gmachy olbrzymie.

Drobne znaki i symbole znajdują tu już wcielenie w całą budowę kościoła. — W ślady krzyża małego z katakumb, wznosi się tu już świątynia w kształcie krzyża postawiona. Cała krzyżownica gmachu wyraża 4ch ewangelistów; 12cie filarów kościoła, 12tu apostołów; błękitne stropy świątyni gwiazdami zasiane, strop nieba; kaplice, pojedyncze epizody w dziejach kościoła — a cały kształt jego jest naśladowaniem drobnej łódki, która w katakumbach pierwszych chrześcijan była wyrazem powszechnego Kościoła. Nad przedsionkiem i wnijsciem do kościoła stoją książęta ziemi i fundatorowie jego, witając idące pokolenia — Ojcowie kościoła lub Apostołowie narodu, wskazując drogę do wielkiego ołtarza —; za wielkim ołtarzem świadczą 3 okna Trójcę Przenajświętszą, lub 5, pięcioro przykazań Kościoła. Cała także hierarchia światowa i duchowa znajduje swoje poczczenie w tym gmachu: więc naprzód tron biskupa; następnie tron cesarza, króla lub księcia; a w pomniejszych kościołach ławka kollatorów; następnie duchowe i świeckie stałe senatu, rad i duchownych, chóry przybteryjne, stałe ławników, ławki wiernych; po stronie idą grobowce biskupów, książąt i znamienitych; pod posadzką mieszczą się groby wiernych; w nawie zaś kościoła ambona i chrzcielnica; w przedsionku trupiarnia dla zmarłych i kruclita

dla ubogich; — i zawsze jeszcze podziemne kościoły zachowują tradycję krypt.

Tyle co do urządzeń zewnętrznych; — a czegoż już nie wyraża sztuka wszystkiemi środkami swemi, począwszy od wielkich ksiąg Mojżeszowej genezy, aż do ksiąg apokaliptycznych świętego Jana i ostatecznego sądu.

Często nawet widzimy całe kościoły na słowa Psalmu zbudowane, lub na cytacje z Pisma Świętego; słowem mówiąc, wszystko jest z ducha poczęte, a upostaciowane środkami sztuki, — wszystko jest oświecone idealnym światłem z wiary, trzymane w półświatle rzeczywistości i poezji.

Jest wprawdzie upowszechnione mniemanie, że sztuka gotycka była na południu wyjątkowem tylko zjawiskiem; szczególnie tego są zdania estetycy niemieccy, którzy ją wyłącznie prawie środkowej Europie na własność przypisują, a ztąd niemiecką sztuką nazwali. Rzecz ma się inaczej. Nie będę tu już mówił o gotycyzmie w Hiszpanii i o niezawisłym jego wykształceniu od Europy środkowej w przymieszaniu maurytańskiej architektury; ale wskażę tylko na najstarsze pomniki sztuki gotyckiej we Włoszech, jako to St. Maria supra Minervam w Rzymie, bazylikę ś. Franciszka w Asyżu wraz z klasztorem i wspaniałemi w tém stylu krużgankami —; w ogólności wszystkie najstarsze kościoły Dominikanów, Franciszkanów, a po części i Cystersów w całych Włoszech są bez wyjątku gotyckiego stylu.

Zapewne zachodzą znaczne bardzo różnice pomiędzy gotycyzmem hiszpańskim, włoskim, a środkowej Europy, ale czyż to zadziwiać może? Wszakże estetycy dzisiejsi, szukając pierwotnych typów do kościołów gotyckich, musieli w końcu zapędzić się aż do naszych modrzewiowych kościolków na Śląsk i do Polski — bo odrzuciwszy tradycję Kościoła, trudno się orientować w tym lesie faktów, zjawisk i dzieł sztuki.

Na ocenienie wszakże dzieł religijnej sztuki, estetyka nie może podawać skali, bo ta rodzi się z systematów filozoficznych, i jest zawsze zawisła od prawd czasowych. Jaki systemat filozoficzny, taka i estetyka; a dzieje stoją od systematów niezawisłe, a prawdy wieczne, znajdujące w sztuce swoje odbicie, są zawsze téż same, a wojujący Kościół wojuje wiecznie jedną bronią. Żywe słowo

i krew, wyznawstwo i męczeństwo, wiara i Sakramenta — oto odwieczna broń Kościoła, oto jego tradycya. Zapytuję tedy: czy ma z tém co wspólnego filozofia i estetyka z nią się rodząca? Czy to właściwy trybunał? Kto daje pozew do tego sądu? Kto sądzi? — Te wyroki estetyki są niejako zawsze prawdziwym obrazem sądów pogańskich z ery męczeńskiej: tam na męki brano ciało, tu na męki biorą ducha religijnęj sztuki. Na ocenienie dzieł sztuki chrześcijańskiej mogą posłużyć za skalę tylko dzieje kościoła spisane, a objaśnione żywą tradycją powszechnego Kościoła, z którym aż do skończenia wieków jest Duch Święty.

W każdej wielkiej chwili w dziejach chrześcijaństwa odpowiada w sztuce chrześcijańskiej twórczość i płodność, jak Kościół jest wiecznie rodzącym drzewem i płodną matką.

Doszedłszy do epoki gotycyzmu, musimy już artystyczne typy zostawić na stronie, i całe galerye chrześcijańskiego kunsztu; a wypada się uciąć raczej do Matki Rodzicieli, do całych epok źródłowych i pamiętnych coraz nową płodnością chrześcijańskiego ducha, w której się wyraża cała hierarchia sfer duchowych, z której bierze początek i ma swój grunt dzielność chrześcijanina i płodność artysty.

Tu tedy wyznawstwo, apostołstwo, męczeństwo, i świętość odpowiada całym epokom w dziejach całej hierarchii sfer duchowych.

Po żywém słowie Bożem i męce zbawiciela idą dzieje Apostolskie i męczeńskiej ery w krzyżu; po nich dzieje Ojców Kościoła, dzieje pustelnicze wybranych sług Bożych, żywoty eremitów w wielkiej pustyni w Tebaidzie, w Palestynie.

W żywocie eremitów leży pierwotna tradycya cenobitów i w powszechności zakonnego żywota. — W tych tradycjach mają swój początek klasztory, z których każdy był żywém wezieniem i wyobrażeniem prawdy ewangelicznój lub enoty chrześcijańskiej według ustawy zakonodawcy swego.

Jeżeliśmy wspomnieli o Konstantynie Wielkim i Karolu Wielkim w swoim miejscu, jak każdy w swojej epoce zarządził społeczeństwem w duchu Kościoła; to już ciż w hierarchii duchowych sfer wypada wymienić światła Kościoła, którzy całemi zarządzili sferami duchownemi chrześcijańskiego żywota, jak ś. Benedykt i ś.

Bernard, jak ś. Dominik i ś. Franciszek. Wypada wymienić, jak się dzielność ich ducha wylewa na świat, a skupia następnie w tradycji Kościoła powszechnego, naprzód opinią świętobliwości, następnie ubłogosławieniem, a w końcu uswięceniem, bo podaniem ku czci powszechnego Kościoła.

Ta hierarchia duchów odnosi się do dziejów Kościoła na ziemi; cóż dopiero gdy się dogmatycznej strony sfer duchowych dotknie sztuka?

To tylko *Ecclesia militans* — ale jest *patiens* i *triumphans*; a całe dzieje nieba i Kościoła, czyśca i piekła ujmuje gotycka sztuka w historyczną ramę, dając żywy wizerunek hierarchiczności sfer duchowych i urzędzeń społecznych w duchu téj hierarchii.

Sztuka gotycka była obrazem i upostaciowaniem powszechnego Kościoła.

Gmach gotycki z całym swoim przyborem, wyposażeniem, urządzeniem miejscowém, ozdobami wewnątrz i zewnątrz, jest cały; wcieleniem tradycji Kościoła, zebraniem wszystkich już uprzednio znanych środków i typów sztuki, wyobrazicielem hierarchii duchów i hierarchiczności społeczeństwa, poczynając od wielkiego ołtarza, a kończąc na kościelnój kruście; poczynając od słowa, które się Ciałem stało, a kończąc na płycie grobowej w posadzcę kościelnój, po której wierni depeją na znak znikomości rzeczy ziemskich; poczynając od znaku krzyża, wznoszącego się na ostatniej iglicy wyniosłej wieży, a kończąc na odgłosie organów i dzwonów! . . .

Wszystko tu wyszło z jednego zapasu ducha; i duch zarządza tu na wzór niebieskiego ładu światem; wszystko téż wyrwa się niejako z objęcia ciała ku niebu i duchowniejże coraz więcej od dołu ku górze.

Ten sam łańcuch tradycji, który wiąże kościół katakumb z kościołem bazylik, wiąże także bizantyńską sztukę z gotycyzmem. Stopniowe przejście jednéj w drugą daloby się pojedynczymi gmachami, pojedynczymi linijami a nawet ozdobami oznaczyć jak najdokładniej, tak iż w jednym i tym samym kościele częstokroć znajdują się oba style połączone z sobą, albo wyrażają się przejścia jednego w drugi, tak powolne i artystycznie przeprowadzone, iżby

je zaledwo nie można uważać za osobne typy, gdyby czas ich powstania nie wyjaśniał rzeczy. Główna różnica leży właściwie w użyciu środków artystycznych: i nie w krągłym, ani ostrym łuku, ale w wyższym podniesieniu ducha, pełnego artystycznej twórczości, która w gotycyzmie dojrzała, wcielając wszystkie poprzednie style i tradycje, dała wizerunek powszechnego Kościoła i dziejów jego na ziemi wyobrażeniem całej hierarchii sfer duchowych, upostaciowaniem całej hierarchiczności społecznej.

W tój tedy tak skończonej epoce sztuki chrześcijańskiej przychodzi Wit Stwosz, a żyjąc dziewięćdziesiąt przeszło lat, schodzi na jój ukończeniu ze świata, przyłożywszy się dzielnie do rozwinięcia gotycyzmu, mianowicie rzeźby, która najpóźniej wielkiego wykończenia doszła. Nietylko zatém u nas, ale w całym ówczesnym świecie, jest on człowiekiem epoki, tём pamiętniejszym w dziejach sztuki, że się z nim ta epoka kończy.

Renesansa, która gotycyzm wyparła, tradycje kościelnej sztuki gwałtownie przerwała, nie należy już do objaśnienia tego poematu; dla tego tём przestajemy na tych uwagach, dodając, dla mniéj obeznanych z Krakowem, z życiem jego i dziełmi kilka szczegółów o życiu Wita Stwosza.

O Wicie Stwoszu napisano tak wiele, iż raczój w tём zachodzi trudność, co z tym materyałem począć, na którym się jednakowoż z pewnością oprzeć nie można, a to właśnie z tego powodu, iż bardzo wiele o nim napisano i z bardzo różnego stanowiska zapatrywano się i nań i na dzieła jego. Jedni uważali go za germańskiego artystę, inni za Polaka; jedni przypisali mu dzieła, które nie są jego dłuta, inni cytują jego prace i sądzą o nich, nie widziawszy tychże. Jednym brak historycznych wiadomości, drugim znawstwa sztuki.

Śród tego bałamuctwa najlepiej zostawić wyjaśnienie rzeczy czasowi. Nie piszę ani żywotu Wita Stwosza, ani považam się mówić o tych jego dziełach, których nie znam.

Żywot jego należy do historii; artystyczne ocenienie jego dzieł do dziejów sztuki w powszechności, a w szczególności u nas. Ja daję tu tylko kilka objaśnień dla zrozumienia poematu nieodbycie potrzebnych.

W Niemczech napisano bardzo wiele o Wicie Stwoszu — u nas zawdzięczamy zwrócenie powszechnój uwagi na jego utwory i odświeżenie jego pamięci i zasługi w narodzie, głównie pocziwój pracy Ambrożego Grabowskiego, który kolebkę jego w ojczyźnie a grób jego w Norymberdze dla nas odszukał.

Od tój to chwili stanął Wit Stwosz w idealném świetle przeszłości i mógł się stać przedmiotem poezyi. Tu tedy składamy dzięki Ambrożemu Grabowskiemu, odsyłając czytelników naszych co do bliższych szczegółów do pism jego.

Jakśmy to już rzekli, nie są jego dzieła artystycznie dotąd odczytane, więc i nieocenione dotąd dostatecznie ani u nas, ani postronnie. Jest wielka liczba artystycznych utworów, które jemu przypisują, a które rzeczywiście nie są jego dłuta, albo tylko uczniów jego szkoły; inne zaś, które są rzeczywiście jego dłuta lub rysunku, nie są dotychczas odszukane — i my i postronni przypisujem mu bardzo wiele albo bardzo mało — tak np. jest przedsiónek św. Barbary w Krakowie niezawodnie jego rysunku, tak jest 4 ojców kościoła w Katedrze Krakowskiej niezawodnie jego dłuta — na te wszakże prace jego nikt nie zwrócił uwagi, a przypisano mu inne natomiast, które nie są ani jego czasu, ani nawet jego szkoły. Jak mówię, najlepiej to zostawić czasowi i nie zapędzać się tak śmiało w sądy, jak to n. p. w Wzorach średniowiecznej sztuki widzimy, gdzie dane są objaśnienia do grobowca Kazimierza Jagiellończyka z dobrodusznym sądem, iż sarkofag jest innego autora, a kapitele nad sarkofagiem innego, kiedy to całe dzieło wyszło z jednego zapasu i z jednego odlewu ducha. Powtarzamy, Wit Stwosz był głównie rysownikiem i twórcą — a bardzo różna czeladź wykonywała jego prace. Wit Stwosz był architektem, malarzem, złotnikiem, rzeźbiarzem, i, jak wszyscy wielcy mistrze tego czasu, nawet rytownikiem swoich własnych prac. Wszakże gdyby był nie tylko 95 ale 300 lat żył, nie byłby wykonał własną ręką tych dzieł, które mu dziś przypisują w Niemczech i u nas, a do których tylko zaledwo mógł podać wzory.

Nadto jeszcze przychodzi w jego pracach odróżnić różne epoki artystyczne; z późniejszych jego prac widzę, że nie tylko to wszystko znał i czuł, co w Polsce i w Niemczech znać można było, ale wiedział i o tém wszystkiém, co się równocześnie i we

Włoszech pod względem sztuki działa. Drobnych tylko rozmiarów dzieła przypisuję jego własnoręcznej pracy — w tych też odbiła się wszechmocność jego geniuszu, bo nawet marmur przybiera miękkość — drzewo staje się na jego zachcenie bronzem — drewniana rzeźba staje się malowidłem — malowidło rzeźbą.

Dziś nie umiem zdać sprawy z jego dzieł, bo cudzemi oczyma nie radbym patrzył i szedł za zdaniem niepewnym; ale przyrzekłem sobie objechać po Węgrzech, po Polsce i Niemczech wszystkie miejsca, pamiętne jego pracą. Jeżeli Bóg dozwoli dokonać tego, zdam sprawę z nich w czasie, według naocznego sądu; dziś zaś przestaję na tych uwagach, dodając kilka dat jeszcze odnoszących się do jego żywota.

Wit Stwosz urodził się w Krakowie 1447 r. za panowania Kazimierza Jagiellończyka ¹⁾, a żył pod panowaniem Jana Alberta, Aleksandra i Zygmunta Igo Starego. Kształcił się w Krakowie i czynił. Posiadał tam dom własny, miał żonę i dzieci i był starszym w cechu. Około roku 1486 — 1488 pierwszy raz udał się na chwilę do Norymbergi dla dania tylko wspaniałego rysunku na grobowiec Ś. Sebald — zaś r. 1500 przeniósł się do niej dla wykonania tegoż grobowca.

Wit Stwosz posiadał w Norymberdze największą pracownię — i wywierał wielki wpływ na prace Piotra Vischera, najslawniejszego odlewnika w Niemczech i innych miejscowych mistrzów. Grobowiec Ś. Sebald, najznakomitsze dzieło odlewnicze Vischera, wskazuje, że było robione z rysunku naszego Wita, jest bowiem na nim jego własny monogram i r. 1488.

Zdaje się, że Wit w Krakowie owdowiał i tam zostawiwszy dzieci, wdowcem z Polski się wydalil.

Stwosz żył bardzo wstrzemięźliwie, nie używał wina. — W późniejszych latach ociemniał. — Umarł około roku 1534²⁾ dożywszy 95 lat. Jego zwłoki spoczywają na smętarni ś. Jana tam, gdzie złożony Albert Dürer i inni mężowie w sztukach pięknych słynni.



1) Data ta zgodna z podaniem Rastawieckiego (ob. Słownik malarzów polskich) różni się od podań późniejszych pisarzy, jak Bersohn, Heller . . . , według których Wit Stwosz urodził się już w r. 1438 a umarł w roku 1533. (Pr. W.)

2) Obacz przypisek 1.

„Gdzie mię to Panno wiedziesz ku tym progom“ ?

Jest Ewangelia zapisana u Ś. Mateusza w Rozdziale XXV. od w. 1—14.

„Onego czasu rzekł Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Podobne jest królestwo niebieskie dziesięć pannom, które wzięwszy lampy swoje wyszły przeciw oblubińcowi i oblubienicy. A pięć z nich było głupich a pięć mądrych. Ale pięć głupich wzięwszy lampy nie wzięły oleju z sobą, a mądre wzięły oleju w naczynia swoje z lampami. A gdy oblubieniec omieszkiwał, zdrzymały się wszystkie i posnęły. A o północy stało się wołanie: Oto oblubieniec idzie, wyjdźcie przeciwko niemu. Tedy wstały wszystkie owe panny i ochędożyły lampy swoje. Lecz głupie rzekły mądrym: Dajcie nam z oleju waszego, boć lampy nasze gasną. Odpowiedziały mądre mówiąc: By snadź nam i wam nie dostało, idźcie raczej do sprzedających i kupcie sobie. A gdy szły kupować, przyszedł oblubieniec, a które były gotowe, weszły z nim na gody i zamknięto drzwi. Naostatek przyszły i drugie panny, mówiąc: Panie! Panie! otwórz nam. A on odpowiadając rzekł: Zaprawdę mówię wam, nie znam was. — Czujcież tedy, bo nie wiecie dnia ani godziny.“

Artyści średniowieczni oddawali się z wielkiem zamilowaniem wyrażeniu myśli i przedmiotu tą Ewangelią objętych. Od mądrój tedy dziewicy bierze Wit Stwosz namaszczenie! W istocie trudno coś piękniejszego widzieć jak mądrą dziewicę, z gorejącą lampą w ręku, nakreślona takim n. p. rylcem jak Schöngauera, który znacznie w sztuce poprzedził czasy Wita Stwosza. —

W małym parafialnym kościółku widziałem raz przed wielu laty grono takich dziewic towarzyszących z gorejącymi lampami uroczystemu nabożeństwu; było to tak zwane „Święto Maryjek.“

Kiedy morowa zaraza pustoszyła podgórze Karpat, miała pobożna niewiasta widzenie w pół na jawie, w pół we śnie: że, jeżeli się z całej okolicy zbiorą wszystkie dziewice, noszące imię Maryi i w bieli ubrane, z gorejącymi lampami obejdą siola i miedze, śpiewając pieśni na cześć Matki Boskiej — tedy ustanie zaraza morowa. Owa więc niewiasta — mająca to objawienie — obeszła okoliczne siola i zebrała wszystkie „Maryjki“; ubrała je w bieliznę, osłoniła rąbkami zakonnymi i dała im gorejące lampy w ręce. A gdy z nimi okoliczne siola i miedze obeszła, śpiewając pieśni do Matki Boskiej, mówili sobie ludzie — niewiedzący co to ma znaczyć — że Aniołowie zstąpili z nieba na ziemię ku ratunkowi ludzkiemu; — i morowa zaraza ustała. Od owego czasu zachował się zwyczaj owego Święta Maryjek w okolicy, który przypomina mądre dziewice z Pisma Śgo.

Żywe wrażenie, które ten widok pozostawił, odniosłem do czasów Wita Stwosza — wrażeń religijnych i pobudek moralnych — któremi się kierowali owowieczni mistrze. Były to bowiem czasy głębokiej wiary i wcielenia prawd ewangelicznych w życiu artystów i w ich dziełach widocznie czytelne.

Nr. 2.

„W onych to czasiech piękne miasto wzrosło
W pośrodku Niemiec, Norymbergą zwane.“

Przez przeciąg całych średnich wieków słynęła Norymberga w hanzeatyckim świecie jako miasto kunsztownego przemysłu i wielkiego mistrzostwa w wyrobach drobnych, które ztąd nawet pod nazwą norymberskich towarów aż po dziś dzień w handlu są znane. Czém Wenecya dla Włoch, tém była Norymberga dla Niemiec. Ormianie polscy pośredniczyli w handlu pomiędzy Wenecją a Polską, zanim jeszcze Włosi posiadali w miastach polskich. Ale handel ten szedł wprost na Lewant — i na téj drodze po bięrała Polska za pośrednictwem Ormian weneckie towary, mianowicie jedwabie, szkło, misterne kantorki, skrzynie, zwierciadła, dryjakiew, pachnidła i klejnoty. W handlu pomiędzy Norymbergą

a Polską pośredniczyli Niemcy, osiedli w miastach polskich. Pośrednimi punktami pomiędzy Wschodem a środkową Europą był Stambuł, Kijów, Kamieniec, Lwów, Jarosław, Kraków nad Wisłą, Brzeg nad Odrą, następnie saskie Lipsko, wreszcie skrajna Norymberga.

W tém kole i na téj drodze, od Rzymu do Wenecyi, a od niéj do Norymbergi, nakładając drogi na Stambuł i Kijów, krążyły wyobrażenia, wyroby przemysłu i dzieła sztuki.

Możni w Polsce żywili się Włochami i Wenecyą — i pobiérali ztamtąd cacka, towary i dzieła sztuki. Miasta i ubożsi odnosili się do Norymbergi — i pobiérali ztamtąd towary, narzędzia i wzory na téj drodze.

Był to czas, gdzie nikt nie zrywał przedwczesnych owoców. Jeżeli się tedy w te czasy i w tamte stosunki przeniesiemy, ujrzymy, że każdy naród żywił się postępowaniem drugiego, ale zarazem, że wpływy nowych wyobrażeń i wynalazków nie zabijały twórczości na gruncie w żadnym narodzie. Nie był to potop cywilizacyi — były to porządne rzeki, z których każda swém płynęła korytem, zasilona grą obłoków, które opatrzenie ciągnęły nad światem,

Fakta przemawiają zawsze więcej od rozumowania. Jeżeli Wita Stwosza wezwano do Norymbergi, do najkunsztowniejszego podówczas miasta środkowej Europy; jeżeli go wezwano i to jako mistrza, który miał ozdabiać kościoły; — znać że i u nas sztuki kwitnęły i że pomniki, które na nas przeszły, nie należy uważać za wyjątkowe zjawisko w dziejach sztuki.

Norymberga, to cacko architektury gotyckiej nie tylko pod względem kościołów i ich okras, ale także pod względem architektury miejskich domów i gmachów. Przybywszy do Norymbergi, zdaje się, że się wstąpiło raczej do jakiegoś średniowiecznego muzeum, niżeli do miasta. Każdy dom, każdy przyczolek gmachu, każde drzwi i okno są mniej lub więcej zabytkiem przeszłości i sztuki — cóż dopiero powiedzieć przyjdzie o kościołach samych, o kunsztowném ich ozdobieniu? o rycérskim zameczku, który się po nad miastem wznosi? — wszystko zachowało się tu cało! a nawet restauracye nie skrzywiły, nie naruszyły i nie zatarły w żadnym wieku pierwotnych linii i typów, ozdób i drobiazgów.

Kiedy dzieła sztuki w Norymberdze nagromadzone obudzają

takie podziwienie dzisiejszego jeszcze czasu — chociaż pomniki religijnej sztuki straciły właściwe swoje znaczenie przy wyobrażeniach dyssydenckich — jakiegoż to miru doznawać musiało to miasto w ówczesnym świecie katolickim? Z tych stosunków objaśni się może nie jedno, com o Wicie Stwoszu w poemacie powiedział; a że tego rodzaju objaśnień potrzeba, nauczyło mię doświadczenie.

Nr. 3.

„Po szmerze wiatru słyszę, że zielono.“

Jest to doświadczenie, sprawdzone na ludziach, pozbawionych wzroku, że mają słuch ostry i wielką czułość w dotknięciu ręką —; ztąd téż, choć im nikt nie mówi o tém, co się koło nich dzieje, domyślają się wszystkiego i wiedzą o wszystkim. Z laty nawet zaostrza się coraz więcej słuch — i poczucie w dotknięciu staje się coraz tkliwszem. Widziałem to nie raz: że ciemni lubią się bawić zielonemi liśćmi, kwiatami i owocami; że lubią głaskać dzieci, zwierzątka i podsłuchiwać głosy natury, szmeru wiatru, szelestu liścia, szumu wody, woni kwiatów; że lubią siedzieć na wolném powietrzu i podnosić czoło ku niebu. Wszystko to, co żywe, co tylko życiem tehnące, zajmuje ich — nie lubią zaś rzeczy martwych, dzieł sztuki, wspomnień młodości. Bethowen ogłuchł — Wit Stwosz ociemniał w starości —; prawdziwa to tragedia dla mistrza tonów i dłuta.

Nr. 4.

„A kształtem dziwnie do Orła podobny.“

Kronikarze nasi, zdaje się, idąc jeszcze za starszemi tradycjami owych czasów, piszą, że miasto Kraków jest założone w kształcie Orła. J. Bielski kształt miasta Krakowa tym sposobem opisuje. Ze względu więc trafnego oznaczenia własne jego słowa zamieszczam:

„Gdy na nie z wysokości spojrzysz, jest coś podobne do lutni okrągłością swą, a Grodzka ulica z Zamkiem jest jako szyja u niej właśnie. Ma też coś podobnego do orła, którego głowę reprezentuje Zamek, Grodzka ulica szyję, przedmieścia zaś około niego są jako skrzydła jakie.“

Inni znów powiadają, że jest kształtem podobny do lutni — a jeszcze inni, że do łuku. — Tradycje tedy te kronikarzy naszych, które za czasów Wita Stwosza miały swoje podwójne znaczenie, przytoczyłem. A jeżeli dzisiejszy Kraków przez przebudowanie swoje, jako też przez zniesienie murów obronnych stracił w wielkiej części dawny swój kształt i dawną cechę, to podziwiać jeszcze potrzeba w zakładzie średniowiecznego miasta obszerność placów, szerokość ulic i perspektywy widoków — każda bowiem prawie ulica kończy się widokiem wieży lub kościoła, widokiem publicznego gmachu lub bramy — kościoły gotyckie, a rozkład miasta włoski, wielkość gmachów i wysokość kamienie, dziwnie zastosowana do obszerności placów i rozmiaru ulic. Nie o każdym średniowiecznym mieście powiedzieć to można, a prawie o żadnym z miast nowych.

Nr. 5.

„O moja wnuko! żal mi bardzo ciebie,
 Że się schowała tu między obcymi,
 Bo tu nie świecą gwiazdy tak na niebie,
 Jako tam świecą ludzie swojej ziemi!
 Na co człek patrzył, dziwnie w sercu grzało,
 Więc każdy sobie za drugimi w tropy,
 I człek brał z Boga i z ziemi pochopy,
 Bo co się działo — na prawdę się działo!...“

Obawiając się, aby tych słów nie poczytano albo za ujmę komu, albo za przesadę z naszej strony, robimy tu uwagę, że epoka, która nie o wiele poprzedziła czasy Wita Stwosza i nastąpiła po nich, była w istocie osobiwą w dziejach naszych i szczególniejszego duchowego namaszczenia, mianowicie dla Krakowa.

Szereg wielkich biskupów stał już w Kościele z tradycją i uświętobliwieniem Stanisława Szczepanowskiego, wielkiego poprzednika swego; pamięć świętego gniazda Odrowążów była jeszcze świeża, a w żywej jeszcze pamięci były czasy, które w tradycjach narodu i Krakowa nazwano „*Felix saeculum Cracoviae*“, gdzie Święci Pańscy chodzili po tém mieście i żyli z ludźmi pospołu, gdzie Akademia Jagiellońska miała świętego Jana Kantego — zakon Krzyżaków miechowskich, świętego Gedrojcia — zakon świętego Bernarda, Szymona z Lipnicy — zakon księży Augustynianów na Kazimierzu przy Krakowie, błogosławionego Bonera — a zakon Kanoników Regularnych przy Bożém-Cielcu, błogosławionego Kazimiérczyka.

Atmosfera moralna jest całą tajemnicą dziejów — i gdybyśmy nie po latach i pobojuwiskach, nie po sejmach i traktatach obliczać umieli wieki, lecz po moralnych pobudkach, po hierarchii najwyższych sfer duchownych w narodzie, zrozumialsze byłyby dla nas dzieje, bobyśmy znali, co zbrojnych na pobojuwisko wiodło, z jakiego przekonania przemawiały te głosy na sejmie, i w skutek czego zawierano traktaty. Jeżeli dla pojedynczego człowieka wystarcza już jedna wielka chwila w życiu na cały żywot, czémże nie są chwile powszechnego znaczenia w hierarchii sfer duchowych — a wielkie w Kościele — dla narodu?

Taką chwilą było „*Felix saeculum Cracoviae*“ i ta atmosfera moralna przechodzi na czasy Wita Stwosza. Wielkość ma dziejowe i czasowe znaczenie — świętość jest wyższą nad wiek i czas — ztąd rozumimy, że wolno powiedzieć było:

„I człek brał z Boga i z ziemi pochopy,
Bo co się działo — na prawdę się działo.“

Na innych karbach krabuje historia, a na innych Kościół.

Nr. 6.

„Jam urósł zdrowy, silny, urodziwy,
I w całym mieście nikt mi nie był krzywy,

Bom się już z młodu wziął do dobrej pracy,
Stojąc przy cechu — a byli tam tacy,
Co przed oczyma stali jak wzór żywy
I kierowali do pracy pocziwój.“

Pojawienie się Wita Stwosza w epoce Jagiellońskiej wydaje mi się zawsze bardzo naturalnym zjawiskiem. Ci nawet, co łaskawe koncesyje zwykli czynić dla nas — zwykli uważać dzieła jego za wyjątkowe zjawisko.

Dla czego? Oto głównie zdaje mi się dla tego, że nie znają rzeczy. To, co w pergaminowych rękopisach, w miniaturowych malowidłach było złożone przed epoką Wita Stwosza i znajduje się dotąd na gruncie, nie może być im znane, a z bardzo prostych powodów, bo tego nie święci się dla publikacyj ladajakich To, co ze złota, srebra, z klejnotów urobione było, znalazło łaskawych opiekunów — to, co było z drzewa wyrobione, stoczył czas i czerw, lub uprzętnęła w końcu porządkująca ręka, nie umiejąca ocenić tych zabytków. Cóż tedy zostało? oto to jedynie, co się materją oparło zniszczeniu lub tak zwaną injuriae temporis a więc tylko to, co ze spiżu było odlane lub z marmuru wykute, oparło się nawałnicy czasu i dziejów. A ztąd, że na te ostatnie jedynie patrzymy, wydają nam się dzieła sztuki na ziemi naszej tylko wyjątkowym zjawiskiem.

Gdybyśmy pomnąć chcieli, że już za czasów Wita Stwosza stały prawie wszystkie kościoły i gmachy krakowskie — gbybyśmy się zastanowić chcieli, że w epoce gotycyzmu nie odsyłano dzieł sztuki do muzeów i na wystawy, lecz że sztuka w owym czasie należała do życia — gdybyśmy zastanowić się chcieli, że w owym wieku od ołtarza wielkiego do stałów, ławek i kruchty; od utensyliów kościoła aż do cacek niewieścich, zamków i kluczków, któremi zamykano kościoły i domy, było wszystko w jednym duchu poczęte, w jednym stylu urobione — gdybyśmy się w końcu zastanowić chcieli nadewszystko nad religijnym duchem i historyczną wiarą, która podówczas ożywiała społeczeństwo, — nie mielibyśmy ani Wita Stwosza, ani dzieła sztuki za wyjątkowe zjawisko i owszem uznali, że epoka, która wydała takiego biskupa w Kościele, jak Zbigniew Oleśnicki, takiego dziejopisa w narodzie, jak Długosz,

musiała wydać w dziedzinie sztuki takiego Wita Stwosza.

Wit miał przed sobą całą epokę artystyczną na gruncie; a w swoim czasie wyniósł się tak wysoko, że w skutek jego zasługi dziś grobu jego aż na Norymberskim smętarzu szukać musimy.

Nr. 7.

„Jako klejnoty starego Krakowa
Świadczą tam Panu kościoły Piastowskie.“

Architektura z czasu Piastów ma zupełnie oddzielny charakter na Szląsku i w Polsce . . . a inny jest w gmachach publicznych, jak np. Sukiennice Krakowskie, a inny w kościołach — które jeszcze za panowania Piastów, a mianowicie za Bolesława Wstydlivego i Kunegundy panowania powstały — a ten z bizantyńskiego stylu przechodzi w gotycki, klasztor ś. Kunegundy w Starym-Sączu przypomina linijami i ozdobami niektórymi styl bizantyński; tóż samo kościół w Żupach Bocheńskich i ś. Andrzeja w Krakowie; tymczasem kościół X. X. Franciszkanów krakowskich jest już gotyckiego stylu, chociaż za tych samych czasów wzniesiony. Kościół ś. Krzyża jest jednym z najstarożytniejszych pomników architektury w Krakowie; a w ogólności najstarożytniejsze kościoły w kraju noszą tytuł Świętego Krzyża. Kościół Iwona Odrowąża i Kazimierza Wgo, a z tych Maryacki i X. X. Dominikanów, Katedra Krakowska, ś. Katarzyny i Bożego-Ciała są już stylu gotyckiego. Pożary, trzęsienia ziemi i od nich jeszcze więcej nieludzkie restauracje zniszczyły i przekształciły te kościoły, w większej części zmieniły styl pierwotny, odarłszy je z ozdób, odpowiadających stylowi, w jakim je wzniesiono. Pomimo to nie ma piękniejszego w kraju nad kościoły krakowskie i tradycje miejscowe, które się z nimi wiążą! Kiedy dziś jeszcze po tylu wiekach, po tylu nieszczęśliwych zmianach, tak zajmującym jest widok kościołów krakowskich i tradycya miejscowa, jakżeż to całe żywe i piękne być musiało jeszcze za czasów Wita Stwosza? . . .

Artysta miał się tu na czém kształcić, miał czém ogrzać ducha, którego nadto wszystko w życiu grzało, na co tylko patrzył.

Twórcze epoki dziejowe, gdzie się człowiek i naród opiera na wielkich organizacjach i dodatnich żywiołach, mają dziwny magnetyzm, udzielający się wszechmocnie wszystkim warstwom społeczeństwa, kiedy dzisiejsze czasy z dziełami sztuki możnaby porównać do galwanizmu, który martwe sztuczném ożywia życiem.

Magnetyczna siła życia i natchnienie płynie silnym prądem w dzieje, a galwaniczny preparat odnosi się po zrobioném doświadczeniu na smętarz Ta jest różnica pomiędzy dziełami sztuki w służbie Kościoła — a galerią sztuk pięknych.

Nr. 8.

„Alboż ów zamek — co tam za budowa!
Jakie krużganki, jaki dworzec pański!“

Zamek krakowski na Wawelu miano w tradycyi za orlą głowę. — Otóż skała, na której stoi, w której niegdyś smok siedział, stała się wezłowiec dla orła.

Wielecy to niezawodnie byli artyści i poeci, co ten myt podali — ale i ci znali się na poezyi, co go przechowali. Tu możnaby zastósować przysłowie: „nie do razu Kraków zbudowano“. Tak też możnaby powiedzieć i o Zamku krakowskim, bo każdy niemal wiek, każda dynastia, zostawiła w tych murach ślad swego panowania.

Stare wizerunki Krakowa przedstawiają ten Zamek jak koronkę gotycką. Za czasów Wita Stwosza jeszcze była to w istocie siedziba „króla rycerza“, górująca wyniosłe nad królewskim grodem; z tych czasów pochodzi i Floryańska brama, a siedem wieżyczek na niej mają swoje symboliczne znaczenie siedmiu miast głównych, które się u nas rządziły magdeburskiem prawem.

Nr. 9.

„A w samém mieście co za dom hetmański.“

Wielecy koronni hetmani mieli w rynku krakowskim kamienicę czyli dom hetmański, dziś pod Nr. 327 zapisany. Kamienica ta była

własnością narodu, albo raczej, jak się zdaje, króla. Kto był hetmanem, ten posiadał ją na czas swojej buławy. Wiemy o tém, że władza hetmańska przeszła puścizną po książętach i królach na hetmanów, chociaż z przeciągiem dziejów stało się, że władza hetmańska była większą nawet od królewskiej.

Z różnych relacyj wiemy, że i na Zamku królewskim przemieszkiwali hetmani przy boku króla w czasie swojego pobytu w Krakowie. To zdaje się wszakże odnosić już do dożywotnich hetmanów. Dom zaś hetmański w rynku krakowskim sięga bez porównania odleglejszych czasów, bo już z epoki Łokietka znajdują się w nim godła czyli tarcze, które zamykają dolne sklepienia tego gmachu. Nad herbami i godłami temi zastanawiałem się — i należą one do najstarszych zabytków u nas. Tłumaczyć je tutaj nie jest miejsce, bo trzeba by podać rysunki tych tarcz, aby tłumaczenie zrozumiałem być mogło. Tyle tylko powiem tutaj, że dwie tarcze sięgają tradycją czasów Leszka Czarnego w chwili zniesienia Jadźwingów. W herbie ziemi Dobrzyńskiej jest żywy wizerunek Łokietka — herby nie są na tarczach umieszczone, ale na przyłbicach. Pod względem artystycznego wykonania nic nie mamy w Krakowie tak starożytnie pięknego, jak owe dwie tarcze, świadczące o kłesce Jadźwingów, z których jedna przedstawia trzy odcięte głowy, włosami i brodami z sobą w pierścień splecione, a druga psicę, odkarmiającą szczenięta po téj kłesce.

Życzyłbym, ażeby archeologowie nasi zajęli się starannie wyświeceniem tych szanownych zabytków, rzucających nie małe światło na historyczną symbolikę zamierzchłej przeszłości.

Szanowny mój przyjaciel, Sędzia Pokoju, P. Jan Gralewski, jedyny już dziś stróż krakowskich tradycji, mówił mi, iż po ostatnie czasy nazywano jeszcze dom, o którym mowa, kamienicą hetmańską i że był zawsze w posiadaniu W. Koronnego Hetmana, i że dom ten był — jak wszystkie domy w Krakowie będące w posiadaniu stanu rycerskiego — wyjęty z pod miejskiego prawa. W téj na pozór drobnej okoliczności leży przyczyna bardzo ważnych następstw: bo ktoby się domyślał tego, że przeniesienie stolicy królewskiej z Krakowa do Warszawy poszło ze starcia się pomiędzy szlachtą, a mieszczanami krakowskimi, ztąd wynikającego, iż obok siebie siedząc, jedni i drudzy inném rządzą się prawem,

tak, że stało się to w końcu nieznośnym dla królów, o których się opierały te sprawy, a którzy z jednej strony nie chcieli sobie narażać możnych mieszczan, gdy z drugiej ulegać musieli potężnej i pełnej wpływu politycznemu szlachcie. Domy i kamienice, w posiadaniu rycerskiego stanu będące, były z pod podatków miejskich wyjęte; rycerstwo przenosząc się do miasta z całymi dworami, potrzebowało wielkich i obszernych pomieszczeń. Było tymczasem prawo miejskie, aby żadna kamienica trzy do pięciu okien w szeregu więcej nie miała. Magdeburgia tedy sprzeciwiała się skupowaniu kamienic i zamienianiu ich na gmachy, zwłaszcza, jeżeli te miały przechodzić na własność innego stanu, jako to duchownego albo rycerskiego; miasta zaś nie można było rozszerzyć po za obrębem murów obronnych; tedy w miarę tego, jak się miejska zmniejszała własność, ciążyły daniny i podatki coraz bardziej na uszczuploną własności.

Król tedy, którego całe panowanie cechuje walka ze starym patrycyatem historycznym, uszedł tej własni stanów o posiadanie miejskie w ten sposób z drogi, że przeniósł stolicę do Warszawy. Od tego to czasu poczyna upadać Kraków, a Warszawa staje się miastem pałaców i panów — którzy się na nowym gruncie bez współzawodnictwa miejskiego stanu swobodnie odtąd szerzyli.

Obecnie zostały ślady dawnej architektury tylko w dolnych sklepieniach gmachu domu hetmańskiego: przebudowany w wyższych piętrach stracił swoją cechę; wszakże jeszcze w pierwszych dziesiątkach tego wieku był szczyt kamienicy hetmańskiej armaturami i rycerskimi godłami ozdobiony.

Żałować należy, że miasto traci z wolna starożytną swoją cechę tak, że niedługo będą tylko już kościoły świadczyły temu: „że nie do razu Kraków zbudowano“.

Nr. 10.

„I przyniósł z sobą cechowe puhary.“

W średnich wiekach, jak mówiłem, należała sztuka do życia. Społeczeństwo było w cechy, korporacje zawiązane; każdy stan

miał niejako swoje własne obyczaje, sądy i ambicją. — Stąd też gromadzili nie tylko możni stanów wyższych dzieła sztuki; ale każdy cech, każde bractwo, każda korporacya starała się okrasić dziełami sztuki swój skarbiec i gromadziła pamiątki. We wszystkich cechach miewano drogie i kunsztowne skrzynie, w których przechowywano przywileje i nadania — we wszystkich cechach i bractwach kunsztowne i drogie puhary chowano, które po sądzie, w czasie świąt i uroczystości, po skończeniu rachunków wspólnych, na ucztę wynoszono z lady, albo ze skrzyni cechmistrza, lub starszego w bractwie czy korporacyi, i które były wspólną własnością. Kunsztowniejsze częstokroć przedmioty zdarzy się do dziś dnia znaleźć w skarbach cechowych i ławniczych skrzyniach, niż w domach możnych — bo to były cacka na majster-stück robione, a lada czego nie przyjął cały cech, całe bractwo lub cała korporacya, gdzie chodziło o wyświęcenie jój mistrzostwa, jój zasobności lub zasługi. Czeladź rzemieślnicza wyzwolona i wędrowna ucztowała po miastach we własnych gospodach; ale sławetni majstrowie gościli u cechmistrza starszego lub podstarszego; a już największym zaszczytem było, kiedy cechmistrz ze starszą bracią wzięwszy cechowe puhary, zaszedł na ucztę do domu którego z cechowych — co się i dzisiaj jeszcze praktykuje.

Nr. 11.

„Dał Bóg Biskupa — to też na cześć jemu
Stolec biskupi stał tam po staremu,
A ponad głową gładko urobiony
Święty Stanisław, ów Patron Korony,
I król Bolesław kłękł za jedną stroną,
Za drugą giermek z siewierską koroną,
A drogi paliusz Jadwigi królowej
Zaczył oparcie już powyżej głowy.“

Tradycją szło wielkie znaczenie biskupów Krakowskich, bo szło po Ś. Stanisławie, i datowało się z czasów walki Kościoła ze światową władzą, który obronną ręką wyszedł z tej walki.

Przez nabycie księstwa siewierskiego, które Zbigniew Oleśnicki nabył i do biskupstwa krakowskiego przyłączył, nad którym biskupi krakowscy udzielne mieli panowanie, podniósł się biskup krakowski do rzędu panujących, czém Gnieźnieński nie był, lubo miał tytuł „Książę Książąt“, jako czoło duchownego Senatu w Rzeczy-pospolitój. W skarbcu katedry krakowskiej znajduje się paliusz, perlami szyty ręką królowej Jadwigi; ozdoba takowa służy właściwie tylko arcybiskupom, a jednak uszyła ten paliusz królowa własną ręką w skutek miejscowych tradycyj. Otóż innego zupełnie znaczenia nabierają fakta historyczne, jeżeli się na nie zapatrzymy w duchu tradycyi miejscowych. Jak długo trwa to przekonanie, że tylko pergaminowy dokument, lub to jedynie, co jest pisane, będziemy brali za materyał historyczny, tak długo nie będziemy mieli historyi.

Że to o biskupstwie krakowskiém mowa, a przeto niejako o klasycznym gruncie dziejów naszych, poważam się tu powiedzieć, że jest wiele rzeczy, zapisanych plugiem na ziemi naszej — mogiłami na pobożowiskach — obyczajami w duszy ludu — tradycją w pamięci narodu — słowami żywými w powieściach, przysłowiaich i pieśniach — rysami i strojem w rodach osiadłych na téj ziemi: — że jest wiele rzeczy zapisanych w rozposażeniu wsi i grodów, handlowych i bojowych szlakach, słowem, że jest wiele cudów zapisanych w niebie i na ziemi, o których się ani śniło historykom naszym.

I jeżeli zaprotestowano przeciwko temu, że historyk i filozof nie potrzebuje kanwy od poety, to poeci mogliby zanieść bardzo pokorną prośbę do filozofów i historyków o inną historyczną kanwę, bo ta, którą dotychczas dawali, niczego nie warta. Bez syntezy historycznej nie będzie ani prawd, ani życia w dziejach.

Nr. 12.

„Tak i tam przeszła po Aronie stuła,
I trzy korony dierzży Kapituła.“

Pierwszym arcybiskupem krakowskim był Aron, — i od tego to czasu zdaje się, że trzy korony w polu czerwonym przyjęła po

nim kapituła za herb, jakby w wieszczym duchu, że trzem narodom będzie dawała biskupów.

Jakoż nazywano kapitułę] krakowską „*Seminarium episcoporum*“; i nie jeden biskup, co miał stolicę własną, zjeżdżał tu corocznie na kapituły i zasiadał w stalach kanonicznych. —

Otóż tu znowu okazuje się, czém jest potęgą tradycyi. Kraków był stolicą królów — dziejowe podania mówią o arcybiskupie krakowskim. Arcybiskup gnieźnieński był *Prymasem Regni*, po zejściu króla ogłaszał *Interregnum*, i dawał korony na elekcyach, a przecież aż po ostatnie czasy nie wiedział nikt, kto jest starszym w Koronie: czy arcybiskup gnieźnieński czy biskup krakowski? — i przy wielkich uroczystościach kościelnych i narodowych schodzili sobie ci biskupi z drogi, bo dla obydwóch uważano, że nie ma miejsca obok siebie.

Z hierarchii należało się pierwszeństwo gnieźnieńskiemu — z tradycyi równy był mu krakowski biskup, a na Krakowie, jako w stolicy swojej, w pełném prawie.

Nr. 13.

„Więc uczyniłem berła skrzyżowane,
Co strzegą wiernie staréj szkoły progu.“

Na krzyż złożone berła są herbem uniwersytetu jagiellońskiego, który, jako córka Kościoła, wierny temu pochodzeniu, nie odszczepił się nigdy od Kościoła, pomimo to, że i nim miotaly burze czasu, mimo to, że znał zawsze postęp i ruch wsteczny wyobrażeń w każdym wieku. Rzeczywiście był to raczej zakon świątobliwy mędrców i uczonych, który z rezygnacją zakonników przykładném życiem, czystością obyczajów, gruntowną nauką, ofiarą całego żywota podpięrał światło w narodzie — był to raczej zakon siewaczy światła w ojczyźnie, niż uniwersytet europejski w dzisiejszém znaczeniu. Kanclerzami uniwersytetu byli biskupi krakowscy; ztąd téż miał w dawniejszych wiekach uniwersytet herb inny, a nie ten, którym się dziś pieczętuje. Na starych pieczęciach widzimy ś. Stanisława, trzymającego tarczę z Orłem przed sobą; i

w tym herbie odbiła się tradycya. — Ci, co wzięli pastorał po ś. Stanisławie w puściźnie, orędownali jako kanclerze Głównej Szkoły w obliczu téj tarczy.

Nr. 14.

„Toć jak klejnotem jest w staréj koronie,
Tak Świąty Pielgrzym kłęczący w jego bronie.“

Jak się z przeciągiem wieków zmienił herb uniwersytetu jagiellońskiego — tak równie zmienił się i herb miasta Krakowa. Na starych pieczęciach znajdujemy bowiem trzy wieże, a w otwartéj bramie miasta kłęczącego pielgrzyma; na nowszych pieczęciach umieszczony jest Orzeł w otwartéj bramie.

We czci musiał być gród, który wtóрым Rzymem zwano. — Pamiętne zostaną słowa jednego z nuncyuszów papieskich, który zbliżając się do Krakowa, ujrawszy miasto w oddaleniu kościołami i wieżami okazałe, rzekł do posłów wyprawionych na jego spotkanie, wskazując na miasto:

Salve mihi Cracovia!

Altera Roma —

Salve!

Te słowa zdają się odpowiadać tradycyi owego pielgrzyma, kłęczącego w bramie miasta — i gdybyśmy, powtarzając, głębiej chcieli zajrzeć w tego rodzaju podania, zrozumialsze stałyby się dla nas godła historyczne i historyczne hasła, jakimi są herby.

Nr. 15.

„Jest tam za błoniem góra Bronisławy,
Scieszka na groble wiedzie między stawy
Do téj pustyni — gdzie przed laty gwiazda
Świeciła ziemi z Odrowążów gniazda! . . .“

Na zachód ođ Krakowa przeciągnęły się wielkie elekcyjne błonia, na których miasto bydło swoje pasło, na których naród

królów sobie dawał. Błoniem tém płynie Rudawa na dwie młynówki wzięta, z których jedna obraca królewskie młyny w mieście, a druga, młyn Panien Norbertanek w klasztorze na Zwierzyni. Wody te są bardzo sztucznie rozprowadzone i świadczą o odwiecznej cywilizacji, bo Rudawę puszczono sztuczném korytem, wykopaniem na przestrzeni mil kilku, aby służyła Krakowowi i zażywała stawy Panien Zwierzynieckich.

Poza tém błoniem przeciągnęło się z południa ku północy pasmo wyniosłych pagórków, które się poczyna ponad Wisłą u klasztoru Panien Zwierzynieckich a przechodzi w wysoczyznę górującą pomiędzy Szląskiem a województwem krakowskiem w szczytach Tarnowskich-Gór na Szląsku a Ojcowskich w Krakowskiem. — Pasma to zwane jest Sikornikiem, i po dziś dzień jeszcze jest lasem dębowym obrosłe, z którego wyglądają malowniczo nagie przyczółki skał.

Tradycya miejscowa przenosi na pustynię świętej Bronisławy siostrę święt. Jacka Odrowąza, która nie dosyć się samotną czując w klasztorze Zwierzynieckim, wynosiła się na pustynię leśną — na Sikornik. Ztąd też jest góra ta górą Bronisławy po dziś dzień zwana — a i to sądzę nie jest traf ślepy, że za naszych dni już na téj górze usypano mogiłę.

Jest u nas kilka rodzin w dziejach, wielkiem uświętobliwieniem pamiętnych, fundacją kościołów lub świątobliwym żywotem dobrze zasłużonych: w dawniejszych wiekach należy do takich rodzin dom Gryfitów, Jaksów, Duninów, Odrowążów, Leliwitów Tarnowskich i Bobolów — ale najwyżej pono podniósł się w Kościele dom Odrowążów, bo Iwo Odrowąż postawił kościół Maryacki i kościół Dominikanów, a brat jego miał troje dzieci: św. Jacka, Czesława i św. Bronisławę. Św. Jacek, uczeń św. Dominika, i założyciel kaznodziejskiego zakonu u nas, włożył habit zakonny na siostrę, matkę i babkę. Ztąd też nazwała tradycya dom Odrowążów „świętém gniazdem“ — i nie ma podobno przykładu w dziejach Kościoła, aby troje rodzeństwa w poczet Świętych policzonych zostało i ku czci podanych na ołtarzach swego narodu.

Starożytny wizerunek tego rodzica świątobliwego gniazda przechowuje się dotąd u księży Dominikanów krakowskich; ale któż go zna? czy go kto odszukał? czy o nim wspomniał? czy go upo-

wszechnił — nie mówię już w skutek czci, ale jako osobliwość i rzadkość historyczną?....

Nr. 16.

„Bywał na Zamku lutnistą królewskim.“

Królowie i wielcy panowie trzymali na dworach swoich śpiewaków, lutnistów, także rybaltami zwanych. Jak za naszych czasów śpiewana poezya chodzi inną drogą, a inną pisana, tak widać to już od wieków u nas było — ztąd też z odmianą obyczajów nie pozostało nic po rybaltach i lutnistach nad kilka wzmianek w dziejach, albo zapisek w starych registrach. Są jednak rzeczy, które się tu i bez dat pewnych czegoś domyślać każą; i kto zna obyczajowe ukształcenie starych królewskich i pańskich dworów w Polsce, wykwentność smaków wielkich panów — zaprawionych na tém wszystkiém, co w nowym czasie za najlepszego znano w Europie — musi przyznać, że i pieśni tych rybaltów musiały być czémś bardzo niepowszedniém w narodzie, kiedy ich przywoływano na okraszenie najświetniejszych uczt, lub na ożywienie chwil samotnych i ciężkich w życiu.

Środki wykształcenia były wówczas niewielkie; ztąd też kształcili się ubodzy ludzie, oddający swe usługi możnym, pracą i wędrownką, tradycją i obyczajową oglądą. Rybaltali byli to ludzie wędrowni, wolni, oddający się w służbę panom — często cudzoziemcy, lub w rybaltalich cechach poza granicą kształceni. A jak po dzisiejsze czasy mają lirniki i odpustowe dziady dziwnie coś mistycznego w sobie, tak to było niezawodnie i wówczas. Tak pojąłem lutnistę, któregom zbliżył do Wita i uczynił pośrednikiem pomiędzy nim a Długoszem, piastunem wszelkich dziejowych tradycyi swojego czasu. —

Wrócenie ze złotego puharu należało do misteryów wschodu; po krucyatach roznieśli się te mistyczne nauki po całej Europie; i rybaltali wróżyli patrząc w głębie złocistych puharów.

Pieśni o Władysławie Warneńczyku po klęsce Warneńskiej śpiewane, o których w poemacie wzmianka, są istotnie historycznym faktem.

W dzisiejszych czasach, gdzie oświata jest upowszechnioną i każdemu z łatwością przystępną, może to zadziwiać szczególniej modernistów, że takiego artystę, jakim był Wit Stwosz, wyprawiam po radę do Długosza. Ja myślę, gdyby dziś nawet jeszcze Długosz żył, moglibyśmy wszyscy do niego pójść po radę i to nie tylko artyści, ale i wszyscy filozofowie i historycy nasi, bo robót przez niego w narodzie rozpoczętych nikt nie skończył, a to, co zostawił po sobie, zostanie po wszystkie czasy żywém źródłem tradycyi w kościele i w narodzie i wzorem, jak się do tego rodzaju prac przybiierać na ziemi i w Kościele! Cóż dopiero, jeżeli się przeniesiemy w czasy Wita Stwosza! ujrzymy rzemieślnika, wyrosłego w wśród pracy i cechu.

Nabycie religijnych i dziejowych tradycyi nie było wówczas tak łatwe; choć środki artystyczne ograniczone, przecież podziwiamy aż dotąd dzieła sztuki z owego czasu! — Dla czego? Podobno głównie dla tego, że oni wychodzili z ducha do materyi, my po materyi i artystycznych środkach, macając ducha, nie możemy się z nim spotkać — ztąd ta głębia starożytnych utworów w starych mistrzach, ztąd ślizgają się nowi mistrze wiecznie po powierzchni, bo położyli całą wiarę w środki a nie spuszczaają się do głębi ducha. —

Nr. 17.

„Był tam mąż sławny — nie tylko w ojczyźnie,
Co go Grzegorzem z Sanoka nazwano.“

Grzegorz z Sanoka należy do najosobliwszych ludzi swojego wieku: rycérz z wyprawy Warneńskiej, poeta, uczony, dyplomata, kapłan, po kilkakroć poseł ze skutkiem w sprawach ważnych dla Polski i Węgier, w końcu arcybiskup Lwowski.

Michał Wiszniewski postawił go bardzo wysoko, oceniając człowieka podług świadectwa Kalimacha, który żywot jego spisał. Zapatrzwszy się na ten przedmiot wszakże z punktu widzenia Leona Borowskiego, Grzegorz z Sanoką i Kalimach okazują się jeszcze w inném świetle.

Obok Zbigniewa Oleśnickiego i Długosza i po nich bledną takie postacie, jak Grzegorza z Sanoka i Kalimacha.

Jak to słusznie Borowski uważa, były już klasyczne studia jeszcze przed Grzegorzem z Sanoka w Polsce znane i upowszechnione: bo kiedy mu z kraju zewsząd rękopisy łacińskie nadsyłano — jak sam Kalimach świadczy — to już ciż te rękopisy były już

ktoś, co je sprowadził, przepisał czy przepisać kazał, znał już rzecz lub znał się na rzeczy — to przeciwnie należałoby powiedzieć tylko tyle o Grzegorzu z Sanoka, że jako mąż stanu i człowiek bywały i bardzo przetarty w wielkim świecie, umiał zainteresować dla klasycznych studiów społeczeństwo wyższe, czyli — jak to dziś nazywamy — umiał klasyczne studia modnymi uczynić. Tém wszakże, co i jemu samemu dało wzięcie i słowom jego odgłos — czém głównie swoich współczesnych przygarnął do siebie — był prześliczny głos: jakoż wprowadził on rzeczywiście ówczesną muzykę włoską do Polski i upowszechnił ją w kościele. Dla tego to głosu chciano zatrzymać proboszcza z Wieliczki w Rzymie, on utorował mu w końcu drogę do arcybiskupstwa Lwowskiego.

Nr. 18.

„A był tam Kapłan wierna Pańska rada“

. aż do wiersza:

„A już jednego dał Świątobliwości,“

Z wielką tylko nieśmiałością tknąłem się takiej postaci historycznej, jak jest Długosz. Wszakże dla dania obrazu wieku wypadło zbliżyć do siebie dwie największe znamienitości równoczesne i okazać różnicę stanowiska znamienitości w owém społeczeństwie według stanu.

Długosz był nauczycielem synów Kazimiérza Jagiellończyka, którzy następnie na trzech tronach siedzieli. Władysław był królem czeskim później węgierskim, Jan Albert, Aleksander i Zygmunt I. berło polskie dzierżyli. Fryderyk był kardynałem i biskupem krakowskim, a Kazimiérz młodszy, brat Władysława, został niedługo po zejściu kanonizowany i w poczet Świątych policzony.

Twardy był żywot Długosza, bo, oprócz podjętego starania około wychowania królewiczów, podźwignął tak wielkie prace historyczne, iż zaledwo uwierzyć można, że im jeden mąż podolał. Wszystko, co za jego czasów w Polsce o Polsce napisaném było, znał; a spisał to wszystko, na co sam patrzył, w czém miał udział i co się w kraju działo, a nadto jeszcze i to wszystko, czego przed nim nikt nie spisał, a co miejscową i narodową tradycją najodleglejszych sięgało czasów.

Los mu też nie uśmiechał się: przez intrygę możnych przesładowany od samego króla nie urósł w hierarchii duchownej, jak dopiero wówczas, kiedy już pora była wypocząć po pracy na łożu śmiertelném. Po śmierci jego suprymowano jego dzieła z widoków i pobudek osobistych. — A po dziś dzień nie ma nawet pomnika położonego na grobie: i gdyby biskup Załuski, restaurujący kościół na Skalce, nie był kazał wypisać jego imienia na katakumbie podziemnej, gdzie zwłoki jego spoczywają, nie wiedzielibyśmy nawet o tém, gdzie szukać grobu Długosza, chociaż wiadomo jest z dziejów, że się kazał pochować w miejscu męczeństwa św. Stanisława.

O takich to pisarzach historycznych jak Długosz, Wapowski, Starowolski, a w nowszych czasach Załuski, Naruszewicz i Książę Jenerał Ziem Podolskich myślałem, kiedym w objaśnieniach do Mohorta powiedział:

„Odkąd pióro historyczne przeszło w ręce ludzi, niemających politycznego stanowiska, nie kręśli się historia żywymi wielkiemi rysami, bo zginęła nić wielkich historycznych tradycyi, a księga dziejów ojczystych stała się lamusem analitycznych rozbiórów i uczonych drobiazgów, zwróconych obliczem ku szkole albo ku widokom stronnictwa, z którego wychodzą pisarze“. „Z upadkiem narodowych tradycyi zabrakło dla historyka wątku, dla narodu właściwego stróża historycznej puścizny; i księga dziejów staje się księgą bez znaczenia dla serc, dla rozumów, dla dążności nieobjętych szkołą lub stronnictwem“.

Com wówczas powiedział, powtarzam, mimo wszelkich replik pism czasowych i dodaję jeszcze to: jak nie było komu po Długoszu skończyć roboty, tak nie ma dziś komu po Naruszewiczu,

nie mówię już komu skończyć dziejów narodu, ale dopełnić nawet panowania Piastów wedle materyałów, które się albo później znalazły, albo które trochę inaczej ocenione zostały.

Nr. 19.

„Szeroką ręką brał sprawę narodu
Sam wielki Świecznik z Wieniawitów rodu.“

Jan Długosz pochodził ze starożytnego domu Wieniawitów, pierwotnie z Moraw wyszłego i szeroko rozrodzonego w Polsce. Herb Wieniawa jest w złotym polu turza głowa, która ma pierścień czy wicę przeciągniętą przez nozdrza.

Nr. 20.

„Bo rycérz z rodu, choć w szacie kapłańskiej,
Toć chorągwiemi umiał się zabawić.“

Pod Grunwaldem na Krzyżakach zdobyte chorągwie wisiały zatknięte za czasów Długosza po nad grobem św. Stanisława, jako patrona Korony w katedrze krakowskiej.

Zniesienie zakonu Krzyżaków było zaledwo nie największym faktem historycznym owych czasów, zaledwo nie największą zasługą rodu Jagiellów po połączeniu Litwy z Koroną. Długosz oceniając ten fakt, opisał owe chorągwie na Krzyżakach zdobyte i podał ich wizerunki potomności. Rękopis ten znajduje się dziś w archiwum kapituły krakowskiej a ogłosił go drukiem w roku 1851 nasz szanowny kolega Józef Muczkowski, profesor i bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Ztąd to wprowadzając Długosza do pracowni Wita Stwosza, wydało mi się stósowne wspomnienie o chorągwiach krzyżackich, którymi się Długosz po swojemu tak pięknie i pożytecznie zabił, że aż na nasze przeszły czasy.

Nr. 21.

„Bo sam król na tronie
Słowo Długosza tak wysoko ważył“

W téj saméj książce, w której ogłoszone są krzyżackie chorągwie Długosza, znajduje się także opis polskich herbów Długosza; z niego dowiadujemy się, że Długosz wyprosił u króla herb dla ziemi belzkiej — Gryfa w koronie — bo tak o tém sam mówi:

10. *„Belzensis terra, que griffonem album coronatum, primis pedibus in altum porrectum, in campo rubeo portat. Quod insigne est illi, me instante et deprecante, per Kazimirum tercium, polonie regem largitum.“*

Nr. 22.

„Moje to dzieło, jam ten ołtarz pisał.“

Dzieło największych rozmiarów Wita Stwosza jest niezawodnie wielki ołtarz w kościele Maryackim w Krakowie — jeżeli już nie co do samego artystycznego wykonania, to co do środków artystycznych, nieużywanych i nieznanych w onym czasie.

Ozdabiając najokazalszy kościół wielkim ołtarzem, wypadało, żeby ten ołtarz już od wielkich drzwi wchodowych uderzał i odpowiadał rozmiarom całego kościoła. W środku tedy ołtarza umieścił artysta grupę kolosalnych figur, przedstawiających chwilę uśpiania N. Panny. — I już od wielkich drzwi wchodowych, rzuciwszy okiem na ołtarz, jest ta grupa zrozumiała, a cała kompozycja ołtarza skupiona w niej, zamknięta ramami jak obraz, odpowiadająca rozmiarom kościoła, zatrzymuje poważnie oko i nie zmusza nawet do zbliżenia się, bo już z téj odległości widać tyle, ile widzieć trzeba — i można zrozumieć to, co artysta chciał mieć zrozumiane. Co więc, w miarę przybliżania się od wielkich drzwi wchodowych ku wielkiemu ołtarzowi uderza to dzieło sztuki coraz to czém inném, bo zrazu wielkimi linijami architektonicz-

nemi, dalej występuje środkowa część ołtarza jak główny i osobny obraz i uderza środkami malarstwa, a w końcu dopiero poczynamy rozróżniać kształty plastyczne — architektoniczne linie spływają z gmachem, a z płaskiego obrazu występują w konturach kolorytu rzeźbione postacie, dziwnie święte i piękne.

To, co tę środkową grupę dla oka tak bardzo skupia i podnosi, jest arcykunsztowne użycie kolorów — w których przeważa złoto — że skrzydła ołtarza gasną na pierwszy rzut oka i nie wiążą uwagi, jak dopiero w miarę przybliżenia się.

Dzieło tedy sztuki — które na przemian, w miarę oddalenia tylko uderza duszę linijami architektonicznymi, następnie konturem i kolorytem malowniczo, jak obraz, a w końcu plastycznymi kształtami, jako rzeźba, skupia w sobie środki trzech sztuk — już z tego względu uważane, ma stronę powszechną w sztuce religijnej i należy do najosobliwszych pomników, okazujące wspólne pochodzenie sztuk pojedynczych i ich skupienie w duchu twórczym i w natchnieniu religijném.

Ołtarz P. Maryi nie jest dotąd artystycznie odczytany; znajdują się w całkowitej kompozycyi postacie i chwile z Pisma Św. Dziejów apostoelskich — historyczne postacie kościoła na ziemi i mistyczne figurki. W tych właśnie drobnych figurkach leży twórczość fantazyi, która każdy szczegół wyposażyć umiała bogato; artystyczne wykonanie tych jedynie figurek przypisałbym dłu tu samego Wita Stwosza. W całym zaś dziele znać więcej, jak jedną rękę: kompozycya całości i rysunek całej kompozycyi jest zapewne Wita — ale misterne drobiazgi świadczą o inném dłucie — a o inném środkowa grupa N. Panny — o inném skrzydła ołtarza wewnątrz — a jeszcze o inném płaskorzeźby na zewnętrznej stronie skrzydeł umieszczone.

Na saméj mense są jaselka umieszczone, odpowiadające zupełnie pełnym prostoty pieśniom, jakie cały lud nasz śpiewa w czasie świąt Bożego narodzenia — płaskorzeźby na skrzydłach ołtarza po obojéj stronie i po obydwóch bokach przedstawiają żywot Maryi i Chrystusa — środkowa grupa, która jest w niżej umieszczona na zewnętrznej linii w mistyczną ramę ujęta, jak osobny obraz kolosalnych rozmiarów, przedstawia, jak mówiłem, uśpienie N. Panny Maryi w gronie apostołów (jest to chwila wiel-

kiego zachwycenia religijnego, najwyższej twórczej ciszy i najgłębszego w tém dziele znaczenia) — nad nią jest Maryja wniebowstępująca w promieniach złocistych jeszcze wśród niżej umieszczona, a już na krońcu ołtarza jest Najświętsza P. Maryja przez Tróję Śtą ukoronowana. Po obu stronach tego niebieskiego tryumfu wznoszą się na iglicach gotyckich postacie św. Wojciecha, który do wiary św. przywiódł i św. Stanisława Patrona Korony obok aniołów — cały zaś ołtarz równo z mensą dźwiga dwóch rycerzy, okutych w żelazie, widocznych już od wielkich drzwi wchodowych, jak gdyby na świadectwo, że wiara rycerstwem tu stoi na tém pograniczu pogan, i że rycerstwo w służbie Maryi niosąc Jój cześć, obrało Ją za królowę swoją. — Cztery tedy wielkie chwile żywota Maryi: Betleemską stajenkę — jój uśpienie — jój wniebowstąpienie i jój koronacją przedstawia sam środek ołtarza, idąc od dołu ku górze, idąc środkową częścią — rozmiarami zaś pojedynczych figur i obrazów umiał tak zarządzić artysta, że z każdego punktu kościoła widać coraz inne szczegóły, że linie i postacie uduchowniają się od dołu ku górze coraz więcej, a w najwyższej glorii jaśnieje na przeźroczu kolorowych okien Trójca Przenajświętsza u góry w służbie aniołów i apostołów narodu.

Odgadnąć takie trzy postacie Maryi, jak jest — uśpiona u dołu — wniebowzięta wpośrodku — a ukoronowana u góry w jednym dziele sztuki na jeden prawie rzut oka widzialne; wyprowadzić z tego prawie zamętu filigranu gotyckiego architektonicznych ozdób jedną myśl i jedno wielkie wrażenie — na to trzeba było czerpać ducha z żywota Maryi, a łaskę natchnienia brać z góry.

O ołtarzu w kościele Maryackim możnaby napisać dzieło. My po tych kilku uwagach, chcemy się uciec do wrażenia, jaki ten ołtarz na znawcach i nieznanawcach czyni — do wrażenia wierniej rzeszy, która się przed nim przez tyle wieków modli — i, oceniając z tego wrażenia artystę, przenieść te uwagi na inne pole, to jest, że nie ten artystą wielkim, kogo ocenić, czy nie ocenić umieją znawcy sztuki, lecz ten, którego dzieła do czci pobudzają i podnoszą serca po wszystkie czasy.

Znam wielkiego nawet estetyka, któremu to zawsze wadzi, że kościół Maryacki stoi krzywo, to jest, że nie stoi pod kątem prostym do rynku. Cóż na to powiedzieć? Ci, co kościół Panny

Maryi stawiali, szli za tradycją, że wielki ołtarz ma być ku wschodowi obrócony! Gdybyśmy owym czasom przypisać mogli mądrowanie i wyrachowanie dzisiejszych czasów, goniących za efektem artystycznym — powiedzielibyśmy, że cała wartość dzieła sztuki zawisa od jego oświecenia. Starzy idąc za tradycją trafili lepij i na prostszej drodze do celu i nie goniąc za efektami, ale z ducha i tradycji kościoła czerpiąc natchnienia, osiągnęli efektu sztuki, na wszystkie czasy niedościgłe ani dzisiejszym artystom ani dzisiejszym estetykom.

I tak ołtarz wedle tradycji ku wschodowi obrócony w kościele Maryackim ma poza sobą trzy kolorowe okna, które wzorzystą mozaiką płoną o świecie.

Cóż to za cudowna, mistyczna gra kolorów, kiedy przez te mozajkowe okna bije słońce poranne w czasie *p r y m a r i i*! Odmlodzone dziwném jakimś natchnieniem święte postacie w ołtarzu Wita, mają wówczas cały urok pierwotnych religijnych tradycji. Światło góruje wówczas całe dzieło sztuki — każda postać, od wierzchołku tylko i po jagodach pomuśnięta światłem, zdaje się budzić do nowego żywota albo raczej świadczyć tylko porannym modłom człowieka — i wszystko idzie tylko pod strychulec jakiegoś młodego żywota, budzącego wielkie nadzieje serca. Fantazja artystyczna jest tu najczynniejszą w widzu, czy w modlącym, bo każdą postać trzeba sobie dorysować w duszy przy oświeceniu porannego słońca, które lekkim tylko pomuskiem z ukosa rzuconym obudza, a gdzie się cały ołtarz jeszcze z pod cienia niby dopięro wychyla.

Inaczéj zupełnie wygląda ołtarz Maryacki, kiedy słońce w pełném oświeceniu od południowej strony nawy w czasie sumy z boku na niego pada! . . . Tu już tryumf artysty, bo w miarę tego, jak się słońce ku południowi posuwa a najświętsza pełni ofiara, oświeca się każdy zakątek ołtarza, tak, iż już podczas ukończenia sumy, gdy się kadzidła wzbijają w obłoki, gore cały ołtarz najwyższą glorią i wówczas to dopięro podziwiać przychodzi dobór kolorytu, harmoniją tych mistycznych kolorów na złocistym podkładzie — ubarwienie rzeźby, o której starożytni nie wiedzieli i spłynienie rzeźby od wielkiego obrazu harmonii, a to tak: iż co rzeźbione, staje się malowidłem — co malowane, muzyką — a całość tego wrażenia odsadza się na chrześcijańsko-muzyczném tle architektury.

Inaczej jeszcze wygląda ołtarz Maryacki w czasie adwentowego nabożeństwa, kiedy cały kościół oświetlony jest z dołu mnóstwem drobnych świeczek i stoczków, których migające światło zaledwo sięga Trójcy Przenajświętszej na krańcu ołtarza. — Kościół powszechny gotuje się tu na przyjście Pana Zbawiciela, a to oświecenie mistyczne, pochodzące od wiernej rzeszy, pokazuje w oczekiwaniu przyszłości święte postacie, w mroku niepewnych nadziei i oczekiwania. Zda się, że tu nic niewiadać — a jednakowoż tyle widać, ile człeku trzeba: te drobne światełka, rozsypane spodem po kościele, są przecuciem przyjścia na świat Zbawiciela Pana — i kto na nabożeństwie adwentowym poranném nie podzieli tego przecucia, jakie ludzkość miała przed przyjściem Chrystusa na świat, może się na śmiało wpisać do pogan z tamtej strony krzyża, do pogan XVIII wieku albo do synagogi wieku naszego.

Jeszcze inaczej wygląda ołtarz Maryacki w dniach żałoby kościoła, gdy idą „*Dies irae*,“ kiedy cały kościół i wielki ołtarz, okryty kirem, a w miejsce świętego Ikonu zacięży tylko ogromny na czarnym kirze krzyż biały — tak wielki i ogromny, iż zdaje się przygniatać kościół cały, tak ogromny, że go tylko Bóg mógł podźwignąć dla zbawienia świata.

Wówczas to spojrzawszy na ołtarz Maryacki uwierzyć trzeba, że Bóg w grobie; a muzyka Gorączkiewicza „*Recessit Pastor noster*“ brzmi w duszy, chociażbyś jój nie słyszał. Najwyższa to chwila tryumfu artystycznego Wita Stwosza. Bo kto przywykł do widoku ołtarza jego w kościele Maryackim, do widoku tych miłościwych postaci wiecznie młodych, miłością żywych i łaskawych — ten czuje się bardzo osieroconym w sercu na widok tego kiru, w którym się świat chrześcijański przyodzięwa, na widok tego krzyża, pod którym upada na odgłos słów: *Recessit Pastor noster*. Podług tych wrażeń oceniałem dzieło Wita Stwosza w kościele Maryackim w chwilach bardzo różnych życia i usposobieniach, kiedy wolno się było zapomnieć, że jest sztuka na świecie, że jest skalpel anatomiczny i że są estetycy, którzy po dokonanej sekcji dają *Visum et repertum*.

Przenieście ołtarz Maryacki do jakiego muzeum, a archeologowie i estetycy napiszą wam całe tomy o nim, ale nikt się przed nim modlić nie będzie!

Nie radzę tego —; przeciwnie dziś, kiedy zaufanie mamy do sił zbiorowych, radziłbym, żeby się osobne ku temu zawiązało grono na naprawienie i odświeżenie tego wielkiego pomnika sztuki¹⁾, który tém jest większy, że jeszcze we czci powszechnéj miany: bo jeżeli się chwalimy postępek i jeżeli w czém inném naśladować lubimy drugich, zacóż nie pójść za przykładem tych, co katedrę Kolońską restaurują, świętego Szczepana w Wiedniu odnawiają — za przykładem nawet tych, co w dessydenckich kościołach dla miłości sztuki przechowują w Norymberdze tak starannie zabytki z czasów jedności Kościoła?

Towarzystwo sztuk pięknych w Krakowie nie wiem, czyby mogło mieć godniejszy cel swego usiłowania? Sądzę, iż mam prawo zrobić ten wniosek, że wartoby coś takiego siłami tego towarzystwa dokonać, coby było godne przeszłości i naszego czasu! . . .

Nr. 23.

„I lat dwanaście zbiegło nim stanęło.“

Rzeczywiście jest to fakt historyczny, że Wit Stwosz pracował przez dwanaście lat nad wielkim ołtarzem w kościele Maryackim, chociaż rozumiemy tu to o nim, co o wszystkich jego dziełach— że on dawał tylko kompozycje, rysunek i kierował czeladzią, która podług jego wzoru i pod jego okiem pracowała.

Nr. 24.

„Wszak to z tego kraja,
W cały świat poszły Norymberskie jaja.“

Najstarsze u nas znauc zegary były to zegary słoneczne, — które umieszczano na zewnętrznych murach kościołów, klasztorów

¹⁾ Stało się zadość życzeniu poety — ołtarz wielki w kościele P. Maryi dziś już zupełnie odnowiony. (Przyp. wyd.)

i gmachów, częstokroć nawet bardzo artystycznie wyrobione, w kamieniu odkute i z brązu lane. Równocześnie z nimi i po nich miewano klepsydry, jeszcze od starożytnych biorące początek. Duchowieństwo odbywało podług nich strażę kościelne nocą. Później sprowadzono z Włoch tak zwane całe zegary, które dzieliły dobę na dwadzieścia cztery godzin. Miasta, biskupie stolice, wieże zamkowe i klasztory zamożniejsze starały się o zegary głośne, które po wieżach umieszczano. Później jeszcze robiono w Niemczech stołowe zegary i wynaleziono w Norymberdze zegary kieszonkowe, który dzieliły czas na godzin dwanaście; te były zrazu jajkowatego kształtu i zwane norymberskimi jajami; cena ich była wysoka, kiedy już dosyć późno wznowiono u nas przysłowie:

„Kto ma folwarki,
Może mieć zegarki!“

Nr. 25.

„Grób mi św. Sebalda oddano,
Aby go jako najwięcej ozdobić.“

Grób ś. Sebalda jest rzeczywiście dziełem Wita Stwosza. Oryginalny rysunek jego ręki posiada Hejdeloff i podał go w swoim dziele. Co do rozmiarów jest to największe dzieło rzeźbiarstwa w świecie chrześcijańskim. Monogram Wita Stwosza znajduje się na nim a wieże te odlał z brązu sławny Viszer, równoczesny Wita Stwosza i tak sławny mistrz od spiżu, jak Kraft był w kamieniu, Albrecht Dürer w pędzlu, a Wit Stwosz w dłucie. Kościoły norymberskie są składem jeniałnych pomysłów tych czterech mistrzów; i z tego powodu biorą Wita Stwosza częstokroć za germańskiego artystę, chociaż w nowszych czasach okazały fakta, że był Polakiem i z Krakowa rodem.

Grób ś. Sebalda jest znacznie w mniejszej skali wykonany, niż było założenie pierwotne — zawsze jednak podług wzoru Wita Stwosza.

Nr. 26.

„Ze czcią się lubią tam królowie chować,
Są tam nagrobki dwóch ostatnich Piastów,
A i Jagiełły swoich protoplastów
Złożyli także w katedrze poczciwie,
Więc do téj pracy rzuciłem się chciwie.“

W istocie jest coś dziwnie tradycyjnego w tych grobowcach królewskich na Wawelu: mimo różnic dziejowej epoki i stylu, mimo zmian samych nawet dynastji, przemawia w nich jeden duch téj saméj treści, to jest cześć narodu dla ojców ojczyzny. I nie tyle można by je nazwać królewskimi grobowcami, ile raczej pomnikami narodowými; każdy z nich ma inny charakter i uderza albo starożytną prostotą albo monarchiczną okazałością. Ostatnia z rodu Piastów królowa złożona pod tronem królewskim bez sarkofagu, ostatnia królowa z rodu Jagiellów w sarkofagu, który tron podpiéra w kaplicy Jagiellońskiej; Anna Jagiellonka wznosi najokazalszy pomnik grobowy dla swojego rodu jako ostatnią z rodu, a grobowiec męża umieszcza w kaplicy królewskiej, gdzie się przechowuje *Sanctissimum* i gdzie żaden z królów nie ma grobu i grobowca prócz niego. Wazowie nie mają osobnych grobowców, tylko marmurowe tablice w osobnej kaplicy — a królowie elekcyjni, wyszli z łona narodu okazale grobowce za wielkim ołtarzem, wprost naprzeciw drzwi wchodowych do królewskiej kaplicy. Sasi nie mają pomników żadnych. Dalej idzie okazałe mauzoleum biskupa Sołtyka; a reszta sarkofagów chowa się już pod ziemią. To wszystko mówi coś więcej od rzeźb, marmurów i napisów. Już obiór miejsca na grobowiec jest tu tłumaczem tradycji z każdéj epoki, jak tradycja trzyma się wiecznie miejscowo. I tak jest sam środek wielkiego ołtarza grobowcem Fryderyka kardynała, który będąc biskupem krakowskim, utrzymał dynastją Jagiellów na tronie polskim — Polskę Jagiellom, a Polskę Litwę. W samym zaś środku katedry wznosi się osobny kościół z trumną ś. Stanisława, wyniesioną nad ołtarz, jako pierwszego męczennika w narodzie i patrona Korony. Obiór tedy już miejsca na grobowiec i pomniki świadczy o wcieleniu tradycji żywéj, i to wszystko, powtarzam przemawia więcej od spizów i marmurów, od rzeźb i napisów.

Pod względem sztuki i artystycznego wykonania najartystyczniejszej u nas epoki jest najznakomitszym pomnikiem grobowiec Kazimierza Jagiellończyka, który w epizodzie tego poematu skróśliłem.

Jak ołtarz P. Maryi, chcąc dać o nim właściwe wyobrażenie, potrzebowałby rysunku¹⁾ i specjalnego oddania się temu przedmiotowi — tak nie wystarcza do dania prawdziwego wyobrażenia o grobowcu Kazimierza Jagiellończyka tutaj nawet i rysunek — to trzeba widzieć na miejscu lub w dobrym odlewie.

Grobowiec ten jest to wielki poemat — sam sarkofag odnosi się zapewne do czci zmarłego króla; ale w ośmiu kapitelach, na których się wspiera baldachim tego sarkofagu, napisane są wielkie rzeczy i powszechnego znaczenia.

Już myśl umieszczenia — w ozdobach kapitelów — najwyższych prawd objawionych jest oryginalną; cóż dopiero, gdy się zastanowimy, że od stworzenia świata, od strącenia pysznych aniołów z nieba i upadku człowieka przez grzech pierworodny, jest tu wszystko w wielkich symbolach i typach artystycznych wyrażone aż do sądu ostatecznego.

Wit Stwosz jest tu Dantem w dłucie — a ten pomnik jest w swoim rodzaju Boską komedią, w kamień zaklętą!... Nigdy też Wit Stwosz nie wznosił się wyżej w żadnym dziele swoim, nigdzie nie jest twórcza jego fantazja bogatszą, głębia ducha większą, religijne natchnienie wyższém, całość bardziej uderzającą i wykończoną, tak w ogóle linji, jako téż i w najdrobniejszych szczegółach.

O ile się ten grobowiec odczytać udało, o tyle może mieć ten epizod w poemacie wartości. A lubo pragnąłem tego, aby Wit Stwosz sam raczej postacią swoją przemówił, niż tém, co o dziełach swoich mówi, wprowadziłem ten epizod dla dania właściwszego wyobrażenia o twórczej potędze jego ducha i o pojęciu religijnych tradycyj w owoczesnym artyście.

Wiele stracił ten grobowiec na tém, że nie stoi dziś w miejscu, dla którego był przeznaczony; więcéj traci na tém, że dziś się

¹⁾ Prześliczny chromolitografowany rysunek tego ołtarza znajduje się we „wzorach sztuki średniowiecznej“ wydanych przez Edwarda Rastawieckiego i Aleksandra Przeddzieckiego (Przyp. wydaw.)

w tak oplakany znajduje stanie¹⁾, że w tak złém świetle i w takim zakątku stoi.

Jeżeli Thorwaldsen nie strzaskał swojego pomnika²⁾, ujrawszy katedrę krakowską i nie uląkł się tego w sobie, że zpoganił dom Boży, to Wit Stwosz zgruchotałby młotem pewno dziś swój pomnik, gdyby wstał z grobu i ujrzał go w takim stanie i w tém miejscu zwaloném.

Nr. 27.

„I w mgnieniu oka było w mieście świętno,
Że jemu grzywny, mnie wyrok na piętno!“

Fakt ten, że Wita Stwosza przez policzki piętnowano w Norymberdze, jest rzeczywiście historycznym; znajduje się o nim wzmianka w rymowanej i nie rymowanej kronice norymberskiej, że o fałszywe listy oskarżony, w Norymberdze był piętnowany. Zresztą nic w tém osobliwego w tradycjach municypalności średniowiecznych, że się nie szczególnie obchodzili z ludźmi, którzy ozdabiali ich domy, gmachy i świątynie. Jak wyniosłość i duma jest pierwotnym grzechem wioski, tak zawiść i nieczemna intryga jest pierwotnym grzechem miejskich municypiów: „Kto z korea wychylił głowę, tego strychulcem po głowie.“ Tak to zawsze bywało w miasteczku i tak jest; czém mniejsze miasto, tém większy ucisk — czém większe, tém więcej swobody.

Z każdym wielkiem dziełem sztuki, z każdym wielkim pomnikiem średniowiecznej architektury łączy się miejscowo jakieś niemile podanie, które oskarża zazwyczaj budowniczego, mistrza, lub gminę, w której żył. Tu brat zabił brata za to, że większego dzieła od niego dokonał — tam ojciec przeklął syna za to, bo okazała wieżę budując, djabłu się zapisał; więc kiedy kładł ostatnią cegielkę, spadł z wieży i

¹⁾ I ten pomnik już od blisko dwu lat został odnowiony. (Przyp. W.)

²⁾ Jest tu mowa o pomniku pułkownika Włodzimierza Potockiego, znajdującym się w katedrze krakowskiej. (Przyp. W.)

zabił się — tam znowu wynalazł jakiś wielki majster jakiś zegar osobliwy na podobieństwo niebieskiego zegaru, na którym Bóg zawiesił wagi, więc rada miejska pragnąc tego, aby żadne miasto podobnej osobliwości nie miało, kazała mu wyłupić oczy w nagrodę jego dzieła i rzuciła go do turmy; ale po śmierci jego stanął zegar i stoi po dziś dzień i nie ma takiego, co by go naprawił. Nicby w tém dziwnego nie było, gdyby i naszego Wita Stwosza spotkała nagroda, jaką płacono mistrzów owego czasu — tak przynajmniej wytlómaczyć sobie umiem jego piętnowanie, bo nie mogę przypuścić, aby człowiek, który był naczyniem Bożem i narzędziem w jego rękę, oddany sztuce w służbie kościoła, mógł być się dopuścić nikizemności, o jaką go oskarżono, za jaką go piętnowano.

Wiemy to z jego żywota, że gdy po raz wtóry z Krakowa wychodził — rozdał wszystko pomiędzy ubogie i wzięwszy pielgrzymi kij w rękę, puścił się w świat.

Wszystkie téż dzieła jego świadczą o bardzo głębokich przekonaniach religijnych. — Jedno wszakże, co mnie uderzało zawsze w jego dziełach i w czém ma wielkie podobieństwo do Michała Anioła, jest zuchwałość fantazyi i pomysłów jego kompozycy — ztąd téż rozumiem, iż szkopuł, o który się roztrącił w życiu, była pycha artysty. Tak pojąłem go i tak nakreśliłem tę postać — rozumiejąc, że nieszczęście, jakie go spotkało, było karą za wyniosłość ducha, wymierzoną w duchu średniowiecznych muncy-piów. Dziś znajdujemy nagrobek jego położony w Norymberdze obok grobu Albrechta Dürera, więc zdaje nam się, iż anioł pojednania przymknął mu powieki i że cześć należy się tym po śmierci, którym świat krzywdę wyrządził za życia. Napis na tablicy grobowej stoi tylko taki:

„Witowi Stwoszowi
i jego potomkom.“

Ta lapidarność napisu mówi coś więcej od samego napisu. W dziejach sztuki na ziemi naszej jest on największym artystą — w Europie człowiekiem wielkiej artystycznej epoki.



PACHOLE HETMAŃSKIE.

KSIĄG PIĘCIORO.

In Nomine Domini!

DIARIUSZ

WALENTEGO ROŻANKI

DWORZANINA NIEKIEDY JEGOMOŚCI

PANA

JANA Z TARNOWA

HETMANA WIELKIEGO KORONNEGO.

Ad perpetuam rei memoriam

SPISANY.

TREŚĆ DIARIUSZA.

KSIĘGI PIERWSZE.

PACHOLE HETMAŃSKIE.

KSIĘGI WTÓRE.

HETMAN I ŚMIERĆ JEGO.

KSIĘGI TRZECIE.

WDOWI DWÓR, UNIA LUBELSKA I PIELGRZYMKĄ
DO ZIEMI ŚWIĘTÉJ.

KSIĘGI CZWARTE.

JASSYR POGAŃSKI, WYBAWIENI Z NIEWOLI, POWRÓT
DO OJCZYZNY, KRESY NA DNIEPRZE.

KSIĘGI PIĄTE.

POWRÓT NA OJCOWIZNĘ I ZAKOŃCZENIE DIARIUSZA.

DO CZYTELNIKA.

W wiernój ja służbie podaję Ci tu
Wielką buławę, sławną w bitwach stu,
Abyś Ty miły Czytelniku znał,
Jakim to bywał z Leliwitów Jan,
Wielkiój buławy na Tarnowie Pan,
Jak i w ojczyźnie i w kościele stał?
Zkąd wiódł swój ród,
W co rósł na wiek,
Co miał za trud,
Jak stał — i legł?....

KSIEGI PIERWSZE.
PACHOLE HETMAŃSKIE.

Anno Domini 1546.

O nowém lecie straszna była zima:
Gąty strzelały od mrozów na dachu,
Wilcy już po wsi świecili oczyma
I lud się garnął do dworu ze strachu.

Straszna kurniawa dęła trzy niedziele,
Zawiało drogi i płoty i dachy;
Więc i z dniem każdym co raz większe strachy,
Bo wilcy sobie poczynali śmieie:
Ni się do wody, ni dostać do paszy,
Płotem palono, by nie iść do lasu,
Więc i gromadzie i drużynie naszój
Tak się już zdało, że ginąć bez czasu!
Bo bydło ryczy i fuka się trzoda,
A więc po chatach świecono gromadnie
Przez całe noce — i co nocy szkoda
I nikt nie wiedział, co na kogo padnie?
Bo we dnie nawet długim sznurem cieką
Wilki od lasu, co był nie daleko;
A przez noc całą wyją straszném stadem
W koło obory i za dworskim sadem!
Nikt się nie ważył ruszyć nawet we dnie
Ani w sąsiedztwo, ani do kościoła;
Więc sołtys zebrał ze wsi ludzie przednie

I spędzić kazał statek dookoła.
Niem było pracy i mozołu,
Boć podawano aż przez strzechę dzieci
I dzień się minął, zanim dookoła
Spędzono bydło ze wsi po zamieci;
Z dymników tylko lud się nawoływał.

Ja byłem w on czas nieletnim chłopczyną,
A więc w babińcu na zapieckum bywałem
I z trwogą słuchałem o tym wszystkim ino.

Moja Sufczyzna, co rządziła dworem
Po śmierci matki zawdy jednym torem,
Była niewiastą rządzoną i spokojną
I wiodła rządy ręką bogobojną
I na krok nigdy już mię nie odbiegła,
Lecz i maleństwa i sieroctwa strzegła
Mego tak wiernie, niby rodzicielka.
I była dla mnie miłością tak wielką,
Że i dziś jeszcze na jej upominek
Ze łzami mówię „Wieczny odpoczynek.“

Po śmierci matki jakoś rok dochodził,
Rodzic w żałości zamknął się po stracie,
I tak czarnymi myślami się wodził,
Że całe noce chodzi po komnacie.

Z pokoju wybić dał drzwi do piwnicy,
Mnie tylko czasem wolno stać na boku,
A on co chwila leje do szklanicy
I mówi sobie: „nie przeżyję roku!...“
A jak go trunek z północka rozbierze,
W stołowej izbie do obrazów gada,
Płacze i wzdycha i mówi pacierze

I krzyżem leży, lub bez zmysłów pada,
A potem w łożu przez dzień cały chory,
I poszły szeptem przez sąsiednie dwory....

Nie jeden wstąpił, jadąc niby drogą,
Lecz rodzic widzieć nie pragnął nikogo....
Więc krótko tylko gość zazwyczaj bawi
I tylko moja Sufczyzna go wita;
Zwykle już tylko o mnie się zapyta,
Pogłaszcze, westchnie i sam się odprawi.
Każdy uciekał, tak się dwór osmucił...

Kwiatki porosły już na matki grobie,
Płacze Sufczyzna i ja płaczę sobie,
Lecz rodzic z żalu swego się nie cucił...

Tak nas nareszcie i zima zapadła,
I twarz rodzica co dzień więcej bladła,
I mówił co dzień strapionej Sufczynie:
Że na rocznicę, to i on się minie!
Tak sobie uprzędał, że skończy do roku
I już z komnaty nie czynił i kroku.

Straszno przypomnieć czas téj zimy srogiéj,
One impety i zale rodzica,
I one noce, gdzie od wilczej trwogi
Pod zaspą drżała cała okolica:
Bo na gwałt trwoga wieś co nocy budzi,
A matka moja w śmiertelnej koszuli
Chodzi po dworze i nawiedza ludzi
I we snach za mną wstawia się najczuléj....

Był Grzelo Cywa, sołtys i wybraniec,
Co miał Zarąbek i swój gaj od granic

I sądy trzymał i rej we wsi wodził,
Bo przy taborze pod Obertyn chodził.

Zarąbek trzymał z królewskiego daru,
Rodzic z nim pijał z jednego puharu,
Bo jako łucznik nosił zawdy zbroję
I razem długo chodzili na boje.

On stary Cywa, chodź w Zarąbku siedział
Niby na stronie, dobrze wszystko wiedział,
Co się tam działo we wsi i we dworze;
Więc siadł na wołu, zawdy zbrojny wszystek,
Wziął siedmiu synów, wszystkie psy na stróże
I gnać przed sobą rozkazał dobytek.
I wierzchem działu przy pomocy Boskiej
Z bydłem i ludźmi spuścił się do wioski.
Ludzie już we wsi ginęli od strachu,
Lecz gdy głos Cywy ozwał się z nad dachu:
„Ha tu gnaj bydło!“ przybyło otuchy;
Duch znowu wstąpił w potrwożone duchy
I każdy z statkiem kopał się do toru,
A Cywa bydło kazał gnać do dworu,
I gdy już wszystko stanęło w okole,
To dał poczesne i rozkaz i radę.
Z drągiem przy bydle postawił gromadę,
A sam przed ganek zajechał na wole.

Kiedy Sufczyna obaczyła Cywę,
Aż zapłakała; ale Cywa do mnie:
„A miłe moje! moje miłościwe!
Kochaj mnie kochaj! bo kocham potomnie,“
I wziął na ręce i cackał i kochał.
Ot i jam szłochał i dwór cały szłochał.

„Gdzie Pan, Sufczyño? ja idę do Pana,
Hej zaknę jeszcze, zaknę na Hetmana,
Toć może jeszcze do nas się przygarnie,
Bo żal się Boże, by tak ginąć marnie.“
I szła Sufczyña; Grzel niósł mię na ręku
I drżało serce od płaczu i lęku.
Gdyśmy wstąpili z cicha do komnaty,
Było w komnacie ciemno niby w nocy,
Bo wszystkie okna zakryte makaty,
A rodzic łoże zalegał w niemocy.
W kominie tylko tłała jeszcze kłoda,
Cywa z makaty odarł jedno okno:
„Panie! niech ludzie dłużej w łzach nie mokną,
I was mi szkoda i piskłęcia szkoda;
Chłopy jak baby na zapiecku siedzą,
Pan się opuścił i wilcy nas zjedzą.
Otóż się świadczę, zem jest żywy w porę,
I jak Bóg żywy, ja to piskłę biorę,
A coby na to pan Hetman powiedział,
Żem na Zarąbku niby gawron siedział?“

Rodzic się porwał do razu na nogi:
„A cóż mi czynić?“ pytał Cywę dusznie,
A Cywa do stóp skłonił się postusznie
I rzekł po chwili: „Wstańcie Panie drogi!“
I na to słowo rodzic się ukoił,
I rozkazanie jakby wziął hetmańskie
Rażno i zdrowo przy Cywie się zbroił;
I rzekli ludzie: „Przemienienie Pańskie!“

Cywa przyjechał już jak łuczniczek zbrojny,
Miał łuk po sobie i strzały w kołczanie,
Jak zwykł był nosić przed laty do wojny;
A miał i serce i sołtysie zdanie.

Więc gdy rodzica uzbroił, powiada:
„Wilków jest wielka pode wsią gromada,
A co najgorsza, jeszcze przeszłej nocy
Wpadł tu wilk wściekły, com go ubił z procy.
Więc nam nie czekać, aż wilki przecieką,
Lecz wybić wszystkie, nim się jeszcze wścieką.
Na czystém polu nie damy im radę,
Ale dziś w nocy z prosięciem objadę
Po zagumienkach i tak im poradzę,
Że je w dziedziniec zamknięty sprowadzę,
A tu już legną na drągi i strzały.
Otóż złagodzić idę samopaty.“

Jakoż w dziedzińcu kazał złożyć sągi,
Ludzi uzbroił i w strzelby i drągi
I jak na twierdzy u wierzchu posadził,
A potem sanie po myśliwsku zładził,
Obił kosami i ogroził płotem
I do tych sani wybrał stare kłacze;
A starsze syny (dęby i siłacze!),
Aby nie poszło biędą i wywrotem,
Pod wielką grozą na te kłacze wsadził;
I mrok już padał, kiedy wieprzy stado
W dziedziniec spędził; a to na tę sprawę,
By łupur z kłami miał sobie zabawę,
Kiedy myśliwi już z powrotem zjadą.
I nastał wiater nad samym wieczorem
I miesiąc w pełni podniósł się nad borem.

Biało i cicho, a widno jak we dnie
I już na saniach stali strzelce przednie
I już prosięta dano w wielkim miechu,
Gdy rodzic wyszedł i do Grzeli rzecze:
„Trzynastu pono wilkom nie uciecze,

Więc i ja jadę!“ i skoczył w pośpiechu
W myśliwskie sanie, co już były w biegu;
I zaiskrzyło się tylko po śniegu.

Moja Sufczyna w wielkiej bardzo trwodze
Zebrała białą czeladź do modlitwy:
I klęczym w oknach i patrzym po drodze,
Kiedy tam wrócą sanie z téj gonitwy?

Jakoż po chwili padł najprzód strzał głuchy,
Jeden i drugi i już strzały częstsze
I coraz bliższe i coraz to gęstsze,
Że nam aż w piersi zapierało duchy,
Bo ledwo wioskę opędziły sanie
I na kołowrot miały się z powrotem,
Zawyły wilki straszno po za płotem
I za waderą rzuciły się na nie.
A gdy je Cywa podrażnił prosięciem
I po jednemu wilkom z miecha ciskał,
Z takim za sańmi sadzą się zawzięciem,
Że ogień niby ze ślępi im pryskał...
A rodzic krzyknął: „Nuż co siły w konie!
I pał w waderę!“ i wadera siadła
I miotły strzały i kosy po stronie.
Poczém czerniawa tak się już rozjadła,
Że równo z sańmi na dziedziniec wpadła
I tu dopiero rozpoczął się taniec:
„Pędź w koło sągów! pędź!“ krzyknął wybraniec.

Za bramą skryci stają chłopcy z drągi,
A sanie w koło objeżdżają sągi;
Wilki za sańmi sadzą się gromadą,
Grzmią gęste strzały z sani i z nad sągów
I gwałt i tartas; fuka wieprzy stado

I legły wilki od kłów i od drągów,
I w ciemne płaty po śniegu posoka,
A miesiąc temu przyświecał z wysoka.

Cała gromada była nocy onój
Z dziećmi i z bydłem we dworze zebrana,
I lud był głodny i bardzo strwożony.
Więc rodzic kazał strzymać lud do rana,
A starszych gazdów prosił na podkurek.
Z ludzi służyłych był Cywa i Nurek,
Obaj łucznicy: Cywa z nami bawił
A Nurek kotły w dziedzińcu zastawił
I krupnik ludziom uwarzył do świtu
I upiekł wołu i było do sytu...

Od śmierci matki nie było we dworze
Jeszcze tak ludno i dusznie wesoło,
Rodzic nie myślał nawet iść na łożo,
Lecz zdrowo czynił i rozsepił czoło
I z Cywą tylko o starój wojence,
I ogień strzelał ochoczo w kominie
I stare gazdy brali mnie na ręce
I miło wspomnieć sercu jeszcze ninie
I tę noc gwarną i miłość ogniska,
Co takie światło po dziś w duszę ciska.

Nikt ani spostrzegł, jako noc się migła,
Taka to radość była i ochota.
Gdy z tych opalów gromada wystygła,
A słońce znowu zeszło w nasze wrota.
Cywa już po dniu dał wilki obielić.
Ej byłoż padła i do kwasu skóry
I szubienicę wileżą czém obdzielić,
Bo jak jałówki; takie tam łupury

Leżą w dziedzińcu i po krwawym szlaku
I całe gniazda wybite do znaku!

Rodzic tak nabrał serca przy gromadzie,
Że po śniadaniu do Nurka powiada:
„A niech no Waszeć jeszcze ogień kładzie
I niech ze dworu nie idzie gromada,
Za nim się przetrą bydlęm trochę szlaki,
Bo to nie każdy pono już zuch taki,
By jako łucznik brodził po zamieci.
Szkoda mi niewiast i tych drobnych dzieci,
Otóż przytulić i pożywić trzeba,
A pono jeszcze nie braknie tu chleba.
Więc wszystkich ludzi proszę na gościnę,
Niech się weselą i starsi i młodzi;
Rocznica śmierci pani mej nadchodzi,
A na rocznicę to i ja się minę!
I Bóg wié tylko, czy kto ludzi sprawi
I ludziom stypę poczciwie wyprawi!
To dzień dzisiejszy niech za stypę staje;
A rad i woły i barany daję.“
Rzekł rodzic w żalu bardzo żałościwy
I znów pić począł do Nurka i Cywy.

Cywa, choć nigdy nie kochał mitregi,
Pił co w najlepsze, lecz miał rozum tęgi;
Otóż gdy widział, że się Pan obaczył
Z żalu téj nocy, pchnął do stryja syna,
Aby z sąsiady w prędcę zjechać raczył,
Póki poradna jest jeszcze godzina.

Jakoż bez bawy, w same posła ślady
Zjechał stryj starszy z kilkoma sąsiady.

I rodzic w wielkiej rozlał się żałości,
Gdy przyszło witać i uraczyć gości.

„Bracie ja ginę! Zbliża się rocznica
Śmierci nieboszczki: i w rocznicę samą
Każ robić trumnę i podaj gromnicę
I czekaj gości na stypę przed bramą...“

Stryj wzdłuż komnaty chodził długo sumnie
I rzekł nareszcie: „Kiedy już w tym progu
Z żywymi radzić przychodzi o trumnie,
Czyby nie lepiej pamiętać o Bogu?
Wszak w rodzie naszym i żyli i marli,
Lecz nie po kuflu do trumny się darli.
A na Bóg żywy! Panie Bracie! hola!
Gdzie Bóg i wiara i sława i wola?
Przez dziś to jeszcze razem tu zabawim,
Lecz my samego z kuflem nie zostawim;
Nie wolno ginąć w żalu i z nałogu.
Bacz się w narodzie i obacz się w Bogu!
Przyjaciół szukać, kiedy boli rana,
Radzę wyjechać: jedź brat do Hétmana,
Bo z łaską zawdy o brata mię pyta.“

Rodzic nieboszczyk nie miał serca z głazu,
Więc na te słowa rękę stryja chwyta
I niby cudem wytrzeźwiał do razu;
I do téj drogi w punkcie wszystko ładził,
A na pół drogi stryj nas odprowadził.

Gdyśmy na zamku stanęli w Tarnowie,
Witał pan Hetman miłościwie w Bogu,
Rodzic mnie w łaskę zalecił już w progu

I ręka w rękę odeszli w rozmowie,
A mię do razu zdano pokojowym;
I rozglądałem się na miejscu nowém...
Później, w lat wiele rodzic mi powiadał,
Jako się z panem w téj rozmowie składał,
Gdy go do swojej komnaty sprowadził
I oko w oko przed sobą osadził,
Rzekł mu z czułością:

„Coś mi Waszmość smutny

I jakiś tępy, dziwnie zastarzały?...“

A rodzic w szlochach rozplynał się cały

I rzekł: „Na duszę padł mi żal okrutny!“

Na to pan Hetman:

„Ze smutkiem i wieści

I straty onój wzięliśmy boleści;

Ale Bóg wielki i on was pocieszy!

Jednak ja jeszcze coś więcej tu widzę!“

— „Panie: rzekł rodzic, kiedy człowiek grzeszy,

Nie ma pociechy! — ja się sobą brzydzę!

Bo po méj stracie dusza ma upadła,

I boleść grzeszna sępem ją przysiadła,

Ani nadziei już w ratunku dzielnym.

Jam odpadł panie! — jam w grzechu śmiertelnym..“

Na to pan Hetman przebódl go oczyma:

„Co? — grzech śmiertelny? i poprawy nie ma?...“

— „Nie ma... i potęp! a lżej będzie duszy,

Gdy mnie buława tu w tym prochu skruszy!

Potęp mię panie, nim mię Bóg potępi

I nim się niebo na wieki zasepi!

Rozum i wolę wszystką zabrał trunek,

Upadłem panie, piję na frasunek...“

I padł na ziemię i całował nogi

I biedną głową tłukł żal do podłogi,

Aż Hetman w końcu:

„Co słyszę?! — o Chryste!

Ramię tak wierne! imię takie czyste!

I syn jedynak i drobna sierota

I skrzywić drogę pod koniec żywota?

Czyż to Zbawiciel nie do końca z nami?!?

To wiary bronim, a do piekła sami?!?

Niech serce z żalu w miłości nie stygnie,

Więc wstawaj z grzechu, a Bóg z żalu dźwignie.

Ja upaść nie dam! i dość tego szloch!“

I ujął silnie i dźwignął z podłogi

I taką wolą postawił na nogi,

Że rodzic cudem, jak się dźwignął z prochu,

Tak znał do razu, że się dźwignął w Bogu

I z żalu swego i swego nałogu.

I przeszedł wolno się pan po komnacie

I rzekł po chwili:

„Słuchaj panie bracie!

Syn tu zostanie; sam trzeźwo do pola!

Jak zdawna zwyczaj, zaciężno i ładnie.

Kto nie niósł krzyża, ten pewno nie padnie,

Wracasz do służby i taka ma wola:

Chorągwie stoją dziś u Tarnopola,

Jutro o świcie dam list do rotmistrzy,

I stanowiska nie opuścić za nic

I taka będzie tam służba od granic,

Że czuwać trzeba będzie co najbystrzej:

Czy nie czas opléć pszenicę z kąkolu!?

Jaki tam wiaterek od Wołoszy wieje?

I słać mi gońce, bym znał co się dzieje

I na Pokuciu i w całym Podolu.“

Kiedy nazajutrz przyszło do odprawy,

Rodzic bez żalu w sercu i obawy,

Wziąwszy mnie z sobą słowa nie powiedział;

Przeżegnał tylko i zdał mnie w kolana
Panu, co w delii przy kominie siedział.
I rzekł pan tylko: „Jedź spokojnie bracie,
Jakoś tu w Bogu dziecię to wyrośnie,“
I mnie przygarnął ku sobie miłośnie;
A gdym się podniósł od kolan Hetmana,
To już rodzica nie było w komnacie....

Jeszcze dnia tego, już wieczorną dobą
Wziął mnie pan Hetman do pani ze sobą
I rzekł łaskawie: „One to pachole
Zalecam w łaskę: ma być w naszej szkole,
Ze mną spać będzie, przy Ojcu Melchiorze
Będzie i jadał i miewał ćwiczenie,
Po wale będzie biegał przy Irenie,
Ale się z nikim nie zetknie we dworze.“

Pani mnie wolno zmierzyła oczyma,
Ale nie rzekła do mnie ani słowa;
I oraz znałem, że władza surowa
Wszystko na wodzy w onym dworze trzyma.

Lęk mnie ogarnął, co się ze mną stanie?
Jak być potrafię przy surowym panie?
Ale po chwili pan mnie z sobą bierze,
I kazał klęknąć przed świętym obrazem,
A i sam ukląkł i rzekł: „Zmówim razem,
Pachole moje, nieszporne pacierze.
Czy umiesz czytać?“ klęcząc już zapytał.
Rzekłem strwożony: „Ojcum trochę czytałem.“
— „To czytaj!“ rzekł mi, i podał do ręki
Brewiarz okuty, i otworzył księgę
I wiersz pokazał, i zdjęły mię lęki;
A od tych lęków taką wziął potęgę,

Żem lepiej czytał przed tym wizerunkiem
Na rozkaz pański, niż umiałem czytać.
Znać Matka Boża przybyła z ratunkiem
Cudem sierocie w onój ciężkiej chwili;
To już Jój tylko począłem się chwycić
W tej mocnej wierze, że ona posili.

Pan w każdym wierszu prawie mnie poprawiał,
Com nie domówił, z pamięci domawiał;
Ale że byłem chłopak jeszcze nikły
I do klęczenia w on czas nie nawykły,
Że brewiarz ciężki był bardzo w mym ręku,
Ścierpły kolana i krzyże od lęku
I w pół pacieży zrobiło się ciemno;
Ba już i liter nie widziałem prawie
I już nie znałem, co się dzieje ze mną.

„Co ci to dziecko?“ spytał pan łaskawie.
— „Panie! nie mogę udźwignąć tój księgi!“
„Toś, widzę, jeszcze pacholek nie tęgi,
Lecz gdy nie dźwigniesz dziś Bożego słowa,
Jakże krzyż dźwigniesz?“ I sam księgę bierze
I w głos dokończył kapłańskie pacierze.
Jam w on czas nie znał, co znaczy ta mowa:
„Jakże krzyż dźwigniesz?“ więc myślałem zgoła,
Że krzyż mi każą nosić do kościoła
I polecałem tylko Matce Boskiej
Obawy moje i żałośne troski.

Wszedł pokojowy i rozebrał Pana,
Nałożył na noc i ognisko duże
I odszedł z cicha, a u stóp Hetmana
I ja też ległem na niedźwiedziej skórze,

Całując ziemię jeszcze z rozkazania.
Ot i noc pierwszą przespałem do rania.

Lecz drugiej nocy już mnie Hetman budzi
I wstawać każe i wybiédz w krużganek,
Czy nie podbiegła jutrzienka na ranek?
I czy już może nie czas budzić ludzi?

W krużganku było i straszno i ciemno,
Żadnegom nie znał niebieskiego znaku.
Jakiś pies duży zjawił się przedemną
I ledwom w powrót dobił się po ćmaku.

„A co?“ łaskawie Hetman mię zapyta,
„Zeszła jutrzienka? czy może już świta?“
— „Ja nie wiem panie!“ odrzekłem nieśmiele,
„Bo ja gwiazd nie znam.“

— „To ja ci pokażę,
I poznasz gwiazdy o czasie nie wiele
I znać się trzeba także na zégarze,
„Bo Pan Bóg znaczy, a człek czasy liczy....“
I powstał z łoża i wziął szaty na się
I niebo nocne okazał w swój krasie
I znałem w sercu, że pan w łasce zyczy.

„Widzisz tę gwiazdę, co tak jasno mruga?
To jest jutrzienka, wdzięczna Boża sługa,
Co noc rozpędza i świat wszystkim budzi
I hajnał niebios zwiastuje dla ludzi;
Na dzień się bierze, gdy z nad baszty wita;
A kiedy blednie i nad wieżą bywa,
To już po chwili na świat wszystkim świta.
I sokół kwili, a i chart się zrywa
I cenny kamień w sygnecie potnieje
I czas krzyż zrobić i wstawać, bo dnieje.“

I mnie przeżegnał i przeżegnał siebie,
Bo gwiazdy bladły na poranném niebie.

Gdyśmy wrócili, wziął mnie Iren stary
Do pańskiej łaźni, obmył i dał szaty
I dał kołpaczek, upiął pas do miary
I tak do pańskiej puścił mnie komnaty.

Już przed obrazem stał pulpitek mały,
A na nim leżał już brewiarz otwarty,
I pan mi kazał czytać paciérz cały,
A klęcząc obok sam przewracał karty,
I w każdym wierszu prawie mnie poprawiał
I kiedym chybił, z pamięci domawiał.

Ksiądz Melchior miewał codziennie mszę świętą.
Przed mszą żadnej sprawy nie dotknęto
I kiedy dzwónek znać z nad wieży dawał,
Najprzód w kaplicy dwór wraz z panem stawał,
A potem pani wchodzi z białogłowy;
I drzwi na ościérz w kaplicy zamkowej
I w całym zamku nie brzęknie już mucha,
Bo mszy w dziedzińcu naród nawet słucha.
A po mszy w izbie stołowej śniadanie
I zobaczyłem tu księdza Melchiora
(Którego odtąd miałem za mentora).
Raz pierwszy stojąc za stołkiem przy panie,
Jako mnie Iren nauczył był z rana:
„Pachole stawa za plecyma pana.“

Kiedy mnie Hetman zdawał mentorowi,
To krótko tylko do księdza przemówi:
„Wielebny Ojczy, owo jest pachole,
Co ma się dobrze ćwiczyć w naszej szkole;

Słuchać i milczeć niech się naprzód uczy;
To i dobrze do mądrości kluczy,
Do téj mądrości, co człeku jedynie
Z bojaźni Bożej w téj ojczyźnie płynie.“

Na to ksiądz Melchior skłonił tylko głowę
I wziął za rękę ze sobą do celi,
I skorom wstąpił za te progi nowe,
Znałem, że wolę tak pod władzę wzięli,
Żem tylko w oczy patrzył ciągle z trwogą,
Coby mi czynić? i gdzie stąpić nogą?

Myślałem sobie, że się szkoła zacznie,
Ale ksiądz Melchior przeżegnał pachole,
Kazał mi słuchać, ba i patrzeć baczenie.
I obok siebie posadził przy stole.

Pośrodku stołu bardzo okazały
Stał zegar rzymski roboty misternój,
W drobne koronki wydziergany cały,
A wiary świętej wizerunek wierny;
Bo całe dzieje starego zakonu
I całe dzieje zakonu nowego
Przędły się kołem z kołowrotu tego
Koleją godzin, a za głosem dzwonu.

Tarczę dzierżyły złote lwy i ptaki,
Dzielna na godzin dwadzieścia i cztery
Była opięta niebieskimi znaki
I opisana w tajne charaktery.
Pośrodku tarczy miłościwie stała
Królowa niebios bez zmazy poczęta;
Bo w dopełnieniu czasów niebios chwała,
A w Jój obliczu każda doba święta.
Więc i godzina, której panowanie,

Kiedy dochodzi przed królową stanie
I znak zwierzyńca, co z kolei władnie,
U stóp Królowej w wiernej służbie padnie.

W obłoku złotym była niebios brama,
Co się w znak dzwonu otwierała sama
I z téj to bramy idą dzieje one,
Co w dopełnieniu czasów są spełnione.

Więc, gdy jest biwszy jeden na zegarze,
Anioł z téj bramy puszcza pierwsze straże:
I w żywe oczy patryarchów dzieje
I pędzą trzody skotarze, Hebreje,
I praszczur ludu, on Abraham stary,
Gdy pierwsza doba domierza już miary,
Z wszystkim taborem w ziemi obiecanej
Przed oblicznością téj Królowej staje,
I Matce Bożej od wieków przejrzanéj
Z byłem i z ludem wielki pokłon daje.
A Melchizedek, z którego kapłaństwo
W zakonie poszło na ochrzczoną wiarę,
Chlebem i winem wprowadza na państwo
I pierwszą czyni bezkrwawą ofiarę....
Więc kiedy druga bije na zegarze,
To anioł niebios puszcza drugie straże:
I ciągnie Izaak, co był duchem karny,
Bo dan był z młodu na on stos ofiarny;
Więc, gdy się z synem przed Maryą stawia,
To pokoleniu jego błogosławi;
Poczem z Jakóbbem na kolana pada
I Pani Niebios wielki pokłon składa.

Więc kiedy trzecia bije na zegarze,
To Anioł niebios puszcza trzecie straże:

I ciągną trzody, idą białogłowy
Zaczerpnąć wody z studni Jakubowej;
I idzie Jakób, Patryarcha dzietny,
Wielki przed Panem sprzymierzeniec Pański,
A za nim kroczy synów poczet świetny,
Z których dwunastu poszedł lud hetmański;
A kiedy wszyscy przed Maryą stają,
To wielki pokłon Pani Niebios dają.

Więc kiedy czwarta bije na zégarze,
To Anioł niebios puszcza czwarte strażę:
I kroczy Mojżesz, co to Panu gwoli,
Cudem lud wywiódł z egipskiej niewoli,
I bracia Judy czoło opuklerza,
I niosą Arkę starego przymierza.
A niby woda lud wybrany płynie
Do obiecanéj ziemi przez pustynie;
Lecz gdy w obliczu Pani Niebios staje,
To Mojżesz laską, Aron kadzielnicą,
Królowéj Nieba wielki pokłon daje
I mir się korzy przed Bogarodzą.

Więc co godzinę po lasce Mojżesza
Idą proroki, których sam Pan wskrzesza,
By wolę Jego głosili po stule,
By się lud baczył i baczyli króle,
By słowo Pańskie nie poszło na nice,
A lud wybrany na służbę w stworzeniu,
W ręku proroków, w czasów dopełnieniu,
Przed wieki daną ziszczył obietnicę.

Więc szli z kolei od niebios przysłani
Sędziowie ludu i Arcykapłani
I Boże raby, widzące Proroki,

Zwiastując przyjście Zbawiciela Pana,
Prostując ścieżki i prowadząc kroki,
By się spełniła obietnica dana
Przez usta Pańskie po upadku człeka,
W lilii Jessego przejrzanéj od wieka

I jedenastą gdy już dzwon uderza,
Kończą się dzieje starego przymierza:
W połowie czasów gwiazda światu wschodzi
I chwala Panu bądź na wysokości,
Bo słowo ciałem, bo nam się Bóg rodzi,
A chór Aniołów i ludkowie prości
I wół i osioł święcą dzień wesela
I na świat wszystkim głoszą Zbawiciela.

Kiedym raz piérwszy tę szopkę zobaczył,
To tak mię mocno ten żłobek ucieszył,
Żem aż śmiał błagać (gdybym tém nie zgrzeszył),
Żeby ksiądz mentor pozwolić mi raczył
Uściskać stopy Dzieciny Najświętszój.
W onéj miłości sercu najgorętszój;

Jakoż zezwolił na to bez urazy.
I Boży żłobek przeszedł kołowrotem
I dzwon uderzył po dwanaście razy,
A mentor uczył liczyć mnie za młotem.

W połowie doby na całym zégarze
Ustąpił Anioł, a niebieskie straże
Wziął po Aniele u bramy Jan Chrzciciel
I do chrztu przykląkł w Jordanie Zbawiciel.

A gdy trzynasta biwszy jest godzina,
To Apostołów pochód się poczyna:

I naprzód idzie drogą Chrystusową
Piotr, co jest skałą i widomą głową,
Jako w kościele klucze nieba trzyma;
Wyższego nadeń na ziemi już niema.
Za nim dopiero w ślad Ewangieliści,
Bożego słowa szafarzowie czyści:
A więc Jan z orłem, a Mateusz z wołem,
Marek z lwem w skrzydła, a Łukasz z Aniołem.

Więc téż z kolei biła siedemnasta
I poczt wybranych co godzina wzrasta.
I idzie reszta uczniów Pana Chrysta,
I wiara święta w narodach się szerzy,
I za krzyż Pański płynie krew przeczysta,
I są ochrzczone i świat mocno wierzy.

I osiemnasta bije na zégarze
I idą Chrysta wybrani na straże:
I z różnych krain i z różnych języków
Poczt purpurowy ciągnie Męczenników,
I patrzy w niebo bez skargi i trwogi,
A srodzy kaci i dzikie zwierzęta
Stają w połowie Chrystusowej drogi,
I w ziarno wiary krew się zmienia święta.

I dziewiętnasta bije na zégarze
I w ślad Jan Chrzciciel nowe puszcza straże:
Ciągnie sług Bożych i wyznawców grono,
Idą z kolei Pańscy pracownicy
I spracowani na Pańskiej winnicy,
Których Pan służby nagrodił koroną.
W ślad Męczenników poczt się wiernych kupi:
I idą wielcy patroni, biskupi,
Co szli w narody z Bożego przejrzenia,
Niosąc i światło i moc utwierdzenia.

I na zégarze bijé już dwudziesta
I nowém światłem świeci niebios cesta:
Święta Helena niesie krzyż na przedzie
I poczt wybranych niewiast z sobą wiedzie;
Orszak w pół śnieżny, a w pół purpurowy,
Przezyste panny i przeświéte wdowy
Idą w ślad wielki piérwszych apostołów,
Drogą Chrystusa pod strażą Aniołów;
I gdy w światłości przed Maryją stają,
To wielki pokłon gwiazdzie morza dają.

I na zégarze dwudziesta i piérwsza,
I w dzikich puszczech Pan Bóg cuda czyni
I ciągnie bracia w pokucie najszczérsza:
Z góry Karmelu i z wielkiéj pustyni
Idą przy bestyach święci pustelnicy,
Dojrzałe grona z téj Pańskiéj winnicy,
Jaką Zbawiciel szczepił po nad drogą,
Po którój niegdyś przeszedł świętą nogą.

I na zégarze dwudziesta i druga,
I ciągnie wiara od miecza i pługa
W krzyżowe drogi i przez krajów wiela
Do ziemi świętój tłumnie i potężno,
Aby grób zdobyć Pana Zbawiciela
I z mocą pogan łamać się orężno.
A za rycérstwem w ślad onych zagonów
Ciągną z pokorą apostołskié męże,
Założyciele świątyń i zakonów,
Na krzyż i rydel zmieniając oręże.

I jest dwudziesta i trzecia na czasie,
I stają dzieje Boże w pełnój krasie,
I kroczą z wielką powagą do koła
W Bożój mądrości Ojcowie Kościoła.

I bije w końcu dwudziesta i czwarta,
I brama niebios przez chwilę otwarta,
Bo nowa doba, to i łaska nowa,
I wolno stoi droga Chrystusowa.
I naprzód długo sam kołowrot warczy.
Aż znów widzenia łaskawe się jawią,
I po kolei idą po téj tarczy
I pobok siebie na tarczy się stawiają.

Więc patryarchy wybranego ludu,
Więc i proroki zwiastunowie cudu,
I sędzie stare i męże hetmańskie
I Apostoły, Chrysta wysłannicy,
I w imię Chrysta święci Męczennicy;
Więc i wyznawcy, jako sługi Pańskie,
Więc i oddane niebu białogłowy,
Przeczyste panny i przeświète wdowy,
Zakonodawcy i krzyża rycerze
Stają tu społem do wielkiego koła,
W wielkiej nadziei, miłości i wierze,
A poczt zamknęli Ojcowie kościoła.

W niebieskiej bramie i u jasnej góry
Stają Aniołów nieprzejrzane chóry,
I jasność świeci już wszelkiemu oku,
Bo Trójca Święta staje na obłoku
I Bóg w wielkości swojej niepojęty
I Pan Zastępów: Święty! Święty! Święty!

Kiedy zjawienie miłościwe znikło,
To jał się zamęt biednej mojej głowy,
Bo ani dusza, ni oko nie zwykło
Do tylu skarbów, ni zrozumieć mowy,
Jaką ksiądz Melchior drogę czasu znaczy

I na zégarze wszystko mi tłumaczy.

Znał to ksiądz mentor — i rzekł mi; „Pachole!
Dzisiaj pokazałem cały zégar tobie,
Byś znał, jak czasy mierzy w całej dobie,
Ale na przyszłość nie tak będzie w szkole:
Po jednej tylko weźmiemy godzinie,
A jak łaskawe zjawienie się minie,
To czytać z księgi będziem, co to znaczy,
Bo pismo święte ten zégar tłumaczy.
Za czasem poznasz i jedno i drugie,
Jako przystało na pańskiego sługę,
Na dzisiaj dosyć“ — rzekł mi i zadzwonił.

Wszedł Iren stary i czekał na wolę
I rzekł ksiądz Melchior: „Hetmańskie pachole
Będzie codziennie bywać przy sokole,
A i pobiegać nie będziesz mu broniał;
W kruzganku pańskim wolno bawić skromnie,
A jak zadzwonią, to powracać do mnie.“
I skłonił Iren i kazał bym skłonił. —

W długim kruzganku, co wiódł w progi pańskie,
Na berłach rzędem sokoły hetmańskie
Siedziały sobie i stał sokolniczy,
Co im zér dawa i do łowów ćwiczy.
I zdjął z każdego kapturek do zéru
I pierś pogładził każdemu dla miru,
Aby ptak w ręku łowcy się nie płochał.
A gdy każdego ugladził, ukochał,
Dawał gwizdaniem hasło sokolnicze
I kawał mięsa ciskał mu w oblicze,
Jako na łowach daje się odprawa,
Kiedy sokolnik w polu z berłem stawa.
I zér w powietrzu pochwycał ptak chciwie,
Żem z miejsca pierzchał przed każdym trwożliwie.

Otóż sokolnik z lekka mnie pogładził,
Wziął mnie na rękę i cackał i laszył,
Owinął rękę, abym się nie straszyl,
I na méj pięści sokoła posadził;
A kiedy sokół siedział już na pięści,
Rzekł mi od serca: „Niech Bóg Wielki szczęści.
A patrz że w oczy miły mój sokole!
Byś w polu poznał hetmańskie pachole.“

Wszystkie sokoły miały swe nazwiska.
Otóż gdym bawił przy nich codzień zbliżka,
Uczył sokolnik, jako je nazywać,
„Bo ma znać o tém, kto ma z panem bywać.“

Każdy inaczej miał szyty kapturek
I inszy dzwonek i stosowne miano:
I był tam „Kubuś“ i „Piorun“ i „Nurek“,
A po hiszpańsku jeszcze inne zwano:
Był tam „Idalgo“, „Alkasar“, „Ewora“
I „Rara Avis“ i „Wampir“ i „Zmora.“
Na szyi mieli tabliczki spiżowe,
Na nich pisania jakieś maurytańskie,
Bo były wszystko zdobycze bojowe,
A więc klejnoty i specyały pańskie!
Kiedy pan z młodu za przejrzeniem Bożem,
Królestwo Maurów zwojował za morzem,
Przywiózł je z sobą z bojów w ziemię nasze,
A czołem wszystkich snać „królewskie ptasze.“

Był to „Aldabon“ — miał tabliczkę złotą,
Bo wszystkie ptaki przegórował cnotą.
Po królu Maurów niegdy spadkiem wzięty,
Był i na czaple i łabędzie cięty,

A na tabliczce onój złotoszczéréj
Królewskiej cyfry nosił charaktery . . .

Sokolnik bardzo mnie bawił zyczliwie,
Lecz gdy się wszemu, com tam widział, dziwię,
Ozwał się dzwonek i już po zabawie,
Boć to na obiad zadzwonili prawie.
Więc stary Iren wiedzie mnie do celi,
Gdzieśmy z mentorem piérwszy obiad mieli,
A po obiedzie z Irenem na wały .
A tutaj znowu wszystko rzeczy nowe:
Mijamy straże i strzelby spiżowe
I tak obchodzim w koło zamek cały,
A stary Iren wszystko mi tłumaczy,
Abym znał w sobie, co to wszystko znaczy.

I znowu oba wracamy do celi.
I tak dzień po dniu dzielony się dzieli,
Trochę nauki i zabawy w duchu,
Trochę czytania na rzymskim zégarze,
Trochę pobieżki na zamkowe straże,
Lecz wiecznie milczkiem i wiecznie w posłuchu.

Póki znów dzwonek nie ozwie się z wieży
I do nieszpornych nie klęka pacierzy
Ksiądz Melchior w celi, to ja przy nim bawię,
Poczém z Irenem przed panem się stawię.

Tu znowu brewiarz i pan mię poprawia,
Co nie domówię, z pamięci domawia.
Wieczorem jadał już tylko sam jeden
I choć nie byłem ganiony, ni bity,
Drżałem od trwogi w sercu bardzo bieden
I cisnął duszę jakiś żal ukryty,

Ni się pożalić, ni pogłaskać komu,
Nikt mnie Walusiem nie zwał w całym domu.
Nikt nie zapytał: „czy czego nie życzę?“

I pan i mentor miał groźne oblicze,
I każdy sobie, nawet Iren stary
Tak samo trzymał i do jednej miary;
Bo kiedym pytał o jedno dwa razy,
To chociaż bywał ku mnie bez urazy,
Nie rzekł i słowa, więc sokolnik tylko
Przypadał duszy, i tą jedną chwilką
Dusznej pociechy stałem w onym dworze
I nieraz myślę: „O mój Wielki Boże!
Czemu ja biędny nie jestem tym ptakiem,
Czemu się nie ma tu pożalić komu?
Gdyby sokołem: to powietrznym szlakiem
Do méj Sufczyzny leciałbym i domu!”

Więc dzień przebywam, patrząc ludziom w oczy,
Czym w czém nie krzywy? Lecz kiedy się mroczy,
To na kominie po drzewku dokładam
I płacząc sobie, na niedźwiedziu siadam,
Bom się znał sercem w takim chłodnym rękę,
Żem ze snu nawet zrywał się od lęku,
Bo mi się zdało, żem coś bardzo zbroił
I nie raz nawet Hetman trwogę koił.

Dobrze to mówią, że grubéj żałoby
Jest sześć tygodni, i że żalóć nocą
Sercu najcięższa, jeżeli z pomocą
Niebo nie będzie. —

Ha, liczyłem doby
I przy mentorze na rzymskim zégarze
I wał obchodząc z Irenem na straże;
Lecz się godziny i dnie wolno wlekły
I już od płaczu oczy nawet piekły.
Taitem bardzo, że mnie gniecie żalóć
I wielką miałem w obec ludzi stałóć;
Lecz gdy wieczorem na niedźwiedziu siędę,

To cały wieczór płaczę tylko sobie
I pytam Maryi, jak ja to przebędę?
Rodzic daleko, a Matusia w grobie!

Raz gdym tak siedział i żałośnie płakał,
W rogu komnaty coś straszliwie trzasło
I światło one przed obrazem zgasło,
I rzekłem sobie: „Wielki będzie zakał,
Bo na mnie zdane było światło one,
I być nie miało z rozkazu zgaszone.“
Więc gdym usłyszał, że już Hetman kroczy,
Skoczyłem ku drzwiom i patrzę mu w oczy
I czekam z trwogą strasznego wyroku,
Lecz łaska była dla mnie w pańskim oku.

„Nie śpisz?“ zapytał — i do łoża zwrócił.
Patrzę, a lampa znowu jasno płonie,
Tom przed obrazem na ziemię się rzucił
I wielkim płaczem zlałem mą pokorę,
Bo Matka Boża stała w méj obronie
I cudem, lampa, co zagasła, gore!

Pan Hetman zwolna podniósł mnie z podłogi
I siadłszy sobie, postawił na nogi
I spojrzął na mnie raz pierwszy wesóło,
I przeżegnawszy, pocałował w czoło,

„Co ci to?“ pytał; więc zeznałem szczerze,
Co mi się stało i że cud się zdarzył,
I długo Hetman myślami się ważył
I rzekł: „Gdy wierzysz, to i ja w to wierzę,
I miej na żywot ztąd zadatek wielki,
Byś łask nie zmarnił Bożej Rodzicielki.“

Znać i ksiądz Melchior zaraz o tém wiedział,
Bo mię nazajutrz długo w łasce badał,

A gdym mu z duszy wszystko wypowiadał,
To w końcu tylko tyle mi powiedział:
„Będiesz do Bożej sposobił się służby,
Abyś nie zmarnił tak łaskawej wróżby.“
I odtąd co dzień uczył mnie z pamięci
Słów Bożej służby, abym umiał służyć
Mu do mszy świętej; i poczęła płużyć
Nauka sercu, i stałem się śmielszy
I chociaż po dniu bywałem weselszy.

Nadszedł post wielki. Ksiądz Melchior był twardy
I wielkiej rzeczy światowych pogardy:
Kiedy suchoty — tylko chleba kawał,
A w post powszedni — to grzyb i polówka,
Łamaniec z makiem i suszona śliwka,
A choć ksiądz Melchior co lepsze mi dawał,
I chociaż nie raz i głód mi dokuczył,
Tom do reguły przywykać się uczył,
I trapić siebie dla jego przykładu
I zwykle głódzien wstaję od obiadu
I dreszcz mnie bierze, gdy wzdłuż wałów biegnę
I dreszcz, gdy nocą na niedźwiedziu legnę.

Póki ognisko huczało w kominie,
Tom spał z wieczora, bo mi było ciepło,
Ale jak zgasło i północ się minie,
W komnacie pańskiej tak już nagle krzepło,
Żem się z niedźwiedzia co noc prawie zrywał,
A pan, co nawet we śnie czuwał bacznie,
Niby sam senny delijkę nieznacznie
Zsuwał ze siebie i mnie nią okrywał.
Jakoż, gdy ze snu o świcie mnie budzi,
To pierwsze słowo: „Co, delijka spadła!
Podnieś delijkę i bież zbudzić ludzi,
Jeśli jutrzienka już nad wieżą zbladła.“

A czasem znowu, to się sam ubierze,
I iść ze sobą każe mi na wieżę
I on zwierzyniec (co go lwy i ptaki
W mocy dzierżyły na rzymskim zégarze)
Na nocném niebie poznawać mi każe,
I uczy szukać po niebie te znaki,
Więc wóz i kwoczkę, więc i trzech kosarzy
Każe pamiętać, i nim one kosy
Zaszły z wieczora na znak ciepłej rosy,
Znałem już dobrze i cały zwierzyniec
I wóz i kwoczkę i smoka i wieniec.
Mięso-pust długi, zima była mroźna,
A więc i wiosna i Wielkanoc późna.
A gdy już gwiazdy doszły Wielkiéjnocy,
To już umiałem czytać na zégarze
I odszukiwać w gwiazdach nocne straże
I służyć do mszy i dzierżyć się w mocy.

Pan z całym dworem w one dni załoby
Obszedł po grodzie wszystkie Boże groby,
W stroju pielgrzyma z pątniczym kosturem,
Jako po Ziemi Świętej nigdy chodził,
A wszelki naród ciągnął długim sznurem,
I w pamięci dróżki krzyżowe przywodził,
Którými chadzał przez oliwne sady
Pan nasz Zbawiciel, i po których z młodu
Hetman naglądał za świętými ślady,
Gdy się gotował do służby narodu.

Chorągiew pańska straż miała przy grobie,
A wszystek naród przypominał sobie,
O jaką łaskę Hetman Boga prosił,
Kiedy grób Boży łzami swemi zrosił
I że jest dana i w bojach nie ślizie,

Bo Bóg powagę i zwycięstwo dawa
Onój buławie w szerokiej ojczyźnie,
Kiedy do boju Bozogrobiec stawa.

Takie to głosy chodziły po dworze,
I gdy pan ruszył na święte obchody,
To czoło w farze ciągnie już na wschody,
A koniec z zamku ruszyć się nie może,
I aż z kościółka świętego Marcina
Pobożna rzesza pochód rozpoczyna.

Nadeszła wreszcie doba Wielkiénocy —
Na rezurekcyę w dzwony uderzono
I Bóg zmartwychwstał w wielkiej niebios mocy,
Więc i święcone w zamku zastawiono.

Była komnata od wielkiego dzwonu,
Królewską zwana; otóż w téj komnacie
Starszy Jegomość Zygmunt patrzył z tronu,
Na wielkim królów siadłszy majestacie,
Jak gdyby żywy siedzi na tym tronie.

Święconém wielkie stoły zastawiono,
A co przedniejszych było w téj Koronie
Panów, żadnego niebrakło tam pono.
Wszyscy zjechali z panem się weselić
Że Bóg zmartwychwstał i że żywi wzajem;
I pan téż z każdym obdzielił się jajem
I wolno było każdemu się dzielić.
I tu dwór cały ujrzałem w téj sprawie
I goście takie — i raz wtóry panią.
Jakieś pachole stało trochę za nią
I patrzy na mnie życzliwie i zwawie.
Więc gdy pan, życząc, zbliżył się do pani,
I my téż oba zbliżamy się w kole:

„Ktoś ty jest?“ pyta, kiedy przy mnie stanie,
Więc rzekłem z cicha: „Hetmańskie pachole.“
I pytam jego; „A ktoś ty jest taki?“
—„Ja Hetmanowicz,“ odpowiada wzajem.
„Kiedy wiek jeden, to się dzielcie jajem“
Rzekła nam pani, bacząc nasze znaki,
I między nami miłościwie staje
I z wielkiej misy białe raki daje,
A potem obom włosy z czoła muska
I darowała każdemu Agnuska “
I przez dzień cały z sobąśmy bawili,
W sercu druhowie od téj pierwszej chwili.

Na trzecie święto przed pańskim obliczem
Raz pierwszym służył wraz z Hetmanowiczem,
Bardzo pobożnie do onéj mszy świętój,
W jednakie szaty strojny i opięty.

I po śniadaniu rzekł Hetman łaskawie:
„Gdy się uczycie służyć Panu Bodze,
To ja szabelką służby te nagrodzę,
A służyć macie zawdy dobrej sławie!“
I wziął nas z sobą na basztę, gdzie zbroje,
I dał jednakich szabelek nam dwoje
I uzbrojonych wiódł do Hetmanowój,
I oglądały nas bardzo ciekawie
Całego dworu wdzięczne białogłowy
I wszystkie goście i wszystkie panięta,
Gdyśmy stanęli oba w téj postawie,
Jako rycerskie one pacholeta.

I znów dzień cały i łukiem i biczem
Bawim się oba wraz z Hetmanowiczem
I zbiegły święta.

Później, już w lat wiele,

Jedna z pań dworskich mówiła mi dużo,
Jako mnie pani miała pod swą stróżą.
I jako za mną przemówiła śmieie;
Kiedy dnia tego już samym wieczorem
Mówiła o mnie, to poczęła chwalić
Mnie i przed panem i księdzem Melchiorom,
A potem obum poczęła się żalić,
Żem ludzkie dziecko i dziecko jedyne,
Żem bardzo zmarniał i widocznie niknę,
A nim do służby i postu przywyknę,
To prędzój pono zamrę i zaginę.

„Dziecku potrzeba i dziecinnój strawy,
Trochę miłości i trochę zabawy,
Bóg widzi tylko, jako tém się trapię:
W rękę Ichmościów to maleństwo skapie,
Komu to pościć i czuwać słuźebnie?
I wstawać nocą do gwiazd niepotrzebnie?
Czy świętym będzie — niewiem, ale wierzem,
Że jako idzie z rycérskiego rodu,
Możeby kiedyś mógł sam być rycérzem;
To sił potrzeba do tego zawodu.“

Na to pan Hetman: „A świadczę się Bogiem,
Że mnie tak samo chował ksiądz Kardynał,
A młodszym byłem, gdym słuźby zaczynał
I gdym się ujrzał już za cudzym progiem.“

I rzekł ksiądz Melchior. „Jeszcze złęgo słowa
Nie słyssał pono — i rękę się chowa,
Sam z siebie karny i bardzo spokojny,
Pojętny bardzo, nawet bogobojny.“

A pani na to: „Wszak znam łaskawości
I pana mego i Waszój Miłości.

Przecież wiem o tém, że po kątach płacze,
Że aż do nieba w żałości się garnie;
Lecz nikt nie powie, że wesół i skacze,
To mu folgować, gdy się trzyma karnie.
Nie chcę ja w niczém onęj woli zmienić,
Lecz gdy me prośby raczą Ichmość cenić,
Proszę, by co dzień choć raz u mnie bywał,
A z synem naszym, by zabawy miewał.
Sama uproszę u pana Maruszki,
By pacholęta trzymał na swęj pieczy,
Bo sama stracham bardzo w onęj rzeczy,
Aby w zabawie nie gorszyły służki.“

Był zwyczaj w domu, że Hetman co rania
Posyłał Pani do ucałowania
Relikwije Świątych, w znak pokoju stała;
Otóż ta służba odtąd na mnie siadła,
I czekam chwili przy całym zégarze
I trzymam słowo, co pan nieść mi każe.

I wielka była dla mnie pani łaska,
Bo da śniadanie a czasem pogłaska,
Albo zapyta i przemówi czule,
Obejrzy głowę, ręce i koszule,
A zdając słowo i relikwiarz pański,
W powrót do łaski odsyła hetmańskięj.

Pan Hetmanowicz miał swego mentora,
I gdy nadchodzi podwieczery pora,
To i zabawy chwila niedaleka,
Bo pan Maruszka już nas obu czeka
I z pokojowym Hetmanowicz sady,
A stary Iren do nich mnie prowadzi.
Ha i odżyłem i świat mi się zmienił,
Bo jakoś prawie o tym samym czasie,

Młodą murawą wał się zazielenił,
I niebo stało w całej Bożej krasie.

I pan Maruszka miał w obliczu grozę.
Lecz dla nas obu to był miłościwy.
I rzekł: „Cyt dziatwa! wiosna jak Bóg żywy!
To na fijołki dzisiaj was powiozę.“
I zaszły konie i w milczeniu siedzim
I tak na górę Świętego Marcina,
Bardzo pod górę prosto z zamku jedziem;
A pan Maruszka do mnie tak poczyna:

„Wszak to ty pono relikwiarzyk z rana
Masz codziennie nosić od pani do pana?
To słysz co mówię! Są tam takie zgody
Pomiędzy państwem, że kto z dwojga wprzód
Wiankiem fijołków relikwiarz ozdobi,
To wygra sprawę, bo mu drugie zrobi
Za tę przegraną aparat kościelny;
Więc czas fijołków bardzo jest weselny
Obojgu państwu i z dawna w tym dworze,
A dziś na wianek uzbieramy może.“

„Komuż go złożym? rycérski nasz panie?“
Spytałem chciwie i czekam na zdanie.

„Komu?“ zapytał — „a jak cię dwór woła?“
Rzekłem mu na to: „Pachole hetmańskie!“

„To złożysz wianek, tylko w ręce pańskie,
Bo i chléb jego i jego jest szkoła!“

Po za kościółkiem Świętego Marcina
O kilka staj była tam pasieka,
I zdawna siedział w niej stary Nowina
I pan nawidził onego człowieka,
Bo spinał wozy taborne łańcuchem
I czeladź tuczną trzymał pod posłuchem.

Otóż Nowina tak ochucił pszczółki
I tak tam siedział pod słonecznym brzegiem,
Że w téj pasiece miewał już fijołki,
Gdy indziej jeszcze bywały pod śniegiem.

Kiedy przed dworek zawiodła nas dróżka,
To jeszcze z wozu woła pan Maruszka:
„Czuisz Nowyna!”

A Nowina: „Czuju!”

„A wesna cwite dla Boha Rodyci?”
I rzekł Nowina: „Chodit do świetłyci,
A precik jakoś ja za tym pantruju!”
I gdyśmy weszli, to Nowina czołem
I ze czcią sadzi wszystkich po za stołem
I weszła żona i córka i wnuka,
I stół okryto w różne Boże dary
I pan Maruszka sam już kubka szuka
I pyta w łasce: „A de tu mid stary?”
I w serdeczności do siebie wypili,
I spytał gazda po niejakiéj chwili:
„Witézny Pane! szczosz to za detyna?”
Pytał wskazując na mnie pan Nowina;
A pan Maruszka: „Wział ho pan jak syna,
Ot i Bih znaje, szczo z hudyny bude,
Może to wyjde kołyś i na lude.”
— „To hostit dity! wod mid i orychy
Ditońkisz moi a moi potichy!”
Rzekł Pan Nowina i obu nas gładził
I co raz wyżej po za stołem sadził,
Lecz gdy już trzeci kubek był wypity,
Rzekł pan Maruszka: A chodim na ćwity!
To sia pokaże, cy nam bartnyk szczyry?
I cy nachodyt do toj naszoj wiry?”

Bartnik był z młodu, jak to mówią, bity,
Więc na te słowa tylko głowę gładził
I gdy do swojej pasieki wprowadził,
Rzekł dając króbkę: „No zberajcie dity.“
Pachu tam było! i w całym ostępie
Fijołków wonnych kępa tuż przy kępie.
I pan Maruszka tylko się uśmiechał
I kładąc głowę do téj wonnej krobi,
Chwalił moc Bożą, co to wszystko robi,
I wonią onych fijołków oddychał.

Pociechyz było, gdyśmy do świetlicy
Krobię przynieśli, a niewiasty z cicha
Uwiły wieńce dla Boga Rodzicy
Z onéj wonności wdzięcznego kielicha.

Gdyśmy jechali już w powrót do domu,
Rzekł pan Maruszka: „Nie mówić nikomu,
Żeśmy fijołki zdobyli dla pana;
I przyjdiesz do mnie z relikwiarzem z rana,
Gdy się poczynać mają służby twoje,
I sam w fijołki relikwiarz ustroję.“

I tak się stało, i kiedy zobaczy
Pani relikwiarz, to klasnęła w dłońie:
„Czémże to w łasce pan mię raczyć raczy?
Jakież to wdzięczne! a jakże to wonie!“
I była dla mnie pani łaska taka,
Iż przyczyniła piórko do kołpaka.

I gdy usłyszał o tém pan bez bawy,
Że o fijołki wygrana w tym roku,
Zwołał dwór cały do swojego boku
I na świadectwo wezwał do téj sprawy;

I razem z panem ciągnął dwór weselny
Do onych progów miłościwej pani,
By dać raczyła aparat kościelny
Za rok bieżący, dla Hetmana w dani,
I rzekła Pani: „Nie, dopiero wierzę,
Że wygrał sprawę, kto wraca z kościołka;
A gdy się porać znają tak rycérze,
To mnie nie dostać na wiosnę fijołka
I igłą tylko chyba służyć mogę,
I gdy relikwiarz nie ja wianki wieńczę,
To siostrę pańską zakonną niebogę
Ślęcząc przy igle na ten rok wyręczę.“

Był bowiem zwyczaj na hetmańskim dworze,
Gdy o fijołki zakład pan przegrywa,
To siostra pańska, co ksienią w klasztorze,
Zakonną igłą ornaty odszywa.
I zwykle w samą rocznicę wygranęj,
Kapa lub ornat leży rozesłany
Na wielkim stole w królewskiej komnacie.
I dwór się cały dziwi onęj szacie.

Póki fijołki nie obeszły wonne,
Szele pan Nowina mnie codziennie świeże,
I co dzień świeżo w wianuszki zakonne
Relikwiarz pański rankiem się ubierze.

Było z południa, i w dniu onym prawie,
Gdy państwo sprawę miało o fijołek,
Kiedy wszedł nagle do celi pacholek
I w skok do pani zawezwał mnie żwawie.
A więc szabelkę i kołpaczek biorę,
Ale się bardzo zatrwożyłem w duchu,
Bo pan u pani bawił pod tę porę,
Więc przy oponie stanąłem w posłuchu.

I pani rzekła po chwili w czułości;
„Wyjdź do przedsionka i wprowadź tu gości.“
Idę z rozkazu, lecz nie wiem co znaczy,
A pan i pani za mną wyjrzyć raczy,
Więc jeszcze większe dziwo: co być może?
I ledwom wierzył oczom.

„Wielki Boże!

Ta to Sufczyzna moja miłościwa
I stary łucznik poczciwy nasz Cywa,
Niby Anioły wyciągnęli ręce.“
Więc już nie dbając na świadki panięce
Padłem im do nóg! i tak bardzom szlochał,
Że choć mię z ziemi Sufczyzna podniosła,
Choć i Pan cieszył i Cywa ukochał:
To żalność w duszy co raz większa rosła,
Bo to dopióro i Sufczyzna sobie,
Wywodzić żale poczęła w żałobie:

„A dziecię moje! a któż ci opieką?
Pan Bóg wysoko, a rodzic daleko,
I dwór nasz pusty, matuleńka w grobie,
A ja się kąpię co dzień w łzach po tobie,
Komuż to jeszcze, dobrzy ludzie, komu
Być już na służbie i w hetmańskim domu?“

Hetman znał Cywę już od Obertyna,
Więc gdy lamenty rozwiódła Sufczyzna,
To wziął łuczniaka z przedsionka za sobą,
A nas zostawił z płacziwą żałobą.
I pani kojąc żal dobrymi słowy,
Jak czynić lubią święte białogłowy,
Tak bardzo sercem Sufczyzny zawładła,
Że łzy otarła i na ziemi siadła

Tuż przy stołeczku miłościwój pani,
Tak była dobrą i dla mnie i dla niej.

Sufczyzna miała przy sobie kobiele,
A więc po chwili do kobielei wstaje,
Pod srebrną misę drogi rańtuch ściele
I trzy pisanki ze czcią mi podaje,
I rzekła: „Panie! ja jak wierna sługa
Święcone jaje niosę w wasze ślady:
Jedna od ojca, a za matkę druga,
Trzecia pisanka będzie od gromady.“

Gdym ujrzał misę dobrze sercu znaną,
Wizerunkami Świętych opisaną,
Na której tylko opłatki się daje
Raz na rok w domu, lub pisane jaje,
To jużciż było rozczulić się nad czém
I wielkim znowu zalałem się płaczem.

I wstała pani, i po chwili małej
Wniosła na tacce bardzo okazałej
Zaś trzy pisanki Sufczynie na wzajem:
„Gdy w domu naszym to dziecię ostaje
To my za niego dzielimy się jajem,
I niech ta tacka w kościele zostaje
Na tę intencję i waszą i moją,
Aby Bóg wielki był mirowi zbroją,
Aby o ludziach i sierocie radził
I do gromady dziedzica sprowadził.“

Lepiej znał Cywa, niż sądziłem zrazu,
Pana Hetmana; bo to na podsłuchy
Chadzał do Węgier z pańskiego rozkazu
I nie raz służył panu w sprawie kruchój;

Toż i poznałem, jak to trzeba ważyć
Służbę maluczkich, i przetał mi oczy
On łucznik Cywa, jak pan umie zażyć
Wszelkiego człeka, gdy się sprawa toczy

Jakoż i teraz była pańska wola,
By Cywa listy wziął do Tarnopola,
I bućim mego rodzica odwiedził;
A w rzeczy samój kazał pan, by śledził
Między Ormiany od strony Pokucia,
Czy z Carogrodu nie ma tam poczucia?

I rzekł mi Cywa: „Czasem człowiek marny
Z Ormian lub z Greków, z Węgier lub z Wołoszy
Będzie się prosił, to służba junoszy
Niech da znać panu bez bawy, bo zdarny
Człowiek być może i bardzo służebny,
Choć się na oko wyda niepotrzebny.“

W stołowej izbie podano śniadanie,
Tu i Sufczyńkę pożegnałem w drogę,
A kiedy z Cywą przyszło pożegnanie
Rzekł mu pan Hetman: „Tak puścić nie mogę
Cóż ty za łucznik? gdy moje pachole
Bez łuku chodzi? Wybierz łuk z cięciwą,
Niechaj od łuku poczyna w téj szkole
I pierwszą strzałę napnij mu życzliwo!“

A więc do baszty, gdzie chowano zbroje,
Powiódł nas Hetman, i łuk obrał Cywa
I pierwsza strzała była tak szczęśliwa,
Że utrafiła w same czarne kroje.

I pan dać kazał dla Cywy stępaka,
A sam przeżegnał do tego pochodu,

I była dla mnie pańska łaska taka,
Żem odprowadził Cywę aż do zwodu.

Z zieloną wiosną była i pociecha,
Bo pan Maruszka brał nas przy sokole,
A w samą wiliję Świętego Wojciecha
Raz pierwszy wyszła i chorągiew w pole.

Więc i dwór cały, więc i pan i pani
Stają w dniu onym na zamkowym wale,
I gdy chorągiew przesunie wspaniale,
To pan Maruszka nawet jój nie gani,
Lecz do Czeszejki na ucho powiada:
„Cóż panie bracie? nie lada, nie lada!“

Po za chorągwią gnał Soroka stary
Tabor wielbłądów ze swemi Tatary,
I w żywe oczy jest pogańska turma
I w dzikie głosy ozwała się surma.

Książd Melchior wyszedł i w komży i w stule
I gdy pod wałem rotmistrz ludzi zchopił,
Święconą wodą chorągiew pokropił
I do obecnych rzekł słów kilka czule.

Stary Czeszejko był to rycérz stary,
A wielkiej cnoty i rycérskiej wiary!
Przez całą zimę nikt o nim nie wiedział,
A latem w stołku na wał noszon bywał
I przy słonecznej baszcie zwykle siedział
I w dzień pogodny w słońcu się wygrzewał...
Wielkie książd Melchior miał z nim zachowanie,
I kiedy słońce nad zachodem stanie,
To i książd Melchior z swój celi wychodzi,

I z wałów okiem za chorągwią wodzi,
A pan Czeszejko mówi jaka sprawa,
Na jakie szyki rotmistrz rozkaz dawa?
A kiedy ciągnie w powrót po pod wały
Z ćwiczeń wojennych on poczt okazały,
To stary rycérz pomstuje i sławi,
I choć niechętnie ksiądz Melchior go słucha,
To pan Czeszejko przecież swoje prawi
I co dzień jedno powiada do ucha:
„Ej będziez mięsa! gdy posuną w dzicze
Za sprawą Pańską skrzydlate orlicze.“

Na dworze pańskim nikt nie uczył prawie,
Lecz na co spojrzeć, to wszystko uczyło,
Otóż czém dłużej i patrzę i bawię,
Tém téż z dniem każdym miléj sercu było,
Bo służba szkołą, szkoła była służbą,
A pan Maruszka był zycżliwym družbą
I wodził sercem po drodze służebnéj
I zawdy trącił do luki potrzebnej.

Do pola z nami brał tylko Maisze,
Bo piérwsze, mawiał, pole na pachole,
To niech i piérwsze będzie na sokole,
Więc i ptak taki, jacy towarzysze.

I pan Maruszka puszcza z konia ptasze
Na płochą zdobycz, a my patrzym na to
Siedząc na wózku, jak bije zatrata
Sokół z wysoka na pociechy nasze.

Raz jadąc z nami wziął z sobą do pola
Ćwika starego Aldabona króla,
I jadąc ptasze kołysał na pięści
I ufał w sercu, że Pan Bóg poszczęści.

Jakoż zaledwo u jeziorka staniem,

Ujrzał kaczora pan Maruszka na niém
I puścił ptaka; więc strzelił i mierzy
Wążąc się w miejscu, a potem uderzy
Z góry tak silnie, że kaczór się zwinął
Na jedno cięcie, i ubity spłynął.
I siadł Aldabon znów na pięści strojnie
I niby gołąb' trzymał się spokojnie
I była dla nas w dniu tym łaska taka,
Że pan Maruszka dłużej w polu bawił
I sławne dzieje królewskiego ptaka,
Ducha ogrzawszy z miłością nam prawił,
I słońce miało się już do zachodu,
Gdyśmy stanęli u wielkiego zwodu.

Zamek hetmański był bardzo budowny,
Dobrémi baszty i mury warowny,
Szedł od rodzica nieboszczyka pana
Odbudowany znova za Hetmana,
Miał trzy dziedzińce, baszt dziewięć i wieże.
W dziedzińcu pierwszym cały dwór się bierze,
Brama wspaniała przed wielkimi zwody
I wniście główne na krakowskie wschody.
Wschodów tych było tylko dziesięcioro
I Mojżesz trzymał w przedsiönku tablicę
W świadectwie oném, że domu dziedzice
Od dziesięciorga początek tu biorą.

Na wprost tych wschodów kaplica zamkowa
Drogości wiele i piękności chowa,
I wiecznie lampy w téj kaplicy świecą
Przed Sakramentem i Boga Rodzicą,
I wszelkie serce i wszelkie kolano,
Czy wchodzi drogą znaną, czy nie znaną,
Wszedłszy na wschody bardzo się ukorzy
I daje pokłon Rodzicielce Bożej;

A ztąd już obchód w koło niby wiankiem
Po czarnej tafli panieńskim krużgankiem.

W drugim dziedzińcu, niby oko w głowie
Stała chorągiew, więc i rotmistrzowie
I pułkownicy gdy na zaciąg zjadą,
I towarzysze mieszczą się gromadą;
A szara czeladź z wielbłądy, z Tatory,
Na którą chodził tam Soroka stary,
W trzecim dziedzińcu miała stanowisko
I na tatarską furtkę chodzi nisko;
Tam już i łowcy i psiarnia i sieci,
Ot i nie jedno czém dwór pański świeci
I co karane bywa i obite,
Przed okiem ludzkim bywało zakryte.
Pan w gniewie swoim zwał to „smoczą jamą“
I smok Soroka, kiedy się już parał
I po turecku z Tatory wykarął,
Nie było żartu pod tatarską bramą;
I kogo z zamku wyświecił Soroka
Temu już ludziom nie pokazać oka,
Bo pan raz tylko, kiedy się rozgniewał,
To wykarany w progu już nie bywał.

Nigdy z dziedzińca jednego na drugi
Nie wolno było chodzić, i posłuchem
W dziedzińcu swoim trzymały się sługi
I bramy po dniu zamknięte łańcuchem.

Rycerską była hetmańska komnata,
W sprzęty uboga, lecz z ducha bogata,

Łoże żelazne, po niem łos się dawał,
Przed łożem leżał czarny niedźwiędź duży
Za łożem kostur z pątniczój podróży.

Stół marmurowy w środku izby stawał,
Na nim krucyfiks, z prawej puhar turzy,
Z lewej był brewiarz złotem okowany,
Przed krucyfiksem leżała buława,
A matka Boża patrzyła ze ściany.
W głowach tarcz złota, jasna domu sława,
I szyszak złoty, pancérz i koszula:
Był to dar wdzięczny węgierskiego króla:
Zresztą fałdystérz, pułka i pulpitek,
Stoczek i pieczęć i owo sprzęt wszystek.

Pieca nie było, tylko komin duży
Zimą i latem ku ogrzaniu służy.
Sam Hetman palił, a kiedym się nadał,
To mi pozwalał, abym ja dokładał,
I gdy się rzuca do tego paliwa,
Hetman łaskawie mówi mi: „Ej basta!
Bo Waść mi suchą buczynę wyszasta;
A czy nie widzisz, że gore Leliwa?”

Komin był tarczą wyłożony zdarną,
A gdy płomienie wężem ją ogarną,
Ogniem wychodzi on klejnot panięcy
I znak to bywał, by nie palić więcej

Drzwi osłaniała opona szkarłatna
I przed komnatą był mały przedsionek,
Po prawej była tam komora szatna,
Po lewej były balnea.

I bieży

W górę ukryty rzemień aż do wieży,
Gdzie był od wielkiej trwogi pański dzwonek;
Głos jego znała zamkowa załoga,
I gdy się ozwał, znać już wielka trwoga,

I że sam Hetman czyni trwozę polną,
Bo go pod gardłem tknąć nie było wolno.

Każdy miał służbą zdane stanowisko
I czém narabiał, bywał przy tém blisko,
A kiedy dzwonek na trwozę zadwoni
We dnie, czy w nocy; to już bez rozkazu
Każdy za swoje, do koni i broni,
Głosu nie słychać, lecz służba do razu,
I straż podwójna na wały i zwody
I straż do skarbca i warta przed wschody,
A już i rumak przed wschodyma rwie się
I znak hetmański pan Maruszka niesie.

Od skarbca swego dał mi pan po roku
Klucz, co miał dzwonek, i klucz ten u boku
Z rozkazu pana nosiłem za pasem,
A więc i skarbiec poznałem za czasem
I nigdy wprzód i nigdy już potem
Takich jam skarbów w oczy nie widywał,
Boć to w trzech sklepach on skarb chowan bywał,
A wszystko było srebrem albo złotem;
Szafy i skrzynie, skrzynki i skrzyneczki
Różnego stroju i różnej wielkości,
Z dołu do góry półki i półeczki,
A wszystkie pełne przedziwnych drogości.

Bo tu chowano i najdroższe zbroje,
Więc i klejnoty i dziedziczne stroje
I wszystkie srebrne i złote zastawy
I z pokolenia niewieście wyprawy.

Od jednych schowków sam pan miewał klucze,
Od drugich pani, od trzecich marszałek,
A pan Maruszka znał każdy kawałek;
Ot i znać wszystko od niego się uczyć.

O nowém lecie zawdy skarb się mnożył,
Boć z duchownego, z świeckiego senatu,
Każdy coś w darze téj buławie złożył,
Co tak zwyczajko przyświadczała światu.
I każdy pragnął z panem się weselić
Przy tym ołtarzu kochanej ojczyzny,
I myślał o tém by miał czém obdzielić
Hetman rycerstwo, i poczciwe blizny.
I była wdzięczność wszystkiego zawodu
O nowém lecie sercu bardzo jawna:
I niesie naprzód w darze od narodu
Kalendy panu Akademia sławna,
Za nią dopiéro posły i prałaty
Od senatorów i księży pastérzy,
Niosą i dary i wdzięczne obiady
Na ręce pańskie dla polskich rycérzy,
A więc sygnety w kosztownym puharze,
Oprawne szable, drogie buzdygany,
Wdzięcznie oddawał każdy poseł w darze
I pan odbierał każdy on dar dany.

Kiedym raz piérwszy patrzył na te blaski,
Rzekł od biskupa on prałat Kujawski
Na srebrnej tacy podawając złoto:
„To na podkowy składa biskup oto!“
I pan Maruszka, co tam stał na stronie
I nawet świadczyć nie lubiał mamonie,
Gdy się ksiądz prałat ozwał w one słowa,
Wystąpił w kole i wszystkim powiada:
„Ja o głos proszę! — Nie lada! nie lada!
To pastérz Boży! podkowa.... podkowa“...

Trzy jak mówiłem były w skarbcu sklepy:
A w piérwszym sklepie składano te dary,

Co się godziły, niby na traf ślepy,
Z rozkazu pana dla rycerskiej wiary
I kiedy Hetman sam upatrzy porę,
Szle mnie do skarbcza, i w on czas do razu
Sygnet, czy szablę, czy buzdygan biorę
I pierwszy lepszy podaję z rozkazu.
A różnej ceny były tam drogości:
Więc sam pan Hetman czasem kroki prości,
Lub pan Maruszka koło tego chodzi,
Że to lub owo dla człeka się godzi,
I sam nareszcie daje ręką szczérą,
Coby być mogło służałemu mirą.

Gdzie się Dunajec z Białą zeszedł bujnie,
Hetmańskie stado pasażo się czujnie,
W gaistych wikłach i w cieniu jarzębi.
Kiedy ruszyło, aż kamieniec dzwoni,
A gdy je pławią w Dunajcowej głębi,
Aż piana leci na brzeg i od koni,
Tak wysokiego żłobu były źrébcy,
Więc i przy stadzie ludzie byli krzepcy.

Stary Zaręba był pańskim stadniczym
A gdy podpędzić dał na błoniu stado,
Aby stanęło przed pańskim obliczem,
To w miejscu wryte jest za jego radą
I już z daleka patrzy źrébiec w oczy
I ani pierzchnie, ani bokiem skoczy,
Kiedy go Hetman objężdża do koła.
Klacz mrozowata, nazwana „Dróżbiną,”
Kiedy pan Hetman pokazał się ino,
Rżąc, niby źrébiec, witała od czoła.
Za nią poważnie stary kozioł kroczy,
Którego zwano na zamku „Przeorem“

I aż na strzemie do pana wyskoczy
I całe stado patrzy za ich wzorem....

Hetman „Dróżbinę“ witał dobrą wołą,
Oklepał w koło i dał chleba z solą,
A potem kozła wytargał za brodę,
Bo lubiał jego służby i urodę,
I po „Dróżbinie“ najwięcej mu sprzyjał,
Więc dać mu kazał gorzałki (bo pijał),
A kiedy krzyknął:

„Na morze Przeorzel!“

To wpływ mój kozioł, a za nim w bezdroże
Z szumem zatapia się stado i płynie
I stać już tylko przy panu „Dróżbinie,“
Co dobrze znała, że nie o nią chodzi,
Kiedy pan stado po Dunajcu brodzi....

W on czas pan zwykle stawał sam na brzegu,
Wskazując zdatne źrębie do szeregu:
„Miły Zarębo! proszę tu do boku,
Bo kiedy spłyną, miejmy je na oku;
To same wydry! i bacz no jak dążą.
A to jelenie, bo obłędem krążą,
Te do orczyka będą w sam raz dobre,
Te do chorągwi, bo znaczą na chobrze.“

A potem jeszcze radząc się, dokładał:
„Jakież mój bracie Zarębo twe zdanie?“
— „Rzekłeś! „za zwyczaj stary odpowiadał
Nie ma co radzić, z rozkazu się stanie!“

A dodać tutaj jeszcze i to muszę,
Że do pławienia stada Hetman kusze,
Kiedy te górskie przybięrały wody,
Bo znać chciał zdatne źrębce do przygody,

I gdy co słabszy czasem z wodą spłynie,
To kiwnął ręką: „Niech co marne ginie!”

Kiedy pojono konie, a koń wrażał
Łeb wyżej chrapów i poił się chciwie,
To już koń taki panu się nadarzał,
I pan Zaręba patrzył go stróżliwie.

Kiedy wracamy bywało od stada,
„Dróżbina“ z nami, ale zawsze z przodu,
A gdy już blisko rzy i pędzi rada
I staje pierwsza u wielkiego zwodu
A kiedy łańcuch zwodowy opada,
Pierwsza w dziedziniec przed wschody i basta!
I stoi karnie i strojnie i zręcznie,
Chociaż dwór cały do koła się szasta,
Póki jój pani nie powita wdzięcznie.

Przez lat dwadzieścia siadał Hetman na nią
I z wojskiem wszystkiém znała się i z panią,
Przed gankiem w żłobku stał pośrótowany
Jęczmień, i kubeł z miedzi wykowany,
I sama pani pilnowała wody,
Żeby „Dróżbinie“ była na ochłody,
Gdyby się chciała w dziedzińcu napić.
A gdy wróciła z panem znów od stada,
Nuż wszyscy w zamku i pieścić i stroić
W pióra, czapraczki, i bywała rada,
Jakby „Dróżbinę“ ukochać, ugościć,
Jakie posłanie na nocleg wymościć?

Prosto z dziedzińca szła izba stołowa,
Więc gdy po dzwonku drużyna zamkowa
Na dary Boże zbierze się pospołu,

Słysząc stuk w sieni, drzwi na ościarz stają,
I jak gościowi wielką rękę dają;
A tu „Drózbina“ przychodzi do stołu
I pan ją chlebem, pani raczy gruszką
I każdy głaszcze i pieści od stoła,
A ona idzie powoli do koła,
Aż gdy się spotka już z panem Maruszką,
To na ramieniu jego łeb pokłada:
I naprzód długa bywa ich tam rada,
A potem klęka „Drózbina“ po radzie
I za Maruszką na ziemi się kładzie,
I on ją głaszcze po moroziej grzywie
A służba w około obchodzi stróżliwie....

Gdy wszyscy wstają — „Drózbina“ nie wstaje,
Lecz leży sobie i klepać się daje,
Aż gdy już próżno na izbie stołowej
Dopiero wraca w dziedziniec zamkowy
I tam już daje sam pan jój odprawę:
„Hej szła a sama!“ i jak kłaśnie w dłonie,
To już do razu uderza z kopyta
I prosto w bramę ziemi brzuchem chwyta
I rzy i buja i wraca na błonie,
A tam dopiero w stadzie jaka rżawa,
Kiedy szerść wszelka odzew matce dawa,
Co tam radości i co wrzawy w stadzie,
Jak się tam każde i niesie i stroi?!
Nawet Zaręba i kozioł na zadzie
Zanim się stado trochę uspokoi....

Dzielne rumaki chował pan z Tarnowa.
W koło dziedzińców szły wałowe stajnie,
Maszternia pańska, wszystkiój sprawy głowa,
Była od wnijścia, a wielbłądy skrajnie
W trzecim dziedzińcu chowano z Tatary,

Chodził nad niemi tam Soroka stary
(Bo Sorok miewał wielbłądów pod sobą),
Do stajni była wpuszczona piekarnia
(Boć palić trzeba im zimową dobą);
A za Tatarem była tylko psiarnia.

Osobna była na wielbłądy surma,
Soroka czynił: i tatarska turma,
Kiedy się wali przez dziedziniec pański,
To w żywe oczy jest tabor pogański.
Boć on Soroka, co mu chadzał z przodu,
Chociaż był chrzczony i Wołoszyn z rodu,
Był przez lat wiele w tatarskiej niewoli,
Otóż i jego wielbłądy one
Rycérskiej sprawie trzymał Hetman gwoli,
Aby rumaki nie były płoszone,
Gdy się zejść przyjdzie z taborem pogańskim.
Więc je chowano tam przy stadzie pańskim,
Więc i pędzono pod chorągiew w turmie
Razem z Tatary przy pogańskiej surmie,
Aby już strachy nie poszły na lachy,
Gdy dobyć przyjdzie w boju onój płachy,...

W trzecim dziedzińcu, na tatarskim wale,
Dawano z zamku hasło do obroku,
I ta już służba padła na mnie stale
Z rozkazu pana po upływie roku;
I gdy dochodzą na całym zégarze
Czasy obroku, to biegnę z komnaty
Razem z Irenem na wałowe straże,
I palić daję na wale z harmaty
I wszystka stajnia odzew rzeniem dawa
I w trzech dziedzińcach oraz straszna rżawa....

Kuźnie hetmańskie, gdzie zbroje kowano,
Miał pan Maruszka od dawna pod sobą

I nie raz bierze mnie do kuźni rano,
A nieraz nawet już i nocną dobą,
Kiedy się ważna ukończa robota,
W płatnerskiej kuźni od hartu lub młota,
Bo nikt się nie znał tak na harcie stali,
Jak pan Maruszka; i w rycérskiej kuźni,
Gdzie byli ludzie i zdadni i różni,
On wszystkich uczy i sam młotem wali;
A kiedy hartu siódmego doberze,
To pancernicy i wszyscy płatnerze
I sam pan Hetman i dobrzy rycérze,
Aż się wydziwić staleniu nie mogą
I broń choć nowa, ceni się już drogo.

Żalił się na to, że mu bardzo z laty
Ręka cięższe: otóż co raz cięższe,
Otóż urabiał tak ważne bułaty,
Że im nie radzą chłopcy i najtęższe,
A pan Maruszka gdy wagę poczuje,
Mówi, że siła dopiéro się bierze
I że dopiéro ręka się prostuje
I jakby Bóg kazał, chodzi w samej mierze.

Mawiał, że sprawa rycérza ozdabia,
Więc rząd i zbroja, a kto czém narabia
Znać się powinien z rzemiosła i z sądu
I z nakorynku i z samego rzędu
Na tém, co dobre i na tém co zdadne
I co rycérstwu wszemu jest popłatne?

To téż pan Hetman mawiał żartobliwie:
„Maruszkę tylko staw przy końskiej grzywie
I byczą skórę daj mu z dziś na jutro
I szynę stali i chłopca bez sęka,

A już tam oni do doby ci utrą
Konia i chłopa, i w rządy to obszyją,
Więc i broń dadzą i pancerz z Maryją,
Tak tam szczęśliwa i sposobna ręka!“

Około koni wysokiego złobu
Rotmistrz Kulesza zwykle się obierał,
Bo był do koni wielkiego sposobu,
I kalwakaty i koła otwierał.

Wprost okien pańskich przed izbą Hetmana,
Gdzie pierwsze słońce zagładało z rana,
Był do tej sprawy porządny dziedzieniec
I tam rumaki najeżdżano w wieniec
Już utargane i ostatniej ręki,
Ażeby jaki źrębiec, co zabijał,
Był tu już karny i czuły i miękki
I niby panna w tańcu się przewijał,
I gdy go zażył przed panem koniuszy,
To i samopał kładź mu między uszy
I rów przesadzi i przez płot przeskoczy
I jak gadzina wielbłądowi w oczy
I już nie lęka proporca, ni zbroi,
Trąby ni strzału, lecz jako mur stoi!

Czy to bywało zima, czy też lato,
W otwartym oknie patrzy Hetman na to,
I tylko czasem słoweczkiem doradza,
A pan koniuszy czyni i dosadza....

W tym to dziedzińcu pod hetmańskim okiem
I jam się uczył jeździć naprzód krokiem,
W słotę, pogodę zarówno, co ranka,
A klacz srokata zwała się „Pisanka,“

Lecz nie koniuszy bywał, kiedym siadał,
 Tylko sam Hetman do konia układał;
 A w kole bywał pan porucznik Gruszka,
 A bronią czynić uczył pan Maruszka:

Więc sprawą naoczną,
 Więc sprawą zasiebną,
 Na nogę wyskoczną
 I na nogę grzebną,
 Na kord i na drzewiec,
 Po kotle i trąbie,
 Na prawiec i lewiec,
 Nie skłuje, to zrąbie!

I pókim nie znał się z wszelaką bronią,
 Pókim nie umiał wszystko czynić konią,
 Póty mnie Hetman w tém kole niewolił
 I w świat wyjechać nigdy nie dozwolił,
 Bo mawiał: „Młody ma się ćwiczyć w ciszy!“
 Ztąd też nie mały był dziw towarzyszy,
 Gdy mnie ujrzano na wyskocznym koniu,
 Kiedym za panem raz pierwszy po błoniu
 Jako hetmański giermek sunął sprawnie.
 Było we dworze i dziwno i sławnie,
 I sama pani świadczy nie poślednio,
 Bo mi pan wszystko kazał czynić przed nią,

I sprawą naoczną,
 I sprawą zasiebną,
 Na nogę wyskoczną
 I na nogę grzebną....

I trzy okładem ubiegły już lata
 Wszelkój nauki na hetmańskim dworze,
 A jeszcze miewał na niedźwiedziu łożę,
 Choć już po trosze brałem się do świata,

Choć ni w czytaniu, ni w służbiem nie zmylił .
I czynić konią i bronią się silił
Jako najlepiej; wprowadzie i ta zbroja
Nie wielką była i „Pisanka“ moja,
I na te lata tępo jakoś rośłem,
Przecież przy panu na giermka się niosłem
I nie raz słyszę, jak w rycérskim kole
Z cicha mówiono: „Sposobne pachole!“

Nie darmo mówią, że pana po dworze
Poznasz do razu i po jego stole,
A gospodarza to poznasz po wole
I kiedy zagon wołem swoim orze.

Miał też pan także powolnych włodarzy,
Bo czterech Łyczków wielkiego sumienia
Okolo roli pańskiej gospodarzy,
I tak zabiega koło tego mienia,
Że i bez krzywdy ludzkiej się pomnożył
Majątek pański prawie w tylo troje;
A i kmieć porósł i sługa odłożył
I było o czém chadzać na te boje;
A więcéj Hetman o swém groszu chodził
Niż o królewskim, abo o daninie,
Zwłaszcza gdy harce z Tatarami zwodził.
Tedy ksiądz Marcin, co był w téj rodzinie
Głową i starszy między swymi braty,
Dziekan Tarnowskiéj onéj kollegiaty,
Zawsze i grosza przed czasem naładził,
Ludzi i chleba wczesnie przysposobił,
I aż na szlaki to wszystko wysadził;
A przy pomocy Bożéj Hetman pobił!
Nie raz to nawet ksiądz dziekan dać musi
Pod wszystko wojsko podwody w prędkości,

Kiedy już Tatar rządzi się po Rusi,
A śpieszno padnie poczęstować gości,
Tedy pan Hetman biegał z tą odsieczą
Aż na podwodziech, a hurt luźnych koni
Każdej chorągwi na potrzebę goni,
Niby tabuny na podolskie szlaki,
Gdy na podwodziech ludzie i kulbaki,
Aby co prędkiej wzięść Tatara z przodu
I odbić łupy i ludzi z jassyru
I oddać wszystko pocziwie do miru
I pomścić krzywdy króla i narodu.

Pan Hetman mawiał: „Tatarska potrzeba
Więcej biegania, niżli tego boju.
Gdyby ksiądz Łyczko nie ratował w znoju
I podwód nie dał i nie napiękl chleba
Do Tarnopola i od Tarnopola,
Z hańbą by przyszło powracać do króla;
A że się hańbie człek opędzić musi,
Przyszłoby głową nałożyć na Rusi“.....

Otóż ksiądz dziekan, choć tak wielkiej sprawy
A ja biedota, bywał mi łaskawy!
I kędy spotka, podtyka pierniczki,
Jabłka i gruszki i jarzące świeczki,
Bym mógł od siebie ofiarę zapalić,
Gdy przyjdzie sercem Maryję pochwalić.
Wiedział pan Hetman o tém i powiadał:
„Ksiądz Dziekan psuje mi one chłopięta,
Możem ja chłopcu dziś pokutę zadał?
A tu potucha. Niech Bóg nie pamięta!“
Więc dziekan na to: „Już ja się nie boję
W chłopcu zgorszenia, najdzie to na swoje!

Byle tam takie bywało zgorszenie,
Jakie Łyczkowie w domu pańskim dają,
Wezmę je jeszcze na moje sumienie!...“
I z śmiechem zwykle z sobą się rozstają.

A jam znał w sercu, że z dniem każdym prawie
Lepiej stawałem w służbie i w zabawie.
Raz się był tylko na mnie pan rozgniewał:
Dzielny tam harcérz w towarzyszach bywał,
Więc pan Kulesza, co im gospodynił,
Kazał mu siadać na godniejsze źrebce
I nawet w kole przed panem rzecz czynił,
Chociaż pan mawiał: „Coś mi tam źle szepce
O tym harcérzu!“

Otóż raz gdy toczył
W kole niewielkiém, tak trzy płoty skoczył,
Że pan Kulesza aż się podniósł dumnie,
A pan mu klasnął:
„Masz Waść łaskę u mnie.“

Znano we dworze, co to słowo znaczy,
Że pan go pewnie sygnetem uraczy.
Otóż gdy z wyżłem pan wyszedł na pole,
A jam przy pańskim bawił się sokole,
On to towarzysz podchodzi z nienacka,
Naprzód sokoły, a potém mnie cacka,
Potém do stajni z sobą uprowadza,
Pozwala głąskać konie i podsadza,
Potém mię wywiódł aż na skrajne skrzydło
I chciał mi srébrne darować wędzidło,
Gdybym do skarbcza poszedł i naładził
Sygnet co droższy, a jak pan rozkaże
Dać sygnet jemu, abym on podsadził,
To mu godniejsze dostanie się w darze.

Mówił, że panu mało o to chodzi,
A i chudzinie przecież się coś godzi.
Bardzo namawiał i upraszał szczerze
I wziął na ręce i wyniósł na wieże.

Tu mu przyrzekłem, że sygnet upatrzę,
Ale wędzidła nie chcę i w tém stoję,
Że choćby było wędzidło najgładsze,
To go nie wezmę, bo się Boga boję!
Więc na tém stało.

Zniósł mię z górnej wieży
I jako prosił, jam sygnet nagodził.
Lecz gdym ze skarbca cichaczem wychodził,
A wyżeł pański do nogi mi bieży,
To przed oczyma stało mi się ciemno,
Bo w wielkim gniewie stał już pan przedemną.

Już on towarzysz był w krużganku schwytan
I coby czynił na wieży, wypytan;
Bo wzrok sokoli Hetmana nas zoczył
Z dalekiej łąki, więc porzucił łowy
I jako piorun prędki i gotowy
Już był i w zamku i w krużganki kroczył
I iskry z oczu i jak lew się zjeżył;
„Gdzie klucz od skarbca? klucz, którym zawierzył?”
Klucz mi padł z ręki, skarbiec się otworzył,
Pan wyniósł sygnet, którym był odłożył:
„Co to ma znaczyć?!”

I rzekł do marszałka:
„Wszak zawszem mówił, że to skurczypałka
Ten rudy harcérz! Więc skończyć z nim trzeba,
Nie będzie dłużej psuł tu mego chleba,
Bo kiedy gorszy dziecię przy mym boku,

Czego nie zrobi on po szarym tłoku?!
O dziękuj Bogu, żem nie w polu stał,
Bo jak Tatara ściąćbym ciebie dał!“
I rzucił ręką:

„Won tego oberwę!

Dać go Soroce tam na Smoczą jamę
I precz wyświecić za Tatarską bramę!“

A na mnie krzyknął:

Pójdź sam! Nequam serve!“

I w całym zamku postrzyżone słuchy,
Kruźganki drżały i strapione duchy
I wszystkich boli, że się stało szpetnie.

„Klęknij tu w środku!“

Rzekł pan do mnie gniewnie.

Więc już myślałem, że mnie Hetman pewnie
Na gardle skarze i sam mieczem zetnie,
Bo sacra ira pono nie pogroźka.
Spojrzałem klęcząc, aż tu pan Maruszka
Stoi przy panie, ale bardzo sumny,
Jakby znał w sercu, że mnie już do trumny.

— O Chryste panie! krzyknę jak zpod noża,
A Hetman na to: „Znaj co wola Boża!
Co wiara chłopcze! co Bóg i co cudze!“
I Ewangielię o niewiernym słudze
Czytać mi kazał aż po siedem razy,
By słowo Boże nie poszło na płazy
Czytałem tedy z wielkiem utrapieniem,
A kiedym skończył, pyta pan: „Czy boli?“
Padłem mu do nóg duszą i sumieniem
I rzekł łagodnie:

„Chodź po Bożej woli!

I znaj, że szatan umie stawiać sidła,
Bóg wielki strzegł cię, żeś nie wziął wędzidla!
Wstań i chodź w Panu! gdyś się duchem zbożył
I już na żywot miej sobie pogrózkę“
I klucz od skarbca przy buławie złożył
I zdał już resztę na pana Maruszkę

I pod buławą leżał klucz dzwoneczny
Całe dwa lata i z trwogąm go mierzył
I aż dopiero znałem się bezpieczny,
Gdy mi pan skarbiec na nowo powierzył.

Był to dzień dla mnie wielki i szczęśliwy,
Bo i pan Hetman był mi miłościwy
I pan Maruszka wziął nas obu w pole,
Obu już jezdnych, obu przy sokole,
A gdy po myśli poszły one łowy,
O Aldabonie opowiadał dziwy
I dziwnie brało to się młodej głowy.

„W ziemi hiszpańskiej i w bitwie ostatniej,
Kiedy już wzięto do śmiertelnej matni
Wszystkie rycerstwo one maurytańskie,
Przypadł do pana na rękę z sokołem
Giermek nieletni i uderzył czołem
I rzekł: „Gdy wszystko ginie, co jest nasze,
Uderz w te piersi! lecz szanuj to ptasze!“

„Pan się załości jego ulitował,
Więc mu i konia i zbroję zostawił,
I jak człek wolny przy orszaku bawił
I w wielkiej pieczy one ptasze chował.
Nie chciał z giermkami jeść z jednego kotła,
Bo jak mówiono, był wielkiego rodu.

Więc po upadku swojego narodu,
Nawet i łaska hetmańska go gniotła
I sechł i czerniał w czułości gorącej,
I oczy świecą jak węgiel jarzący.
Zrozumiał Hetman, co go w duszy piecze,
Więc puszczał wolno, czy może uciecze,
Lecz on jak sokół wracał do niewoli,
Bo na niewolę zdał się w dobrej woli,
I jadał tylko nietknięte owoce,
A w gwiazdy patrząc jęczał całe noce.
„Ve victis!“ mawiał pan Hetman żałośnie,
„Biędna chłopczyna w téj niewoli skostnie.“
Otóż gdy jeńców przepędzano tłumnie,
Chłopcu się z oczu opuściły strugi,
I rzekł mu Hetman: „Gdy chcesz zostać u mnie,
To wybierz z jeńców, kogo chcesz na sługi.“
I na te słowa łaskawe Hetmana
Wyskoczył naprzód i krzyknął donośnie:
„Kto tu żyw jeszcze z sług mojego pana?“
I siedmiu jeńców stanęło żałośnie:
„Z wszystkich sług wiernych my już tylko żywi!“
— „Więc do méj służby ja was odtąd wzywam,
Co przy sokole tu za giermka bywam.
Widzę, że każdy z was się temu dziwi?
Otóż da każdy gardła po méj woli,
Kto po imieniu nazwie mnie w niewoli.

„I czuł to każdy, że mu było z rodu
Władnąć nad ludźmi i słowem i duchem,
I one jeńce szły wielkim posłuchem;
A kiedy Hetman miał się do pochodu,
To aby one pachole ukoił,
Dał dzielne konie i jeńców uzbroił
I pacholęciu dodał do orszaku,

I tuż przy panu stawał wedle znaku
Dla onych Maurów namiotek osobny
I poczt chłopięcia był bardzo ozdobny,
Kiedy za panem w tym pochodzie ruszy,
Choć wielka żałość była w jego duszy.

„Gdyśmy przez morze przebrnęli okręty,
To w ziemi włoskiej, mówił pan Maruszka,
Wysłał galary pod nas Ojciec Święty.
Więc z Rzymu prosto znaczyła się dróżka
Lądem do Polski, ale że to z boju
I koń i człowiek zapragnął po znoju
I trochę wczasu i trochę spoczynku,
Że ziemia ona wielka z upominku,
Więc w onój ziemi miło było bawić
I dzieje sławne za drugimi sławić.
Toć i z rycerstwem, co się do nas garnie,
Czynim wycieczki w rycérskim szeregu
I łowim ptaszki sokołami zdarnie
Po skałach onych i po morskim brzegu.

„Raz więc, gdy ruszył taki orszak dworski
Wzdłuż brzegów morza, patrzym zadziwieni:
Z łabędziem w walce zjął się orzeł morski,
Aż fala morska pod niemi się pieni
I orzeł bije, a łabędź się broni,
Więc i raz po raz orzeł w górę pędzi
I bije z góry, chodź łabędź się chroni
I wpił już szpony do szyi łabędzić,
I patrzym wszyscy, stojąc morza blisko,
Jako się skończy to ptasie igrzysko?
Aż on Maur młody, co szedł z nami w pole,
Pomknął do brzegu i puścił sokole.
Zmieszał się Hetman, bo sądził że żarty,

I kiedy w górze odezwał się dzwonek,
Zawisł Aldabon jak drobny skowronek
W obliczu walki niczego nie warty!
I długo z góry walkę królów mierzył
A potem nagle jak piorun uderzył
I tak się szpony łba orlego czepił,
Że go i szpony i dzióbem oślepił.
Kiedy w łabędzia wpił się już zaciekle
I sokół z orłem rzucił się tak wściekle,
Że oba w górę unieśli się lotem:
I padł na morze orzeł oślepiiony,
Jakby był nagle strzałem ugodzony,
A sokół w górę poszedł wielkim zwrotem
I po trzech cięciach i łabędź się zwinął
I z falą morską ku brzegowi spłynął

„Tedy on giermek: „Ha patrzcie psy giaury!
Jacy to byli na królestwie Maury,
Jacy tam króle, gdzie takie sokoły!
I jam syn książąt i orle téj szkoły!“
I koniem jeszcze po brzegu potoczył,
I razem z koniem z brzegu w morze skoczył,
I nad bezednią tylko wir się kręci,
Ale co dzielne, nie ginie w pamięci!

„Jako on giermek chciał to mieć z rozkazu,
Nikt go po rodzie nie nazwał i razu
I na dnie morskiém była tajemnica
I rodu jego i losów rodzica,
Bo żaden z jeńców nie zeznał nikomu,
Kto był on giermek i jakiego domu?

„Długo się się jeszcze on Aldabon płochał
I wszystkich niby o pachole pytał,

A gdy go w końcu pan Maruszka schwytał,
Jego już tylko za czasem ukochał;
I gdy wracali z wojen w ziemie nasze,
Na jego pięści kołysze się ptasze,
Po onym giermku zabrane w puściznie,
Sławne za morzem i w polskiej ojczyźnie!“

KSIĘGI WTÓRE.
HETMAN I ŚMIERĆ JEGO.

A. D. 1548 die resurrectionis Domini.

Działo się w święta samej Wielkanocy
I Chrystus powstał w wielkiej niebios mocy,
Lecz po ulicach i rynkach Krakowa
Kupi się naród i milczenie chowa,
A dzwon królewski na lament uderzył,
I wielka żałość, bo król Zygmunt nie żył.

Było ztąd wróżby i żałoby wiele,
Że nam nie padło w święta się weselić,
Ale się przyszło żałobą obdzielić,
Kiedy Bóg ojca na mary nam ściele,
Co wypiastrował całe pokolenie
I w obec swoich i w obec postronnych
Stał w tak wysokięj miłości i cenie,
Jako pan z panów po Bogu zakonnych!

Hetman królowi przymknął miłościwie
Strudzone oczy na wieczne pokoje,
I bram zamkowych kazał strzedz stróżliwie
I sam królewskie opatrzył podwoje;

Poczęm na zamku przywdział szaty czarne,
 A gdy je wdziewał, znał że wszystko marne,
 I czarnój delii nakrył się kapturem
 I siadł na konia i okiem ponurem
 Spuszczając się z zamku powoli do miasta,
 Więc tłum narodu z każdą chwilą wzrasta,
 I na Podzamczu zaroił się rynek
 I musiał stanąć i podniósł buławę,
 I choć tłok wielki, uciszono wrzawę;
 A Hetman z konia:

„Wieczny odpoczynek!“

I upadł naród wszystek na kolana,
 Koło kościołka świętego Idziego,
 I pierwszy paciérz żałobny za pana
 Odmówił z cicha klęcząc pod buławę,
 Bardzo żałośny po stracie onego. . . .

Z kilką dworzany jechałem w orszaku
 I było bardzo mi na duszy łzawo,
 Pan choć nie jeździł za zwyczaj przy znaku
 I przy buławie (co w zawiści rani),
 Kazał hetmański znak ponieść przed sobą
 I jął buławę, by znał, że hetmani
 Naród okryty po królu żałobą.....

Tłum wszelkich stanów Hetmana otoczył
 W onym pochodzie i koń w miejscu kroczy
 I pełno zewsząd pytań żałobliwych:
 „Jakże król skończył?“

— „Śmiercią sprawiedliwych“

Hetman każdemu mówi miłościwie.

„A jakże długo w ojczyźnie panował?“

— „Przez lat czterdzieści i dwa nam królował“
 Powtarza Hetman co chwila cierpliwie.

Inni wołali: „A wiele żywota?“
— „Siedemdziesiąty i drugi rok skończył.“
I znowu żale: „A miłość! a cnota! . . .“
„I na Wielkanoc z nami się rozłączył?! . . .“

Całą godzinę, a może i więcej
Z zamku do rynku, gdzie jest dom hetmański,
Jechał pan wolno przez ciżbę tysięcy
I o téj śmierci opowiadał pańskiéj
I o żywocie nieboszczyka króla!
I płakał naród na te opowiedzi,
Ale sam Hetman nic się nie rozczuła,
Lecz jak okuty na tym koniu siedzi.

W bramie hetmańskiéj onéj kamienicy
Czekała pani bardzo żałobliwa,
I wielu panów ze łzą na źrenicy
I jest spłakana u rumaka grzywa.
Gdym z siodła skoczył i ujął za strzemię
I gdy pan w końcu spuścił się na ziemię,
Bo aż na konia kładł się lud płaczący,
Po wielkiéj stracie bardzo bolejący,

I ledwo wytchnął, już w kolebkę siada
I do biskupa jedzie dzielić troski,
A był biskupem Samuel Maciejowski.
I już zebrana była wierna rada
Ku służbie swojej, w biskupiéj stolicy.

Ze słowem Bożém i żalem w źrenicy,
Powitał Biskup Hetmana u progu:
„Tak się Hetmanie podobało Bogu!“

Hetman uchylił mu głowę z pokorą,
I przystąpili do téj rady skoro:

Więc i w skok posły do Litwy wysłano,
Aby Zygmunta Augusta zaprosić,
Co miał Majestat po rodzicu nosić;
Boć go na króla w narodzie obrano
Zgodnemi głosy za zeszłego króla,
Więc tylko k'niemu naród się przytula.

Jakoż i zjechał szczęśliwie do ziemi:
I wyjechali na ono witanie
Koronne pany poczty ozdobnemi
Przed króla swego, co przy Litwie stanie;
I po kozacku było ich najwięcej
I tak tam stanął nawet huf panięcy.
Bo się to Litwie najlepiej podoba,
Gdy równo strojne są narody oba.
A krzywo patrzy, kiedy armaturą
I pancernymi jest Korona górą.

Więc i hetmański poczt wystąpił z gracka,
I pan Maruszka, co jako chorąży
Znak niósł przed panem, ubrał się z kozacka
I na czerkiesie przodem hufu dąży,
A i nam nawet kazał dać kołpaki,
Jakie przy królu nosiły chłopaki.
Kiedy dwór wszystek po kozacku stawał,
Hetman sam tylko przywdział zbroję złotą,
I nikt w dniu onym załoby nie dawał
Poznać królowi, lecz czynił z ochotą!

Bardzo pocziwie było powitanie
I wjazd na państwo stał się u Krakowa,
Lecz kiedy w zamku wyszła na spotkanie
Matka królewska i po królu wdowa,
Z trzema córami a siostrami króla,

Kirem nakryta, z córami łkająca,
Tedy dopiéro i król się rozczuła,
Więc i łza padła żałości gorąca
I podniósł matkę i te siostry swoje
I ciesząc sercem wiódł je na pokoje.

Oprócz świeczników Litwy i Korony
Nikogo tedy niepuszczano w bramy,
Ustał huk harmat i ucichły dzwony,
A z żalem swoim pozostał dwór samy;
I było bardzo cicho w całym mieście,
Gdym znowu wrócił do księdza Melchiora
I do pacierzy przyszło klęknąć wreście,
Bośmy już późno wrócili ze dwora.

Tedy ksiądz Melchior w łasce mi powiada:
„Po dniu tak wielkim czuwać nam wypada,
Z Jagiełłów krzewu rószczka to ostatnia,
Co się skłoniła do cedrów Libanu,
I pięknie stoi w Bogu Litwa bratnia
I w zgodzie z Litwą Korona przy panu,
Więc i Ruś pono będzie rada temu,
Że po kozacku powitano króla,
Bo czém do boju żelazna koszula,
Tém dla narodu zgoda po staremu.

„Dzień przesuszylem, to mi przynieś miodu
I zaprosz pana Maruszkę tu do mnie,
Wszakże należę także do narodu,
To i pocieszyć chciałbym się dziś skromnie.“

Węborek miodu wziąłem od szafarza,
A kiedym pana Maruszkę zaprosił,

Widzę, że prośba bardzo się nadarza,
Bo po kozacku myślami się nosił
I wielkim krokiem po masztarni chodził
I po swojemu dumki już zawodził.

Kiedym na stole postawił węborek,
Tedy do ojca pan Maruszka powie:
„Nie ma co mówić, pięknie tu w Krakowie,
Lecz to dla serca ciasny jakiś dworek!
Czy im tak dobrze, czy tak źle tu było,
Że się to w mury i na kupę zbiło?
Tu nie ma nawet kędy puścić oka,
A przecież ziemia pod nami szeroka?”

Na to ksiądz Melchior: „Coś bardzo z junacka
Waszmość poczyna i kozackim strojem,
Odkąd was Litwa ubrała z kozacka,
A po Krakowie wypada pokojem,
Boć tu kościoły i tu nasze dzwony
I Świętych Pańskich na ołtarzach kości
I wszystkie one klejnoty korony
I wszystkie one narodów miłości;
Więc kubek z sobą wypijmy w Krakowie.“
Jakoż wypili za królewskie zdrowie.

Przy trzecim kubku rzekł mu pan Maruszka:
„Na że i tobie! bo cię znam za zuszka;
Dobrześ dziś czynił i konią i bronią,
Na tarcz i drzewiec, tak zawsze wypada:
Korona z Orłem, a Litwa z Pogonią
Ależ i dzwony, dzwony tu nie lada!
Jeszcze mi w głowie i wyje i huczy,
Jakby po bitwie, lub stepowój tużczy!

„Prawda, że dawno nie byłem w Krakowie,
Bo raz ostatni po pamiętnéj bitwie
U Obertyna, i czy to po Litwie,
Czy po tych dzwonach, dość, że huczy w głowie!“

— „Tedy nie było królewskiego dzwonu,“
Rzekł mu ksiądz Melchior — „zeszły król go ulał,
Gdy nad upadkiem wiary się rozczulał
I dać świadectwo chciał wierze od tronu.

„Żył sługa Boży w tynieckim klasztorze,
Co więcej wieku przeżył na pustyni,
Niżeli z bracią, do niego w pokorze
Król się uciekał, kiedy vota czyni.
Więc gdy odpadać począł od kościoła
Naród w niełasce, tedy król zawoła
Z leśnej pustyni widzącego człeka:
I na rozdarcie narodu narzeka
I pyta jako odwrócić złe tropy
I naprowadzić znów na Boże stopy?“

„Tedy pustelnik powiedział królowi:
„Każesz dzwon ulać, jakiego nie było,
I dasz na wieżę w twojéj stolicy,
A gdy uderzy w duszę Bożą siłą,
Ockną się się jeszcze téj ziemi dziedzicy,
I choćby wszystko poszło nawet marno,
To się do Boga i jedności zgarną
I błogosławić jeszcze i w żałobie
Będą ci królu na tym twoim grobie....
Ale wielkiego trzeba bardzo dzwonu,
Aby upomniał w Panu do posłuchu
I zgarnął znowu do Boga i tronu,
Boć lud twój broi, choć potężny w duchu!“

Ja ócz nie zamknę i nie spocznę w Panu,
Aż nie usłyszę głosu w mój pustyni
Onego dzwonu z chwałą Twego stanu...“

„Więc jako radził, tak téż i król czyni,
I wielkim głosem dzwon królewski woła
W imię narodu, w jedności kościoła!

„Do chrztu dzwon podał bardzo uroczyście
Sam król z narodem i „Zygmunt“ mu dzieją,
Krakowscy cieśle uczynili czyście
Wspaniałą ławę i z dobrą nadzieją.
Po onęj ławie ciągnięto na wieżę
Dzwon najwspanialszy w Rzeczypospolitéj
I król z królową sam się za to bierze.
Przez ślubny pierścień i przez powróż lity
Ciągną z narodem dzwonów do dzwonnicy,
A ława brała początek wspaniały
Od samych węglów biskupiej stolicy,
I zawisł z chwałą on dzwon okazały
Na wielką chwałę królewską i Boską,
I większym głosem, niż dotąd słyszany
Bywał w téj Polsce, odezwał się troską,
Płacząc żałośnie na Chrystusa rany,
I król się w onęj żałości ukoił,
Bo znał, że naród puklerzem uzbroił
I że głos wielki onego puklerza
Odnowi w ziemi i z niebem przymierza
I wielkiém słowem na naród zawoła
I wezwie jeszcze do pańskiego stoła
I do jedności w radzie i w kościele,
Choćby i upadł i pobłądził wiele.

„Więc téż usłyszał także w swéj pustyni
Głos tego dzwonu on to sługa Boży,

Co panu radził i ofiarę czyni
Bogu na chwałę powstawszy z rogoży,
Gdy się dzwon ozwał nigdy niesłyszany,
Płacząc żałośnie na Chrystusa rany“.

Skończył ksiądz Melchior, ale bardzo sumny
Był pan Maruszka, i znowu powiada:
„Ha mówię Ojcu! nie lada, nie lada!
Możnaby nawet złożyć się do trumny,
Bo straszno w głowie i wyje i huczy,
Jakby po bitwie, lub stepowej tuczy!“

Ksiądz Melchior zmówił modlitewkę krótką,
Gdy pan Maruszka odszedł na spoczynek,
Rzekł do mnie w łasce: „Idź spać moja rutko!
A po dniu wielkim chowaj upominek“.....

Król był na Litwie, poślubił w skrytości
Bardzo mu miłą po Gasztołdzie wdowę,
I w tajemnicy były związki owe,
Póki król rodzić był jeszcze przy życiu!
Lecz gdy postąpił po Jego Miłości,
Trudno tam było to chować w ukryciu,
Że wziął Barbarę z domu Radziwiłłów,
Bo Zygmunt August chciał ją koronować
I przy swym boku jak królowę chować.
Na to powstały wichry szaławilów,
A czołem wichrów zdawna w téj Koronie
Był on Piotr Kmita, człek bardzo obrotny,
Lecz i zły bardzo i bardzo przewrotny,
Więc się na burzę zaniósło przy tronie.

Król był na Litwie panem i dziedzicem,
A choć małżeństwo taił przed rodzicem,

Jawnie już czynił po rodzica zgonie
I w obec Litwy postawił na tronie
Basieńkę swoją, jak polską królowę;
Lecz było nad czém zakłopotać głowę,
Kiedy z małżonką zjechał do Korony,
Bo inne prawa téj Polski a Litwy,
I kiedy Bona poostrzyła brzytwy,
To złość uderzy tak na gwałt we dzwony,
Jakby dom stary i dziedzictwo Piasta
Pogrzebać miała królewska niewiasta?..

Bo Bona z Kmitą, a Kmita z biskupy
Tak się tam związał w tym sojuszu gniewnym,
I takie złości ziały z pod skorupy,
Że król na tronie nie znał się już pewnym
I tylko tyle było jeszcze miru,
Że nie przystało zrywać tego kiru,
Jaki wziął świeżo naród w swój żałobie,
Że nie przystało biédz za pędem wiru,
Bo król na marach leżał w wielkiej chwale
I być miał złożon wprzód jeszcze w grobie,
Nim na potomka szarpną się zuchwale.

Król po królewsku trwać w zamiarze raczył:
I jak naślednik i dziedzic pogrobny
Wilię świętego Jakóba wyznaczył
Na dzień pogrzebu i na chléb żałobny.
I już o świcie ozwały się dzwony
I wyruszyły cechy i zakony
I dzwon królewski na lament okrutny
Po panu swoim z nad zamku uderzy,
Zwiastując żale Litwy i Korony:
I wszystek w kirze stanął naród smutny

I każdy żalem stratę ziemi mierzy,
Aż już wyruszył orszak pogrzebowy.

Tedy niesiono przodem mar trzydzieści,
Suto okrytych w barwne złotogłowy,
Strojne herbami ku narodu cześci.

Chorągwie nieśli dopiero za nimi
Jadąc w kirysach chorążowie ziemi,
A już na czele onego orszaku
Z orłem koronnym Chorąży nadworny
Na białym koniu wiodł poczet wyborny,
I wszystkie znaki szły po onym znaku.

Chorąży pański niósł zaś w onój dobie
Miecz goły, ostrzem zwrócony ku sobie.

Tutaj dopiero wszystkich ziem posłowie
Szli po kolei, jak się ziemia zowie,
Kiedy z kolei w boju, czy na radzie
Chorągwie stawi, albo vota kładzie.
Za nimi jechał w zupełnym kirysie
Jan Tarło, dzierżąc goły miecz w swym ręku
I siedział bardzo okazale w łęku,
Bo i koń w zbroi, a skóry tygrysie
Opięły barki i pańskie siedzenie
(Król od cesarza był dostał tę zbroję),
A za rycérzem jechał na skinienie
Giermek królewski, niosąc drzewo swoje.

Tedy dopiero szedł już przed marami
Senat koronny, pełen wielkiej troski,
I miecz niósł Wolski, Kmita szedł z sceptryami,
Tęczyński z jabłkiem, a mój pan Tarnowski

Jako w ojczyźnie trzymał jój obronę,
Z buławą w pasie poniósł tę koronę.
Ja niosłem w on czas wraz z małym Bobolą
Kraj szaty pańskiej za tą pańską wolą,
I już za nami szły królewskie mary,
A na tych marach leżał Zygmunt Stary!
Za onych panów kołem dygnitarskiem
Szedł orszak dworzan z wielkością świec lanych,
W żałobnym kirze po panu odzianych.

Pomiędzy postem czeskim a cesarskim
Szedł król pośrodku za trumną rodzica,
I szła królowa zapłakawszy lica,
I książę pruskie, hołdownik Korony,
Wiódł ją po jednej, a od drugiej strony
Służył margrabcie pani w tym pochodzie,
I książę prymas z biskupy pospołu
Prowadził kondukt — i był płacz w narodzie,
Że przyszło ojca złożyć już do dołu.

Mszę miał ksiądz Prymas, i wszyscy pastérze
Całej Korony służyli mu do niej;
Poczem w kazaniu dał świadectwo w wierze
Ksiądz Biskup Samuel, więc i każde słowo
Solą mądrości i kadzidłem woni,
Co mu z ust wyszło nad deską grobową,
Wszystkim obecnym wydało się prawie!
A kiedy pacierz śpiewano w odprawie:
Tedy obrzędkiem tych zwyczajów starych
Wjechał kiryśnik i giermek w podwoje,
Otkawszy hełmy i tę całą zbroję,
Jako jest zwyczaj wielością świec jarych.

Na Agnus Dei wiernie poskładali
Koronne pany na ołtarzu w cześci
Sceptra królewskie, tedy hełm od stali
Król o ziem rzucił w serdecznej boleści,
I miecz, margrubic, książę pruskie, tarczę,
Cieszyńskie, drzewo, i lud się rozżalił,
Bo przed ołtarzem drzewo już złomano,
Więc i kiryśnik w żałości się karcze
I sam przy marach z konia się powalił,
I tu pięczęcie potłukli kanclerze
Starego króla, a nowe im dano
Wznak, że nastało nowe już przymierze . . .
Poczem przed kościół wyszli wszyscy społem
I postawiono mary przed kościołem,
Kędy jest wnijscie do onego dołu,
Gdzie Jagiełłowie spoczęli pospołu.

Tedy po polsku rzecz bardzo żalobną
Miał do narodu biskup Maciejowski.
I biskup Kromer oracyę osobną
Miał po łacinie — i ksiądz Orzechowski. . . .
Króla złożono w Jagiełłowskim grobie,
Który uczynił za żywota sobie,
A przez rok cały nawet ludzie prości
Kirowe szaty nosili w żałości
I z dobrej woli naród sobie zbrania
Wesołych śpiewów i tańców i grania,
Tak wielka żałość i w sercu i w licu
Była po panu i królu rodzicu.

Gdyśmy z pogrzebu wrócili do domu,
To wejść do pana nie wolno nikomu
Było dnia tego i tego wieczora,

Tak się z żałością cicho w sercu nosił;
Aż pan Mielecki późno się już wprosił,
Więc i Maruszkę i księdza Melchiora
Kazał pan jeszcze zaprosić do siebie,
I milcząc siedli przy żałobnym chlebie.

Sama im pani służyła przy stole,
Wziąwszy mię tylko i Jasia Bobolę
Do téj usługi sobie do pomocy,
Więc nie zmróżyłem ni oka téj nocy.

Gdy po wieczerzy odeszła już pani,
Rzekł pan do gości: „I już spoczął sobie
Pan mój sędziwy i leży już w grobie!
Kto pokróluje i kto pohetmani?
Kiedy zaledwo grób jeszcze zawarty,
A tu już senat i naród rozdarty
Rwie się na króla, za co? że wziął żonę?
I w Bogu daną chce odjąć koronę?
I znam i czuję, że mnie to pochowa.“

Poczém rzekł krótko panu Mieleckiemu:
„Kiedy zostanie buława i wdowa,
Jak cię uczyłem będziesz radził temu.
Tyle po pana mego dziś pogrzebie
Daję ci synu przy żałobnym chlebie.“

„Gdy noc bezsenna tak nam razem padła,
Pokrzepmy ducha słowy Apostoła.“

Przyniosłem księgę, co się zawsze kładła
Na noc przy panie, i nie wstając zgoła
Noc przesiedzieli w pobożném czuwaniu
I listów Pawła Świętego czytaniu.
Aż kiedy w zamku na jutrznię zadzwonią,
Zmienił pan szaty i do Tyńca konią,

I miał ksiądz Melchior przed najświętszą Panną
Tedy na Tyńcu piérwszą mszę poranną.
A ja świętością téj nocy przejęty
Służyłem ojcu do onéj mszy świętój.

Król trzymał pana hetmana przy sobie,
Bo gdy rodzica pochował już w grobie,
Bardzo się z razu w téj koronie trwożył,
A znał to dobrze, że jedno Tarnowski
I jeden biskup Samuel Maciejowski
Był mu podporą, więc kiedy sejm złożył
Na Święty Łukasz listy do Piotrkowa,
I pan przy królu zjechał tam z Krakowa.

Rzecz się poczęła w sejmie od witania:
Jan Sierakowski, mąż wielkiego zdania,
Miał rzecz od posłów piekną i wymowną
I przypominał: jako w łasce Boskiej
Królował Polsce on dom Jagiełłowski,
Tedy bywała wolną i warowną,
Więc i upomniał króla miłościwie,
Ażeby stapał w przodków swoich strzemię
I tak sam sądził i rządził te ziemie,
Jako mu podał koronę szczęśliwie
Naród z miłości za króla rodzica,
Darząc koroną jeszcze królewica
Za dni królewskich wielkich oną chwałą,
Czego wprzód w dziejach nigdy nie bywało. . . .

Na majestacie pełen wielkiej troski
Bardzo wzruszony Zygmunt August siedział,
I na tę mowę biskup Maciejowski
W imieniu króla posłom odpowiedział.

Po powitaniu, gdy król kanclerzowi
Kazał od tronu czynić rzecz potoczną,
Koło poselskie służby swój odmówi,
I występuje z niechęcią widoczną:

Piotr Boratyński powstał tu od koła,
Że sejm spraw żadnych nie tknie owo zgoła,
Aż stan królewski jako mu przystoi
Opatrzon będzie, bo król pojął żonę
Bez wiadomości i téj rady swojej.
Więc praw narodu podjęto obronę,
I z wielkim żalem i w wielkiej pokorze
(Czego za ludzkiej pamięci nie znano)
Posły przed królem ugięli kolano,
Że mu Barbara żoną być nie może!

Król poruszony (i nie tyle groźbą,
Ile wylaną wolnych głosów proźbą)
I z tronu powstał, i zdjął czapkę z głowy
I prosił posłów serdecznemi słowy
W tak wielkiej sprawie o namysłu chwilę,
A po namyśle, rzekł im tylko tyle
Nie przez kanclerza, ale sam od siebie:
„Co tutaj powiem; widzi Pan Bóg w niebie,
Rzeczpospolitą nad żywot przekładam,
Lecz ona jedno na méj wierze stoi,
A jeśli wiarę złamię żonie mojej,
Gdzie będzie pewność, że szwanku nie zadam
Prawom narodu? i wiary nie złamię
Wobec korony? jeśli żonie skłamię?“

Tedy Dzierzgowski biskup nie pochwalił
Onych słów króla, gdy przyszło na vota,
Mówiąc, że insza jest dla króla cnota,

A gdyby w sprawie król o grzech się zalił,
To on podzieli grzech tego rozwodu
Na cały naród, a praw téj korony
Nie da pogwałcić, gdy podjął obrony
Jako senator wolności narodu,
I poszli wszyscy biskupi za Kmitą,
I cały senat świecki i duchowny
Stał wbrew królowi w onéj sprawie słownéj.
Za królem tylko stał hetman Tarnowski,
Broniąc małżeństwa i biskup krakowski.

I była jeszcze schadzka posłów z radą
I wicherzył Górka i dokuczał Kmita,
Lecz gdy napróżno wstręty panu kładą
I gdy ujrzeli, że wola niezbita,
To się ta sprawa przesilać poczęła
I z innéj strony na króla uderzą:
Bo wskok do pactów od onego dzieła
I tak się posły z radami sprzymierzą,
Iż zażądali: by król do Korony,
Litwę i Prusy i Zator przysądził,
I nie przez siebie w Rzeczypospolitéj,
Lecz przez nią samą w téj Koronie rządził,
I w rzeczach sądów i w rzeczach obrony.

Tedy Tarnowski, gdy tak sobie zaczęną,
Bardzo wymownie rzecz uczynił baczną:
„To naprzód żony a teraz korony
Przeczycie panu?“ Ale złości Kmity
Większe niż cnota Rzeczypospolitéj.
Więc odparł bardzo ostro i gorąco
I poszli posły za tą radą wrzącą,
Jakby nie było króla, ni senatu.

Tedy dał znaki swego majestatu
Król, za dekretem koniec sprawie dawszy,
Posłom odprawę i wicherzom Kmity,
Votum hetmana od tronu uznawszy
Za zdrową radę Rzeczypospolitój,
Obwołać kazał te królewskie sądy;
I gdy tak skończył swawolne nierządy,
Z sprawiedliwością wielką tego roku
Sądy odprawiał, idąc w dobre ślady,
Pana hetmana wezwawszy do boku,
I krakowskiego biskupa do rady.

Co widząc posły, a i ci panowie,
Co przeciw panu w onym sejmie stali,
Precz się do domów swoich rozjechali,
I tak się skończył pierwszy sejm w Piotrkowie.

Królowa Bona nie chciała synowój
Widzieć na oczy, lecz królowna Anna
Pełna mądrości onój Jagiełłowój,
Choć młoda jeszcze i cicha i panna,
Rzekła do Króla, w czas, bardzo nieśmieiele:
„A zapchaj gardło złotem temu Kmicie,
To wszystko zmieni o czasu nie wiele,
I lżejsze będzie panu memu życie.
Dopóki rodzic władał w tój Koronie,
Był już ochelznał z laty tego Kmitę,
Lecz podniósł głowę dziś po jego zgonie
I wniwecz puszcza tę Rzeczpospolitę;
Pana nowego próbują stałości,
Więc baczyć trzeba tu Waszój Miłości!
Szczęście, że hetman stoi wam przy boku,
I jak go znamy, nie sfolguje kroku,

Pani Kmicina, niewiasta pobożna
I krewna Basi, a Kmita jest dumny,
Toć przez Kmicinę zbliżyćby się można
I miasto wichrów dojść sprawy rozumnej.“

(O téj to radzie pani hetmanowa
Raz mi mówiła, kiedy od królowny
List odebrała życzliwy i rzewny
Bawiąc w Wielowski na ten czas jak wdowa).

Król poszedł tedy za królowny radą:
I kiedy Kmitę z małżonką zaprosił
Do Niepołomic, to oboje zjadą
I nie tak wcale już się Kmita nosił,
Ale był panu tak bardzo powolny,
Iż kiedy Zygmunt przez swój list okólny,
Wszemu rycerstwu sprawę był ogłosił
Małżeństwa swego, nie było już mowy,
By dłużej kozły królowi już stawić:
Lecz przecie w sercu każdy był gotowy
Małżonkę pańską jak panią w Koronie
I koronacyę Barbary odprawić
I obok króla posadzić na tronie.

Kmita Królowi musiał pofolgować,
Lecz radom onym, co przy tronie stali,
Pragnął w swéj złości wszystko odwetować,
Więc gdy na drugi sejm znowu zjechali,

A. D. 1550

Tedy w Piotrkowie tak się rozparł Kmita
I radzie pańskiej począł się nadymać,
Iż biskupowi z téj pieczęci kwita,

Którejby nie miał dłużej jeszcze trzymać
Przy tém biskupstwie, jakie dzisiaj trzyma,
A po hetmanie żądał, aby zwrotem
Dał sandomiérskie starostwo na potém,
Bo w dożywocie dawane być nie ma,
I biskup Samuel widząc te niechęci,
Bardzo szczęśliwy złożyć te pieczęci,
I Jan Tarnowski zdał starostwo skoro,
Choć już wysłużył tyle dziesięcioro.

Król był obesłał swe uniwersały
I rady swoje wszem w obec przekładał,
Przeciw tym listom powstawał sejm cały,
Więc i uchwałą to królowi zadał,
Aby nowémi listy sam złagodził
Te rady swoje dane narodowi,
Bo sejm chce chodzić, a i będzie chodził
Około dobra Rzeczypospolitój,
Bo król przez siebie rady nie stanowi,
Lecz radą stanów miałyby być powity.

Tedy wbrew wszystkim powstał Jan z Tarnowa:
„Kiedy nie serca, to ma radzić głowa!“
I one listy królewskie pochwalił,
Bo król onémi błędną wolę stalił,
Więc i lekarstwem uznał zdanie stałe,
Na animusy ludzkie rozbieżale
I na te rany Rzeczypospolitój,
A jeśli prawem ma być król spowity,
To i swawolę spętać by potrzeba,
Bo za swawolą pójdzie kara nieba.“

Tedy posłowie ostro przełożyli:
Przeczby u króla władzę swą zgubili

Radni panowie? I tak dopuszczali
Wszystkiego panu? bez rady? po woli?
Więc i na nowo żądania podali
Sejmu zeszłego, jakoż onym gwoli
Król nie przez siebie miał w Koronie rządzić,
Lecz Litwę, Prusy i Zator przysądzić
Polsce, na własność Rzeczypospolitej
I miał jój prawem być tylko spowity.

Tedy był poszedł w onęj rzeczy słownej
I senat świecki i wszystek duchowny
W sporze z posłami za zdaniem hetmana,
Więc też niczego posłom nie przyznali,
Ale bronili bardzo mocno pana,
By z mocy króla sądów tych nie brali,
Sprawiedliwości nie tamując toku,
Bo bez tych sądów ludzie być nie mogą
I królewskiego na ten czas wyroku
W prawach i krzywdach uciśnięci srogo.

Posły powstawszy na radę i króla,
Niczego sprawić nie mogli w tym sejmie,
I nowa sprawa jeszcze się roztula
I obie strony stanęły w rozejmie:
Bo już i u nas podnosiły głowę
Owe nowinki w wierze i w kościele,
I sejm zatrudnił Orzechowski śmieie
I bardzo skory na praktyki nowe:
Choć był kapłanem, chciał brać sobie żonę;
Tedy Dziaduski, ksiądz biskup przemyski,
Między biskupy pozbiérawszy kréski,
Chciał mieć te sprawy srodze pokarcone.
A i te wichry poszły znów od Kmity,
Bo w Leskim zamku siadywał ukryty

Ksiądz Orzechowski, kiedy klątwę rzucił
 Biskup na niego, i w Kmitowym domu
 Była ta panna, ku której się zwrócił
 I wziąć za żonę umyślał bez sromu.
 Gdy Orzechowski chciał za sobą czule
 Rzecz mieć do króla, biskupi powstawszy,
 Wzbronili tego surowo po stule:
 „Nie będziesz słucał Królu najłaskawszy
 Mowy człowieka, który błądzi zgoła
 I od karności odbiega kościoła.“
 A choć za księdzem Kmita próby wnosił,
 Król rzecz rozwiązał i sądy ogłosił...
 I tak się skończył on synod piotrkowski.

Chociaż się w radzie zaburzyło srodze,
 Król z dobrém sercem powracał do żony,
 Wielu mu panów służyło w téj drodze
 I nikt nie bronił Barbarze korony;
 Ale oddali należną poczciwość
 Jako królowej; toż także i Bona
 Przez godne posły okazała tkliwość,
 Jako synowej, wcale rozbrojona;
 A on Piotr Kmita, co mówił, że laski
 Przenigdy w życiu przed nią nie podniesie,
 Z hołdem najpiérwszy do królowej rwie się
 I Radziwiłła szuka nawet łaski
 I sam, co żony tak królowi bronił,
 Koło téj sprawy najzarliwiej gonił:
 Jakby koronę podać tej królowej?
 Bo gdy nie było w sejmie o tém mowy,
 Doradził panu, by ją koronował,
 Gdy książe pruskie będzie mu hołdował.
 I tak się stało jeszcze tego roku,
 Że król koronę włożył na jój skronie

I jak królowę trzymał ją u boku,
Przyjmując hołdy powinne koronie.

Ale nie długo Barbara koroną,
A król się cieszył ukochaną żoną:
W kilka miesięcy piękna pani zmarła,
A z takim żalem śmierć mu ją wydarła,
Że go pocieszyć nie było sposobu,
I sam na Litwę jechał za jój ciałem
I w żalu bardzo po stracie wytrwałym
Sam Radziwiłłom oddał ją do grobu.

Kiedyśmy z panem wracali z Krakowa,
Rzekł pan z nienacka panu Mieleckiemu:
„Wojna się pono znaczy po staremu
I pójdzie ręką, bo się modłę senny,
A gdy się zbudzę, to nie zgubię słowa,
Ale bez przerwy ciągnę pacierz dzienny
I patrzę tylko ciągle po klepsydrze
Jak w czasie wojny, czy już nie docieka?
Więc pewnie bięda gdzieś Tatarą wydrze
I może na nas już coś doma czeka?”

Jakoż mi kazał dobyć na noclegu
Pan tę klepsydrę: był to pierścień duży,
Co niby zegar znaczył czasy w biegu,
Więc też na wojnach zawdy panu służy.....
W nim to klepsydra z dwóch pereł złożona,
Pyłkiem rubinu w środku napełniona,
Mierzyła czasy na kościelne straże
I pan przełożyć zawdy pierścień każe,
Gdy jedna perła cała już zbieleje.
Wielkie z pierścieniem wiązały się dzieje:

Pan Szydłowiecki dał go w upominek
 Panu za młodu, i kiedy docieka
 Nocą klepsydra, pan się zawsze budzi:
 „Więc zmieniać strażę!“ powiada do ludzi,
 A sam odmawia „Wieczny odpoczynek“
 Za duszę niegdyś pana Kasztelana
 I po klepsydrze mierzy noc do rana.

A. D. 1551.

O nowém lecie przybyli Ormianie,
 Rybę i ikrę wioząc od Limanu
 I na podzamczu zajęli kurzenie,
 A więc znać zaraz dają o tém panu,
 Pomny na ono przykazanie Cywy,
 Że być tam może człek bardzo służebny,
 Chociaż na oko zda się nie potrzebny.

Jakoż wiódł tabor człek już dobrze siwy,
 Który rok rocznie z panem prawie bywał
 I dobre słuchy o Tatarach miewał;
 Tento powiadał, że się Orda burzy
 I że na wiosnę w zagony się zbierze
 I wszystko najazd bardzo wielki wróży,
 Bo odnowili wszędy złe przymierze.

Więc pan wyprawił na nowe podśluchy
 I kazał trzymać w gotowości duchy
 I dał znać o tém do rady i króla,
 Że już i wojsko jest u Tarnopola.
 Więc i po ziemi wici zatyczono,
 By w całej ziemi dać ogniste znaki,
 Kiedy już wpadną Tatarzy na szlaki.
 Jakoż i wpadli — i z wiosną zieloną

Ruszył pan hetman z Tatarami w taniec,
Gdy z listy przypadł od granic wybraniec.

Na dwa tygodnie przed onym pochodem
Pan Starzechowski przybył z pocztem swoim:
Wszystko tam było bardzo wielkim strojem
Wcale gotowe, więc do Lwowa przodem
Pan go wyprawił, a sam z Sieniawskimi,
Z panem Mieleckim i z chorągwią swoją
W obwodzie ciągnąć miał do ruskiej ziemi.

Hufy Sieniawskich stały dobrą zbroją,
A już o panu Mieleckim nie gadać,
Bo był od młodu sam w hetmańskiej szkole,
To się tam wszystko musiało mu nadać
I w dzień, czy w nocy, zawdy gotów w pole
Ludźmi i sobą.

Więc się miasto roi
I dniem i nocą Leliwitów sprawą,
Co jedną drogą i za wspólną sławą
Chadzać lubili przy buławie swojej.

Na tę potrzebę szli także dworzanie,
Co już bywali do oręża zdadni,
A że być mieli na rozkaz przy panie,
Jedni przy koniach, a drudzy przy szatni,
To też im dano sprawne pancerze
I bardzo hardo z nich się każdy bierze;
I kiedy pytam: „Cóż się ze mną stanie?
Czyż ja bez zbroi mam bywać przy panie?”
Jeden ze wzgardą w ucho mi powiedział:
„Będziesz z babami tu za piecem siedział!”
I bardzo rzewnie na niedźwiedziu szło chał,
Bom już i pana i służbę ukochał,

I trudno było przełknąć tego sromu;
Gdy wszyscy idą, bym ja został w domu.

Spostrzegł to hetman, że ja spać nie mogę,
I ognia kazał w kominie poprawić:
„Czegoś to płakał?”

Musiąłem się sprawić,
— „Bo nie mam pono jechać w onę drogę,
I starsi śmieją się ze mnie dworzanie,
Że na zapiecku ma mię pan zostawić!”

„A ty byś jechał? wszak to na spotkanie?”
Rzekł pan łaskawie, widząc że ja płaczę:
„A jeśli zginiesz?”

— „To zginę przy panie!
Ale przed śmiercią rodzica zobaczę?”
— „Młodyś mi jeszcze!”

— „Wytrwam panie w znoju,
Wszak pan Maruszka sam mi to powiadał,
Że pan Mielecki młodszym szedł do boju
Przy boku pańskim, a czy się nie nadał?”
— „Niech i tak będzie!” rzekł mi pan po chwili,
„Czy z siebie mówisz! czy cię podmówili?”
— „Z siebie!!” powiadam.

— „Więc miej się do drogi!”
Z wielką radością uściśkałem nogi,
I pan mi znowu po chwili powiada:
„Kiedy do boju, to spać nie wypada,
Bo lada chwila wpadnie może goniec
A niebacznemu przychodzi na koniec.
Wołaj Irena, proś pana Kuleszę,
To jeszcze może, nim w Panu oświtnie,
Z potrzebną sprawą dla ciebie wyśpieszę
I staniesz w kole orężno i bitnie“...

Chciałem na słowo lecieć oraz w pędy,
Ale pan hetman: „Powoli! rozsądnie!
Festina lente, bo nie chodzi tędy!
Zmów krótki pacierz, ubierz się porządnie.“

Na rozkaz pański wszedł naprzód koniuszy
I pan go spytał: „Jak tam waszmość tuszy
O onym perskim cisawym koniku,
Co to w junoszej stajni z kraju bywa,
Pręg ma po krzyżu, kary chwost i grzywa.“
I rzekł koniuszy: „Za mały do szyku,
Lecz dzielny bardzo!“

— „Chcę wsadzić pachole
Na tego konia.“

— „Pachole? a które?
To koń wyskoczny, sady bardzo w górę.“
— „Zawdy takiego ja do boju wolę
A owo rycérz, co na niego siędzie.“
I wskazał na mnie — i z uśmiechem oba
Spojrzeli po mnie.

„Więc z koniem od złoba“
Rzekł hetman w końcu.

— „Ha, niech i tak będzie“
Rzekł pan Kulesza: „Na świt będzie w kole,
Zobaczym, jako znajdzie się pachole?“
Więc hetman na to:

„Nie o to mi chodzi,
Lecz po dniach całych niech cisawy brodzi,
A stępo tylko, w mądrej bardzo ręce,
W poprzek zagonów, na góry i jary,
To dojdzie jeszcze rozumu i miary
I zdatny będzie na służby chłopięce.
Pachole będzie bywać przy mym boku,
Więc i namiotek wypada mieć w troku,

A pod te juki dać hiszpańskie muły,
Na nie téż pójdą szaty i kociołki
I kuchnia moja, a do méj szkatuły
Straż już osobną pan Maruszka doda
I da starszego nad one pacholki,
By rząd był wszystek od góry do spodu.
Więc jako luźne ma wyruszyć w pole,
Niech się o świcie na oczy mi stawi,
Czyń waszmość proszę i prośbę i wolę,
A pan Maruszka już tam resztę sprawi.“

Kiedy z rozkazem odszedł pan koniuszy,
Rzekł do Irena: „Przybywasz mi w porę,
Bo ja do boju to pachole biorę,
To i mój stary jeszcze w pole ruszy.“

„A na czém panie?“ spytał Iren stary,
„Klacz przy źrebięciu, co podemną chodzi.“
Rozśmiał się hetman: „Rzecz ledwo do wiary,
Że nie ma na czém? Deresz się złagodzi,
Co wiernie nosił nam księdza Melchiora,
A kiedy w boju nie nauka uczy,
To Deresz będzie odtąd za mentora,
I w jego ślady niech pachole tuczy.“

Wiosną to było, i Boże skowronki
Wzbiły się chórem w pogodne niebiosy,
I woń ciągnęła od kwitnącej łąki
I w słońcu ciepła zagrała już rosa,
Gdy cały tabor z luzaki i z muły,
Gotów pod juki i pańskie szkatuły,
Stanął porządnie przy straży od czoła
I pan go obszedł powoli do koła
I rzekł, widocznie rad z wyprawy całej:

„Mułom powody wypadu przytroczyć,
By paść nie mogły, to się będą znały
Same do służby i nie zejda w stronę,
Ale za końmi będą sporo kroczyć
I strzedz się będą, nawet niestrzeżone.“

Gdy pan to mówił, pomknął się po błoniu
Sam pan Kulesza na cisawym koniu,
I w troje tyle serce mi urosło,
Boć się cisawe tak po persku niosło,
Że choć nie wielkie, wydało się rosłe,
Tak osadzone i przodem wyniosłe.

Gdy pan Kulesza dobrze go rozhulał,
Zwróciwszy ku nam, nagle rzucił wodze,
A choć był niby rozhulany srodze,
Stanął, jak gdyby ze spiżu go ulał...
I pan zrozumiał, że koń dobrze uczny,
Choć miał krew wielką, jako pers buńczuczny.
Oprócz szabelki, łuka i kołczana
Nie miałem zbroi, a więc pan mnie bierze,
Gdzie się na baszcie chowały pancerze,
Bo jakaś zbroja miała być mi dana.

„Wszystko za ciężkie i wszystko za duże,“
Patrząc po ścianach, pan hetman powiada:
„A znaj to chłopcze, że to bój nie płuże,
Kiedy się zbroja do człeka nie nada.“
Szczęściem znalazła się jakaś kołczuga
I bardzo lekka i nie bardzo długa,
Znać udziergana na chłopięce służby;
Toć ją dać raczył mi pan z dobrej wróżby,
I kiedy z kuźni wyszła po odnowie,
W złote gwiazdeczki osiana po głowie,

To mi ją dano po łosim kaftanie,
I w téj koszulce bywałem przy panie.

Nadeszły gońce, na które pan czekał,
Więc i wyprawy dłużéj nie odwlekał,
Lecz po litanii w kaplicy zamkowej,
Bez pożegnania i wszelakiéj mowy,
Siadłszy na konia, co w dziedzińcu zuszył,
Stępo i milcząc na wyprawę ruszył.

I wszystkie wojsko na podwoły siadło:
Każdy przy sobie miał i rząd i zbroję,
A konie luzem pędzić tylko padło,
Niby tabuny idące na boje.

Bo śpieszno było przy hetmańskim znaku:
Hetman sto koni i ludzi bez braku
Tylko przy sobie i panach zostawił,
I pan Maruszka sam luzaki dławił;
I z konia na koń przez krótkie popasy
I krótszą drogą na pola i lasy
I dniem i nocą, nie kładąc ogniska,
Wiedzie i trzyma i do ładu wciska,
A choć to czynił powagą spokojną,
I chociaż na mnie i pamiętać raczy,
To tu dopiéro znałem, co to znaczy
Chodzić w ojczyźnie za Tatary wojną.

Tabor nas czekał już u Tarnopola.
Okóło Glinian była wielka trwoga,
Bo gdy tabunem pędzą konie w pola,
Boczna tumany zakurzy się droga,

I powstał okrzyk: „Tatary! Tatary!“
I pan pod strażą odprawił luzaki
I sprawił hufiec przedniej oniej wiary
I stanął w miejscu i patrzy na szlaki,
A w téjże chwili tabun luźnych koni,
Co w trzecią stronę na bezpieczne goni,
Spłoszył od czoła wilk nagle spłoszony,
I w cztery wiatry pierzchnęły na strony.

Kiedy na szlaku opadły już chmury,
Patrzy pan hetman, a to szlachta jedzie,
Co aż od Brzeżan szła na Gołogóry,
Słyszając, że hetman w pole wojsko wiedzie.
Więc jak daleko zajrzeć tylko okiem,
Na wszystkie strony po polu szerokiem
Tabun luzaków w polach się rozprószył.
I patrzą wszyscy: „To nie mamy koni!“
Tedy pan hetman bardzo pojunoszył,
Bo na wysoką mogiłę pogoni
Na siwym ogrze, co bywał najtrwalszy
I z wszystkich rżawnych koni najzuchwalszy.
I zanim pojmiem, o co panu chodzi,
Zesiadł pan nagle z hardego rumaka
I już na ziemi kantar i kulbaka,
A koń łeb zadarł i do koła wodzi
Okiem za stadem, w polach rozproszoném.
Więc go przybyło, zda się, drugie tyle,
Gdy z wiatry puścił grzywę na mogile
I rżąc zuchwale nakrył się ogonem.

Hetman stał w miejscu i na krok nie ruszył,
A Andaluza tak i rżał i zuszył
Rwąc się przy panie, iż każdy się zdumiał,
Że koń tak hardy pana wyrozumiał,

Bo po mogile opędzał pierścieniem,
I w pola dawał hasło wielkiem rzeniem.

Jakoż nie darmo, bo rzą i rumaki
I ztąd i zowąd po chwili niejakiéj
I dudni ziemia, tabun odzew dawa,
I coraz bliższa i straszniejsza rżawa:
Do hurtu lecą konie z każdéj strony
I w hurt je spędza koń nieunoszony
Pana hetmana, co słał rzenie w okół,
Jak kuropatwy spędza lotny sokół.

Strach było pojrzyć, jako krew się niosła
I trwoga wszystkich z każdą chwilą rosła,
Boć już nie widać pana w środku stada,
A rumak pański niby ogniem pryska,
I tabun cały co raz ciałniej ściska
I rżąc zębami do koła okłada!
Tedy hurt wszystek stanął w miejscu sparty:
Patrzym, aż z luki wychodzi otwartéj
Hetman bez szwanku kulbakę niosący,
I powitany w miłości gorącój
Od Leliwitów i rycerstwa wszego;
Dać sobie kazał rumaka świeżego.

Kiedy pan znowu siadł przy nas na konia,
Aż tu do hurtu rży i pędzi z błonia
Jeszcze koń jakiś, co daleko bardzo
Znać się gdzieś odbił, i gdy już nadbiega,
Hurtowe konie stają do szerega
I rżą ku niemu i grzebią i hardzą.
Był to bułanek, co ostatni sadił
I andaluza na nim już wyjadził
I grozy swoje i te swoje złości,
Bo straszno zarży i pryska i grzebie

I jedném cięciem tak go wziął pod siebie,
Że tylko w skórze zatrzeszczały kości,
Tak go zacięcie pod kopyta ściele,
I złośnik wielki wygryzł mu gardziele
I wszystkie konie jakby wziął do burtu,
W trwodze skupione trzymały się hurtu,
A andaluza do hurtu je wciskał
I pokrwawiony niby ogniem pryskał.
Na to Maruszka do pana powiada:
„To mi to sprawa! nie lada . . . nie lada . . .
Nowa rycérstwu przybyła nauka.
Nie ma co mówić, to hetmańska sztuka!“

Już téż u Glinian stanęły podwody
Ze wszystkiém wojskiem jadąc dniem i nocą
I z hurtu konia brał każdy bez szkody,
Bo andaluza trzymał je pod mocą
I nie pierw zdołał być i sam ujęty,
Aż już na kantar był hurt wszystek wzięty.

Nazajutrz świtem sprawił hetman szyki
I pan Mielecki powiódł ochotniki
Przybył tam z nimi dobry rycérz Łaski.
Hetman szedł z wojskiem, a już zadnie straże
Trzymał na sobie starszy pan Sieniawski,
I pod Zborowem gdyśmy wyszli w pola,
Nadbiegły gońce, że u Tarnopola
I jeńców wszystkich i odbito łupy
I że już Tatar rozbity jest z kupy,
Lecz że napowrót rzucił się do ziemi.
Tedy pan hetman w miejscu stanąć każe
I skrywszy wojsko w bardzo wielkim jarze,
Czekał, aż Tatar stanie już na szlaku,
I tu dopióro poszedł w taniec z niemi.

Tatarzy byli z tyłu dobrze parci,
A gdy ich z przodu pan hetman pokarci,
To i wybici są w polach do znaku!

W chrustach ukryci stali tam luzaki,
I ja tam byłem także przy Irenie;
Lecz gdy się bitwa przesunie pod krzaki,
A pan od czoła sam Tatary zenie,
Tedy nie trwałem już na rozkazanie,
Lecz spiąwszy konia, co rwał się szalenie,
Po kilku susach byłem już przy panie.
I pan mnie spotrzegł i zawołał:

„Czego?”

Czy Iren zginął?”

Więc powiadam: „Żyje!”

— „To precz! i konia dać mi tu świeżego!”
Więc poskoczyłem i dać każę „Żmiję.”

Czuł to już Żmija, że z kolei ruszy,
Bo przy luzaku wspina się i zuszy,
I kiedym pomknął przodem i luzakiem,
Choć bitwa wrzała, przemknąłem się ptakiem
Pomiędzy swymi i między Tatary,
Co na łeb parci padały już w jary.

Pan stał spokojnie na wysokim brzegu
I zbierał ludzi pod hetmańskim znakiem,
Więc kiedym z Żmiją popadł do szeregu,
Skoczyłem z konia i podaję strzemie;
Pan się uśmiechnął, bo już znał wygraną
Bitwę pod on czas,

„A co to za siemię!?”

„Po co się siejesz, gdzie cię nie posiano,”
Rzekł do mnie z łaską „po co mi tu ciebie?”
Ścisnąłem pana ze czią za kolano:
„Ta niech choć konia podam w tój potrzebie!”

A w tém od skrzydła nowa chmura parta,
Na łeb lecąca do jaru i czarta,
Lecz jak to lubią Tatarzy i w locie
Wypuszczą ku nam strzały na odwrocie.
Zanim pan hetman siadł jeszcze na konia
(Gorsza od bitwy za nimi pogonia)
I zanim grzywy ręka pańska sięgła,
Strzała tatarska w méj piersi ustrzegła.
Trzymając strzemię, patrzę się na pana,
Bardzo coś boli: Hetman wyrwał strzałę,
Lecz była tylko z ukosa nadziana,
Bardzo szczęśliwie w żelaznej koszuli;
Tedy pan hetman w łasce mnie przytuli:
„To masz nagrodę za służby zuchwałe!“

Z Tatarzy kończył sprawę pan Sieniawski,
A jam już został odtąd przy hetmanie.
I w niebogłoty podniosły się wrzaski,
Kiedy po bitwie wszystkie wojsko stanie
Na wielkim szlaku, co od Tarnopola
Parło Tatarów i nagnało w matnie.
I gdy ucichły już strzały ostatnie,
Tedy pan hetman siadł znowu na „Żmiję“
Więc i chorągwie objechał powoli
I znał kto ranny i kto już nie żyje,
Boć rozkaz bywał, aby temu gwoli,
Luki bywały w szeregu otwarte.
I przejrzał hetman wojsko niby kartę,
I znał o rannych i o wszystkiój stracie.
Kiedy do hufu gravis armaturae
Jadąc za panem dojedziem z kolei,
Spojrzę na skrzydło, aż tu stoi z brzegu
Rotmistrz na skrzydle, i proporce w górę:
„W dobrej waszmości witam ja nadziei!“

Rzekł do rotmistrza hetman miłościwie,
„Bo ci oddaję syna do szeregu.“
Jakoż w rotmistrzu poznałem rodzica:
Skoczywszy z konia, rzuciłem się chciwie
Mu do strzemia, i łzami przyłbica
Spłynęła ku mnie, kiedy mię zobaczył.
I pan przy ojcu zostawić mię raczył.

Na onym szlaku, co szedł od Zborowa
Ku Zbarazowi i Trębowli w dwoje,
Leżał Tarnopol wszystkiej sprawy głowa
I ztąd szedł hetman zazwyczaj na boje.

Były tam niegdyś piękne uroczyska
I pustopasze, lecz nie było ludzi,
Toć z młodu jeszcze zażył hetman trudu
I mocny zamek wyniósł u urwiska
Nad brzegiem rzeki — i rzekę zastawił,
Założył miasto, cerkwie pomurował
I lud po siołach koło pługa sprawił,
A ku obronie wojsko w zamku chował,
Aby nie ciągnąć z wojskiem aż do króla,
Gdy Tatar z Ordą wpadnie do Podola,
Lecz w gotowości stać u Tarnopola.

Jakoż chorągwie gravis armaturae,
Z harmatą wszystką i całym taborem,
Trzymał pan hetman zawsze pod tym dworem
I ztąd miał wielką nad Tatarem górę
I rad tu zawsze po potrzebie bawił,
Nie żeby wytchnąć po rycérskim znoju,
Ale do bliższych sam to nieraz prawil:
„Tyle tam dobra dla duszy, co w boju!...
Bo ani wichrów o władzę i wiarę!

Tu szlaki stare i mogiły stare!
A jako w ogniu czynią próbę złota,
Tak się na wojnie prawdzi w Bogu cnota!
Ha Kmita, Kmita! i za nim szalbierze,
Wszyscy w ojczyźnie i w buntach i wierze
Ciągną skupieni jak gdyby w najlepsze!
Kmita nie poprze, lecz wszystko odeprze.
Tu Kmita nie ma! toć miło jak Bogu
Służyć ojczyźnie, kiedy gniazdo węży
I złość złej woli na duszy nie cięży!“.....

O bo też bardzo ciężył mu ów Kmita!
I znała o tém i Rzeczpospolita,
Znali królowie, lecz że był siostrzanem
Pana hetmana, patrzył na te złości
Przez cały żywot, pełen cierpliwości
I nie chciał siłą łamać tego Kmitę,
Lecz cnotą łamał złości nie użyte.
Nie pomagało, bo Kmita do zgonu
Zazdrościł panu rycerskiej ochoty
I téj buławy i łaski u tronu;
Zazdrościł sławy i mienia i cnoty,
A na wszem jeszcze spokoju i ducha,
Bo kiedy w radzie piekło jadem kłębi,
To hetman tylko i patrzy i słucha;
Lecz gdy ostatni odezwie się w radzie
I wielkie słowo dobędzie z téj głębi
Samych prawd Bożych, to wszyscy po zadzie,
A słowo jego, jak słowo zakonu,
Stoi w narodzie i idzie do tronu.
„W tobie za Kmitę Pan Bóg mnie nagrodził“
Mawiał pan hetman nie raz Mieleckiemu,
„I tyś siostrzanem tylko po staremu
I będziesz śladem w téj ojczyźnie chodził...“

Rzeczpospolita — a pożał się Boże!
Bo tylko cnotą i Bogiem stać może,
Lecz byle szalbierz zły ogień roznieci,
I sama łącno ku przepaści leci;
A gdyby nie szła, Kmita ją powiedzie,
Lecz kiedy z wrogi przyjdzie gardłowanie,
A któż w obronie biednej matki stanie?!
I kto z wiernymi posunie na przedzie?“
Tak to pan hetman jęknął sobie czasem
Bardzo strudzony tych wichrów zapasem,
I mówił nieraz do księdza Melchiora:
„Gdyby nie Pan Bóg i serca pokora,
Krzyżbym na piersi i buławie nosił,
A na tym krzyżu wypisałbym „Kmita!“
I niechaj sobie już wszystek świat czyta,
Żem się u pana od buławy prosił!
A kto rozumie, że mu lekką będzie,
Niechaj ją bierze i niech nią uderzy
W wielkiej ojczyźnie po granic krawędzie,
A słowu memu i cnocie zawierzy!

„To dawniej tylko na jedną wyprawę
Biegał do boju Srogota ochotny,
To i nie trudno było chwycić sławę;
Lecz krzyż potrójny, hetman dożywotny!
I podźwignąłem ciężkości troiste
Z narodem własnym i z królem i z wrogi!
A ile razy przyszło wyjść na czyste,
Przytarłem piekłu i najezdcom rogi!“...
...

To też odcinał nie raz pan Mielecki
Onemu Kmicie i perfidy greckiej:
„To wszystko wolne, wszystko, prócz obrony?
A tylko jeńcem obrońca Korony

Ma być w narodzie? Jest jeszcze prócz Kmity
I z nas ktoś synem Rzeczypospolitéj
W onym zastępie, co chodzi do boju
I co krwią spotniał w tym pocziwym znoju.

„O czém wojujem, idąc na wyprawy?
Chyba ksiądz Łyczko wie tylko sam jeden
I ile razy odkupił zastawy?
Więc bardzo biédny, kto za wszystkich biéden.

„To Tatarowi wolno gdyby słońcu
Iść wszędy ziemią i ogniem i mieczem,
A kiedy za nim przyjdzie wojsku w końcu
Ciągnąc i stawać po ziemi odsieczem,
To jak dziadowi tylko przez wieś droga:
I choć powietrzem wiedz wojsko koronne,
Bo na szlacheckim nie oprze się noga,
A tu biskupie, a tutaj zakonne,
A tu stołowe, więc istna sromota,
I konia nawet nie upnij do płota,
Bo każdy tylko o siebie się stara;
A jeśli konie gdzie popasie wiara,
Lub tabor stoczy i stanie do doby,
To zaraz w sejmie już o to żałoby:
O praw zniewagę i wszelkich wolności
Że wojsko w ziemi niby Tatar gości,
Że pospolitým ruszeniem i konią,
Jak potrzeb będzie, sami się obronią,
A nie chcą w ziemi znać ni twierdz obronnych,
Ani daniny, ani wojsk koronnych!

„Żalu by w sercu, żalu by nie było,
Gdybym nie patrzył, jaka w wojsku karność,
Że hetman trzyma prawie Bożą siłą,
I prócz téj służby wszystko ma za marność.

„Czy to kto słyssał, aby na podwodziech
Biegać za Ordą? a konie wojskowe
W hurcie gnać stadem? i nastawiać głowę,
Kiedy nikt nie chce radzić o tych szkodziech?
Kiedy rad każdy patrzy tylko siebie,
A król i hetman tylko sam w potrzebie?
Znamy cię Kmito! tyś w ojczyźnie wrogiem!
Ha i odpowiesz za to tam przed Bogiem!
Choć krwią mi bliski, nie mój Tyś jest duchem,
Bo świętą wolę pętasz złym łańcuchem
I w radzie pańskiej siedzisz wiarołomny,
To i ześliżniesz w ziemi bezpotomny!“

Raz nawet porwał się do szabli Kmita,
Gdy pan Mielecki wytknął mu na oczy
Krzywą prywatę i on impet smoczy,
Jakim pod siebie złe i dobre chwyta.
Działo się wobec wielu ludzi godnych,
Lecz pan Mielecki: „Szabli nie dobywam,
Bo ja krew własną lub wroga przelęwam,
Więc i niczego nie mam dla wyrodnych.“

Czém więcéj hetman schodził Kmicie z drogi,
Tém więcéj bywał mu Mielecki srogi,
I nie zasłonił Kmity fartuch Bony,
Bo pan Mielecki był dzielny i młody
I nie stał brodą w sprawach téj korony;
To się go lękał Kmita siwobrody,
O którym ludzie tak sobie mawiali:
Że ludzką krzywdą i tą brodą stoi,
Gdy hetman wszystek jest kuty od stali
A pan Mielecki brody się nie boi.....

Mawiał mi o tém nie raz pan Maruszka,
Że do stron obu bywała pogróżka,

Kiedy zły wicher w sprawie bardzo krętęj
Jął w téj ojczyźnie kręcić z dyssydenty;
Bo kiedy Kmita począł swatać księży,
Chociaż sam wiary na oko nie mienił,
To i sejm stawał wszystek kłębem węży,
I z nowych złości jako wąż się lenił.

Na nic się nie zdał on synod piotrkowski,
Bo wziął z swawoli żonę Orzechowski,
A gdy król dekret wydał przez kanclerza,
„Że w sprawach wiary kościół trybunałem,“
Tedy się koło poselskie sprzymierza
I bije takim na księżą nawałem,
Że się nie ostać dalej kościołowi,
Bo wszystkie głosy w jedno tylko godzą,
Że sejm w obronie nic nie postanowi,
Póki w tym domu wroga nie uchodzą,
A to duchowni mieli być tym wrogiem.
Tedy pan hetman stał jeden przy tronie,
Bo król w swój wierze łamał się przed Bogiem,
Bardzo zwątpiały i party w koronie.

Ksiądz Orzechowski umiał sobie zyskać
Łaskę niektórych biskupów w upadku.
Więc przez biskupów jął Kmita w niestatk
Za Orzechowskim na pana naciskać,
Ażeby króla i synod złagodził,
Bo cały naród od wiary odpadnie,
A gdyby tedy był pana uchodził,
Byłby go skarżył o niewiarę snadnie.

Pan bywał w on czas i w sercu posępny
I dla nikogo prawie nieprzystępny.
Znano o panu Mieleckim, że cięty
I że nie poda ręki w sprawie krętęj.

Tedy nareszcie wniosek oczywisty:
„Pana Maruszkę obeszlemy listy,
To on przystąpi jakoś do hetmana.“
Jakoż gdy listy był odebrał z rana,
To pan Maruszka nie czekał i chwili
Lecz złożył zaraz, co jemu złożyli,
I słuchał hetman bardzo zadziwiony,
Zkąd to Maruszcze brać księży w obrony?

„Panie! po chlebie i ziemi jest święte!
Przecież i ja to Roxolanus gente,
Toć i za swoją bracią stawać trzeba,
Jak to tam stoi? osądzi Bóg z nieba,
Lecz Orzechowski, chociaż zawierucha,
Wziął coś z narodu i z Bożego ducha.
Krewki i głupi, to się mógł i opić,
Lecz go nie trzeba do ostatka stropić,
Oto biskupi piszą do mnie listy,
Bym mego pana dla niego złągodził,
A że to dla mnie już wstyd oczywisty,
Żebym gdzieś chyłkiem po tej sprawie chodził
A więc wszem wobec! w łaskę i niełaskę!
Bo chyłkiem chodzić, to zaś niby szpetne....
Każesz go obić? na to mam i łaskę!
A jak ściąć każesz? to i łeb mu zetnę!
Lecz jeśli pan mój będzie raczył raczyć,
Możeby lepij i jemu przebaczyć?“

— „Jakto?“ zawołał na to hetman w gniewie,
„Czy i u serca mam już nosić węży?
To pan Maruszka dziś już nawet nie wie,
Co Bóg i wiara? i kędy to cięży?
To się opuszczasz już i ty tak bardzo,
Kiedy kacerze w nowój wierze hardzą?

Na to Maruszka wszystek w ogniu stanie:
„Ja się opuszczam? jakto? ja hetmanie?“
I tak się oba zmierz yli oczyma,
Że hetmanowi aż kark się odyma
I iskry z oczu szły pana Maruszki
Na te wymówki i na te pogróżki.
Ale pan hetman zabiegł pierwszy złemu,
Bo rzekł spokojnie: „Dajmy pokój temu!
I raz ten pierwszy niech będzie ostatni,
Przebacz mi, proszę, towarzyszu bratni!
Nie o nas chodzi, my pójdziemy z sobą;
Ksiądz Orzechowski okrył mi żałobą
Serce na długo, lecz mów proszę dalej,
Bo gdy żal w sercu, to niech się wyżali.“

Na to Maruszka: „Znam, że mógł się opić,
Bo jest i krewki i głupi mém zdaniem,
Lecz go nie trzeba do ostatka stropić,
Bo zgrzeszył tylko sercem i kochaniem:
Jakoż za chłopa wziął w zbożu straszydła,
Pasał na cudzém i zgubił wędzidła,
Ot i samemu ochętnać się trudno.
Lecz co do wiary wierzy nie obłudno“...

Na to pan hetman: „Słuchaj, mój Maruszko!
Jak nie pogrozim, będzie Bóg z pogróżką,
Lecz kiedy trzeba i hetman posłucha,
Ale daj bracie księdzu twego ducha.
To naprzód mięso na królewskim stole
Podano w Środę i tak już na wolę
I bunty wzięli, że ksiądz pojął żonę?
Potém w katedrze nawet dyssydeny
Już nie poczcili i Sakrament święty,
Lecz czapki wdziawszy, patrzyli na stronę

W czasie samego prawie Podniesienia!
Toć Bóg i państwo będzie od zachcenia?
Gorsza od złego jest złemu potucha
I grzech nad grzechy, to swawola ducha!....
To bacz Maruszko, szczo to złocho bude?
I de bez Boha zajdut naszymi ludzi?«

Zbory poczęli czynić różnowierce,
Tedy pan hetman w to uderzył śmiało,
By krom królewskich, zjazdów nie bywało
I tak ugodził w sejmie w samo serce,
Że Oleśnicki, co te zjazdy czynił,
O przebaczenie królewskie się stara,
I znalazł łaskę, kiedy się obwinił;
A precz odprawić kazano Stankara.

Gdy hetman baczył, że w téj sprawie krętój
Do nowój wiary co raz więcej śpieszy,
To do chorągwi ściągał dyssydenty,
Bo mu pod okiem nie lada kto zgrzészysz
I nigdy z żadnym nie mówił o wierze,
Lecz tych i onych jedną miarą bierze,
By w rychle zabiedz bardzo wielkiej szkodzie;
I kiedy w wierze bracia się rozdarła,
By się to samo nie stało w narodzie,
I chuć rycerska w sercach nie zamarła....

Tedy to Kmita biskupy ostrzega,
Że dyssydentów hetman pod się garnie
I w wielkiej liczbie stawi do szerega,
By mógł w Koronie zawładnąć bezkarnie.
Jakoż żalili się biskupi na to,
Lecz hetman twardo stał przy swoim prawie,
Że ziem obrona nie ma być za stratą

I że rycerstwo ma iść po buławie:
„A choć się w wierze bractwo rozszczępiło,
Nie moja sprawa! nie mnie ich spowiadać,
Księża biskupi! ja hetman, mnie władać,
I to rycerstwo, jakieby nie było,
To na buławie, już je trzymać muszę,
By choć ojczyźnie ratować te dusze!
A jak je w ogniu ściśnie śmierć i trwoga,
Może się jeszcze nawrócą do Boga!?...“

Gdyśmy z potrzeby wrócili do domu,
Ksiądz Marcin Łyczko do pana powiada:
„Mamy tu panie smutek i nie lada,
Czeszejko oślepl — i kalectwa sromu
Nie chciał już święcić na hetmańskim dworze,
Bo tu i oko i ramię mieć trzeba.
Mówił, że nie chce psuć tu darmo chleba,
To i pod kościół przeniósł się w pokorze
I siadł na górze świętego Marcina;
Więc i jam prosił i prosił Nowina,
By nie zadawał nam takiój boleści,
I ledwo tyle mogliśmy uprosić,
By się pozwolił pod kościołek nosić,
I siadł przy księdzu, jakoż tam się mieści
I już do śmierci tylko się sposobi.
Wnuczka Nowiny dobrze mu tam służy
A on z modrzewia jakiś łańcuch robi
Całych ogniwek z kłody bardzo dużej;
Bywam u niego, bo mu wożę wino.
Już kilka sięgów jest tego łańcucha,
Ale w robocie zatopiony ino,
I tylko jeszcze Nowinianki słucha
I każe piędział kościołek jój mierzyć,
Od drzwi wchodowych po ścianie do koła,

I sam w to wierzy i każe nam wierzyć,
Że go Bóg w łasce aż w ówczas powoła,
Gdy łańcuch skończy, a żadne ogniwo
Nie puści w słoju, lecz będzie tak całe,
Jako w modrzewiu jest zrosnięte żywo.
W on czas da łańcuch na tę Bożą chwałę
I wezwie jeszcze hetmana do siebie.“

I rzekł pan hetman:

„Niech będzie po woli!

Raczkcie pamiętać o winie i chlebie,
Bo mię niedola takiej duszy boli!
A gdy mię wezwie we dnie, czy to w nocy,
Będę się stawił, boć jest rycérz mocy
Wielkiej i Bożej on Czeszejko stary!“

I rósł on łańcuch całego ogniwa,
A gdy po piędzi dorósł już do miary,
Czeszejko pana do siebie przyzywa:
I z całym dworem pan na górę ruszył,
Bo znał Czeszejkę, więc i dobrze tuszył
Dla wielkiej sprawy z onego wezwania.

Pogodne słońce zeszło nad górami
I przed kościółkiem czekał powitania
Czeszejko, w krzesle siedząc przede drzwiami,
Znać, że o świcie jeszcze się spowiadał.
Wyszła msza święta: z wiarą najgorętszą
Słuchał mszy całej i sercem upadał,
Gdy mu ksiądz podał Hostyę przenajświętszą;
Potém wyciągnął ręce do hetmana:
„A gdzież jest ręka? ręka mego pana?
Bo i dziś stoję, jakom stał na straży!“
I podał rękę pan hetman ciemnemu

I lekko dotknął hetmana po twarzy
I rzekł: „Ten ci jest! Ten sam po staremu,
Jakiegom ujrzał raz piérwszy u Orszy,
Kiedy do sławy krok uczynił sporszy!

„Zrobiłem panie łańcuch modrzewiowy
Na znak świadectwa z jednéj tylko sztuki:
Choć Bóg wziął oczy, to dał mi wzrok nowy,
Więc go zostawiam w ziemi dla nauki:
Kaź go poświęcić i opnij dokoła
Środkową ścianę całego kościoła
Onym łańcuchem całego ognia,
I niech tu po nas na świadectwo bywa.“

Jakoż poświęcił ksiądz wodą święconą
Calisty łańcuch i gdy nim opięto
W koło kościołek, rzekł Czeszejko: „Świątą
Jest wiara ojców — i Bóg był z koroną,
Dopóki naród wiarę ojców chował,
A więc ślepemu kazał, by zgotował
Łańcuch calisty na przestrożę ludzi;
A jeśli naród w czas się nie obudzi,
To Bóg łańcuchem i kościół opasze
I naród cały łańcuchem z żelaza,
Jeśli niewiary nie zatrze się zmaza
I Bóg mi świadek, że nie darmo straszę?

„Gdys pod Starodub wiódł znaki hetmanie,
Toć ważyć raczył w tym boju me zdanie,
I jakom mówił, tak się wszystko stało,
Więc do senatu nieś to słowo cało.
I kto jest krzywy niech się kaja w duchu,
Łańcuch drewniany, lecz widomy w panu,
Woła od grobu do wszelkiego stanu,
Że na żelaznym siądziemy łańcuchu?“

Kiedy to mówił, hetman starca mierzył
I przed się patrzył groźny i ponury
I nad górami stały się dwie chmury
I piorun z nieba na lasy uderzył
I gdy grzmot ustał, już Czeszejko nie żył,
A po piorunie znów cisza grobowa.
Nikt w całym kole nie rzekł ani słowa,
Hetman siadł na koń, więc i pojedynkiem
Ruszył przez pola, dawszy nam odprawę
I nie wiadomo, jaką miał zabawę,
Znać się pasował z onym upominkiem,
Bo bardzo późno w nocy już powrócił
I suszył trzy dni o chlebie i wodzie
I wszyscy znali, że się w duszy smucił,
Tak nieszczęśliwą wróżbą o narodzie.

„Ha, ha, Starodub! i chluba i zguba,
Wszak ci powróżył i do Staroduba!
Ojczy Melchiorze! jedźmy do Krakowa
Odnieść królowi wszystkie one słowa.“
Jakoż trafili na war najgorętszy
I dyssydenckiej sprawy kotłowanie,
Kiedy kacermistrz bawił najzaciętszy
I czynił w ziemi wielkie rozerwanie.
Wichry o wiarę zawichrzyły duchy,
A nie ma zgody i w królewskiej radzie,
Jakby przed wrogiem zdrady i podstuchy,
A więc buławę hetman w szale kładzie:
„Kajać się Królu, kajać postronniemi
Masz się przykłady!“ Toż mówią biskupi,
By wierze ojców stał na ojców ziemi,
By się nie wahał, ale stawał mężnie,
Lecz błąd się szerzy i w złościach się kupi
I Kmita wichrzy, bunt grozi orężnie,

A król strapiony i zewsząd naparty,
Bo dyssydenci heretyckie karty
Wolności swoich złożyli przed króla,
By je podpisał: i rozum się mącił
I już królewska ważyła się wola.
Tedy ksiądz Melchior pióro mu wytrącił
I bez odwołki wezwał do pokuty;
Tak ksiądz Mościcki przeciął one buty
I gdy przed królem w Bożym gniewie stał,
To i król w duszy jakby przed lwem drżał.

Boć wielka była to w zakonie świeca!
„Bóg cuda czyni przy Jackowym grobie!“
Świadczył do Rzymu, a kiedy stolica,
A kiedy mówił on diabulus rotae:
„Czekać, bo jeszcze, jeszcze nie na dobie,“
To sam Jackową jechał święcić cnotę,
Więc i świadectwa i złożył przysięgi
I listy króla i klasztorne księgi,
A wiarą cudu i ludu przejęty,
U grobu Piotra świętego modlący,
I za przyczyną w Panu gorejący
Wołał, że Jacek, „Jacek, Polak święty!“

Dwa razy jeździł do Rzymu w potrzebie
Sławiący cuda Jackowe na niebie;
A kiedy święta sprawa się odwleka,
To ksiądz Mościcki dłużej już nie czeka,
Ale nad grobem Jacka, z jego celi
Bardzo wspaniałą uczynił kaplicę,
Aby się ludzie gdzie pomodlić mieli,
I nową prośbą obsyła stolicę
I o modlitwy prosi u kościoła,
Jakiemi poczcic chwałę apostoła,

Boć jako przeor nie widzi sposobu,
Jakby miał ludzi odprawiać od grobu,
Przy którym łaski i cuda Bóg czyni?

Więc póty próśby i żale zanosił
I na świat wołał: „Jacek, Polak święty!“
Aż i litanie i lekcję wyprosił,
Ba i mszę świętą o Jacku Polaku,
Więc i przyznanie czci wszelkiej do znaku,
Jaką świętemu kościół święty daje,
Kiedy już trumna na ołtarzu staje,
I jest w narodzie Jacek Polak czczony,
Choć nie jest jeszcze uświętobliwiony.

Pan hetman mawiał o księdzu Melchiorze,
Że kiedy wojsko kazaniem przeorze,
I rzuci w duszę siewu Boże ziarna,
To i buławę odłożyć już można,
Bo po tém słowie wszelka wola karna
I wszelka dusza wierzy w sądy Boże
Tak bardzo mocno, że się jeno trzyma
I wszystkie wojsko wie dzie już oczyma....

Raz, kiedy słowa w trąbę Archaniola
Na sąd ostatni uderzył do ludu,
Pierzchać lud począł od trwogi z kościoła,
Jakby miał stawać na sąd ostateczny
I po kazaniu wyznał się do cudu:
Bo to żar żywy i ogień słoneczny
Z ust tych wychodził na kościół widomie
I grom na duszę uderzał po gromie,
Iż kto nie uszedł, ten padał na ziemię,
Tak straszne słowo paliło mu ciemię.

Wielkich Bóg chował mężów w swym kościele
Za mego czasu, i wielkich rycérzy!
A chociaż złego było także wiele,

To wszystkie konie hetman w rękę dzierzy:
I on to Polskę strzymał kościołowi,
On mądrzej rady dodawał królowi
I tę lubelską unję przygotował
I wielką cnotą tak rzeczy miarkował,
Że mimo wichrów, nie odbiegły toru,
Bo tak się trzymał tych prawd Bożych wzoru,
Że raz się tylko uniósł w gniewie swoim,
Gdy dyssydenci wpisali go zdradnie
W listy odstępców; tedy niepokojem
Korda dobywszy, jak lew na nich wpadnie:
„Kto z ręki mojej nie chce tu wziąć kary,
Niech nie oskarża przed królem mój wiary!
Jakto? odstępcą miałby być mąż sterny?
To aż już tędy chodzi złość zaciekła?
Jam wierze ojców do skonania wierny!
Wolno wam wichrzyć, lecz kto mnie znieważy,
To mu łeb utnę, bo stoję na straży,
A na mil siedem pogonię do piekła
Tę podłą duszę jak na konia siędę
I cierpieć dłużej już tego niebędę!“

Tedy sfolgował już nawet i Kmita,
Co z dyssydenty zawdy zdrady knował,
Więc też poznała i Rzeczpospolita,
Że hetman duszę w wierze ojców chował.

Wprędce też potem i Bóg ulżył panu
I wszemu prawie rycérskiemu stanu,
Co téj buławy podpięrał i wiary,
Bo Kmitę tego złożył Bóg na maryl.

A. D. 1553.

W sam on dzień śmierci Kmity wichrzyciela,
Pan Bóg nawiędził ziemię znaki wiela:

Bo taka burza po ziemi się sroży,
Że wrywało krzyże u rozdroży,
Rzeki wylały i zrywało dachy
Nawet z kościołów z Bożego przejrzenia,
Stuletnie dęby brało od korzenia,
A w starych grobach i po zamkach strachy,
Strachy i duchy jawią się pokutne.....
Więc i mówili ludzie w Polsce sobie
Na one znaki straszne i okrutne:
„Nie lekko spoczął Kmita w onym grobie;
Jak za żywota dusza nie użyta,
Tak i po śmierci broi jeszcze Kmita,
A no, jak czarci biorą go ze świata!
Rozkapturzonych onych księży swata,
Co krzywdą ludzką w ziemi się utuczył
I kije ciskał hetmanom pod nogi
I póty krzywo w złości swojej łuczył
Póki mu stało w téj ojczyźnie drogi.“

Tak to mówili po ziemi dziedzicy
I sami nawet Kmity poplecznicy,
Co w chwili śmierci zdradzali już pana.
A gdy człek lekki przypadł do hetmana
I z wesołością przyniósł one wieści,
Hetman zmieszany rzekł mu pełen cześci:
„Jak mi to dajesz? wszakże był twym panem?
I radą króla i moim siostrzanem?
To wara błaznom od spraw senatora!“
I precz w niełasce oddał go ze dwora,
A w kollegiacie tarnowskiej uprosił
I nabożeństwo po Kmicie wspaniałe
I przez sześć niedziel sam żałobę nosił
Na senatora i siostrzana chwałę.

Już też rok siódmy na niedźwiedziej skórce
Spałem przy panu; a kiedy mentora
Z hetmanowiczem wysłano w podróżę,
Przyszło wyprawić już i mnie ze dwora
Do akademii na wyższe ćwiczenia:
I dał pan hetman do rektora listy
I błogosławił sercem u podsienia
I był to ranek jesienny i mglisty
I w duszy mojej działa się tak samo,
Kiedym się ujrzał za zamkową bramą.

„Wertaj a mudry, kołys pański służka!“
Krzyknął już z bramy za mną pan Maruszka,
A mój sokolnik po przed końmi sadił,
Niosąc sokoła mojego na pięści
I aż za Białę wiernie odprowadził
I tu dopiero rzekł mi: „Niech Bóg szczęści!“

Bardzo mi smutna była ona droga,
Ale w Krakowie było już weselę...
Kiedy mnie młodzi między siebie wzięli,
Tom i odtęsknił powoli od proga,
Bo było młodych aż do dwóch tysięcy
W tej głównej szkole różnego narodu,
A doktorowie czuli i goręcy
Wiedli po Bogu do tego zawodu;
Tedy poznałem łaski Almy Mater,
Kędy Jan Kanty, patron i bohater.
Ot i nie jedno przetarło się w głowie,
Po starych księgach i po mądrém słowie
I przez lat cztery, com był w onej szkole
I Bożą wolę i świata swawolę
Poznałem dobrze, lecz w łasce bez sromu,
Jakim był wyszedł, wróciłem do domu.

Hetman odwołał mnie nagle z Krakowa,
 Bo świat się bardzo podał nowój wierze,
 Więc się obawiał, czy i moja głowa
 Śród burzy czasów szkody się ustrzeże?....

A. D. 1558.

Kiedym powrócił, był Jasio Boboła
 Na miejscu mojem, a archiwa stare
 Pan pod przysięgą zdał na moją wiarę
 I pisać kazał mi listy do króla,
 Do senatorów i księży prałatów,
 Więc i do dalszych słał nieraz powiatów
 Mnie z temi listy, a nieraz z językiem;
 I milczć uczył i powiadał bacznie:
 „Słowo z ust posła łącno jest wybrykiem,
 I biada temu, kto złą sprawę zacznie !“

Tedym to poznał, jakie miał zabawy
 Około onój pospolitój sprawy;
 I więcéj światła, więc i szérszą miarę
 Dały te listy i archiwa stare,
 Nizeli księgi i mowy doktorskie,
 Bom ci z nich poznał i te sprawy dworskie,
 Sprawy kościoła i sprawy narodu
 I pana mego, jak mu było z rodu.

Tedym to począł pisać po kryjomu,
 Co się w ojczyźnie i hetmańskim domu
 Pod ten czas działo, bacząc, że to ważne
 I dla potomnych może być posażne.

Raz, kiedym siedział tą sprawą zajęty,
 Wszedł nagle hetman: „I co piszesz?“ pyta;
 Więc na nic wszystkie już tutaj wykrety

I rzecz nie mogła być dłużej ukryta,
Bo na uczynku gorąco mnie schwytał
I siadł w mém krześle i wszystko odczytał,
Więc i po chwili tak się ozwał do mnie:
„Nie ma co mówić i prosto i skromnie,
Lecz kto nieświadom drogi i żywota,
Temu nie pisać pono większa cnota!
Siła się złęgo z pism w te czasy sieje:
Kąkol w pszenicy, a w skarbcu złodzieje“....
Przejrzał książeczkę i rzekł mi łaskawie:
„Ergo sit sibi! Siej się moja rutko!
Pozwalam pisać i pomogę w sprawie,
Pisz, ale z Bogiem! ale w klar i krótko!“

I od tych czasów pisać ja począłem
I nie przeczułem, że innym mozołem
Wszystek mój żywot miał pójść po tym świecie,
Że mną los dziwny jak liściem pomiecie
I że nie zaraz powrócę do sprawy
I lat szczęśliwych, służby i zabawy.....

Ledwo trzy lata na tój służbie zbiegły,
W których me oczy pańskich skarbów strzegły,
Aż tu raz rankiem hetman mi powiada:
„Rodzic powrócił już do swego domu
I chory słyszę, więc jechać wypada,
Bo tam posłużyć może nie ma komu?
Z rozkazu mego bawił się wojskowo
Przez wszystkie lata, co ty przy mnie bawisz,
Lecz gdy ustąpił, bo mu już niezdrowo,
To ty samego przecie nie zostawisz?“

Ha, zrozumiałem, co to słowo znaczy,
A pan do pani z sobą wziąć mnie raczy

I poruszony, rzecze jój po chwili:
 „Potrzeba Walka do domu wyprawić,
 Choć go przy boku znać byłoby milój,
 Więc proszę sercem racz mu błogosławić!“
 Bardzo to sercu spadło niespodzianie
 I łza, jak perła, w oczach pani stanie.

Tedy pan do mnie: „Coś to lat ubiegło
 I znasz, że żadnej nie było różnicy,
 Że cię to oko, jako syna strzegło
 Pieczę rodzicy i sercem rodzicy.....
 Najmiłościwsza jójmość moja pani
 Jedną miłością chowała was obu,
 Toć czułą pamięć należy mieć dla niój
 I służby wierne, a wdzięczne do grobu!“

Obojgu do stóp padłem po kolei:
 I błogosławiąc mi w dobrej nadziei,
 Oboje razem uściskali głowę,
 Chciałem coś wyrzec—zaparło mi mowę....

I hetman podniósł i rzekł do mnie czule:
 „Nie mocuj serca! my rozumiem ciebie!
 Kochać cię będziem po Bogu i chlebie!
 Ja ci dam zbroję, pani da koszulę.“

Więc i trzy zbroje i trzy rzędy całe
 I trzy rumaki bardzo okazałe
 I trzy sokoły i trzech ludzi dwornych
 Dał mi pan hetman własną swoją ręką,
 A pan Maruszka trzy szabel wybornych,
 Mówiąc: „Są ostre, a proszę nie miękko!“

Pani trzy wozy dała wyładować
 Zapasem wszelkim dla domu potrzebnym,

I na odprawie rzekła do Irena:
„Kiedyś pachole umiał tu wychować,
To bądźże jeszcze w téj drodze służebnym,
Boć służb ostatnich najwyższa jest cena.
A weź ze sobą i pisanekę starą
I cisawego, co służyli z tobą;
Niechaj to za nim idzie pełną miarą
I niechaj będzie wyprawy ozdobą!“

Do doby hetman wyprawił mnie z rania:
Kiedy już przyszło do tego żegnania,
Hetman przy stole wesoło mi mówi:
„To na gościniec oddasz rodzicowi
Sygnet odemnie, a ten łuk z kołczanem
Odniesiesz Cywie, więc niech dobrze tuczy,
Czego potrzeba; Cywa cię nauczy
Na ojcowiznie, kiedy będziesz panem.“
Tedy znów pani: „Kiedy pan dla Cywy
I taki łaskaw i taki życzliwy,
To o Sufczynie ja pamiętać muszę,
Proszę pozdrowić tę pocziwą duszę!“
I dała jubkę futerkiem podbitą
I złote czółko dla Sufczyny w darze,
A gdym w jój oku ujrział łzę ukrytą,
Padłem jój do nóg, żałośnie płaczący,
Że pan Maruszka aż mi powstać każe
(Co już od doby był bardzo gorący)
I mówi wszystkim:

„Ta ne czyńte bidu!

Ta czoho płaczesz? ta ja z tobą idu,
Hodisz do batka pustyty samoho:
Bo skażut lude, że pustyły złocho.“

Jeszcze litanję w zamkowej kaplicy,
Zmówiła z nami do Boga-Rodzicy

Pani w swój łasce; poczem już bez słowa,
Jak zwyczaj domu, pochylona głowa,
Prosto w dziedziniec na krakowskie wschody
Na koń i stępo, a na wielkie zwody,
Z panem Maruszką i z całym orszakiem,
Milcząc, jak zwyczaj, ruszyliśmy szlakiem.

Na działą prościł pochód pan Maruszka
I bardzo krótką wydała się dróżka,
Co w Bogu wiodła mię do ojcowizny.
Z działów patrzymy na rzeki i dwory.
Rodzica mego zmożyły stare blizny
I mówił Cywa, że naprawdę chory,
Bo na Zarąbek Cywy szła nam droga,
I już na działach Sufczyna nieboga
Poznała sercem i mnie w tym orszaku,
I z wieścią oną biegła do rodzica
I powstał z łoża i rozjaśnił lica
I w jednej chwili wyzdrowiał do znaku.

Do nóg mu padłem w progu, i łaskawie
Wziął mnie do serca i serdecznie witał
Pana Maruszkę, o hetmana pytał,
I dzień nam zeszedł w szczęśliwej zabawie.

Lecz już do świtu pan Maruszka budzi
I każe wołać do roboty ludzi
I każe kuźnię na dziedzińcu stawić:
„Czegom cię uczył, tém się masz i bawić!“
Jakoż do tydnia był już ład w téj kuźni,
Bo pan Maruszka i naczynie zładził
I pancernika z Kańczugi sprowadził
I po swojemu i kuje i bluźni
I po dniach całych być każe przy sobie,

Aż gdy już w końcu gładko mu odrobię
Miecz z nowa kuty i podkowę całą!
Mówił już o mnie do rodzica z chwałą,
Żem człek rycérski i dobrze przetarty
I gdzie Bóg rzuci, nie lada co warty.
Jakoż zalecał, bym się w służbie chował
I w polu boje, w domu młot miłował,
Poczém się w drogę do Tarnowa zładził,
A na pół drogi jam go odprowadził,
Całując jeszcze przed koniem tę ziemię,
A gdy siadł na koń i nogę i strzemię.....

Iren pozostał z nami przy Sufczynie:
Prosiłem o to i hetman się zgodził;
Głaskał Pisankę i koło pszczoł chodził
I nie zatęsknił na nowój dziedzinie.

A. D. 1561.

Rok ten począłem w rodzicielskim domu,
Boć już rodzica zmogły były blizny,
I można było już i mnie bez sromu
Za wolą jego patrzeć ojcowizny.

Jakoż nie było to bez odpowiedzi,
Bo rodzic pisał do pana na dobie,
Że sam i chory w onym dworze siedzi
I że rad będzie widział mnie przy sobie.

Tedy pan raczył końmi mnie obdarzyć
I pisał do mnie: „Gdy masz gospodarzyć,
To szlę ci konie mojego zawodu,
A jest tam źrebiec i z Drózbiny rodu,
Patrz go a pilnie, boć to sławna strzecha,

Pod którą taka chowa się pociecha.
 Koni odemnie ma mieć me pachole!
 A niech Bóg szczęści, gdy poszło na rolę!!“

Kiedy dworzanin hetmański nadjechał
 I na kolędę z rozkazu wyśpieszył,
 Rad bardzo rodzic z cicha się uśmiechał,
 A jam się łaską tak bardzo ucieszył,
 Żem aż zapłakał, bo chłopięce lata
 Stały mi w duszy—i rzekł mi dworzanin:
 „Ha szanuj bracie pamięć onych danin,
 Bo panu w krótcie już pono ze świata!“
 —„Jakto?“ pytałem.

—„Pan nasz bardzo chory,
 Kiedy w Wewiórcie siedzi do téj pory,
 Choć znać niemocy po sobie nie dawa.
 Nie dobra jakaś znaczy nam się sprawa.

„Z Wielowisi jadąc zapadł na golenie.
 Straż tylko z panem całe dnie i noce
 Siedzi zamknięty, pisząc na skinienie,
 A wielkie muszą być one niemoce,
 Bo gdy hetmana chwycą wielkie bóle
 I zęby zetnie i oczy zamruży:
 To Straż powstaje, co przy piórze służy
 I tylko skinie na Jasia Bobolę
 I z za opony pani się wysuwa
 I patrzy z trwogą, czy nie skończył może?
 Lecz gdy się boleść straszliwa wysroże,
 Otwiera oczy i tak duchem czuwa,
 Że w pół urwane na boleści słowo
 Podaje dalej Strażowi do pióra
 I wobec pani czyni bardzo zdrowo,
 Choć boleść ciąży na nim gdyby góra!

A już najbardziej wszystkich to nie cieszy,
Że pan na Strażę w onęj pracy śpieszy.“

Rodzie, co bardzo wierzył w prognostyki,
Mocno się strapił, słysząc one wieści
I przesilenia nastały praktyki
I zaległ także to łoże boleści.....
I skrzepić ducha nie było sposobu
Bo i do Cywy i do mnie powiada:
„Kiedy pan hetman waży się do grobu,
To i mnie także zabrać się wypada!“

Mówił, że w Marcu to i on się minie.
„Ba też i bardzo!“ mówił Cywa na to,
„Niech no się kości wygrzeją w pierzynie,
Będziem żyć jeszcze, jak Pan Bóg da lato.“

Mnie wypadało jechać do hetmana,
Lecz trudno było odstąpić rodzica,
Bo rodzic patrzył mi ze trwogą w lica
I stary Cywa chwycił za kolana:
„Niech no paniczu! jechać nie wypada!
Jak Marzec minie, to się znajdzie rada.“

Jakoż i Marzec minął się szczęśliwie,
W kwietniowym słońcu wzbily się skowronki
Woń wiosenna ciągnęła od łąki
I nadszedł goniec, że pan hetman żywie
I w słońcu siada, bo ma się już lepiej.

Więc też i Cywa na ojca nastanie:
„Hetman się dźwignął i w Bogu się krzepi!
To czas już wielki i wam powstać panie:
Słoneczko świeci i aż pacha jarzec.
Nic nam nie będzie, nie umorzył Marzec,

To wstańcie panie i zasiądźcie w ganku,
Hetmańskie konie przejedziem po ranku.“
I ubrał ojca i w ganku posadził,
A jak rumaki przed ganek prowadził,
Więc i z kolei na każdegom siadał
I już nie było choroby ni bólu
I pytał rodzic, co się dzieje w polu
I tak już dobrze całym sobą władał,
Że zjadł śniadanie i kazał dać konia
I ruszył z nami na pole przez błonia.

Na oziminnie pasły się gawrony,
Ziemia aż pachła poruszona pługiem,
W bliskim miasteczku ozwały się dzwony
I krążył bocian i w szeregu długim
Gdzieś na niebiesiech kruczały żurawie
I rzekł nam rodzic: „A lepij mi, lepij.
I gdy pan hetman z niemocy się krzepi,
To rad tu jeszcze i ja z wami bawiej.“

Jakoż nie było listu ani gońca,
I minął Kwiecień i początek Maja,
Aż tu o ranku, gdy spojrzę do słońca
Pędzi posłaniec koniem od nahaja:
Patrzę, kto taki? A to człek hetmański
Co tchu przypadłszy bez listu powiada:
„Macie się stawić w skok na rozkaz pański!
Ale co prędzój jechać tam wypada,
Bo pan Kulesza wierzchy już rozstawił
I co dwie mile koń na kresach czeka!“
Chciałem coś lepij wypytać człowieka,
Ale i chwili dłużej już nie bawił,
Lecz poparł konia na nowo ostrogą
I niby strzała pomknął swoją drogą.

„Co się stać mogło?”

Nie czas było radzić!

Dopadłem konia i gdy pocznę sadzić,
Na pierwszych kresach dopędziłem gońca.
Dworzanin trzymał konia w gotowości:
Pytam: „Co słyhać?”

— „Patrzeć tylko końca“

Rzekł mi strapiony „bo pan leży w mdłości
I już o duszy księża tylko radzą....“

Tak mi się zdało, że mi serce pęknie,
I koń choć świeży w pierwszym kroku klęknie,
Więc znak nie dobry:

„Modlą się i każą!....“

Rzekł mi po chwili dworzanin już w drodze,
„A pani bardzo uciśnięta srodze,
Sama mi w ganku dała rozkazanie,
Bo dniem i nocą tylko sama sobą,
Bo pan Wojnicki leży także chory;
Tak się utrapił rodzica chorobą,
Że nikt nie zgadnie, kiedy z łoża wstanie,
Więc i posłańce gonią pod te pory
Na wszystkie strony, kogo trzeba prosić,
Bo wszystko pani zdaje się nie dosyć!“
Ha! parłem koniem, w żalu bardzo wielki,
Boć była dla mnie sercem rodzicielki
Zawdy łaskawą pani hetmanowa.
A gdym pomyślał, co wszystkim zagraża,
Jeżeli w Bogu odpocznie ta głowa,
To od każdego w téj drodze cmentarza,
Woń śmiertelnego biła mi kadzidła
I w łzach widziałem tylko same krzyże
I chociaż chyżo gnały wierzchy chyże,
Za nic się zdało. gdy nie było skrzydła!....

Pianą strzaskany, choć okryty burką,
Wstrzymałem konia przed samą Wewiorką,
A było prawie jak na to nad ranem,
Więc z kres ostatnich pytam dworzanina:
„Kędyż tam staje hetmańska drużyna?
Bo jużciż taki nie stanę przed panem.“

Na to dworzanin mi po chwili powie:
„Już tam po szopach mieszczą się panowie,
A więc najlepiej zajechać do chaty
I wytchnąć koniom i odmienić szaty.“

Gdyśmy do izby wstąpili wójtowój,
To przed obrazem téj Najświętszej Panny
Kłęczały w chacie dzieci, białogłowy,
A wójt odmawiał sam pacierz poranny,
Więc przystąpiłem do tego przymierza,
Bo choć w strapieniu, zabyłem pacierza.

„Cóż słychać wójcie?“ pytam po modlitwie.
— „I źle i dobrze!“ na to mi powiada:
„Źle, bo pan kończy! a dobrze, bo w Bogu!
Ha, byłem wczora w tym hetmańskim progu,
Sam pan mnie wołał — i była nie lada
Łaska dla ludzi, bo pan nam dziękował
Za wierne służby, więc i błogosławił
I wdzięcznym darem ludzi umiłował
I na ostatku tak sam do mnie prawił:
— W Bogu was żegnam! a nim się zobaczym,
Kiedy tu po mnie na was tylko siędzie:
Litość mieć trzeba nad niedoli płaczem
I niechaj gorzej jak było nie będzie!
— Pan nasz dziś skończy, bo tak sam powiada!“

W ganku mnie pani powitała rada,
Przy niej stał Jasio Bobola spłakany,
I gdy do pana był mi już wstęp dany,
Rzekł pan wesoło i bardzo łaskawie:
„Jużciż wiedziałem, że przybędziesz w porę,
Że cię pożegnam, nim się z tąd zabiorę;
Patrz, syn mi chory! kiedy mnie w tę drogę,
Pobłogosławić nawet mu nie mogę!“

Z cicha przykląknęłam przy tém łożu pana,
Ze czią ściskając stopy i kolana
I rzekł pan do mnie: „Daj szaty pielgrzyma,
I niech Pan w łasce do ostatku trzyma“...

Ubrałem pana w te szaty pątnicze
I miał pogodne i światłe oblicze,
Gdym go na krzesło z panią przeprowadził
I do Mszy świętej w komnacie usadził.

Ksiądz biskup Lenard miał tedy Mszę świętą
I był ksiądz Łyczko i Jakób kapelan,
Więc gdy o Bożém królestwie poczęto
One kazanie, hetman w duchu przelano
W one słodkości przyszłego żywota,
Z wielką nadzieją na śmierć tylko czekał.
Więc i spowiedzi dłużej nie odwlekał
I wielkiej skrusede czynił w piersiach wrota.

A gdy wijatyk przyszło przyjąć w drogę,
Kostur pątniczny kazał dać do ręki
I na nim wsparty, przed biskupem w klęki:
Pani po jednéj, ja po stronie drugiey
Trzymałem pana i zadość się stało
I podziękował nam za te usługi
I legł na łożu z Świętych Pańskich chwałą.

Tu zdjawszy ślubny pierścień, dał go pani.
 I przystąpili do łoża kapłani
 Czytając passyę, której słuchał pilnie,
 Z wielkimi znaki zbawienia dla duszy.
 Bo w pierś się bije i duchem się kruszy.
 A kiedy przyszło pod koniec modlitwy,
 „In manus Tuas“... tylko westchnął silnie,
 I rycérz Boży wyszedł i z téj bitwy
 (Jako w mém sercu ufam nie omylnie)!
 Zwycięzca w Panu na wieczne pokoje!
 I z Świętym Pawłem pytamy pospołu:
 „Gdzie jest twe żądło śmierci u padolu!
 Kraino cieniów, gdzie zwycięztwo twoje?“

Die 16 Maii, 7 Piątku na Sobotę.

„Finivit magnum in patria certamen“
 Rzekł biskup Lenard, chyląc się na łożo:
 „I pokój duszy!“

I dodali „Amen!“

Mocno ufając w miłosierdzie Boże...
 A gdy pan skończył, to téj samej chwili,
 Jako mi później na zamku mówili,
 Dziwa się działy na rzymskim zégarze:
 Boć to Jan Chrzciciel puścił wszystkie stráže,
 A dzwon tak długo dzwonił i tak silnie,
 Że choć noc była, drużyna zamkowa
 Z światłem się zbiega czuwająca pilnie,
 Bo gdy tak rzymski zégar na gwałt woła,
 Mówiono sobie stojąc w koło stoła:
 Że pewno legła już w Wewiorce głowa,
 Bo choć nie było po czasie na porze,
 Jawią na tarczy się widzenia Boże,
 A w bramie niebios i u jasnój góry

Stoją Aniołów nie przejrane chóry
I jasność świeci już wszelkiemu oku,
Bo Trójca Święta staje na obłoku
I Bóg w wielkości swojej niepojęty
I pan Zastępów „Święty! Święty! Święty!!!“

Jakoż znak wielki na chwilę nie chybił
I zégar stanął, gdy już wszystko wybił....
Tedy do wszystkich wyrzekł pan Maruszka:
„Dla was w zégarze, dla mnie w szabli wróżka“
I z światłem przeszli do pańskiej komnaty,
Kędy wisały szable i bułaty
I dobył szablę, którą pan był nosił
Pod Obertynem, i pot całą zrosił:

„Na szabli rosa
To na szyi kosa!

Pewno nie żyje!“ i w poszwy ją wsadził
I z nikim więcéj o tém już nie radził.
Odkąd pan zapadł, bywał bardzo tępy:
Co noc z pod Orszy śniły mu się sępy,
I nie chciał widzieć pana w téj niemocy,
Lecz jak duch chodził w kruzganku po nocy.

Kiedy z Wewiorki poślaniec o świcie
Przypadł do zwodu, to chowano skrycie
Wieść śmierci pańskiej przed panem Maruszką,
Jakoż nikogo o nic już nie pytał,
Bo mu najlepszą była szabla wróżką,
A gdy śmierć pańską po rosie odczytał,
To głowa w myślach była dziwnie czynna
I zdęła serce rabies ukraiinna...
I mówił tylko: „Coś mi bardzo huczy,
Jakby po bitwie, lub stepowej tuczy.“

W Wewiórce księża czynili kaplicę
Z komnaty pańskiej, i gorzały świece
I przy ołtarzu ofiara się czyni,
Więc i ubóstwa napłynęło wiele
I dniem i nocą śpiewają przy ciele
Żałośne psalmy księża Bernardyni.
Cały dwór w kirze: cicho, jak w kościele;
Pan hetmanowicz, gdy się dźwignął nieco,
Pośpieszył z żoną do tych mar rodzica
I tylko modły i tylko łyzy świecą
I tylko czasem przemówi żrenica....

Szerzój a szerzój biegly w świat te wieści,
Aż uderzyły w skrajne bojowiska:
Tedy się w żalu cały naród ciska
I wydał bardzo wielki jęk boleści;
A cała Polska rwała się do kiru,
Bo bez tój głowy nie ma w ziemi miru,
I szły ku niebu modły serc gorące
I w całej Rusi, w Litwie i w Koronie
Smucił się naród i przez trzy miesiące
We wszystkie dzwony bił po onym zgonie.
A od biskupów poczawszy, w kościele
Nie było z bliższych województw kapłana,
Coby Mszy świętój nie był miał przy ciele,
Tak tam bolała wszystkich ona rana,
Boć to w żałości mówił naród sobie:
„Któż w radzie pańskiej będzie dziś przestrzegał?
Kto za Tatory na podwodziech biegał?
Gdy stary hetman dziś już leży w grobie?
Siedliśmy, siedli? po ziemi bez miru!“
I cała Polska rwała się do kiru....

Książdz dziekan Łyczko, jako włódarz pański,
Kiedy się w ziemi podniósł taki lament!

W grodzie przy świadkach złożył był testament,
Jak akt ostatni téj woli hetmańskiej.

Aktu onego głosić przed pogrzebem
I przed żałobnym po hetmanie chlebem
Nie było wolno, według obyczaju.
Jednak ksiądz dziekan, co znał tenor woli,
Cieszył co bliższych w ziemi i po kraju,
Że są do króla listy temu gwoli,
I bez buławy w Koronie nie będzie!
Bo pan obmyślał sprawę po staremu,
I choć ustąpił, to naród nie siądzie,
Bo się buława godzi godniejszemu.

Więc nie daleko przyszło śledzić sprawę:
„Mielecki weźmie po panu buławę!“
Mówiono sobie, i tak téż się stało,
Wziął ją i trzymał dla narodu z chwałą.

Otóż, jak o téj sprawie dziekan wiedział,
Tak i mnie pańską wolę opowiedział,
Bym nadal w dworze pani marszałkował,
Więc i dwór wdowi w poczciwości chował.
Ha, zrozumiałem, co pan żądał po mnie?
Więc za tę służbę wziętem się przytomnie,
A gdym jął radzić o ludziach i chlebie,
Wszystko się zeszło jakoś samo z siebie.
Przy saméj pani służył Jaś Bobola,
Boć taka była jój wyraźnie wola.

Z Wewiórki biegłem przodem do Tarnowa,
Gdzie miała przybyć pani hetmanowa,
Bo przyszło w końcu jeszcze tego dożyć,
By głowę pańską w zimnym grobie złożyć.

Wjeżdżam na zamek, wrotny z płaczem wita
 A serce tylko o Maruszkę pyta:
 „Cóż pan Maruszka?“

— „Żle, wielmożny panie!

Pono nie na tém u nas jeszcze stanie,
 Pono za głową pójdzie wszystka sprawa,
 Bo pan Maruszka folgę żalom dawa:
 We dnie w piwnicy siedzi albo w kuźni,
 A nocą gwizdże i w krużgankach bluźni,
 Aż zmarniał wszystek, aż pozał się Boże!
 Odkąd pan skończył, nie przyległ na łoże!“
 Wjeżdżam w dziedziniec, było to o ranku,
 A pan Maruszka chodzi po krużganku,
 I po swojemu w zamku gospodyni,
 Gdzieś i teorban dobył z starój skrzyni
 I w szumki, dumki, aż sklepienia jęczą,
 Aż ludzie stają, że aż szyby brzęczą,
 Huka i gwizdże, zawodzi i śpięwa,
 Że aż się sokół na berle podrywa.

Znałem ja wprawdzie oddawna te rzeczy,
 Że takie serce nie lada co leczy,
 Boć to był człowiek wcale ukrajinny:
 Porządny w sprawie, ależ w żalu czynny!
 Co rok go bowiem napadał żal taki,
 Kiedy już z cieplic powracały ptaki,
 Kiedy pług piérwszy zarznął wiosną rolę,
 Takie się w sercu wznawiały tam bole,
 Że go nie ujrysz na mszy ni przy stole,
 Jedno koń, sokół i szumka i w pole
 I kamień w wodę, aż gdzieś w tydzień w kuźni
 Kuje jak szatan i po rusku bluźni.

Więc zrozumiałem, że to nie przelewki
 Kiedym usłyszał hukanie i śpiewki.

Póki żył hetman, mawiał na ostudę:
„Mij staryj hłuzdy, bude toho, bude!“
I pan Maruszka wracał do porządku,
Ale jak pana, brakło i rozsądku....

Idę w kruzganki, witam porucznika,
A on mi tylko przygwizduje zdzika:
„Hdeś zadiw batka? czort wam z tou robotou!“
Mówię mu pełnym słodkości wyrazem:
„Mój poruczniku, pomódlmy się razem.“
A on mi na to: „A czort wam mołyty!
Jak Tatar najde, a kto bude byty!“
Ja mu do kolan: „Ej duszko! Maruszko!
Toż ja tve dziecię, toż ja twoim służką!“

Cięzko zapłakał i już się wyzalił,
Lecz ledwo Boga westchnieniem pochwalił,
Obszedł hetmańskie komnaty do koła,
I gdy na błoniu ujrzał powrót stada
I klacz hetmańską przed stadem od czoła,
Znowu zahuka i tak mi powiada:
„Hej długo, długo będzie tutaj głucho!
Trąba bojowa nie obudzi ucho!
W psiarni zależą krymskie harty pole
I w świat polecą hetmańskie sokole.
Jedno wiatr chyba dziedzińcem przebieży
Lub na gołębnik jastrzębiec uderzy!...“
I znów zapłakał i ścisnął mi głowę:
„Mnie to już nie życ! mnie już czas w dąbrowę!
Każ mi dać konia, a sam podaj zbroję!
Jadę hetmanie! jadę! jadę! jadę!
I coś zdał na mnie, to ja Bogu kładę
I kończę panie gospodarstwo moje.
Chodź chłopcze ze mną, pan próżen mozoły,

A więc na wolność puścimy sokoły,
Bo jak Maruszka i sokół się prosi,
A komu trzeba, niechaj go unosi:
Nie stało orła! więc co po sokole?“

I jakby wszystko stanęło na niczém,
Gwizdnął w krążgankach hasłem sokolniczém:
„Hej! Kubuś, Kubuś! hej Aldabon w pole!
Na cztery wiatry i na ziemie krajne!“
I na pohybel, na drogi rozstajne,
I zdjął z każdego dłużec i kapturek,
Pogłaskał w drogę, przeniósł po pod sienią
I puszczał wolno, mieniać po imieniu.

I wleciał Kubuś, Idalgo i Nurek,
Wleciał Ewora, Alkasar, Pampano
(Których to niegdyś po Maurach zabrano),
Tylko Aldabon siedział zasępiony,
Choć od lat wielu nie był już strojony
Więcej w kapturek, bo już przyślept trochę
I pierś miał nagą, a i szyję nagą,
Boć przez lat wiele bił z wielką odwagą,
Więc od starości wielkiej się wypięrzył,
I gdy na dłużec brano ptasze płoche,
On sam na berle spokojnie się dzierżył,
I chyba tylko kiedy chód hetmana
Lub też Maruszki doleciał go z rana,
Wachlował skrzydły, prężył się i jeżył,
A potem znowu drzymał przez dzień cały,
Że ledwo wierzyć, że ptak onój chwały!

Bujno odlatał każdy sokół młody,
Aż pan Maruszka w końcu już przystąpił
Do Aldabona:

„Nie nam do swobody!

Nie stało drogi, a wieku nie skąpił
Bóg dla nas obu. Przypomnij sokołe
Hetmańskie służby! hej Aldabon w pole!
Piecztuj ptaku, tak jakoś nam pisał!

I stare ptasze tak już rozkołysał,
Że i Aldabon w górę jeszcze strzelił,
Tak go ostatni pogwizd rozweselił!

A pan Maruszka: „Hej gdzie nasza sława!“
I huknął znowu: „Ha! skończona sprawa!“
I na sokoły, co siedziały jeszcze
Rzekł: „Z tymi trzema w polu się popieszczę,
Bo trzy sokoły, trzech ludzi, trzy konie
Puści ktoś z światem i po moim zgonie,
Owo skończone już włodarstwo moje.“

I siadł w krużganku, a jam wyniósł zbroję.
Kiedym ją opiął, całuję w kolano,
A on mi rzecze: „A czy to tak rano?
Daj mi gorzałki i napij się ze mną,
Bo ciężko w sercu i przed duszą ciemno....“

Podąłem, wypił, wypitem i ścisnął,
I precz odsunął, gdym na nim zawisnął.
Gdy wsiadł na konia, poprawił się w siodle:
„Służyłem Bogu i Polsce nie podle!
Tam w dzikich polach są mogiły święte,
Wracam do swoich, Roxolanus gente.“
I już ni słowa i ani łzy w oku...

Kiedym w dziedziniec szedł przy jego boku,
Wziął trzy sokoły, trzech ludzi, trzy konie,
I z kąd był rodem, ruszył ku téj stronie.
Kiedy odjeżdżał, rzekł tylko do nieba:

„A czej sia najdem, de komu potreba!“
Cały dwór wyszedł za bramę daleko,
Nikt nie rzekł słowa, choć wszystkim łyzy cieką,
Każdy zrozumiał rzecz dobrze u siebie
I wracał smutno, jakby po pogrzebie.

Stała figura przy zamku w pobliżu;
Patrzę, a stary sokół siadł na krzyżu,
Wachluje skrzydły i patrzy za drogą,
Okręca głową i jeży się srogo.

↳ Zdawna mówiono, że Aldabon ślepy,
A on tak długo rwał się całą siłą,
Jakby z Maruszką chciał odlecieć w stepy,
Póki na drodze tuman widać było,
Aż kiedy znikli, osowiał i zdrzymał
I przez dni dziewięć na krzyżu się trzymał,
Że nie wiedziano, czy skostniał, czy żyje,
Nikt go zdjąć nie śmiał i ręce niczyje
Nie śmiały podać sokołowi jadła;
I wszystkich dziwna trwoga tak opadła,
Że omijali figurę z sokołem.
Aż gdy z pogrzebu wracaliśmy społem,
Patrzę, a sokół na krzyżu nie siedział,
Lecz gdzie się podział, nikt o tém nie wiedział...

KSIĘGI TRZECIE.

WDOWI DWÓR. . . . I PIELGRZYMKA DO ZIEMI ŚWIĘTEJ.

Gruba żałoba trwała trzy miesiące
I cała Polska była na pogrzebie;
Lecz po egzekwiach i żałobnym chlebie
Bardzo opadły jakoś wszystkim ręce
I uczyniło się pusto przy znaku
W kole rycérskim i przy pańskim tronie,
Ot i nie było czém zastąpić braku
I smutno było w Litwie i Koronie.

Król w łasce swojej podtykał buławę,
Czcząc pamięć ojca, panu Wojnickiemu;
Lecz że był chory, to się oparł temu.
Toć i owładnął w końcu wszystką sprawę
Nasz pan Mielecki, jak mu było z rodu,
I zgarnął wszystkie rycérstwo ku sobie,
Bo już był polnym hetmanem w téj dobie,
To wziął i wielką buławę narodu.

Jako w ojczyźnie, tak się działo w domu,
Bo już przewodu nie było dać komu:
Pan hetmanowicz na siłach upadał,

We łzach i modłach żyła tylko wdowa,
A na dziedzictwie nowy pan Tarnowa,
Książę Ostrogski, jak obcy zawładał,
Więc niestawało wielu ludziom drogi
I nikt nie wiedział jako się to złoży
I panią tylko chwyтали za nogi,
Co już poczęła sypiać na rogoży.

Straszny to piorun w stare gniazdo strzelił
I w dom Leliwy zlany krwawym potem!
Ktoby nieświadom, temu wiedzieć o tém,
Jako pan hetman swą dziatwę obdzielił:
Księżna Ostrogska wzięła Tarnowszczyznę,
A Jarosławską pocziwą puściznę
Wziął syn po ojcu, niby miecz i męstwo,
Bo jużciż ono Jarosławskie księstwo
Wierne świadectwo i cnót i zaszczytów,
Najstarsze gniazdo w rodzie Leliwitów,
Z którego wyszli Pileccy, Tarnowscy,
Starzy Bobole, Sieniawscy, Granowscy,
A i Mielsztyńscy i więcej ich nie ma.
A choć nie jeden różnie o tém trzyma,
Kiedy po ziemiach obsyłają wici,
A choć nie jeden Leliwą się szczyci
I hardo sobie siada po za stół,
To ja go pytam: „A zkąd tyś ją wziął?”

Są Leliwici, ale innym strojem,
Co je przykryli starsi szczytem swoim,
Bo się lubili zawdy z cnotą bracić
I drugie ziemią naddziadów bogacić.

Dom Szydłowieckich, z którego szła pani,
Stał prawie wszystek u Bożej przystani:

Więc bardzo trudna rzecz już była z przodu,
Bo choć mąż zacny on Ostrogski książę,
Co się ślubami z hetmanówną wiąże,
Ale brnął bardzo w wierze Carogrodu.

Choć krew łączyła, nie łączyła wiara,
Bo w onój wierze inna rzeczy miara:
Otóż w Tarnowie nie pozostać pani.
Wiedział syn o tém, a więc księstwo w dani
Chciał ponieść matce na mieszkanie wdowie
I prosił bardzo, żeby w Gorliczynie
Osiąść raczyła, jak w swojej dziedzinie;
A jako pana umie pamięć cenić,
Aby raczyła niczego niezmienić.

Lecz pani na to krótko mu odpowie,
Że co jój trzeba, to wszystko dziedziczy,
Bo ma po panu ów kostur pątniczy,
A więc i wszystko, czego wdowie trzeba,
Na téj tu ziemi prócz Boga i nieba.

Gdy pan Wojnicki rozżalił się na to,
Stańto w końcu, że na przyszłe lato
Od krewnych wróci i w Wielowsi siędzie
I że tam wdowie jój mieszkanie będzie:
„Lubię Wielowieś i dwór modrzewiowy,
Będzie tam smutne czém pocieszyć oczy:
Święty Sandomierz i Wisła się toczy,
A co dostojne było w dzień godowy,
To i w czas Boży wystarczy dla wdowy.
I pan nieboszczyk lubił to ustronie,
Więc niech tam reszta dni już moich zbiegnie,
Wasi tam leżą, otóż niech po zgonie
I moja biédna głowa przy was legnie.“

O jedno tylko upraszała syna,
By w łasce była po panu drużyna,

A mnie staranie poruczył jój dwora
I dała listy do księdza przeora,
Prosząc, by ze mną raczył tam się znosić.
Więc pan Wojnicki kazał mię przyprosić
I przez noc całą miałem z nim naradę.

Jakoż stanęło jużciż w końcu na tém,
Że do Wielowśi bez zwłoki pojedę:
„Znam moją matkę, czułość mieć potrzeba,
Jak dbać nie będziem, wyrwie się do nieba,
Więc proszę waszmość, bądź mi wiernym bratem.
I sandomiérskie starostwo dał na to,
Aby w Wielowśi nie brakło na niczém,
Gdy pani wróci do siebie na lato,
A z resztą mówił: „W Bogu się obliczym.“
A więc jechałem, wziąwszy one listy.

Dwór modrzewiowy był w Wielowśi czysty
I miła strona, kędy puścić oczy;
Tutaj Sandomiérz, tu Wisła się toczy,
Parafia we wsi, Wisłą płyną łodzie
I słońce pali się blaskiem na wodzie
I brzeg bezpieczny, gdzie flisak przebywa
I o Barbarce świętój pieśni śpiewa..

Nad brzegiem stała kapliczka od wieku,
A przy niej dzwonek, w który flisak dzwonił,
O śmierć szczęśliwą tam to prosić człeku!
I kiedy dzwonek łzy ranne uronił,
Mówili ludzie: „To Barbarka dzwoni“
I człek się wlepiął do śmiertelnój toni.
Lekko tam było sercu i ochotnie
I panu Bodze dziś jeszcze stokrotnie
Dziękuję za to, że tak wejrzyć raczył
I pańskiój wdowie te strony przeznaczył.

Wiem jaką przyjaźń w sercu swoim chował
Pan hetmanowicz dla mnie od młodości,
Tom się nie gniewał, lecz tak mnie pilnował,
Jak gdyby wątpił w moje pocziwości;
To téż o lepsze poszliśmy w zawody,
I co umyśli, jam uczynił wprzód.

Sorok wielbłądów nadesłał ciężarnych,
Sprzęty przywieźli, makaty, kobierce,
Srebro i wiele drogości nie marnych,
Że się aż ku nim wrywało serce.
Gdy tabor nadszedł, słałem do przeora
I owo właśnie przypomnieć jest pora
Co to zacz bywał ksiądz Leopolda?

Święty a święty, kiedy z księgi czyta,
Lecz kiedy w goście do Wielowisi wita,
To sama tylko majowa pogoda,
Czysta wesołość, ni w pustyni woda,
Zda się że wiatry gdzieś z południa wieją,
Wszyscy się cieszą i wszyscy się śmieją,
Tyle miłości i pogody tyle,
A przecież tyle powagi w téj sile.

Dzień był przepiękny, pobiegłem do Wisły.
Gdy na galarze białe szaty błysły,
A flisaczek nieboraczek
Robi wiosłem jak robaczek,
Pieni Wisła, pieni w biegu
I już stanęli u brzegu.
Pochwalony! i witamy
W Wielowiejskie bramy!

„Zły z ciebie dworus, miły panie bracie,
Kiedy tu bez nas rady nie dawacie

I wybacz, proszę, bracie, że nie pieszczę,
Cóż tu w Wielowski? bo my naczczo jeszcze.“

Jest tam w Wielowski lamus starodawny,
Od rezydencyi królów jeszcze sławny,
Spodem sklepienia, bo i zbroi wiele,
Na piętrze izba i dwie małe cele
I dobry komin, sprzęty przyzwoite,
A i piwnice spodem wysmienite,
Tam więc przyjąłem księży w onój dobie,
Bom był tam obrał rezydencyę sobie.

Dwór modrzewiowy był bardzo obszerny:
Po rogach stały cztery narożniki
I były bardzo obdzielne kąciki
I żył tu jeszcze królewski odźwierny,
Boć w czasie wielkiej morowej zarazy
Król Zygmunt Stary odjechał z stolicy
Z wszystką rodziną i w téj okolicy
Przez trzy miesiące bawił bez urazy.
Krótewic tedy był chłopięciem małym,
A trzy królewny malutkie paniątka
I król się mieścił tedy z dworem całym
Bardzo ucziwie u onego kątka,
Dobrze zakryty obszarem tych lasów.
I jest tam jeszcze okop z onych czasów,
Kędy dworzanie mieli stanowisko,
Kuchnią królewską aż po dziś nazwany,
Więc panu miłe było to siedzisko
I są pamiętne modrzewiowe ściany.

Gdy król z rodziną tutaj gościć raczył,
Tedy pan hetman lasy tak osaczył
Wojskiem do koła i wzdłuż brzegów Wisły,

Że ptak powietrzem nie przemknął łańcucha,
Bo był pod gardłem dany rozkaz ścisły,
Aby żywego nieprzepuścić ducha.
Jedne chorągwie stały u dąbrowy,
Drugie u Mielca, i póki Król bawił,
Nikt się przez Wisłę z ludzi nie przepawił
Przez wszystkie czasy zarazy morowej.

Na strzał od czatów stawały już posty,
I wszystkie ścieżki i drogi zarosły,
Tak strzegł pan hetman królewskiego domu
I tak pomyślał o wszelkim zapasie,
Że i w tym czasie i po onym czasie
Na niczém braknąć nie mogło nikomu.
Jakoż złamała się na tym łańcuchu,
Jak przepowiadał hetman narodowi
Zaraza ona, więc téż i posłuchu,
Choć najtwardszego, nikt mu nie odmówi.
Gdy odjeżdżało w końcu państwo dworne,
Rzekł król do pana hetmana serdecznie:
„A bardzo wdzięczny za takie komorne
I za podjęcie pocziwe a grzeczne;
Nie wiele takich dni przeżyłem w życiu
I tak bezpiecznych i takich spokojnych,
Jakie Bóg raczył dać mi w tém ukryciu,
I w téj Wielowsi progach bogobojnych.“

To téż gdy hetman chciał folgę dać sobie
W lecich późniejszych, to tu zwykle wpadnie,
Aby podumać na swych przodków grobie
I wszystko zdało się w Wielowsi ładnie,
W tym starym dworze i pod cieniem lipy;
Bo tu Sandomierz, tu się Wisła toczy—
I zadumany lubił puszczać oczy
Z wodą za biegiem tej rybackiej krypy.

A kiedy folga bywała mu dana,
To albo czytał zwykle księgi z rana,
Albo kroniki czasu swego pisał
I tak w téj ciszy ducha ukołysał,
Iż bolał sercem i mówił to zawdy,
Że mu żal rzucać ściany modrzewiowe,
Bo tak spokojną ma w Wielowski głowę,
Iż tu mu świecą całe Boże prawdy.

Gdym na lamusie ugościł przeora,
Tedyśmy poszli do starego dwora;
Więc i obejrzał dom wielkich pamiątek,
Nie leniąc zajrzeć i w najmniejszy kątek,
A gdyśmy weszli do izby stołowej,
Rzekł mi ksiądz przeor:
„Wedle mego zdania,
Tu takiej izby stołowej nie trzeba:
Znałem myśl pani, a cóż będzie wdowy?
Pani nie złamie tutaj z wami chleba,
Pani nie siądzie tutaj, bo to służka,
Dobrze jeżeli uje co z garnuszka,
Więc tu kaplicę zrobim bez czekania.“

I gdy wielbłądy zwolniono ciężarne,
To się znalazły rzeczy bardzo zdarne:
Bo był i ołtarz misternój roboty,
Była monstrancya i relikwiarz złoty,
Ba i makaty złotem przetykane,
Któreśmy zaraz rozpięli na ścianę,
Więc wizerunek i Zofii patronki,
Z trzema córami na niebieskim dworze,
Jako je bierze w niebieskie obsłonki,
Gdy od męczeństwa obronić nie może.
Bo pani było Zofia i jój matce.

Więc wizerunek i Jana Chrzciciela,
Jako przed Panem w puszczy stoi gładce,
A hen na obu patrzy rzeszy wiela,
Bo panu było tutaj i przed Bogiem:
Jan, otóż ścieżki prosił on przed Panem,
A i chrzcicielem bywał on przed wrogiem,
Bo w Ziemi Świętej tak mu było daném.

Więc wizerunek Krzysztofa świętego,
Boć ojcu Krzysztof bywało na imię,
Jako przez wody niesie mizernego,
A gdy się w końcu obejrzy co imię?
Patrzy i struchlał, bo to Pan Zbawiciel
I wszego rodu wielki Odkupiciel.

Więc był tam także i obraz ex voto
Bardzo misterną a własną robotą,
Gdzie hetman kłęczał przed Pańskim obliczem
W stroju pielgrzyma z kosturem pątniczem,
A żona, dzieci, ludzie wszego stanu
W wielką go łaskę zalecali Panu.

Gdyśmy kaplicę ubrali przystojnie,
Rzekł mi ksiądz przeor: „Dobrze w tym kąciku!
A gdy pobożnie, niech też będzie strojnie:
Zbuduj wieżyczkę na tym narożniku,
A jak za Wisłą na jutrznię zadzwonim,
To niech wasz dzwonek odzywa się po nim.
I słuchaj bracie! Pani w wielkim dworze
Nie zechce sama siedzieć po niesporze:
Rozpisze listy, a ty z strony twojej
Powiedz po szlachcie, że pani pobożna
I że jój saméj ostawić nie można.
Wszak na sierotach świat ten pono stoi,

To się tu najdą wdowy i sieroty!
A wiele będzie radości, ochoty.
Żeśmy o pani tu radzili szczerze,
I nędza swoje, Bóg swoje odbierze.“

Jako ksiądz przeor obmyślał i radził,
Tak też jam czynił, wzięwszy rządy krótko:
Więc i starostwom obsiał i obsadził
I z wiosną stanął cały dwór bielutko
I ochędożnie z nowa ogarnięty
I opatrzone w zapasy i sprzęty,
Jakoż poczawszy od wina i chleba,
Aż do kadzidła i grosza bitego,
We dworze onym nie brakło niczego,
I czekać było tylko łaski Nieba.

Anno Domini 1562, die 23. Junii.

Przybył dwór cały pani hetmanowój,
Powitać panią w Wielowiejskim dworze,
Bo już wiedziano, że się pani zbliża
I lada chwila zjedzie z Sandomierza.
Więc pan Wojnicki był także gotowy
I czekał z panią po nad brzegiem Wisły.

Strojne namioty na łądzie zawisły,
Gdzie przybić miały do brzegu galary,
Gromady stały, niosąc pani dary,
A i ksiądz proboszcz ze święconą wodą.
Niebo świeciło czerwcową pogodą,
A z sukna było po drodze zasłanie,
Kędy iść miała wdowa na mieszkanie.

Już się skończyła żałoba po panu,
Więc każdy strojny, według swego stanu

Czekał od rana, i co chwila w biegu
W łodzi posłaniec odbije od brzegu
I słyhać było sandomiérskie dzwony,
A żaden poseł nie wracał z za Wisły.

I pan Wojnicki począł się już dziwić,
I ludzi kazał na brzegu pożywić,
I miał już siadać w tę łódź ustrojoną,
Gdy w Sandomiérzu znowu uderzono
We wszystkie dzwony i galary błysły.

Dobra przeprawa trwała jakoś krótko,
Wdzięcznie ją brała Wisła na swe barki,
Patrzym, gdzie pani? aż szatę bielutką
Dominikańskiej przybrała Tercyarki!

Gdy pan Wojnicki ujrzał rodzicielkę
Wśród białej księży, w zakonném ubraniu,
Upadł jej do nóg przy tém powitaniu
I zadziwienie było ludzi wielkie:
Nikt nie pomyślał, nikt się nie nadziewał,
Że to tak będzie, że panią zakonną
Powitać przyjdzie?

Ksiądz proboszcz podał jój wodę święconą,
Chlebem i solą witały gromady,
We wszystkie dzwony we wsi uderzono
I już iść było tylko za jój ślady.

Lecz pani jeszcze przed namiotem stała,
Pełna miłości i łaski i wdzięku,
Dzierżąc relikwiarz i kostur w swém ręku
I chléb powszedni dać sobie kazała,
A łamiąc wiernie obdzielała chleby:

„Niech was od ciężkiej Bóg chowa potrzeby.“
A już relikwiarz dając, rzekła wdowa:
„Niech was Pan w łasce, jak swe sługi chowa!“

I lud się cisnął do ucałowania
I pocziwego było tam szłochania....

Gdy na mnie przyszło, patrzę, Jezu Chryste!
Ta to relikwiarz nieboszczyka pana?
Com ja go stroił w te fjołki czyste,
Com go podawał pani co dzień zrana?
Tom się i zalał łzami nad nim rzewnie,
A pani na to rzekła mi wesoło:
„Pan się tam za nas w niebie modli pewnie!
„Łzy nieprzystały, w niebo, w niebo czoło!“

Proboszcz zaśpiewał pieśni wielkim chórem,
Pani skinęła na kościół kosturem
I niestąpiła po tém suknie nogą,
Aleśmy poszli do kościoła drogą.

Tutaj ksiądz proboszcz odprawił nieszpory
I kolatorkę witał po raz wtóry,
Bardzo świętymi i czułymi słowy:
Najprzód w imieniu nieboszczyka pana
I poczczył pamięć wielkiego hetmana;
Potém w imieniu syna i synowój,
Potém dziękował za to od gromady,
Że to ustronie opatrzeć raczyła
I zasiąść z ludem między tém sady,
Zkąd będzie dobra dla prostoty siła.
A kiedy poczczył, pocieszył, pouczył,
To białej księży w końcu ją poruczył,
Widząc w tém jawną a i Pańską rękę,
Że białą pani przeznaczył sukienkę.

Gdy pan Wojnicki panią już osadził,
Jam po odjeździe pana wreszcie radził:
Cały dwór pani puszczo do domu,
Ale ztąd krzywdy nie było nikomu,
Bo brali gracye i po dworkach siedli
I chwając Boga łaskawy chléb jedli.
Natomiast weszły same białogłowy,
Biedne sieroty i pobożne wdowy,
Służyły pani w zakonnym habitku:
I dwór klasztorem, bez blasku i zbytku,
Byleby tylko, byle biédnych wiele,
To było iście jak w niebie wesele!

Kiedy kto z panów lub księży zawita,
To tylko o mnie i o lamus pyta?
I takie było tam moje włodarstwo,
Żem, niby przeor, trzymał gospodarstwo;
Jedno że przeor bywał bez tonzury,
Jak w tym zakonie nie było klauzury...

Długie bywały jesienne wieczory:
Za zwierzem biegłem w nadwiślańskie bory,
A kiedy nie raz wracam o wieczorze,
Jeszcze się świecą okna w całym dworze,
Sierotki drobno coś tam w krośnach dzióbią:
Wdowy skubanki dla szpitalów skubią,
I pani siedzi i dryluje złoto
I w ciszy płynie wieczór nad robotą...

Wdowy przy pani, sierotki po stronie,
W wielkim kominie wiecznie kłoda płonie
I jasno gore „Różańcowa świeca,”
A ile razy gałka z niéj odpadnie,
Idzie z kolei nowa tajemnica

W służbie zakonnój świętego Różańca;
Więc i na stronę robota się kładzie
I tajemnicę głosi sama pani
I każdy wieczór idzie Bogu w dani;
A gdy ostatnia odpali się gałka,
To już Różaniec i wieczór skończony,
I z obowiązku donoszę marszałka,
Że w całym dworze ogień wygaszony.

Gdy po rozkazy wstąpię do komnaty,
Pyta mnie pani o sprawy i łowy?
Jakby zabawy, korzyści, lub straty
Zajmować mogły jeszcze serce wdowy?
A więc czas jakiś o potocznych sprawach
Mówi, bywało, i świeckich zabawach,
Ale że w sercu wiecznie boli rana,
A więc wracamy zwolna do hetmana
I starsze dzieje płyną z wielkim statkiem,
Których nie byłem już naocznym świadkiem.

O tój hetmańskiej szczęśliwój młodości
Mawiała nieraz pani mi w miłości.
Jak o niej prawił hetman sercem czułym
I o tym dworze, gdzie był dyscypułem.

Był z krwie Jagiełłów książę wielkomożny
Kardynał Frydryk a biskup krakowski,
Krewki za młodu i lekki i zdrożny,
Lecz wielkiój w radzie i w Koronie troski:
Dwóch starszych braci osadził na tronie,
Choć bez Korony, sam rządził w Koronie,
Sprawy kościoła i ojczyzny imał,
Jagiełłów w Polsce, Litwę Polsce wstrzymał;
Choć krew błędziła, wola była święta.
Otóż ów Frydryk kiedy gospodarzył,

Przyszłość ojczyzny już najwyżej ważył,
Więc na swym dworze chował téz panięta
W dobrej nadziei i ku dobrej wróżbie,
I ku kościoła i ojczyzny służbie;
Ale sam młody, miał jeszcze mentora.
Tam to Konarski był za preceptora,
A i Tomicki.

Hetman był sierotą:

Odumarł ojciec, zachorzała matka,
A choć zostało i imię i złoto,
Nie było komu być dziecku za świadka.
Otóż kardynał zabrał go do siebie
I na opiece był na jego chlebie;
A ów Konarski i Tomicki ćwiczył,
By wszystkie cnoty naddziadów dziedziczył.
Chowali tam się z hetmanem Pampowscy,
Więc i Górkowie, Ruseccy, Czarnkowscy
I Szamotulscy i z Kościelca syny
I Jazłowieccy aż z Ruskiej krainy,
I Opalińscy, Chlewieccy i wielu
Innych tam rosło w poczciwém weselu,
Niby to grona w téj winnicy Pańskiej
Do służby Bożej i służby hetmańskiej.
Był ksiądz Tomicki groźny i surowy,
Uczył bojaźni Bożej, uczył pracy,
Przodkował cnotą i siał posiew zdrowy,
Więc namaszczeni równie jak junacy
Poszli mu ręką, i kto się tam chował,
Ten pewno prawdy Bożej nie wykrzywił,
Lecz jak Bóg kazał, budował, wojował,
Trzymał i karcił, podnosił i żywił,
A dla mentora taką cześć zachował,
Jaka po Bogu rodzicom należy,
Bo wielką miarą wielki mentor mierzy.

Dobrze już dzieckiem pan sobie poczynął:
Pięć lat był skończył gdy go wziął kardynał,
Więc prosto prawie od matki piastunki
Na dwór go wzięto do służby i księgi
I już chłopcikiem łamał się z rysztunki
I czynił konią w onój szkole tęgiej;
Toć w ósmym roku mówił po łacinie,
A gdy Tomicki bardzo go miłował
I tych mądrości otworzył mu skrzynię,
W piętnastym roku już się posługował
Poręcznym uczniem, i listy mu dawał
Pisać do króla i do senatorów.
Jakoż za śladem onych wielkich wzorów
Już młodzieniaszek w téj ojczyźnie stawał,
Jako nie zawdy stać mogą mężowie;
Tak mu już widno czyniło się w głowie,
Taki był sercem i słowem potężny
I nad te lata rycerski i mężny.

W Konarskim duszy zagorzała świeca,
Bo gdy po zejściu przybył królewica
Kazimierza z Litwy, i o świętym zgonie
Jął téj młodzieży powiadać w Koronie,
To apostolskie było to kazanie.
I mawiał hetman, że na to wołanie
I w jego sercu odmiana się stanie,
Bo od téj chwili znał drogę żywota
I kędy wiedzie świętych Pańskich cnota,
Jakoż w modlitwie zawdy z nimi bywał
I królewica hymn do śmierci śpiewał:

„Omni die
Die Mariae.“

Młodo postradał hetman rodzicielkę,
A pochowawszy ją bardzo pocziwie,

Do cudych krajów sprawił się chętnie
 I było wszystkich zadziwienie wielkie,
 Gdy z gronem bardzo dobranych rycérzy,
 Do Zbawiciela grobu prosto mierzy:
 I od Golgoty począł drogi swoje,
 Co inni czynią, kiedy się już znużą
 I na samotne odchodzą spokoje.
 Więc nie powszednio wszyscy z tego wróżą
 I już początków cała Polska strzegła,
 A cóż dopiero, gdy się wieść rozbiegła,
 O co to rycérz Pana Boga prosił,
 Gdy Zbawiciela łzami grób urosił?
 „Przez Twoje Panie! tylko walczyć pragnę;
 I wszystek żywot pod Twój zakon nagnę,
 Ale co w służbie Twojej niech nie śliźnie,
 I daj przezemnie zwycięstwo ojczyźnie!“

Od tych to czasów był Maruszka z panem
 I dziwnym trafem zetknął Pan Bóg obu:
 Gdy pan z Tarnowa do Bożego grobu
 Po Mszy wyruszył z tym pocztem wybranym,
 Spotkał na Rusi samotrzeć rycérza
 I popatrzyli sobie długo w oczy
 I młody z młodym, z ochoczym ochoczy,
 Nie rzekłszy słowa duchem się sprzymierza:
 „Ktoś ty jest bracie?“

pan Hetman go pyta.

— „Jam jest Maruszka Zaleski“

powiada.

— „Jam pan z Tarnowa“

hetman wzajem wita.

Na to Maruszka:

„Nie lada! Nie lada“

„A gdzie wam droga?“

To i hetman na to:

„Jedziem do grobu Pana Zbawiciela.“

Więc pan Maruszka;

„Na to jak na lato

I jadę z wami niemówiący wiele,

Bom ci jest z rodu człowiek ukraienny

I niechęć siedzieć za piecem nieczynny.“

Jakoż obadwa już od piérwszój chwili

Tak się i okiem i sercem złożyli,

Że całe życie przebyli już razem,

O jednéj myśli sercem i żelazem.

Przy Bożym grobie próbowali ducha,

I pan Maruszka ocenił w Modlitwie

Serce hetmana, więc go odtąd słucha,

Jako starszego i w radzie i w bitwie;

A chociaż z rodu był nie unoszony

To dobrej woli sam się trzymał karnie

I do karności tak tam wszystko garnie,

Że całe życie kłamał krwi szalonój.

To téż pan hetman nieraz mawiał pani,

Iż gdy to serce zniewolił dla siebie,

To znał, że godnie także pohetmani

I że się wrogom odetnie w potrzebie;

Jakoż chodzili do końca żywota

Bez folgi z sobą obadwa „o lepsze“

I gdy ten poprze, ów zawdy odeprze,

Bo krew straszliwa i zuchwała cnota

Grzała obudwu, jakoż i Bóg obu

Trzymał na próbie i ważył do grobu;

Lecz oni tylko oba o tém znali,

Że sprawa cięta jako ostrze stali!

Ale nikt więcój nie śmiał wiedziéć o tém,

Choć jeden trzymał tę wielką buławę,

A drugi w kuźni bił zuchwale młotem,
Jaką tam mieli między sobą sprawę?

Od Ziemi Świętej poszło pasowanie;
I kiedy morze przebrnęli okręty,
I gdy z rycerstwem hetman w Rzymie stanie,
W łasce pielgrzymów witał Ojciec Święty:
„W czas przybywają mi tacy rycerze,
Bom przeciw Maurom ogłosił krucyatę!“
Tedy Maruszka pierwszy słowo bierze:
„Błogosławieństwa prosim u stolicy,
A jak synowie téj polskiej rodzicy
Pójdziem w te boje na Maurów zatratę.“

I uklęknęli i pobłogosławili
Im Ojciec Święty, i pan mówił zawdy,
Że nikt o wojnie nie myślał doprawdy,
Lecz że Maruszka to sam tylko sprawił,
Iż na tę wojnę iść już wypadało
Kędy się hetman okrył taką chwałą.

Był Emanuel królem onéj ziemi,
I kiedy Maurów zwyciężył w swém państwie
To pragnął pana wstrzymać na hetmaństwie,
Ale gdy nie mógł, z darami wielkiemi,
Więc i z listami do Rzymu przeprawił,
I przez lat kilka pomiędzy narody,
Zwiedzając dwory, hetman jeszcze bawił,
Aż w końcu wrócił do ojców zagrody,
Listy Papieża Królowi zlecony,
I od Cesarza i Królów poczczony.

Już to pan hetman siadł na ojcowiznie,
Kiedy Tomicki urósł był wysoko
I jako biskup krakowski w ojczyźnie
I pieczęć trzymał i władnął szeroko.
Na wiernój służbie tak się biskup zrobił,
Że się bez mała był już grobu dobił:
Otóż lekarze kiedy stali radzić,
Kazali pana na puszczy posadzić,
Aby odetchnął i ciszą i dziczą
I oną leśną majową słodyczą.

Usłyszał hetman, że ksiądz biskup chory,
A że po ojcach piérwsze preceptory,
Więc za biskupem jechał w ciemne bory:
Jedzie i błądzi, aż tu z puszczy ciemnej
Ozwał się nagle jakiś śpiew przyjemny,
Pieśni pobożne, a głosy dziecinne,
Dziwi się, patrzy, a co się to święci?
A tu chłopięta śpiewają niewinne
I idą puszczą rączętami śpięci....

„Bóg z wami dziatki! a gdzie wam to droga?“
— „Idziem do księdza biskupa naszego!“
— „A czy to w puszczy nie spotka was trwoga?“
— „Bogu śpiewając nie strachamy złego.“

Wysiadł pan hetman i począł się radzić
I do biskupa kazał się prowadzić;
Drogę pacholki znaczyli po drzewach,
A już przebytą liczyli po śpiewach:
„Jeszcze małutko a najdzie się pan
I da nam chleba i naleje dzban!“

Jakoż nie długo hetman z niemi chodzi,
Aż tu wśród puszczy na wyniosłej kępie
Stoją namioty rozpięte w ostępie,
A przy ognisku biskup dziatwę wodzi...
Jeszcze kęs było, a pacholki w pędy!
„A ty nasz ojczy, a ty panie święty!“
Do rąk i do nóg, tędy i owędy,
I ksiądz się witał mile z pacholęty.

Hetman się wstrzymał o czasu nie wiele,
Bo go zcieszło leśne gospodarstwo
I to biskupie maluczkie włódkarstwo
I to pocziwe prostoty wesele!
Ale chłopięta zeznały w kolana,
Że wiodą gościa do swojego pana,
Więc wesół wyszedł biskup na spotkanie
I wdzięczne było obu powitanie.

„Vox clamantis in deserto“
Rzekł pan hetman „nie daremna!“
A ksiądz biskup rzekł mu skromnie:
— „Leśna cisza jest przyjemna,
A maluczkie puścice do mnie!“

Z serca się biskup cieszył gościem w puszczy
I stypy czynił dla malutkiej tłuszczy,
A jako biskup wielkiego przymierza,
Śpiewał z nią pieśni i uczył pacierza.
I hetman mawiał o onój gościnie,
Że mu tak tydzień na puszczy ubieżał,
Jakby pod sercem własnej matki leżał,
A sam Bóg łaski otworzył mu skrzynię!

Dobry był żywot, lecz i dobry koniec
Tego biskupa: gdy się już spracował,
Gdy zdadne ludzie ojczyźnie odchowwał,
A do drzwi śmierci zakołatał goniec,
Nic się nie lękał, i nic się nie trwożył,
Lecz jak stał w Bogu, w Panu się położył.
Nie dawał nigdy poznawać niemocy,
Choć bliski końca, zdrowo światu czynił,
Choć już nie jadał, nie sypiał po nocy,
Tak w radzie pańskiej jeszcze gospodynił,
Iż nieznać było u pańskiego tronu,
Że już był w grobie jeden z pieczętarzy,
A drugi zwolna do grobu się waży,
Póki nie poszła ta wieść jego zgonu.

Troistą młodzież chował na opiece,
A gdy czas przyszedł na wieczyste wiece,
Wezwał najsamprzód ubogie pupile,
Co się chowali przy zamkowej szkole
I mówił z niemi i długo i mile
I swym doradcom polecał ich dole.
A dnia drugiego przed sobą postawił
Razem z rektorem młodzież szkoły głównej
I Almie Mater długo błogosławił,
Dzieląc z ojczyzną ją w miłości równej.
A dnia trzeciego przywołał panięta,
Co się chowali na biskupim stole
Z synowcy jego i rzekł: „Zdaję rolę,
Kościół to matka, a ojczyzna święta!“
I gdy odeszli, przystąpił do łoża
Stanisław Borek, dziekan kapituły,
I o zbawienie duszy bardzo czuł,
Rzekł: „Niech się spełni na nas łaska Boża,
Księżę pastérzu! ostatni to czas!“

I do modlitwy przystąpili wraz.
A kiedy mówiąc: „Ojcze w ręce Twoje
Oddaję ducha:“ Biskup w pierś się bił,
To się przeciągnął na wieczne pokoje,
Westchnął głęboko i już też nie żył.

Anno Domini 1562.

P O W Ó D Ź.

Wielkie posuchy z wiosny uderzyły,
A o powodzi pletli bobrownicy,
Bo kaczkę gniazda po drzewach złożyły,
A w Ponadwiślu, w całej okolicy
Już się zjawiły i morskie rybitwy
I białozory przyleciały z Litwy;
A gdy to doszło pani hetmanowój,
Zwołała ze wsi wszystkie białogłowy,
A przewidując czas wielkiej potrzeby
I pieć kazała i przysuszać chleby:
A z starościńskich każdy podstarości
Zwoził i składał na spichrze żywności,
Których trzy było na wysokim brzegu,
Kędy flis skutę łądował do biegu.

W chmurach straszliwych stały długo Tatry,
Po długiej suszy pociągnęły wiatry
I niebo w końcu młodzieć się poczyną,
A w dymach leży jak we mgle dziedzina;
Dészcz się opuścił, ale w górach wprzód
Znać naremnice na dni kilka padły,

Bo jednej nocy tak przybyło wody,
Że na wysokim łądzie krypy siadły.
Tedy na rozkaz pani hetmanowej,
Z drobniejszą dziatwą biegły białogłowy,
A bydło gnano w wysokie ostępy;
Ale pod wieczór idą w zatop kępy,
A pani w koło siebie ludzi zbiera
I przez noc całą przez okno wyziéra.
Gdy się dzień zrobił, woda a niebiosy
I o ratunek wołające głosy!
A Wisła szumi i jeszcze się pieni..
Wtedy wybiegła z wielkim żalem pani,
A jako wierna ludu swego ksieni,
Dać sobie galar kazała z przystani
I relikwiarzem przeżegnawszy wody,
Rzekła do ludzi: „Kto bliżnim ochotnie
Podaje rękę, ten ujdzie przygody
I nigdy jeszcze nie skończył sromotnie!“

Ludzie się ciężkiej lękali potrzeby,
Lecz pani rzekła: „Drabiny i chleby
Dać tu na galar i liny i haki!“
I odbił galar, a ja témiż szlaki,
Na lekkiej krypie ruszyłem w zawody
I chwilkę później uniosłem się wprzód,
Że już przedemną tylko morskie ptaki.
Z wierzb i z jabrzędzi zbieraliśmy ludzie
Z brogów i z dachów i nikt nam nie zginął
I Bóg nas krzepił w tym pocziwym trudzie;
Bo ile razy galar znów zawinął
Do dworskiej bramy z ludźmi i bydłety,
Patrzym, aż klęczą wszyscy wśród topieli,
Modląc się za nas, jak gdyby Anieli..

Trzy dni i nocy trwała ta robota,
Lecz dnia drugiego jam nie puścił pani,
Lecz sam zwoziłem ludzi do przystani,
Co widząc wielka była jój ochota;
I gdy już Wisła po lądy opadła,
A pani znowu bezpiecznie usiadła,
Rzekła z dobrocią i bardzo łaskawie:
„Wiém, że rycérza mało co weseli,
Kiedy mu przyjdzie bywać przy kądzieli,
I że się przykrzy tu na wdowim dworze;
Lecz wiém, że pana byłoby to zdanie,
Gdyśmy przybyli na ratunek w porze,
Że taka sprawa za potrzebę stanie,
A i na chwałę ma być rycérzowi,
Że dał ratunek w potrzebie kmieciowi.“

Po czém wyraźnie do przytomnych rzekła,
Zdejmując pierścień z klepsydrą z swój ręki:
„Jeśliby prędzój ona mnie dociekła,
To ją zachowasz w znak mojej podzięki,
A wiedziéc o tém mają wszyscy w domu,
Że jój innemu nie daję nikomu.“

Tak to zdobyłem klejnot mego pana.
Gdyby go złożył kto w tatarskim szańcu
I rzekł: „Weź szaniec, a będzie ci dana
Klepsydra pańska“—to i w takim tańcu
Nie trudno było biédz ku téj nagrodzie;
A cóż bliźniego ratować w przygodzie?
I w łasce Bożej zwracać do przystani
Za świętym śladem mojej świętej pani!

Tegoż roku po Świętym Bartłomieju.

Siedziałem sobie na lamusie rano,
Kiedy od bramy znagła znać mi dano,
Że jacyś goście przybyli z daleka;
„A kiedy goście, to niech gość nie czeka“
Mówiłem sobie i biegnę do bramy;
Aż tu posłowie od futer i lamy
Przybyli z listy Anny Jagiellonki,
A więc ich witam i proszę pocziwie.

Dwór Wielowiejski prawie do koronki!
Ściągał się wówczas, więc wiodłem życzliwie
Przybyłych gości na klęcznik gościnny.
Duch hetmanowej był w modlitwie czynny,
Gości spotrzegła aż już po koronce,
A gdym przełożył, że się podobało
Najmiłościwszej Annie Jagielonce
Obesłać panią naszą swými listy,
Widzę, pociechą oko zajaśniało
I w duszę promień padł po ziemsku czysty.

„Cóż to za łaska, co za wzgląd królewnój,
Że taka pamięć dla sieroty rzewnej?“
Na to posłowie wymownymi słowy
Mieli rzecz wdzięczną od pani do pani,
Złożyli listy i szkatułkę w dani,
I po odprawie szli ze mną w gospodę,
Więc jak był zwyczaj, na lamus ich wiodę.

Dom Jagiellonów był Tarnowskim wdzięczny;
I dwóm ostatnim był hetman poręczny;
Więc gdy tam córa, tu została wdowa,
W sercach samotnych tak się miłość chowa

Jednej dla drugiej, że chociaż z daleka
Żyły od siebie, wiedziały o sobie
I czego trzeba i coby na dobie?
Więc gdy królowę doszły one wieści,
Że wielka powódź zalała te strony,
Pełna czułości i troski niewieścić,
I trwogę pani i przygodę dzieli
I karawakę słała z Kompostelli
I Loretański dzwonek na obrony
Od chmur szkodliwych, nawalnic i gradu:
I zalecała jój modlitwie siebie
I wszystką Polską Koronę w potrzebie.
Wdzięcznie przyjęła on dar wdowa rzewna,
A gdy się bardzo żaliła królowna,
Że upominku nie ma po hetmanie,
Prócz téj pamięci, którą w sercu chowa,
Jerozolimski słała jej różaniec,
Co go pan hetman przywiózł z Ziemi Świętej,
Prosząc, by bywał na potrzeby wzięty,
Gdyby na Polskę napadał pohaniec;
Bo całe życie ten różaniec nosił
Pan jej nieboszczyk za potrzeby wszelkić,
I taką łaskę był sobie uprosił,
Że mu zwycięstwo dawał Pan Bóg wielki;
Otóż niech króla ten różaniec strzeże,
Jak go Bóg ojców prowadzi w swój wierze.

Takie to było od pani pisanie
I czułe było posłów pożegnanie
I bardzo rzewne z różańcem rozstanie:
Do ust podany obeszedeł koleją
I odprawieni posłowie z nadzieją;
I wielka radość na królewskim dworze,
Że stary hetman i z grobu pomoże;

Jakoż po śmierci Zygmunta młodszego
Przeszedł różaniec ów na Batorego,
A ile razy król jechał do wojny,
Bywał w kord z ducha i w różaniec zbrojny.

Anno Domini 1563.

Późna już była a jesienna pora,
Gdy przybył rybak z Sandomierza rano
I wielkich gości nam zapowiedziano
Na wdowim dworze, bo księdza Melchiora
A więc się rwało serce do mentora,
Co moją młodość szczęśliwie prowadził,
A dziś w zakonie jak prowincyał radził
W konwencie płockim godnie wyniesiony.
Przybycie jego zwiastowały dzwony,
A że w Wielowski cały dwór się chował
W kaznodziejskiego zakonu regule,
Że ojciec Melchior hetmana miłował,
Więc też i wdowa witała go czule;
A chociaż bywał żywotem surowy,
Miłością gorzał w gorliwości Pańskiej;
Więc gdy zobaczył zakonny dwór wdowy
W téj białej szacie i woni kapłańskiej.....

„Słyszałem“ rzecze „że tu konwent nowy
Wychwała Pana wielmożnemi słowy,
A co mówiono, znajduję i czytam,
Więc sługi Boże w Panu moim witam
I widzę jasno, że Pan z wami bywa
I jakie łaski na swój naród zléwa!“

Gdyśmy do dworu wrócili od brzegu,
Białe Tercyarki stanęły w szeregu,

A pani rzekła: „Dla mnie czas do dzwonka,
Bo w służbie pańskiej nadchodzi koronka.“
Na to rzekł ojciec: „Z prawem i do prawa,
A wielka Panu bądź w Niebiesiech sława!“

Nazajutrz rzekł mi: „Gdzie znak łaski Pańskiej
Jaki widocznie baczę na tym dworze,
Tam też potrzeba i ręki kapłańskiej,
Więc dłużej z wami zabawię tu może.“
Otóż z kolei cały dwór spowiadał
I tak się dziwnie nowy konwent nadał,
Iż rzekł: „Tu niema z czego i rozgrzeszyć,
To przedsień Pańska, tu się chyba cieszyć.“

W lamusie stanął, i co mi się działo,
Żem żył znów przy nim i rósł w niebo cało!

Długie jesienią bywają wieczory,
Sierotki w krośnach wyszywały wzory,
Czeladka przędła i ogień się palił;
Czasem znów pieśnią Pana chór pochwalił,
Albo nauką ksiądz Melchior zasilił.

Raz rzekła pani: „Przykro mi mój Boże!
Że się tu nudzi ojciec z nami może,
Ale mam księgę co może zabawi,
Bo nas pospołu w lepszy czas przeprawi.“
I tu wyniosła księgę z swojej celi!
Cóż mi się działo: O święci Anieli!
W piersiach mi serce uderzyło żywo,
Boć była książka nieboszczyka pana,
Co w niej pisywał od lat wielu z rana;
Księga hetmańska a spięcia z Leliwą!
„Znasz ją zapewne“ rzekła do mnie pani,

A jam łyzy otarł, a ona mi na to:
„Co drogie sercu, niech to choć nie rani,
„W téj księdze stoi czém darzyło lato,
„A w przypowieści człeku pono stoi,
„Że krowę latem, aż już zimą doi
„Tylko komorę, więc co w téj komorze
„Znaleść się mogło, to się przyda może.“

Z wielką czią ojciec rozwarł księgę pańską
Pisaną niby buławą hetmańską,
Najprzód sam tylko i powoli czytał
I często oczy odrywał do nieba,
Jakby się radził, jakby o coś pytał;
Potém rzekł z cicha: „Potrzeba, potrzeba
Jedna za drugą, a czysto i gładko,
A z wszystkich pan go dźwiga swoją ręką,
A wszędy dzielny, a nigdzie nie miętko,
A wszędy kościół i ojczyzna matką!
A więc słuchajcie co dano w puściznie:
To gesta Dei, w tej Polskiej ojczyźnie.“

Tu począł czytać, i ono czytanie
Kronik hetmańskich poszło od téj pory.
Chciwiem brał sercem każde owo zdanie
I co raz krótsze zdały się wieczory;
Jakom był przywykł za żywota pana,
Żem zapisywał co się ważném zdało,
Tak téż z tych czasów z kroniki hetmana
Po każdój lekcyi spisywałem cało;
Często i pani dodała tam swoje
I ojciec Melchior coś swego dokładał,
I to, co z młodu Maruszka powiadał,
Co chodził z panem na te wszystkie boje,
Wszystkom to zebrał i w miłości wyszał

I w wiernój służbie w ten diariusz wpisał.
Co pan Mielecki mawiał o hetmanie,
Takżem nie zabył, bo jako pachole,
Choć w domu pańskim błahe miałem zdanie
O tém, co działo się w rycérskim kole,
Lecz pan Mielecki wyrósł w onój szkole,
Siostrzan hetmański, serce alter-ego,
I wielki świadek procederu wszego;
Więc po téj księdze szedłem jego zdaniem
I wierném wszego rycérstwa kochaniem,
Któremu przodek ta buława trzyma,
Jakiéj już czasu dzisiejszego nie ma.

Tradycye Sandomiérskie.

Gdy się skończyło ksiąg pańskich czytanie,
Rzekł ojciec Melchior: „Koniec księgi, szkoda,
Że nie ma więcéj, ale jeszcze stanie
Dla duszy tego, co Sandomierz poda
I niech sic tutaj na początku święci
Błogosławionéj mąż u nas pamięci,
Jacek Odrowąż, syn świętego gniazda,
Uczeń wielkiego niegdyś Dominika,
Który w ojczyźnie świecił jako gwiazda
I ognistego dobywszy języka,
Pierwszy przeorzył w Starym Sandomierzu
I w łasce nieba z świętymi w przymierzu
Wdziął biały habit na babkę i matkę,
Ba i na siostrę, i jak wielka kwoka
Swojego rodu w niebo wiódł czeladkę,
A dzisiaj na nas spogląda z wysoka!
Świątaż bo była to rodzina, święta!

I z pokolenia Boże to panięta
Ci Odrąwężę, co szli w pokoleniu,
Siadłszy na Sprowie i w Wielkim Kamieniu;
Bo naprzód wyszli poczem z tego domu
Dzielne rycérze, wielkie fundatory
Piérwszych zakonów, korcząc wielkie bory
I lud przywodząc do wiary i sromu;
I tylko stary dom onych Gryfitów
Równy im bywał pod względem zaszczytów
Po krajnej ziemi, jakoż kiedy pole
Szereg rycérzy oczyścił w téj ziemi,
Bóg Odrowążom dał tak świętą wolę,
Że policzeni są między świętymi....

„I był Eustachy grabia na Kamieniu
Świątym rodzicem Jacka i Czesława,
I z tego domu wyszła Bronisława,
I Iwo biskup, co w Bożém natchnieniu
Dziatwę swéj braci powiódł z Bożą chwałą;
I zwił się wieniec z kwiatów bardzo wonnych,
Pełen piękności onych serc zakonných,
I jest złożony na ołtarzu cało!

„Święty Dominik czynił w Rzymie cuda,
A biskup Iwo, który był krakcowskim,
Jechał do niego za przejrzeniem Boskiém
Uprosić księży dla swojego luda.
Jacek stryjowi służył w téj podróży,
I gdy na niego Święty okiem rzuci,
Jasnowidzący Iwonowi wróży:
„Ten ci jest, króry północ mi nawróci!“

„Więc i po roku u Świętej Sabiny
Święty Dominik wdział na Jacka szaty,

I gdy odprawił święte obłóczyny,
Wyprawił Jacka w te północne świąty,
By zakon jego i tę wiarę szerzył
I z Bogiem północ w zakonie sprzymierzył!
Jakoż północy Jacek apostołem,
I jak daleko obszedł one kraje,
Wszystko do Boga i wiary przystaje
I w tej Koronie żyje dzisiaj społem
Pod jedném berłem, jako naród dzielny,
W kościele Bożym cały i weselny.....

„Więc już większego nie potrzeba cudu!“
Mówił ksiądz Melchior świętością przejęty,
„I wołam na świat: Jacek, Polak Święty!
I jedna łaski dla swojego ludu.“

„Żywot mu zeszedł w pracach apostołskich:
Jak po siewaczu ziarno wschodzi w ziemi,
Tak tam kościoły za stopy świętymi
Rosły ku niebu po tych ziemiach polskich.

„Kiedy spoczynku zapagnęła głowa,
Powrócił święty Jacek do Krakowa,
Tedy w zakonie żyła Bronisława,
Jak święta ksieni w Zwierzynieckich murach,
I piérwsza ona to świadectwo dawa
Temu Jackowi w samój zejścia chwili,
Bo po ujrzała w jasności na chmurach,
Gdy go Anioły w koło ostąpili,
Wstępującego po zorzy porannej
Prosto w niebiosa, jako Apostoła,
Za tą przyczyną Przenajświętszój Panny;
A to widzenie wyszło od kościoła
Śród ciemnej nocy, kędy Jacek skończył.

I Bronisława wszystkie siostry zwoła
Na to widzenie, i gdy rankiem posły
Wiejść o tém zejściu Jackowém przyniosły,
To na Zwierzyńcu już nie była nową,
Bo się noszono już z chwałą Jackową,
Et in odore stał tam sanctitatis;
Wszakci, że sercom ludzkim nunquam satis,
To cud się nowy zdarzył już przy trunie:
Bo gdy Żegota rycérz z konia runie
To i na miejscu zabił się w upadku!
I w żalu matka zdała go Jackowi:
„O święty Jacku! łaski wielkiej świadku!
Powróć Ty żywot mojemu synowi!“

„I na żal wdowy cud się w miejscu stanie,
Bo wstał Żegota na to powołanie
I wołał naród świętością przejęty:
„Wielki przed Bogiem Jacek Polak święty!“
Dziś jeszcze widzę oblicze mentora,
Jako gorzało, kiedy to wyznawał,
I świętą trwogę zakonnego dwora,
Kiedy Jackowi to świadectwo dawał,

„Ostatnia z rodu Mazowiecka księżna
Odrowążowi wszak była zamężna
I poszła wdzięczna córą z tégo stadła,
Co w łasce Bożej w małżeństwo przypadła
Jedynakowi mojego hetmana.
Toć rosło serce tej zakonnój wdowy,
Że łaska świętych przejdzie do synowój
I z Odrowążów jest domowi dana....

„Znać święty Jacek w niebie to uprosił,
By łaska Pańska była z Sandomierzem,

Bo Bóg Sandomierz krwią męczeńską zrosił
I sługi swoje nawiedzał przymierzem.
Był ojciec Sadok przeorem w klasztorze,
Który Kumany w Panonii nawrócił,
A potem prosto ku Polsce się rzucił
I na wyraźne już skinienie Boże
Jest w Sandomierzu obrany przeorem.
Gdy Tatar wielkim wyruszył taborem
I pod wodzami Celbugo, Nogajem,
Szedł żywym ogniem i pustoszył krajem,
Już zawichostska, ba i świętokrzyska
Bracia oddała ducha w ręce Pańskie,
Już Orda nawet Sandomierza bliska,
Już nawet w mieście buńczuki pogańskie,
Kiedy w kościele świętego Jakuba
W nocy na jutrznię zwykłą zadzwoniono;
A choć widoczna była wszystkich zguba,
Całe klasztorne znalazło się grono,
A jako zwyczaj, młodszy z nowicyuszy
Czytał zapowiedź świąt na dzień idący
I dziwna trwoga przejęła go w duszy
I ledwo lekcję wyśpiewał głos drżący,
Bo w poczcie świętych i w złotem ujęciu
Stoi Sandomierz, czego nie bywało,
I poczet braci czterdziestu dziewięciu
Palmy męczeńskiej otoczony chwałą!

„Wszyscy się z razu zdziwili i zlekli
I przeor Sadok kazał podać księgę
I bracia w powrót do chóru ukłękli
I słów proroczą uczuli potęgę,
Aż ojciec Sadok przeczytał powtórę
Prorocze słowa i dawniej nieznane
W księdze świąt Pańskich złotem zapisane,

I rzekł do braci: „W górę dnchem, w górę!
 To upomnienie, bracia! dla nas Boskie,
 To miłowanie, jak było, synowskie!
 Wspomnijcie, bracia! na te grzechy wasze,
 Bo już ostatnie są te chwile nasze!“
 I podał księgę braciom: i ojcowie
 Widzą Sandomiérz, i w złotém ujęciu
 Męczeńskiej palmy czterdziestu dziewięciu
 I pismo znikło.

„Więc Sakrament zdrowie“

Rzekł ojciec Sadok: „Bracia, do spowiedzi,
 By godnie służyć świętej zapowiedzi!“
 A kiedy ranek po jutrzni zawitał,
 Wpadli Tatarzy świtem do kościoła
 I wielka jasność świeciła od czoła
 Wiernych sług Bożych, że się aż wróg chwycił
 Za ślepie swoje, i padły ich głowy
 I w niebo wstąpił orszak purpurowy!“

Tradycya annuli reginalis

Stary Sandomiérz, jak z niebieskiej rady
 Wielki w kościele, a w ojczyźnie święty,
 Jak jest dokoła winnicą opięty
 I zagajony kwitnącemi sady.
 Otóż od wieków składał i dar pewien
 Z sadów i winnic dla swoich królewien,
 Kiedy je przyszło oddawać w zamęcie,
 Na zrękowiny dawał im pierścieniec,
 By takie było w ich małżeństwie szczęście,
 Jako jest wonny Sandomiérza wieniec.

Wdzięczna to była narodu ofiara,
 Ale Łokietek, kiedy z Rzymu wrócił

I wdział koronę i wrogów ukrócił,
Tak po królewsku na kościół się stara,
Że co najmilsze zdawna w Pańskim progu,
To na ofiarę oddał z żoną Bogu,
Bo ów pierścieniec, co Sandomierz wkładał
Na białą rękę, królewny posażąc,
Dał kościołowi i kapłana nadał,
Owocem winnic i sadów go darząc.
Kapłan ten nie ma nigdzie ziemi pewnej
Lecz bierze spadkiem ów pierścień Królewniej;
A Łokietkowym Pan Bóg błogosławił,
Bo ich szeroko w ojczyźnie postawił.

Przeszły w Wielowśi wieczory szczęśliwe,
Pamiętne słowem mojego mentora,
I osumiały serca słów tych chciwe,
Gdy mu już przyszło wracać do klasztora;
Białe Tercyarki stanęły w szeregu
Odprowadzając ojca aż do brzegu.
A on z galaru jeszcze ku nim prawił,
I gdy już galar odbił od przystani,
To raz ostatni pokłonił się pani
I wielkim krzyżem nam pobłogosławił.

Boże to lato, kiedy sierp zadzwoni
I złotem błysną Sandomiérskie łąny
I każdy zagon w półkopki usłany
Doli rolnika, niby szaniec, broni.
Tedy rzec trzeba, że z Bogiem w przymierzu
Stoisz na zawsze chlebny Sandomiérzu!
A cóż dopióro kiedy z twojój wieży
Na wielkie święto białego zakonu,
Dzwon uroczysty na święto uderzy,
Jakby w podziękę zebranego plonu!

Święty Dominik daje pierwsze snopki
A święty Jacek wiezie do stodoły:
I dzięki Bogu! po przednówku chłopki,
A już po dworach obrzynek wesoły.

Lecz nasza święta Wielowiejska pani
Wiodła czeladkę już na inne żniwo:
Galary stały u cichéj przystani,
Słonko świeciło dziwnie miłościwo,
A proboszcz z ludem, pani z białym dworem
Wielką processyą szła rok rocznie pieszo
Do Sandomierza — i z pobożną rzeszą
Była za Wisłą jeszcze przed nieszporem.

Miło to było na to puścić oczy,
Gdy orszak Wisłą w łasce Bożej płynął,
A gdy w zielonych łągach się rozwinął,
To taki pozór wdzięczny i uroczy,
Jakby zakwitła białym makiem ziemia
I rosła jakaś pociecha niemarna,
Że w ziemi ojców posiał Pan te ziarna
I że ją wdzięcznie ku chwale rozplenia.

Święty Dominik, wielki dzień w zakonie,
Więc i oktawa, a po téj oktawie
Jest Jacek Polak czczony w téj Koronie,
Więc dwa tygodnie w pobożnej zabawie
Bawiła pani zwykle w Sandomierzu,
W domu pobożnych niewiast Beguinek,
I odnawiała w tém świętém przymierzu
Względów hetmańskich wdzięczny upominek.
A gdy wróciła, owo księża biali
Aż do Wielowsi ją odprowadzali
I było wiele zakonnéj miłości,
Gdy Bóg we dworze zdarzył takich gości.

Anno Domini 1564.

WYPRAWA DO INFLANT.

Czekały na nas już inne zabawy,
Bo się Inflanckie kotłowały sprawy,
Kwarciane wojsko ściągano po kraju,
Więc się téj służby jałem po zwyczaju
W starostwie naszém, jako człowiek dworny;
I jakoż wkrótce stanął lud wyborny,
Co go Sandomierz dawał z swojej kwarty,
Dobrze odziany i rządnie przetarty,
Bom go uzbrajał z hetmańskiej zbrojowni
I w polu sprawił przy drzewcu i głowni,
Więc gdy tą sprawą był gotów do pola,
Spytałem panią, czy nie będzie wola
Obaczyć hufiec po nad Wisły brzegiem?
I rzekła na to pani hetmanowa:
„Rada pocieszę duszę tym szeregiem,
Bo wszakim wierna po hetmanie wdowa.“
I wyjechała w kolasie na błonie;
Więc okazałem i ludzie i konie,
Jako się czyni, gdy się hufiec stawi.
I rzekła pani: „Niech Bóg błogosławi
W obronie ziemi i w obronie krzyża.“
I już kazała nawracać do dworu,
Gdy jeden z szlachty ku niej się przybliży,
I drzewiec nisko schyliwszy do ziemi
Zatrzymał panią słowami śmiałemi:
„Najmiłościwsza! a cóż pan Różanka
Nie pójdzie z nami? miłościwa pani!
Sprawę popiéra Sandomierska branka,

Lecz gdy jój rycérz dobrze pohetmani,
A jeszcze rycérz takowego wzoru.“

— „Rozumiem“ rzekła pani mu po chwili,
„Niech, kiedy potrzeb, z wami razem jedzie,
My się będziemy tu za was modlili.“
A do mnie rzekła: „Waszmość ich powiedzie!“

Wojska kwarciane zbierał hetman polny,
Więc tam ciągnąłem i pod jego znakiem,
Gdym w polu stanął, takim znał się wolny,
Jakbym nie człękiem, ale był już ptakiem;
Bo czém skorupka nawre dobrze z młodu,
Tém tchnie na zawsze, i gdym znowu znaki
Rycérskie ujrzał i szerokie szlaki,
Kiedy dał hetman hasło do pochodu,
Uczułem znowu, na com się uchował,
I na co hetman młodość mą prostował.

Potrzeba ona nie potrwała długo,
Niewiele było téż z niej i korzyści;
Krwawą po miedzy musnęliśmy smugą
I niby pokój słomiany się iści.

Kiedym do ziemi wrócił z téj potrzeby,
Stary Sandomiérz ugaszczwał nas chleby:
„Cóż tam w Wielowśi?“ pytam się przeora:
— „Zastaniesz panią znacznie pochyłoną!“
— „Jakto?“ pytałem strwożony „czy chora?“
— „Nie, lecz nie długo z nami będzie pono.“
Słyszcząc te słowa, dłużej już nie bawił,
Lecz do Wielowśim zaraz się przeprawił.

Pani znać dano, że wracamy w Bogu;
We drzwiach stanęła, a jak zwyczaj niesie,

Szyszak u stóp jój złożyłem na progu.
Podziękowała, spojrzałem na oczy,
Widzę, że ziemia już się dla niój mroczy,
Widzę, że dusza już ku niebu rwie się.

Anno Domini 1565.

ŚMIERĆ HETMANOWÉJ.

Wszystkom tak zastał. jakom był odjechał,
Tylko że w całym Wielowiejskim dworze,
Nikt tak swobodnie już się nie uśmiechał,
Jako bywało przy księdzu Melchiorze.

Na oko, pani czyniła nam zdrowo;
Lecz już się modli całe dnie i noce
I na dzień cały rzeknie ledwo słowo
I wielkie widać zdjęły ją niemoce,
Bo jak cień tylko ciągnie do kłęcznika
I co dzień więcej od słowa unika.

Przybył ksiądz Łyczko na wezwanie pani,
Więc i ostatnią wolę uczyniwszy
Dla wdów i sierót, z téj wdowiej przystani
Zleciła one opiece najżywszój,
A jak mieć chciała, tak się téż i stało.
Poczém ostatni raz przeszła do dzwonka,
Boć nadchodziła z kolei koronka,
Więc i zakonne grono się zebrało,
Co rankiem jeszcze było u spowiedzi;
I kłękła pani na swoim kłęczniku,
Toć i koronka szła po spowiedniku,
Choć oko wszystkich tylko ksienię śledzi.

Pani złożyła na kłęczniku głowę:
I gdy koronkę w łasce ukończono,
To łzami całe zalało się grono,
Bo martwą wzięto od kłęcznika wdowę...
W Bogu usnęła szczęśliwém uspieniem,
I chociaż wszyscy patrzą na nią społem,
Nikt się nie spotkał z ostatniém westchnieniem,
Aż gdy o kłęcznik uderzyła czołem,
Podbiegły wdowy i podjęły panią.

Ha! dzisiaj jeszcze, po leciech tak wielu,
Wspomnienia one tak mi duszę ranią,
Że ulgi szukam w Tobie Zbawicielu!
Coś więcej cierpieł za nas na Golgocie!
I dzisiaj jeszcze w serdecznej tęsknocie
Na onęj straty wielki upominek,
Sercem synowskiém, jak po własnej matce
Mówię i mówić kazałem czeladce
Po hetmanowej „Wieczny odpoczynek!“

Prawdę mi mówił w zamku stary wrotny,
Kiedym na zamek zawitał samotny:
„Pono za głową pójdzie wszystka sprawa!“
Jakoż po śmierci pani hetmanowej
Mało nadziei żywota już dawa
I pan Wojnicki, i nie stało głowy
I młodo zeszedł i on z woli Boskiej,
A skarby domu wziął książę Ostrogi.

Tedy w mém sercu tak bardzom się smucił,
Iż nie wiedziałem coby począć z sobą?
I z oną wielką po panach żałobą?
I gdym do wioski rodzinnej powrócił,
To tylko bardzo, a bardzo powoli

Począłem znowu do siebie przychodzić,
Gdy mi znów padło bywać koło roli
I żywot memu rodzicowi słodzić.

Anno Domini 1569.

Za wszystkich stanów bardzo zgodnym zdaniem
I trzech narodów Bożem miłowaniem,
Unia Lubelska doszła skutku w Sejmie:
I trzy narody Bóg w jedności zejmie.
I pochwalona Trójca Przenajświętsza
Na ziemi ojców i ojczyków grobie!
Kiedy ojczyzny miłość najgorętsza
Takie przymierze zgotowała sobie!

Na tym to sejmie byłem wraz z rodzicem
I tylko patrzeć na one przymierze,
Jakiem ojcowie stali w radzie licem
I jaka siła cudem wszystkich bierze
I w łasce Bożej trzyma do ostatka!
Znam, że jest Polska, Świętych Pańskich Matka!..

Jakoż na ono wielkie miłowanie
I cud nie jeden w narodzie się stanie,
Bo najzaciętsze w tój Koronie wrogi
Z pokorą siebie chwytają za nogi:
Twardzi ojcowie oddają majątki
I krzywdy wielkie nagradzają krzywi,
Wielkie urazy idą bez pamiętki,
A w górę idą w Panu sprawiedliwi!
Wielkie w narodzie i w kościele święto!
Bo Unia poszła w łasce Bożej rosy!

„Unia narodów!“ wołano w niebiosy,
I tak tam sercem za tę sprawę wzięto,
Że starzy tylko w czasów dopełnieniu
Śmierci pragnęli, dopełniwszy swoje,
A młodzi byli tak czuli w sumieniu,
Jako są starzy idąc na pokoje.

Wielu, co sercem od wiary odpadło,
Wróciło znowu w łasce do kościoła
I wielu możnych po klasztorach siadło
I z senatorów i z naszego koła.....

Lepiej z Lublina było nam do Lwowa,
Lecz rodzic kazał jechać do Tarnowa
I wprost przed kościół, by zapłakać sobie
W pociechach duszy na hetmańskim grobie.

Długo się modlił, a żal serca składa
Przy onój trumnie i cieniem powiada:
„Jestem Hetmanie! Chcę się uweselić
I me pociechy z twą trumną podzielić!
Nie darmoś w Polsce i w Litwie gardłował,
Nie darmoś Rusi jak syn wierny bronił,
Nie darmoś naród i króla miłował
I w radzie pańskiej do jedności gonił,
Bo czegoś pragnął tak bardzo hetmanie,
To doszło w Bogu na tym twoim grobie,
I jest narodów wielkie miłowanie
I cień Zygmunatów zwraca się ku Tobie
I wszystek naród świadczy tój buławie
W obliczu Unii i narodu sławie!....
O! czemu, panie, dziś Cię śród nas niema?
Czemu nie patrzysz żywemi oczyma
Na akt, co doszedł przed Bogiem do skutku?!“

Tak płakał rodzic i osłabł od smutku....
Lecz gdym go z grobu zwolna wyprowadził,
Nie chciał już jechać do domu na wózku,
Lecz siadłszy na koń, rażno przodem sadził
I śpiewał dumki żałośne po rusku,
Jakie lud w Rusi po hetmanie śpiewa,
Kiedy wieczorem powraca od żniwa.

Gdym go przed gankiem z rumaka zesadził,
Kazał bym księdza bez bawy sprowadził,
Więc i konnego wyprawił po Cywę,
A sam porządki poczynił pocziwie
Około domu i około siebie.
Poczém wziął łaźnię i przyodział zbroję,
Przyjął wijatyk na wieczne pokoje
Kłęcząc porządnie i rzekł: „Panie w niebie!
Tęm zbroję nosił, chodząc w Twoim znoju,
A kiedym widział łaskę Twojej rosy,
Unię narodów, to wołam w niebosy:
„Odpuszczaj sługę Twojego w pokoju!!!“

Z księdzem i z Cywą zdjąłem go z podłogi
I usiadł w krześle i rzekł: „Synu drogi!
A i ty Cywo, towarzyszu bratni!
Pragnę za duszę żony i hetmana
Odmówić jeszcze ten paciérz ostatni“....
Więc wszyscy razem padniem na kolana
I mówim głośno, a rodzic nas słucha
I oddał Bogu w téj modlitwie ducha.

Więc prosto z krzesła, jako był ubrany,
Tak go na marach złożyłem w żałości
I leżą w Bogu te pocziwie kości,
Modlitwą zdane na Chrystusa rany.

A działo się tegoż roku die 16 Augusti.

Smutno mi bardzo było w onym dworze
Jednemu siedzieć po śmierci rodzica;
„Czyby nie padło ożenić się może?“
Radzi Sufczyna, zapłakawszy lica,
I Cywa radzi: „Niech leżą w pokoju
Tych wiernych zmarłych kości w ojców grobie,
A my panoczku radźmy tu o sobie,
Bo może padnie iść z wiosną do boju?“

Jest coś w człowieku, czego nie odeprze,
I chociaż nie zna, na czym stanie w końcu?
Czy to na gorsze, czy może na lepsze?
Lecz jak słonecznik zwraca się ku słońcu!

Do Ziemi Świętej parło mną gwałtownie,
Grosz był gotowy w ojcowskiej szkatule,
Więc, choć Sufczyna i Cywa wymownie
Wzbraniali tego, pożegnałem czule.
I wzięwszy na się te pielgrzymie szaty,
Ruszyłem rankiem w nieznanę mi świąty.

Okręt wenecki na brzeg mię wysadził
W oném podgórzu sławnego Libanu
I tam z pielgrzymy już pospołum radził,
Jak w Ziemi Świętej dalej służyć Panu?

Więc byłem najprzód „u studni wód żywych,“
Co skryte płyną z tych źródeł Libanu,
Jako szczodrości od Bożego tronu,
Z których się niegdyś podobało Panu
Zaczerpnąć wody w dłoniach miłościwych
I spojrzeć w kraje Tyru i Sydonu....

Pełni miłości, wiary i nadziei,
Kroczym z Libanu w ziemię Galilei,
Po której stopy niegdyś Chrystusowe
Zaczyły ślady na przymierze nowe;
I tu pojąłem żywemi oczyma,
Jako Pan wiernych w łasce swojej trzyma,
Kiedy ślad każdy stopy Zbawiciela
Na świętych miejscach jest podany żywo
I serca wiernych pamięć rozwesela,
Kiedy zachodzą na to Boże żniwo.
I byłem potem w onym Nazarecie
I w Betlejemskiej ubogiej stajence,
Gdzie na świat przyszło to Najświętsze Dziecię,
Co świat zbawiło rozpiąwszy te ręce
Na krzyżu w mękach ku zbawieniu ludzi.
I czułem w sercu, że mię wszystko budzi
I rwie od ziemi w niebieskiej słodkości!
A cóż dopióro, kiedym na Golgocie
Rozpamiętywał zbawienia miłości,
Jakie Bóg wylał na dusz wiernych krocie,
Tom się tak bardzo wzmocnił i ukoił,
Że siłą oną, którą Bóg uzbroił,
Stoję aż dotąd na nic nie trwający,
Mężny w cierpieniu, a w Panu gorący!
I daj mi Boże w téj chwili skonania,
Kiedy się przyjdzie mieć precz z tego dwora,
Czekać w téj sile wielkiego spotkania
Hetmana mego i księdza Melchiora,
Pana Maruszki i mego rodzica!..

Gorzałem duchem, jako gore świeca
Przy onym grobie Zbawiciela Pana!
A była sercu i podnieta dana,

Bo między księżą naszego narodu
Żył jeszcze kapłan, co pana za młodu
Prowadził sercem po drodze krzyżowej
I cześć zachował dla pamięci owój,
Jaką on rycérz młody pozostawił,
Kiedy przed laty w Ziemi Świątej bawił.
Pielgrzymi polscy od czasu do czasu
Nieśli do grobu o rycérzu wieści
A jak w ojczyźnie rósł w sławę z zapasu,
Tak go i tutaj miano w wielkiej cześci;
Więc kiedym zeznał, żem się z młodu chował
Na onym dworze Wielkiego Hetmana,
To mię on starzec bardzo umiłował
I brewiarz ze mną odmawiał za pana,
Wysoce ważąc, żem był w takiej szkole,
I wołał na mnie: „Hetmańskie Pachole!“

Bo i przy grobie Chrystusowym znano,
Jaką pan łaskę tam uprosił rano
I że Bóg jego wysłuchał modlitwy,
Bo mu buławę dał wielką do ręki,
By wrogów krzyża powściągnął paszczeki,
A bożogrobca postawił śród bitwy
Niepożytego za przyczyną krzyża!

Chyżo mi biegła łódź żywota chyżo
Przy Bożym grobie i w brzegach Jordanu,
I rok mi ubiegł, jakby oka mgnienie,
I jakieś ciche, święte zapomnienie
Uniosło duszę w słodkości ku Panu!
A kiedy ojcu na spowiedzi świętej
Zeznałem, jakom jest w sercu przejęty,
Rzekł mi: „Mój synu! nie masz tu co bawić,
My będziemy czuwać tu przy Bożym grobie,
Kiedyś wzięł łaskę, to się czas odprawić,
I do ojczyzny powracać na dobie...“

Więc noc spędziwszy w oliwnym ogrodzie,
Z ojcem pospołu na świętém czuwaniu,
Po rzewnym płaczu i po pożegnaniu
Ruszyłem w drogę nocą i o chłodzie,
Śpiesząc wąwozy przy wiernym pachołku,
Co aż do portu sam mię odprowadził,
Jako tam zwyczaj, na dobrym osiołku,
Który przez skały, niby koza sadił.....



KSIĘGI CZWARTE.

JASSYR POGAŃSKI. — WYBAWIENIE Z NIEWOLI.
POWRÓT DO OJCZYZNY.—KRESY NA DNIEPRZE.

Anno Domini 1571 die 7 Martii.

Wjoppejskim porcie siadłem na galare,
Co się jak delfin wdzięcznie w morzu pławi:
Grek był sternikiem i klął się na wiarę,
Że do Wenecyi dobrze mię odstawi.

Radzili wprawdzie księza w Ziemi Świątej,
Aby na greckie nie siadać okręty,
Bo się rozbojem w morzach bawić lubią
I najgodniejsze ludzic nie raz gubią.
Lecz że i w Joppie nie bardzo bezpiecznie
Było galarów od Wenecyi czekać.
Więc zaufałem Grekowi statecznie
I dłużej jazdy nie chciałem odwlekać.

Gdyśmy od brzegu odbili, wyliczyć
Kazał mi sternik za przewóz, więc z trzosa
Dobyłem złota, i Grek począł dziczć
I patrzył na mnie już odtąd z ukosa.
Aż trzeciój nocy, gdy mijamy skały,
Pomknął się ku nam jakiś statek mały,
Jeden i drugi, u tych skał ukryty,
I nagle światło na galarze zgasło

I małe statki dały jakieś hasło
I nagle stanął okręt gdyby wryty.
Pytam sternika: „co to wszystko znaczy?”
A on mi mówi, że nie ujdziem łupu,
Bo to w zbójcekiej osiedliśmy saczy,
Więc się wypadnie ucieć do okupu.
Jakoż sześć statków już koło nas staje,
Więc i hakami pirat nas zagrabi,
A potem ognia z gęstej strzelby daje
I wbrew na okręt rwą się jacyś drabi.

Krótki kord miałem pod hałatem zawdy,
Więc, gdym uwierzył, że to gwałt doprawdy,
Tom się i dobrze ku tym drabom zwrócił
I ciąłem kordem, gdzie było najgęściej,
I w mgnieniu oka tak mi Bóg poszczęści,
Żem po méj stronie wszystkich w może rzucił.
Więc w drugą stronę rwę się ku odsieczy,
Ale sam sternik z tyłu na mnie wpada
I cięciem w głowę tak bardzo kaleczy,
Żem padł na ziemię i pojął, że zdrada;
Krew mię oblała i straciłem zmysły,
Grek ze zbójami miał znać związek ścisły.
Kiedym znów przyszedł coś trochę do siebie,
Piekło mię strasznie na głowie to cięcie;
Nagi leżałem na innym okręcie.
I nie wiem który? lecz dzień był na niebie.
Jakiś mi Turczyn podał trochę wody
I dźwignął trochę i owinął rany
I rzekł, że mogę wyjść z tego bez szkody
I że ran moich będzie sam pilnował,
Bo mu zostałem w jassyr zaprzędany,
Więc dla okupu rad mię będzie chował.
Nie chciałem pytać, co się ze mną działo?

Lecz skatowane do krwi miałem ciało
I byłem cały od karku do pięty
Obiczowany i srodze pocięty.
Turczyn czas jakiś wodą mnie polewał,
Więc i siności i rany obmywał,
A gdy od bólów aż owisła głowa,
Stanął mi w myśli z panem paciérz piérwszy:
„Jeśli nie dzwigniesz dziś Bożego słowa,
Jakże krzyż dzwigniesz?“ Więc w skrusze najszczerzej,
Biorąc jassyru wielki krzyż na siebie,
Do Boga mego westchnąłem na niebie.
I nigdy w sercu mojem nie wyrzekał,
Ale krzyż niosąc, w Bogum tylko czekał
Śmierci lub łaski mego wybawienia!

Turczyn, znać, poznał z mojego wejrzenia,
Żem z Bogiem mówił, i z modlitwy mojej
Rad był widocznie: „Bo prędzój się goi
U bohomolnych rana, żeby jaka.“
Tak mi z litością ów Turczyn powiadał,
Co nie jednego leczyl już Polaka,
Bo był lekarzem i balsam mi zadał.

Są tam na Wschodzie cudowne balsamy,
Jakich w ojczyźnie naszój ani znamy,
I jest dla rannych jakiś dziwny trunek,
Który po kroplach niewielu się daje,
A ranny zaśpi i ból i frasunek
I po śnie każdym pokrzepiony staje.

Jakoż codziennie czułem się na ciele,
Ba i na duszy i calszy i krzepszy;
Lekarz mi dawał jeść tylko daktyle,
I wdziałem hałat, bo już byłem lepszy.

Dni nie liczyłem i nie wiem jak długo
Byłem na morzu, bo wolną zegluga
Zśliśmy bez wiatru, i przespałem prawie
Całą tę drogę pod masztem na nawie.

Lekarz, jak mówił, był Bulgarem z rodu,
Co się od swoich odbił był za młodu.
I sturczył pono, czy może nie sturczył,
Ale od biedy i wieku się skurczył
I nie miał czego wracać do ojczyzny.
To się też tułał w greckim ostrowisku
I po okrętach goił zbójom blizny,
I tak to jemu dostałem się w zysku
I ciężko ranny i srodze pocięty,
Bo mnie wyprosił dla siebie od noża.
Gdy w swoją drogę szły dalej okręty,
Gdy mnie już miano wyrzucać do morza.

Gdyśmy przybyli do wyspy skalistój,
Rzekł do mnie lekarz: „Jam człowiek ubogi,
Więc cię tu sprzedać muszę bracie drogi.
To wyspa Patmos, dom Ewangelisty,
Jeden tu tylko Turczyn rządu trzyma,
Co wyspy strzeże i zbiera haracze,
Sprawiedliwszego człowieka już nie ma
I nikt na jego sądy nie zapłaci,
Zresztą na wyspie żyją tylko Grecy,
A i łotrowie od wyspy dalecy,
Bo pan ma zamek i trzyma okręty,
A ktoby zbijał, bywa tutaj ścięty.
Dobrze tu przy nim będzie tobie bawić,
Więc i o okup można się rozprawić,
Bo mu opowiem, żeś miał trzos ze złotem,
Co go od ciebie łupem wzięli Greci

I trzymasz ziemię w ojczyźnie dalekiej,
To i w jassyrze lepiej będzie potem.

Jakoż dał jeszcze z balsamem puszczyki
I w bramie zamku sprzedał mnie na słowo
I pan mi szatę kazał podać nową
I byłem jeńcem na téj wyspie greckiej.

Zdrowe powietrze wiało po ostrowie;
Jakoż z dniem każdym wracało mi zdrowie
I pan miał względy na te rany moje
I miałem folgę, aż się już wygoję.

Ospa się była na tę wyspę wkradła
I do tygodnia wszystka dziatwa padła
I lament wielki stał się i u Turka,
Bo jakoś nocą zachorzała córka
Najmilsza sercu, co miała trzy lecie,
Więc rzekłem panu: „Ja uzdrowię dziecię.“
A jako stryj mię był nauczył z młodu,
Lekarz krakowski wielkiego zawodu,
Tak wszystkom czynił już od piérwszój chwili,
Gdy mi to piękne dziecię powierzyli,
Więc się i ospa wysypała ślicznie
I Turczyn czynił Panu Bogu śluby
I pilnowałem dziecka tak odlicznie,
Że po chorobie ani jednéj dzióby
Nie pozostało już na całym cielem;
I miałem odtąd w domu łaski wiele,
Bo i pan ze czcią przy sobie mnie sadzi,
A w ważnych razach, to się nawet radzi.

Skoro po roku jakoś pomiarkował,
Żem na rycérza w ojczyźnie się chował,

To niewolników, a i ludzi zbrojnych
Dał pod mą wolę, a zem praw był rzeczy,
To czasów takich nieznano spokojnych,
Jak one były, gdym miał wyspę w pieczy.

Dawniej tam miasto bywało nad morzem,
Lecz gdy wzbijanie bardzo w morzach wzrosło,
To się powoli na górę przeniosło,
Bo ludzie drżeli przed zbójcekiem nożem.

Jednak gdym zbójcom stał się bardzo srogi
(Bo w jednym roku wybiłem do nogi
Cztery najazdy popaliwszy statki),
To aż po brzegu pasały się kozy,
A dzieci w morzu kąpały znów matki,
A Grek i Morlach uchodził od grozy
Onego brzegu i strzegł się rozboju
I żyła wyspa w pracy i w pokoju!

Pan mój miał w porcie trzy własne galary:
Więc gdy w lat kilka spróbował mój wiary,
Chciał abym chodził z okręty za kupią,
To mu i okręt nie tak łatwo złupią,
A w rzeczy samej nikomu nie wierzył
Jako mnie, bowiem ludzimi dobrze dzierzył
I szczenił grosza, w sercu nie łakomy,
Mając świat wszystkie za bardzo znikomy.

Jedwabiem kupczyć? pomyślałem sobie
Na co mi tego! na straży stać wolę
I być bezbronnym z obroną na dobie,
Jak na hetmańskie przystało pachole!

Więc próżno Turczyn na to mię nawodzi,
Nie pójdę w morza, bo mi morze szkodzi!

Lecz jeśli mienia potrzeba przysporzyć,
To się potrafię po rycérsku złożyć
I będę czynił rzemieniem i bronią,
Bom ci praw temu i znam się na rzędzie,
A i na broni, za którą tu gonią,
Otóż coś złota i za to przybędzie.

Bardzo mój Turczyn był rad słowu temu,
Więc się do rzeczy wziętem po swojemu:
Były sposobne i na wyspie Greki,
Innych ściągnąłem aż z Smirny dalekiej
Jednych złotników, a drugich płatnerzy,
Innych, co chodzą około rzemienia,
I ledwo oczom mój Turczyn uwierzy,
Boć to stanęło wszystko od skinienia!

A kiedy sobie na pamięć przywodzę
Jak pan Maruszka nigdy temu czynił,
To ciepłym sercem koło pracy chodzę,
Boby mnie pewnie za sprawę nie winił.

Na wyspę Patmos przybył pod tę porę
On Bułgar stary, lékarz mój poczciwy,
A więc do służby bez bawy go biorę,
Znając, że w sercu bywał mi życzliwy.

Zbójowie w morzach taki zwyczaj mają,
Że kiedy złupią jaką drogą zbroję,
Klejnot i złoto odrą jako swoje,
A rzecz cenniejszą precz na marność dają.

Znałem ja o tém, i szable odarte
Kazałem ściągać starcowi onemu,
A gdym oprawić je dał po swojemu
I obszyć znova, więcéj były warte
Od samych nawet szabel emirowych,

Bo kupowano je za łupy lackie,
Droższe od wszelkich, w tych oprawach nowych,
Taki lustr miały i ujęcie grackie!

A cóż dopióro gdym postroił rzędy?
To po bazarach dziwiono się wszędy
I w targu piérwszy za nie basza chwytą
I kto obaczy, to już je i trzyma
I każdy z wielkiém zadziwieniem pyta:
„Na wyspie Patmos pono koni nie ma,
Więc zkąd się biorą tam dziś takie sprawy?“
I wyspa Patmos szła w morzach do sławy!

Cicha pociecha przejmowała serce,
Bo Bóg tę wyspę na morskie kobierce
Rzucił dla ducha na przybytek czysty;
Był to dom Boży, dom Ewangelisty.

W połowie skały, gdzie się miasto wznosi,
Greczyn pielgrzymów do pieczary prosi,
Gdzie miewał Boże Jan święty widzenia
I spisał one „księgi objawienia!“
Od prześladowań jeszcze Domicyana
Jest ta pieczara w sercu wiernych znana:
Widok z niej wielki i czysty na morze
I nic ziemskiego nie widać dokoła
I z głębi skały szczelina się porze,
Z której do duszy od trąby anioła
Szło wielkie niegdyś prorocze wołanie,
Jakie Jan spisał w czasów dopełnieniu
I które w sądzie ostatecznym stanie,
Gdy się prorocstwo dopełni w stworzeniu.

W Apokalipsy onój to pieczarze,
W święta tureckie trzymałem ja strażę;

A gdy wśród pogan nikt Maryi nie chwali,
Ja Ją chwaliłem w te święta pogańskie
I w téj pieczarze brałem łaski Pańskie
I duch był równy do tureckiej stali!
I nie przykrzyłem w tym jassyrze sobie,
Lecz stałem twardo w onéj lackiej wierze,
Że Bóg z ratunkiem przybędzie na dobie,
Lub mnie do siebie w swéj łasce zabierze.

Nie umiém zeznać, jakim miał pociechy,
Że Bóg jassyrem dotknął mnie za grzechy,
O i za żadne skarby tego świata,
Dziśbym nie oddał téj niewoli lata,
Bo znam po szkole i hetmańskim rządzie,
Jako tam będzie w ostatecznym sądzie,
Gdy przed Chrystusem człowiek nago stanie,
Na onéj trąby straszliwe wołanie,
Co to wołała niegdy w téj pieczarze,
I gdy Bóg duszy na sąd stanąć każe...

I Turcy dają tam świadectwo swoje,
Że pan był prorok i przed Bogiem czysty,
I ciała zmarłych mają tam pokoje
W onéj pieczarze dla Ewangelisty.

Są to, znać, ciała tych, co na pustyni
Żywot skończyli, i Bóg cuda czyni
Przy onych zmarłych i w cieniu pieczary,
Jako powiadał mi on Bułgar stary.

Lat ośmnaście żyłem na ostrowie,
Nie raz nadzieje czynili Grekowie,
Że do ojczyzny dadzą listy moje,
Słyszając, że wiernie w okupie dostoję.
A więc pisałem do panów z Tarnowa

I do Boboli, co był za pachole
Przy panu naszym, znając dobrą wolę
Wszystkich dla siebie, pisałem, co głowa
Moja u Turka na złoto jest warta,
Do weneckiego takżem słał senatu
Listy osobne, by mnie jako biatu,
Co ma sojusze z Rzeczpospolitą,
Raczył pośpieszyć z pomocą ukrytą.
Ale i listy i biegły te roki,
A nikt z okupem po mnie nie przybywał,
I w morzem patrzył z tój nagiój opoki
I do Maryim pieśni wyspiewywał.

Gdy raz ostatni byłem w tój pieczarze,
Czułem się lekki i znałem proroczo,
Że się me losy ku ojczyźnie toczą,
I że się sercem ku lepszemu ważę.....

Jakoż i łoże w nocy się załomie
I wszystko puste wydaje się w domie:
Gdy pasek upnę, każdy na mnie pęka,
Więc i dzban rwie się, gdy go dotknie ręka,
I snu już nie ma, pragnienia ni głodu,
Ale co chwila wyglądam na morze
I serce rwie się kędyś do pochodu,
Jakby niem władły jakieś sądy Boże.
Więc kiedy rady nie mogę dać sobie
I w niepokoju bardzo sercem robię,
Zgłosił się rankiem do mojego Turka
Jakiś człek obcy, co kupczył perłami;
Na nim kłapania i kosmata burka.

I kiedy w sieni spotkamy się sami,
Patrzy mi w oczy i pokiwał głową
I coś mię tknęło, że to swojak może?

Jakoż przemówił do mnie polską mową
I spytał krótko: „Ktoś ty jest nieboże?“
— „Szlachcic“ powiadam „i okup dać mogę,
Gdybym postawił w ziemi jeszcze nogę.“
— „To milczże synu!“ powiada mi na to,
„I mów, żem Turek weneckiego berła,
Że jeżdżę z kupią po świecie bogatą,
To i Turczynki skusi może perła
Większa od bobu, jak towar wyłożę,
Potrafię cenić, a jak się podrozę,
To niewolnika zażądam w dodatku
I bez okupu wezmę was w ostatku.“

Pan mój miał córkę sercu bardzo miłą,
A więc bicz pereł kupił jój na słowo,
Lecz gdy się złoto za nie odliczyło,
A kupiec perłę wydobył różową,
Większą od bobu, gwałt się zrobił w domu,
Boć matka, córka, ba i niewolnica,
Wybiegły wszystkie, już prawie bez sromu,
Oglądać oną cenną topielicę,
Lekko ujętą na złotym łańcuchu,
I już nie było mowy ni posłuchu,
Że i mój Turek musiał w końcu zgłupić,
Bo krzyczą tylko: „kupić! kupić! kupić!“

Była to perła, którą zwa „szczęśliwą“,
Więc ta niewiasta, która ją posiędzie,
Panować wolą nad drugimi będzie,
To też się rwały wszystkie ku niéj chciwo,
Lecz kupiec perłę tak wysoko cenił,
Że Turczynowi za wiele się zdało,
Więc rzekł odmównie: „Gdybym syna żenił
Z córą sułtana, jeszczeby nie stało

Za tyle złota takie cacko głupie!“
Więc i targ zerwał i odprawił kupię.

Ale nazajutrz już o świcie każe
Szukać mi kupca po miejskim bazarze.
Przyszedł, lecz większa była jeszcze bieda,
Bo trzy wisiorki dobył jednakowe,
Z których dwa do rąk, a trzeci na głowę,
I rzekł, że one tylko razem sprzeda.

Więc znów niewiasty i w krzyki i w targi,
I targ nie doszedł i na nowo skargi,
Że aż bałamut jął się głowy Turka,
Bo dnia trzeciego zachorzała córka:
Z całego miasta zbiegły się znahorki
I „umrze“ krzyczą „albo kup wisiorki!“:
Bo zachorzała na perlę różową
I tylko od niej może być już zdrową.“

Ale od targu kupiec już ucieka
I mówi twardo: „A co mi tam złoto?
Mnie trzeba w drodze dobrego człowieka,
Kupisz dwie perły, to oddam z ochotą.
Trzecią już z łaski dam za niewolnika.“

Turczyn aż w gębie zapomniał języka:
„Tego niepuszczę“ rzekł wskazując na mnie,
„Bo i to perła“ i zerwał się dumnie.
„Perła za perlę, więc głowa za głowę!“
Rzekł na to kupiec i śpiesznie odchodzi,
I wrzask podniosły na nowo znahorki
I matka łamie ręce i zawodzi:
„Córa mi umrze, albo kup wisiorki!
Bo zachorzała na perlę różową
I tylko od niej może być zdrową“....

Turczyn od żalu aż spłakał w ostatku;
Lecz dobił targu i dał mię w dodatku;
A kupiec powróż założył na szyję
I rzekł: „Znaj jassyr i posłuch i kije!“
Na to znów Turczyn: „Karać go nie trzeba.“
I dał na drogę mi szatę i chleba
I trzy sztuk złota wyrzucił na progu
Na szczęście moje, i skłoniłem w Bogu
I żal mi było rzucać dom niewoli,
Co mię przytulił ludzko w onój doli
I niewiedziałem, co mi dalej padnie,
Kiedy pan nowy oraz powróż kładnie
Na szyję moją i grozi fałagi.
Więc w Bogu tylko szukałem odwagi
I ledwo idę za panem, co w grozie
Przez całe miasto wiódł mię na powrozie.

Znali mię wszyscy u mego Turczyna,
Żem mu przysporzył i statku i mienia,
A więc pytano, coby za przyczyna,
Że mię odprzedał? I było zdziwienia
Na całym mieście i w całym bazarze,
Że mię pan nowy tak bez winy karze?

Gdyśmy się mieli u brzegu do drogi,
Nadszedł człek jakiś letni i ubogi
I panu memu na ucho dokłada:
„I ja mam jeńca, com go dostał łupem
I sam się Laszkiem i panem powiada,
Tobym go puścił także za okupem.“

Na wiatr od lądu czekały galary
I odbić miały o wietrze dopięro,
A kiedy kupiec chęć okazał szczerą

Kupienia jeńca, to go przywiódł stary.
Kiedy siadamy już na okręt prawie,
Kupiec mi kazał z jeńcem się rozgadać,
Ale na próżno pytaniem się bawię,
Bo mi po polsku nie chciał odpowiadać;
Więc po turecku pytam go nareszcie:
„Wszak cię za Laszka mają ludzie w mieście?“
„Bom Lach i chrzczony“ na to mi powiada;
Co rzekłszy, w miejscu na kolana pada,
Więc i znak krzyża położył ostrożnie
I cały paciérz odmówił pobożnie,
I dziesięcioro, więc i modlitewkę
Do Trójcy Świętej i ran najgorętszych,
A w końcu pięknie zaśpiewał już śpiewkę
O Matki Bożej łaskach Przenajświętszych.

Był to młodzieniec śliczny, gdyby róża,
Dzieckiem z ojczyzny porwała go burza,
Ojciec odumarł go chłopcem w jassyrze,
Ale stał z Bogiem i z kościołem w mirze,
Bo konający ojciec mu nakazał,
Aby niewiarą krwi zacnej nie mazał,
Ale i paciérz i ów klejnot chował
I Matkę Bożą i Polskę miłował,
To po pacierzu wróci do ojczyzny,
A po klejnocie trafi do puścizny.
Jakoż po polsku tyle tylko umiał,
Ile z pacierza znał i wyrozumiał,
Lecz trwał i wierzył, jak był nawykł z młodu,
I czystém sercem miał się do narodu.

Kupiec zapytał, coby za młodziana
Żądał okupu? a starzec powiada,
Że jest ubogim i że okup lada

Przyjmie jałmużną, jako łaskę pana,
Lecz nim go odda, to wprzód znać potrzeba,
Że się z tym jeńcem łączą znaki nieba....

„Jakto?“ zdziwieni zapytamy oba,
Starzec łyzy otarł i rzekł: „Na proroka!
Miałem wskazówki, a i mam z wysoka,
Że ten to jeniec Bogu się podoba:
Bóg losy moje z jeńca tego losem
Związał tak ściśle, że choćbym odstąpił
Jeńca na własność, nie będzie Bóg skąpił
I wam wskazówek i mnie dotknie ciosem,
Póki nie spełni się z Niebios przejrzenia
Na mnie i na nim wola przeznaczenia.
Krew to prorocza! i z rady wysokiéj
Ałłach przemawia tylko przez proroki.

„Gdym czarnym szlakiem szedł do ziemi tucznej,
Kędy i bydła i narodu wiele,
Byłem potężny i stałem na czele
Dzielnego pocztu, jak basza buńczuczny.
W powrocie łupy dzielono u Warny
I w dziale padł mi także łup niemarny.
Z osobna stali jeńce do okupu,
Co nie szli w podział do całego łupu,
Ale z nas każdy, co szedł z ludźmi k'temu,
Miał prawo wybrać sobie po jednemu.
A więc przyzwałem k'sobie dragomana
I po okupném chodzimy taborze:
Każdemu z jeńców ropi jakaś rana,
A więc szukamy, czy nie znajdziem może
Takiego jeszcze, coby ostał cały?
Jakoż się znalazł człek bardzo wspaniały,
Co trzymał chłopię nieletnie na ręku,

I gdym go spatrzył, rzekł do mnie bez lęku:
„Byleś od dziecka mię tego nie dzielił,
Będziesz z okupu pewno się weselił;
Dziesięć kies złota dam ci sam za siebie,
A drugie dziesięć za chłopca z ochotą;
I klnę się Bogu Wielkiemu na niebie,
Że ci w dom szczęście wniesie moje złoto!
Lecz panem będziesz mnie znał i w jassyrze
I będziesz chował mnie i dziecko w mirze

„Wyznać nie umiem jeszcze dzisiaj, czemu
Bardzom się poddał człekowi onemu?
Znałem, że umie Lach dochować wiary,
Więc go w dom wziąwszy, chowałem bez kary.

„I przez trzy lata modli się i pości
I razem z chłopcem pieśni tylko śpiewa,
I pisze listy i wysechł do kości,
Lecz gdy z okupem nikt mu nie przybywa
Na prostój słomie kazał się położyć
I mnie zawezwał i do mnie powiada:
— „Tém, co ci powiem, nie będziesz się trwożyć,
Bo próżna trwoga, gdy w niebie zapada
Wyrok na losy śmiertelnego człeka;
Bóg losy twoje z dziecka mego losem
Zapisał razem w księdze przeznaczenia,
I po méj śmierci, chwila niedaleka,
W której cię dotknie niebo ciężkim ciosem,
Więc uzbrój dusze i słuchaj widzenia!....

„Dom twój upadnie i wezyr cię złupi
I żonę twoją wróg zacięty kupi
I sześciu synów stracisz w jednym boju
I staniesz w świecie bez czi i zawoju
I kiedy drugie zawita zaranie,

Tylko syn mały jeszcze ci zostanie
I razem z moim będą z miejskich śmieci
Żywić się skrycie czasu nocy oba,
A dnia siódmego przyniosą ci dzieci
Trzy sztuki złota zebrane z jałmużny
I przyjdzie na cię nieba pierwsza próba:
Dźwigniesz się z żalu, wezmiesz kij podróżny,
Kupisz trzy kozy i pójdiesz w pustynie
I dojąc kozy będziesz dzieci chował,
A gdy spać będziesz, mój będzie pilnował
I kóz i ciebie, i nie da gadzinie
Tknąć twego syna, i czas próby minie
I przyjdzie człowiek z dalekiego miasta,
Co z nagiej skały ku niebu wyrasta,
A w koło żywą wodą jest oblane,
I dasz mu mego za okupem syna
I czas zagoi serca twego ranę
I po tém złocie i szczęście przybędzie
I wróci do cię znów ojców dziedzina
I syn już panem na dziedzictwie siedzie
I na tych wrogach pomści krzywdę rano,
Jako w przeznaczeń księdze zapisano.“

„Struchlały wszystek chciałem jeszcze pytać,
Ale czy nie mógł, czy nie chciał już czytać
Więcej i dłużej w tych przeznaczeń księdze?
Dosyć, że milczał, aż znów w godzin parę
Wołać mię każe i zaklął na wiarę
I rzekł po chwili: „Ja kończę tę nędzę!
Ciebie zostawiam w chwale i potędze,
Lecz wszystko zniknie jak piana na wodzie
I temu tylko błogosławić mogę,
Co jest najmłodszym w całym twoim rodzie;
Więc go tu sprowadź, bo mi czas już w drogę.“

„W słowach skonania była moc prorocza
I znać przeznaczeń potęgą urocza.
Przywiodłem syna do onego łoża,
I błogosławił mu z wnętrzości ducha,
Poczem rzekł do mnie: „Jest wielka moc Boża!
I sprawiedliwej prośby Bóg wysłucha.“

„Na zachód wskazał, jest sucha pieczara,
W niej mnie pochowasz nocą i w skrytości,
A gdy o okup syn mój się postara,
Syn twój odwiezie do ziemi me kości,
I gdy się ujrzą, to zapłaczą sobie,
Jak bracia rodni na tym moim grobie.

„Słuchaj, bo daję ci już znak ostatni!
Kiedy z okupem przyjdą ludzie płatni,
Co z przeznaczenia rozwiążą twą dolę,
To dwóch ich będzie, i on człek co płatny,
Będzie na głowie w kłapani szkarłatnej,
A ów, co mego podźwignie z niewole,
Będzie miał powróż na szyję zadany
I będzie zdawna w całym mieście znany;
I syna mego przywiedziesz ochotnie
I błogosławić będziesz mu stokrotnie
I weźmiesz w okup tylko kiesę złota;
Lecz od téj kiesy szczęście się obróci
I zejdzie słońce znów przed twoje wrota
I syn i ojciec szatę nędzy zrzuci....

„Więcej nie mówił, choć w duchu gorący,
Na prostej słomie prosto wyciągnięty,
Wraz z synem pieśni śpiewał konający,
Jak bohomolny i przed Bogiem święty!“....

„Że prawdę mówię, klnę się na proroka!
Dziś znak ostatni dał Ałłach z wysoka,
Więc kupcie jeńca, gdyście człowiek płatny,
Jako powiedział w kłapani szkarłatnej,
A drugi powróż ma sobie na znamię,
To niech proroctwo lachowe nie kłamie,
Bo każde słowo, com tu rzekł w tój mowie,
Straszno na mojej spełniło się głowie:
I dom mój upadł i Wezyr mię złupił
I wróg największy żonę moją kupił
I sześcium synów stracił w jednym boju,
Ha! i ostałem bez czci i zawoju!
I kiedy drugie zeszło mi zaranie,
Tylko syn mały jeszcze przy mnie stanie,
I z synem jeńca, czasu nocy oba
Żywią mnie skrycie strawą z miejskich śmieci
I dnia siódmego przyniosły mi dzieci
Trzy sztuki złota, zebrane z jałmużny,
I przeszła dla mnie nieba wielka próba:
Kupiłem kozy, wziąłem kij podróżny
I wraz z chłopcami żyłem na pustynie,
Modląc się niebu, aż czas próby minie.

„Mówili ludzie: — „Ha utop to szczenie,
To się odwróci jeszcze przeznaczenie!“
Lecz gdy się wszystko spełniło na głowie,
To trwam już tylko na proroczym słowie,
I od was obu błagam rozwiązania,
By się syn pomścił krzywdy niepowszedniej,
Na wrogach moich onego zarania,
Jako w proroczéj stoi przepowiedni“.....

Ha! oba z kupcem, co mię na arkanie
Trzymał jak Tatar, słuchaliśmy oba

Powieści onój—i rzekł jeniec: „Panie!
 Niechaj się kończy na nas nieba próba!“
 I kupiec rzucił kiesę złota z wzgardą
 I w koło szyi onego młodzianka
 Arkan owinął nie ludzko i twardo.

I oba spięci czekamy do ranka—
 I siedział starzec płaczący na brzegu,
 Aż już galary były w pełnym biegu,
 I póki widział, póty ku nam prawił
 I razem z synem w drogę błogosławił.
 Był to szczęśliwy, iście Boży ranek!
 I do pacierza przykląkł był młodzianek,
 Gdy jasne słońce zeszło nam od wschodu,
 Gdyśmy się znali sercem do narodu.
 W on czas dopiéro, aż o drugiej dobie,
 Pan nasz krzyż także położył na sobie
 I tylko do mnie na ucho powiada:
 „Póki w tym kraju, póty wiecznie zdrada.“
 Więc sami sobie folgujcie arkanem
 I wyznawajcie, zem jest waszym panem;
 A jak zobaczymy już przy drogach krzyże,
 I mnie lżej będzie i wam po jassyrze
 I będziem wołać po siołach do ludu,
 Jako wracamy znając się do cudu.

Do myru
 Z jassyru!
 Z jassyru
 Do myru!

Jam jest Ormianin i z onego miasta,
 Co z nagięj skały ku niebu wyrasta,
 A w koło żywą oblane jest wodą,
 Więc i wam obum nie będę ze szkodą:
 W Koronie Polskiej zwie się „Złoty Wieniec,,

A po naszymu: „Podolski Kamieniec.“
Więc jestem Wartan Asłanowicz z rodu
I odkupionych oddam do narodu,
Lecz się trzymajcie sami u powrozu,
Aby nie było licha u przewozu,
Aby mię Turcy tu za Turka mieli
I was mi zabrać jak swoich nie chcieli.“

Duch we mnie wstąpił i arkan nie ciężył,
Gdy témi słowy wywiódł mię z obawy
Wartan poczciwy, i płynęły nawy,
Więc i porzecz na maszcie się węzył
I ku ojczyźnie furkotał wesoło
I oddychałem znów nadzieją nową.
Lecz ów młodzianek z pochyloną głową
Siedział i ręką krył oczy i czoło.
Ha! rozumiałem, że tak smutny siedział,
Bo w sroższym jeszcze jassyrze się wiedział,
Niż był od dziecka, u nowego pana.
Więc jako mogę z cicha mu tłumaczyć,
Że ta niewola jest tylko udana,
Lecz on mi mówi: „Nie tego ja płaczę!
Wszystko co rodzic wymówił proroczno,
Jest już spełnione, więc się spełni jeszcze
Reszta słów jego, i staniam ochoczno
Na ziemi krzyżów! I nie to mię boli,
Bo wierzę mocno w one słowo wieszczę,
Lecz to, że m stracił rodzica w niewoli
I że ze sobą kości wziąć nie mogę,
Gdy Ałłach znaczy do ojczyzny drogę!“

Krew, pomyślałem, krew i łaska krzyża?
Krew i krzyż pański i cud oczywisty!
Że się śród pogan schował taki czysty
I że Pan wierne znów do ziemi zbliża!

„Gdzież jest grób ojca?“ pytam go po chwili,
I rzekł mi na to: „Wszak nie leży w grobie,
W jaskini Jana kazał posłać sobie,
A jako kazał, tak też go złożyli...
I stoi cały aż potąd przy ścianie,
Jak gdyby skonał dopiero w tej chwili,
A słowo każde trzymam dotąd w cenie.
Jest tam na wyspie pieczara szeroka,
Co przed wiekami chowała proroka:
Nie raz z rodzicem byłem w tej pieczarze,
Gdzie prorok siadał, tam i rodzic siada,
A kędy klęczał, do modlitwy pada
I mię tak robić po swój śmierci każe.
Ostatniej nocy wysłał mię wraz z sługą
Do tej pieczary, bym wziął trochę prochu
Z miejsca modlitwy i przyniósł mu z lochu,
A gdym w puharku przyniósł trochę ziemi,
Wzniósł go ku niebu i modlił się długo
I pożył ziemię ustami swojemi
I rzekł mi potem: „Teraz duszy zdrowo!
Więc słuchaj synu na ostatnie słowo:
Znak ci tu daję, abyś wierzył szczerze.
W świętego Jana będę stał jaskini,
I nikt mym zwłokom krzywdy nie uczyni,
A nawet robak nie tknie mię w jassyrze,
I ty co roku nowými całuny
Owiniesz ręce i okryjesz lice
I całym będę, aż mię dasz do truny
I w ziemi ojców zapalisz gromnicę“.....
I tak się działo i stoi nie tknięty,
Jakby spał tylko w Janowej pieczarze,
I nawet Turcy mówią, że był święty,
Kiedy mu robak oblicza nie każe.

„Jakże ci imię? jak cię ojciec wołał?”
— „Stachu” powiada.

— „A jakiego rodu?”

Tego z pamięci już dobyć nie zdołał,
Bo rodzic jeszcze odumał go z młodu,
Lecz się uśmiechał, gdym go odtąd „Stachu”
Wołał, i mówił mnie wzajemnie: „Lachu.”
I tyle było przymierza po słowie,
A reszta wszystko już w tureckiej mowie
I między sobą i z ludźmi innemi,
Aż Bóg dozwolił dobić się do ziemi.

Stach bardzo mocno chorował na wodzie,
W Smirnie nasz Wartan nakupił jedwabi,
Aleśmy byli oba bardzo słabi,
Gdyśmy zwinęli żagle w Białogrodzie.
Tutaj u Ormian mieliśmy gospodę,
Których tam w mieście bywa dobrych wiele,
I obaczyło się znów chłopie młode,
Bośmy tam stali całe trzy niedziele.

Wartan pod siodło wziął same bachmaty,
Dał na wielbłądy jedwabie i szaty,
Przynajął Ormian, kupił tabón koni,
I kilku Greków i kilku Tatarów
Wziął na obronę statku i towarów.
A sami konno byliśmy przy broni
I taki tabór po ormiańskim szlaku
Prowadził Wartan prosto na Suczawę
I po jassyrze nie było już znaku
I w całej drodze miałem już zabawę
Tyłko ze Stachem, co się do mnie garnie,
Więc i mówienia i nowych pacierzy
Uczy się przy mnie serdecznie i chciwo:

To téż dawałem mu duszą zycziwą,
Jak mnie ksiądz Melchior, widząc jako wierzy.

Gdyśmy wstąpili na ziemię wołoską,
Był i pogodny i wiosenny ranek
I krzyż potrójny stał przed pierwszą wioską
I wprzód taboru popędził młodzianek
I skoczył z konia i czepił się krzyża
I płacząc wołał: „Tatu! Tatu!! Tatu!!!
I wierze ojców dał świadectwo światu.
I stanął tabór i wszystek się wlepił
Duchem do krzyża, po sercu młodziana,
Że już nie było Greka, ni Ormiana,
Co by się jego żalu nie uzalił
I po swojemu Boga nie pochwalił.

Gdyśmy stanęli u możnej Suczawy,
Sam Wartan w mieście połągodził sprawy,
A my z taborem czekamy nad rzeką
Na powrót jego za miastem, daleko.
I po dniach kilku sporszej już podróży
Stajem wieczorem w brzegu rzeki dużej
I do nas obu, cośmy szli z jassyru,
Powiada Wartan: „Owo ziemia myru!
Aż po tę chwilę jam był panem waszym,
Za rzeką staniem już pod prawem laszém,
To mi wybaczcie, zem was na arkanie
Wywłókkł z jassyru, i niech mi myr chowa
I serce wasze i wiara lachowa,
Kiedy już każdy w ziemły myru stanie
I jako wolny ruszy w swoje progi“.....

Tak rzekł mi Wartan i chwycił za nogi.
Ha, zrozumiałem pobożną pokorę,

Więc od stóp moich do serca go biorę
I z wielkim dziwem Greki i Tatarzy
Patrzyli na nas i przymierze wiary.

Stach nie rozumiał, czemu się tak korzył
Pan nasz przed nami, a gdym wytłumaczył,
To na krzyż ręce po turecku złożył
I cześć pokłony po turecku znaczył.

Rankiem na Nistrze była wielka woda
I przez dzień cały trwała ta przeprawa,
Zanim prom z brzegu polskiego się poda
I całym statkiem nas ojczyźnie dawa.

Gdyśmy nazajutrz stanęli w pochodzie
Napoić konie, była to niedziela,
I rzekł nam Wartan: „Ha! stoim przy wodzie,
Co Boże miasto biegiem rozwesela.“
I przy taborze zostawił Ormiany,
A sam już z nami, z Tatarzy i z Greki
Popędził jarem, brzegiem onój rzeki,
I w okół jaru rozwarły się ściany
I stał przed nami Podolski Kamieniec,
Polskiej Korony sławny „Złoty Wieniec“
I zaszumiała na łotokach woda
I odgłos dzwonów do duszy się poda.

W on czas rzekł Wartan jassyrnemu dziecku,
By zrozumiało, rzekł mu po turecku:
„Rodzica twego sprawdził Ałlach słowo,
Bom cię z jassyru dał do ziemi zdrowo
I jam jest człowiek, owo z tego miasta,
Co z nagięj skały ku niebu wyrasta,
A w koło wodą jest oblane żywą
I z wróżby nieba zdaje cię szczęśliwo!“

Na to młodzianek mówi mu ochoczo:
 „Jeszcze się jedno na mnie ziścić musi,
 Nim do ojczyzny serce się pokusi,
 Jako mi rodzic powiadał proroczo.“
 — „Więc co?“ zapytał Wartan zadziwiony,
 A strzelbę na nas wypuszczono z grodu,
 I padł koń Stacha strzałem ugodzony,
 Jakby nie swojak miał się do narodu.
 Więc huknął Wartan:

„A szczo robysz! Lwowicz!

Ja to, ja Wartan! Wartan Asłanowicz!

Z jassyru
 do myru!“

I na te słowa już strzelby wzbroniono,
 Ale we wszystkie dzwony uderzono!

„Z jassyru
 Do myru!
 Do myru
 Z jassyru!“

Takie po mieście nastąpiło wołanie
 I wkrótce brama na ościęż nam stanie
 I wszystek naród z kościołów się wali.
 A że to Świątek Zielonych Niedziela,
 Więc naród majem drogę nam wyściela
 I łaskę Bożą w cudach jego chwali
 I do kościoła wybawionych wiedzie.
 Wartan szedł w miasto przed nami na przedzie
 I o cudownym jeńcu ludziom prawi,
 Co się wychował wśród pogan w jassyrze,
 A płaczem wita w ziemi ojców krzyże
 I mową ojców pana Boga sławi....
 Choć prócz pacierza nic więcej nie umie
 I nic nie powie, ani wyrozumie.

Z wielką pokorą, jakby za swym panem,
Spuściwszy oczy szedł Stach za Wartanem
I ręce na krzyż po turecku złożył
I przed narodem bardzo się pokorzył
I przed kościołem upadł na twarz w prochu
I wszystkim naród zaniósł się od szlochów,
Boć piękna była i postać młodziana
I powieść o nim była niesłychana!

Wstawszy, znak krzyża położył ostrożnie
Więc w głos i pacierz odmówił pobożnie
I dziesięcioro, więc i modlitewkę
Do Trójcy Świętej i Ran najgorętszych,
A w końcu pięknie odśpiewał już śpiewkę,
O Matki Bożej łaskach przenaświętszych.
Poczém wstał znowu i ręce w krzyż złożył
I przed narodem bardzo się pokorzył
I ogarnęło miłosierdzie serca,
A ktoś kobierzec posłał przed młodzianem
I lud się cisnął z dary do kobierca,
Jakby sierotę chciał wianować wianem.
I co na sobie miał każdy z drogości,
Łańcuch czy sygnet, spinkę czy pieniądze,
Na tym kobiercu pokładał w miłości
By żał ukoić i jassyru nędze.
I białołowy zabrały w przepaski
Dary z kobierca i klaskały w ręce
I wiły z maju i rzucały wieńce
I wiodły jeńca do biskupiej łaski
I w całym mieście na nowo wołanie:

„Z jassyru
Do myru!
Do myru
Z jassyru!“

I dwóch biskupów wyszło na spotkanie
I naprzód wodę podali święconą,
Potém chleb z solą, zapraszając w progi,
I podstąpiło onych niewiast grono,
Sypiąc dar myru biskupom pod nogi;
Więc błogosławiąc onéj dobrej woli,
Błogosławili biskupi ludowi.
A nam jassyrym, więc i Wartanowi
Z sobą iść każą, więc i lud powoli
Rozszedł się z cicha do domów po mieście,
Boć do objadu był wielki czas wreszcie.

„Złóżcie te szaty niewoli ze siebie,
To się poznamy lepiej już przy chlebie!“
Rzekł nam ksiądz biskup. I bierze nas szatny
I przyodzianek podaje nam zdatny
I Stach się umył i napił się wody
I jam się ubrał, lecz Stach nie wziął szaty
I mówi do mnie: „Nie zdejmę ja wprzódy
Szaty niewoli, aż uiszczę spłaty.
Rodzic tam czeka w Janowój pieczarze
Okupu mego, więc mnie nie przystoi
Wziąć innej szaty, chociażby i w darze,
Póki z okupem nie przybędą moi....“
Tłumaczył Wartan i jam mu tłumaczył,
Ale stał twardo, więc gdy w onym progu
Staniem wśród gości, to prosiłem w Bogu,
Aby ksiądz biskup wybaczyć mu raczył,
Że przyjąć szaty pocziwój nie może,
Bo takie votum uczynił w pokorze,
Póki z jassyru nie wykupi kości
Rodzica swego, to szaty nie zmieni;
I wszyscy w wielkiej mieli to czułości,
Że syn rodzica pamięć wiernie ceni.....

W izbie stołowej był stół okazały:
Na pierwszym miejscu siadł biskup kijowski,
Wielkiej w ojczyźnie i w kościele troski,
A obok stołu stał stoliczek mały
I przy nim zasiadł biskup kamieniecki,
Co praw był także i w mowie tureckiej
I mnie, Wartana i Stacha do siebie
Tylko zaprosił, i Stachowi gwoli
Turecką mową szła rzecz „o niewoli.“
I lepiej poznał nas biskup przy chlebie.....
Bo czego nigdy nie wyznał przedemną,
To tu Stach zeznał: że chowa od młodu
Na piersi swojej torebkę tajemną,
Co go napowrót wyda do narodu.
I po obiedzie Stach znów ręce złożył
I przed biskupem bardzo się pokorzył
I tedy biskup powiedział do gości
Powieści one, pełne ciekawości,
O wyspie Patmos i prorocctwie oném,
Co na młodzieńcu miało być sprawdzoném,
Że po pacierzu wróci do ojczyzny,
A po klejnocie trafi do puścizny.....“

I zdjął ksiądz biskup torebkę z młodziana
Z golonej skóry na mocność uszytą;
I być musiała nożem pokrajana,
Bo była wcale na kamień ubitą.

Więc w téj torebce był zaszyty krzyżyk,
I na proch prawie starty już szkaplérzyk,
A więc i kamień, co zwany żabieniec,
Widać z sygnetu, i na nim był ryty
Klejnot Nałęczów bardzo znamienity.
„To Nałęcz! Nałęcz!“ ksiądz biskup powiedział.

I w ogniu stając zawołał młodzieniec:
„Tak mówił rodzic, gdy na mnie zakładał
W on czas torebkę: „Znaj Nałęczów w świecie,
Boś i ty Nałęcz biędne moje dziecię!”

Między paniami, co były w gościnie,
Pani Buczacka była tegoż domu,
Więc rzekła wszystkim: „I we mnie krew płynie
Także z Nałęczów—i nie dam nikomu
Już tego dziecka, lecz z sobą je biorę,
Kiedym się tutaj tak znalazła w porę,
I sama kości wykupię z jassyru
I w ziemi ojców połżę do myru!...“

—„A to mnie krzywda“ rzekłem téj matronie,
„Bom go za syna chciał mieć w téj Koronie,
A z ojcowizny jest gdzieś ziemi kawał,
Co bez dziedzica będzie tam ostawał.“
—„A i mnie krzywda!“ ksiądz biskup jój rzecze
„Bo mi owieczka z kościoła uciecze,
A bacząc znaki i szczęśliwe wróżby,
Chciałem go chować na te Boże służby.“

Na to nam pani: „A wolno przynęcić
Będzie i chlebem i wolno poświęcić
Będzie na służby Bożego kościoła;
A i krew bliższa i krew do krwi woła.
Więc biorę dziecko, co marniało z młodu,
A jak odgłaskam, oddam do narodu;
Lecz że niezdołam się z onym rozprawić
A to i waszmość raczą u mnie bawić,
Więc jak krew swoja na niego zawoła,
Wróci do mowy ojców i kościoła!“

Nikt się matronie nie przeciwiał zacnej,
Lecz rzecz biskupi wzięli po swojemu,
A że on casus nie wydał się łączny,
Otóż sądowi zeznać duchownemu
Aż pod przysięgą musiałem z Wartanem
Co tylko znałem o tym Stachu jeńcu;
I sąd akt spisał cały przy młodzieńcu
I na tym akcie pod wiarą zeznanym,
Sam Stach pieczętkę rodzica położył.
Poczém biskupi wyprawili listy:
„Że Bóg w dziecięciu chwały swój przymnożył,
Bo wrócił młodzian z jassyru tak czysty,
Jakby mu kościół był od młodu macił,
Że wraz z rodzicem przed dwunastu laty
Był w jassyry wzięty z dziedziny bogatęj,
I że w jassyrze rodzica utracił,
Który przy śmierci jeszcze mu przykazał,
Aby krwi zacnej niewiarą nie mazał,
Ale i pacierz i klejnot zachował
I Matkę Bożą i Polskę miłował,
To po pacierzu wróci do ojczyzny;
A po klejnocie trafi do puścizny.“

I tak się stało i wrócił młodzieniec
I herb ma Nałęcz, a kamień żabieniec,
Na którym klejnot jest rżnięty nie lada,
Co się do listu na wosku dokłada.

Takie to listy do wszystkich pastérzy
Po całej Polsce i Litwie i Rusi
Słali biskupi, i Stach mocno wierzy,
Że się rodzina jego znaleźć musi,
Bo mu tak rodzic jego przepowiadał,
Gdy błogosławiąc torebkę nań wkładał.

Biskup Kijowski, co się pod czas chował
W miłej gościnie, w Kamieńcu Podolskim
Stolicę oną od roku sprawował,
A Zygmunt Trzeci był nam królem polskim.
Więc gdy z młodziankiem utarła się sprawa,
Moja dopiéro przed biskupy stawa,
A kiedym zeznał, zem z młodu się chował
Jako pachole na hetmańskim dworze,
Ksiądz Wereszczyński bardzo się litował
I wierną pomoc zalecał w pokorze,
Bo gdy biskupstwo sprawuje od granic,
To o rycérskiej przemyśliwa szkole,
I Bóg mu zsyła hetmańskie pachole,
Więc mnie nie puści od siebie już na nic;
Tak mi do razu w swój łasce objawił,
Bo o rycérzy tych mu bardzo chodzi,
Co ich pan hetman w ojczyźnie zostawił,
Gdy się kapłańsko i rycersko godzi.....

Przyjąłem służby w wielkim odtąd mirze,
A choć człek bardzo przytępiał w jassyrze,
Stała do roku chorągiew pod znakiem,
I choć już miałem pięćdziesiąty drugi,
Taki się czułem lekki na usługi,
Jakbym nie człekiem, lecz jakbym był ptakiem.

Ksiądz Wereszczyński był z domu Korczaków
I przyszedł na świat śród cudownych znaków
Co ku wielkiemu ludzkiemu zdziwieniu
W domu świadczyły jego urodzeniu:
Bo po bieliznie i stołowym srébrze,
Biskupie krzyże nagle się zjawiły,
I rodzicielka łaski nieba zebrze,
By narodzony stał się Bogu miły.

Zjechali księża na ten znak niezwykły
A gdy na oczy prawdy doświadczone,
Na służby Boże dziecię przeznaczone,
Podawszy do chrztu, i wraz krzyże znikły;

A dziecię strojne w sukienki zakonne,
Rosło szczęśliwie, do modlitwy skłonne.
I mawiał nieraz ksiądz Melchior, że będzie
Kiedyś biskupem, bo nie próżne znaki,
I w łasce Bożej na stolicy siędzie,
Gdy Pan przymierze takie miał z Korczaki.

Nim się on dzieciuch był jeszcze narodził,
Już rodzic jego pod Obertyn chodził
I miewał względy u pana hetmana,
Więc jest w Tarnowie ta historia znana,
Gdy ku wielkiemu ludzkiemu zdziwieniu,
Znaki się jawią już przy urodzeniu
Onego dziecka, po domu Korczaków,
I dobrze sobie wróżono z tych znaków

Lat osiemnaście przebywszy w jassyrze,
Prawiem już stracił z pamięci te krzyże,
Lecz gdy się lepić z biskupem poznamy,
To go raz pytam: „Czyby był ten samy?“
—,„Jużciż ten samy!“ na to mi powiada.
I była dla mnie już łaska nie lada,
Bo mi wyrobił taki list u króla,
Że wolno było pod biskupie znaki
Ściągać husary i luźne kozaki.
Więc już wrastała żelazna koszula
Do ciała mego, bo stałem od granic,
I mawiał biskup: „Nie folgujmy za nic!
Pacierz i szkoła, a wyjdzie na lepsze.“
I sam pod niebem naucza lud prosty,

I błogosławiąc do Boga hołubi,
A gdym hultajstwu nie żałował chłosty,
Co się od granic szpetnie kupić lubi,
Przejrzało niby one województwo,
Bo się do Boga obrócił lud dziki,
I miłe było nad ludźmi przewództwo,
Bom miał pod znakiem same ochotniki,
I dobra sprawa za sprawą zakonną,
Bośmy stanęli od granic obronno.

Jakoś na drugi rok już prawie siadło
Rycerskiej służby na tym stepie polskim,
Kiedy odwiedzić w Kamieńcu Podolskim
Księdza biskupa panu memu padło,
A że niepokój bywał pod tę porę,
Jak nam pisano od wołoskich granic,
Więc pana mego nie chcę puścić za nic,
Lecz z towarzystwa co najlepszych biorę
I we sto koni bierzem między siebie
Księdza biskupa, co tak jeździł konno,
Jak gdyby nie wzrósł pod szatą zakonną,
Lecz na rycerza w ojczyźnie się chował.

Bardzo w podróży biskup umiłował
Całe rycerstwo — i gdy ciągniem srodze,
Ludzie się z sercem radują z tych szyków
I poczt nasz rośnie codziennie po drodze,
A biskup sercem wita ochotników;
I po miasteczkach to biją we dzwony
I z chorągwiami idą na spotkanie:
„Biskup z rycerstwem, Pańskie zmiłowanie!
Błogosław Boże nadziejom Korony!“
Strzały na wiwat: pozdrowił nas Lwowicz
Z murów Kamieńca i Biskup nas witał,

A gdym zsiadł z konia, sercem tylko pytał:
„A gdzie mój Wartan, Wartan Asłanowicz?!“

Aż tu i Wartan przepycha się ku mnie,
Bo w mgnieniu oka było w rynku tłumnie,
Więc mnie i ściska i gładzi mi brodę
I jak swojego bierze na gospodę
Do domu swego i zastawia stoły.
Był to dla serca dzień bardzo wesoły,
I kiedym Stacha zobaczył znów, owo
Przemówił do mnie taką wdzięczną mową,
Jakby nią tylko mówił od kolebki
I był tak piękny i mężny i krzepki
I przejrzał w Bogu tak w biskupiej szkole,
Że i łzom serca puściłem na wolę
I bardzom spłakał nad młodzieńcem onym,
Co był z jassyru ze mną wybawionym.

Tutaj dopiero w gościnie Wartana,
Kiedy już Wartan i Stach przy mnie siedział,
Tutaj dopiero zwolnam się dowiedziać,
Jaka tam zaszła w losach Stacha zmiana.

Kiedy biskupi rozpisali listy,
Że młodzian wyszedł z jassyru tak czysty,
Iż cały pacierz jeszcze mówić umie,
Chociaż nic więcej z mowy nie zrozumie,
Iż po pacierzu wrócił do ojczyzny,
A po klejnocie szuka swój puścizny,
Iż Stach na imię, a Nałęcz ma w tarczy,
To w odpowiedzi na uniwersały,
Szlachta biskupa tak listy obarczy,
Że się ksiądz biskup w duszy zafrasował,

Boć to i z Litwy i z Korony całej,
Kto się Nałęczem tylko pieczętował,
To każdy pisze, że to zguba jego
I szle na drogę i prosi najczulój,
Aby odstawić sercu milejszego,
To go do mienia i herbu przytuli:
„Nasz! nasz! pisali i kość z naszej kości!
Prosim, niech w progi Nałęczów zagości.“
A inni znowu: „O takim nie wiemy,
Lecz kiedy Nałęcz, o niego prosimy.“
I widział biskup, że fałsz oczywisty,
Kiedy odebrał zewsząd takie listy,
I nie chciał wydać młodziana nikomu,
Lecz go w pilności chował w swoim domu.

Jakoż dziękował biskupiej mądrości
Mąż, co był Nałęcz z herbu i z imienia,
Bo nie słał listów, lecz jako kość z kości
Sam na biskupie stawił się zgłoszenia
I złożył panu pisma i oblaty,
Na których pieczęć położył przed laty
Brat jego niegdyś, co zginął w jassyrze.
Więc gdy pieczęci porównano pilnie,
Rzekł mu ksiądz biskup: „I widzę i wierzę,
Że jest ten samy i że wasz niemylnie!“

Gdy się z biskupem pan Nałęcz rozprawił,
Stach w celi swojej na modlitwie bawił,
I najść samego pragnął stryj cichaczem;
A kiedy wstąpił do celi o mroku,
Stach mu się rzucił do nóg z wielkim płaczem
I już nie dostrzegł biskupa u boku,
Ale gdy sobą o ziemię uderzył,
To w sercu wierném tylko w to uwierzył ,

Że z wyspy Patmos cień się upomina
Za swoje kości okupu u syna.
I jęcząc wołał: „Tatu! Tatu! Tatu!
Nie mam okupu.“ I rzekł Nałęcz łzawo:
„Ha i krew daje tu świadectwo światu!
Wziął mnie za ojca i Bóg stwierdził prawo.“

I długo trwało, zanim młodzian tkliwy
Mógł w to uwierzyć, że nie cień pogrobny
Nawiędził jego, lecz że to stryj żywy
Był do rodzica tak bardzo podobny.

Było czułości niepowszedniej wiele,
Bo bardzo bołał pan Nałęcz po bratu,
A Stach co chwila do stóp mu się ściele
I nie chciał stryju, ale zwał go „Tatu!“

Gdy się po ziemi rozbiegły te wieści
O dziwnych losach onego młodzieńca,
Pani Buczacka w czułości niewieściej
Widzieć Nałęczów zjeżdża do Kawieńca
I na biskupa panu Nałęczowi
Wobec biskupa bardzo się uzali,
Że chociaż wierna swojemu domowi,
Przecież młodziana w dom jój nie oddali.

Więc gdy poczęli radzić o okupie
Kości złożonych w Janowej pieczarze,
Rzekła tu pani: „Mój księżu biskupie,
Lada dzień zwłoki tu przystawić każe,
Bo już ciż kiedy nie wolno u żywych,
Wolno pamiętać o umarłych wdowie;
Ormiańskich księży bardzo mi życzliwych
Na wyspę Patmos wysłałam po słowie,

I owo piszą mi już od Suczawy,
Że sam poganin do okupu kości
Wieżie wraz z nimi w wielkiej poczciwości,
I że nam czekać lada dzień przeprawy.“

Ksiądz biskup bardzo przepraszał matronę,
Ale z urzędu ma jeńców obronę,
To się i prośby nie mógł ulitować,
Lecz musiał w wierze młodzianka odchowąć;
A gdy się wydał bardzo nie powszedni,
To musiał czekać onęj przepowiedni,
Czy się nie ziści nad młodzianka głową?
Gdy według świadectw już prorocze słowo
Jest i nie jedno wśród pogan spełnione
Z tego proroctwa, co przyszło z jassyru.
Więc musiał czekać w modlitwie dla myru,
Aż Bóg swe łaski zleje na Koronę,
Jakie oznaczył tu sam palec Boży,
Bo młodzian sypia twardo na rogoży
I dopełnienia słów proroczych czeka
I wierzy mocno i ufa statecznie,
Więc wierzył biskup, że już nie daleka
Chwila, co sprawę tę rozwiąże k'rzecznie.

Jakoż w dni kilka po onęj rozmowie
Śpieszą od Dniestru i Ormian postowie,
Że księża wiozą do Kamieńca kości,
Więc całe miasto onęj wielkiej rzeszy
Na to spotkanie ze święcami śpieszy
I wszystkie dzwony jęczą od żałości:

„Z jassyru
Do myru!
Do myru
Z jassyru!“

I wszyscy patrzą na te Boże sądy,
Bo między dwoma zawisła wielbłądy
Truna otwarta, i ksiądz kondukt wiedzie,
A w trunie leży człowiek niby żywy,
A tuż za truną jakiś Turczyn jedzie
Strojny, lecz w sercu bardzo załościwy,
I Stach na trunę rzucił się przed bramą,
Dziękując Bogu że powraca strata,
Ściska Turczyna od serca jak brata,
A Turczyn płacze przy trunie tak samo
I woła w niebo: „Spełnione jest Lachu!“
„Salem Jusupie!“—„Salem, salem Stachu!“

Długo Stach patrzył w te rodzica lice,
A potem w rękę wcisnął mu gromnicę
I wjechał w miasto na wielbłądzim łęku
Trup do Kamieńca, dzierżąc światło w rękę,
Więc i w czci wielkiej i w świętobliwości
Śród głównej nawy leżą jego kości.

Pani Buczacka dotrzymała słowa,
Ale gdy w grobie złożona jest głowa
Jusup dopiero Stachowi powiada,
Że się i na nim proroctwo lachowe
Ziściło także, bo potężnie władza
I w bramach wędzi wroga swego głowę.
Więc uczynili na nowo przymierze,
Chociaż z nich każdy trwał w tej swojej wierze
I wzajem każdy znaczne dary zładził
I Stach Jusupa po Dniestr odprowadził.

Jak stryj powiadał, miał po nim dziedziczyć
I po rodzicu młodzian wszystko mienie,
Ale uprosił stryja zezwolenie,

By się mógł jeszcze przy biskupie ćwiczyć
I w rzeczach wiary i w przymierzach ziemi,
Bo się wśród pogan chował w cudzym kraju,
To mu sromotnie stawać między swymi
Bez światła w duszy i bez obyczaju.
Więc go pan Nałęcz w Kamieńcu zostawił
Przy tém ćwiczeniu na biskupim chlebie,
I na Mazowsze w powrót się przeprowadził,
A biskup Stacha tak garnał do siebie,
Że z nim się tylko i modli i uczy
I cudem prawie nauki nabiéra,
Jakby stróż anioł sam dobiérał kluczy,
Tak chciwie bierze i mądrze przeziéra.

Jakoż z rozmowy po nie długiéj chwili
Poznałem jasno, co z niego zrobili,
I że się znaczy dusza po zakonie;
Bo jak fijołek dobra wola wonie
Z każdego słowa i z duszy otwartéj.
Więc pamięć tego spisuję w te karty
I wierzę w sercu mocno do ostatka,
Że Polska nasza Świętych Pańskich Matka!

Po onéj miłéj w Kamieńcu zabawie,
Z księdzem biskupem kijowskim pospołu,
Co nie litował złota, ni mozołu,
Służyłem razem téj rycerskiéj sławie;
I pytał biskup, jako hetman radził
Za swego czasu o rycerskiéj szkole?
Więc wszystkiem one praktyki gromadził,
Kiedym na dworze przy buławie bywał,
Z ksiąg i pamięci, jak wierne pachole;
Więc to ksiądz biskup w księgi pospisywał.
A była taka tam hetmańska rada,

Aby nie czekać na pogany w ziemi,
Ale wziąć kraje, z których orda wpada,
I gęsto zamki osadzić rządniemi
I główną stanicę uczynić na Krymie,
Drugą u Dniepru, trzecią u Dunaju,
I w Trójcy Świętej wojować tam Imie,
A młódź rycerską chować po zwyczaj
W szkole rycerskiej; a skoro tam siędzie,
To i spokojna od téj strony będzie
I Polska nasza i ziemia Panonów
I szczęście będzie dla chrześciańskich panów,
Dla wszystkiej Rusi i koronnych stanów,
Gdy się zastawim rządnie od zagonów.

Takie to rady starszemu królowi
Dawał pan hetman zawdy za żywota,
Takie przez Straż przesłał cesarzowi,
Gdy jeszcze nawet na łożu śmiertelném
Nie opuszczała rycerska ochota,
Lecz dzierżąc wolę w animuszu dzielnym
Pragnęła służyć radą do ostatka.
Znam, że jest Polska Świętych Pańskich Matka!

Jakoż wielkiego wydał oświecenia
Książd biskup księgi i wielkiej poprawy
W rzeczach obrony i w rzeczach sumienia,
Ku pożytkowi pospolitój sprawy.
I lat już dziesięć biskup tak zabiegał
I na téj radzie hetmańskiej polegał
I mądre ludzie do Kijowa zwodził,
A jam z chorągwią koło Dniepru chodził.

Kiedy nadjechał z listami od króla
Pan jakiś dworno, więc patrzę mu w oczy,

Aż on z radością pierwszy ku mnie skoczy;
Patrzę, kto taki? a to Jaś Bobola!
Co był przy panie także za pachole
I już ostatni chował się w téj szkole
Przy łożu pańskim, na niedźwiedziej skórce.
Toć i pociechy były sercu duże,
Kiedyśmy w oczy popatrzyli sobie,
A jam zawołał na Jasia Bobołę:
„Mój Benjaminku!“ słowami hetmana,
To mię uchwycił płacząc za kolana,
A potem ścisnął mię za ręce obie
I tak się dziwnie w sercu już rozczulił,
Że jak pachole do mnie się przytulił.

Widział ksiądz biskup po oném witaniu,
Że mnie na dworze dłużej nie zatrzyma,
Że po jassyrze i rycerskim trwaniu
Dla mnie kolei żadnych więcej nie ma;
Lecz że wypada po krwawej wysłudze
Pożegnać wreszcie i te kąty cudze
I od tych granic okrytemu blizny,
Starych przyjaciół odszukać pod niebem
I do poczciwej wracać ojcowizny
I kogoś przecie obdzielić tym chlebem.

Więc mi ksiądz biskup tylko błogosławił,
Gdy nas z Bobołą z Kijowa odprawił
I nigdy w życiu, tylko w Ziemi Świętej
I tylko w Jana świętego pieczarze
Bywałem taką słodkością przejęty,
Jakićj zaznałem rzucając te strażę.
I od Kijowa obróciwszy konie
Ku zachodowi i rodzinnej stronie,
Gdzie lata zbiegły niegdy mój młodości,
A w Panu legły wszystkich moich kości!

Mój Benjaminek był to mąż rycerski,
Dziedzic Leliwy onój Sandomiérskiej,
Jednego domu z panami Tarnowa;
A że się chował u starszój Leliwy,
Więc był w miłości Bożej bardzo żywy
I obyczaje po Bobolich chowa.

Był taki zwyczaj od wieków w tym domu,
Że w białej szacie nosi się rodzina
I jako żywot w téj szacie poczyna,
Tak i do grobu kładzie się bez sromu
W czystości ducha i w téj szacie białej.
Tak się i nosił i chował dom cały
I nikt nie widział męża tego rodu
W złocie lub w srebro, albo w barwie jakiej,
Lecz wśród wszelkiego ludzkiego zawodu
Każdy Bobola stał w szacie jednaki,
Czysty przed Panem i biały wśród ludzi
I duch ten samy zawdy się obudzi
W każdej niewieście, co do domu wchodzi,
I zacna czystych w pokoleniu rodzi
I jako grzechu, tak się strzeże złota,
Drogich kamieni i okazałości,
Ale otwiera nędzy swoje wrota
I do kościoła garnie się w miłości.

Gdy Jaś był po mnie za pańskie pachole,
Chciał znać próbować hetman jego wolę,
Więc na znak łaski, w oném trzecim lecie,
Złocistą zbroją udarował dziecię.
Z pokorą przyjął pański Benjaminek,
Dar on kosztowny, jako upominek,
Więc i na kościół posłał do rodzica;
A gdy pan spytał, czemu w niéj nie chodzi?

Rzekł z wielką trwogą zapłakawszy lica,
Że mu się z rodu w złocie być nie godzi.

Jakoż od wieków wielkiego zawodu
Stado kóz srebrnych Bobole chowali,
Więc i niewiasty wszystkie tego rodu
Przędły tę wełnę niezwykłej białości,
I prócz tej szaty i tureckiej stali,
Nic znać nie chcieli Bobolowie prosić.

Jako mi zbiegła ta szczęśliwa droga
Przy Benjaminku w łasce Pana Boga,
Tego i zeznać ledwo zdołam słowy,
Bo tu dopięrom o tém się dowiedział,
Co to druhowie nałamali głowy,
Kiedym w jassyrze na tej wyspie siedział.
Bo listy doszły do panów z Tarnowa
I do Boboli, więc gdy doszła karta
I gdy już znali, co w jassyrze warta
I wolność moja i ta moja głowa,
To mi z okupem co wierniej śpieszyli
I w leciech mego na wyspie jassyru
Dziewięć okupów na listy złożyli.
A mnie Grek złodziej nie dawał do myru,
Lecz taką siecią osaczył mnie zradną,
Że pisać kazał co raz listy nowe,
Znając, że nowe okupy mu wpadną,
Bo ktoś tam sobie ceni moją głowę;
I gdyby Pan Bóg nie zesłał Wartana
Co perłą podszedł był Turczyna z rana
I jeńców zbierał za biskupie złoto,
Byłbym w jassyrze zaginął z sromotą.

Sercem wielkiego bardzo miłowania
Słuchał i przygód i losów Bobola,

I gdy nad Bugiem przyszło do rozstania,
Powiada do mnie: „Gdyby była wola
I łaska taka, aby druh najszczęszy
Na moim progu krok postawił piérwszy
I z moją dziatwą raczył się przy chlebie,
Błogosławieństwem znałbym to dla siebie
I po hetmanie tak wielką puścizną,
Jaką wziąć wolno tylko po rycerzu,
Co wraca w ziemię z Świętymi w przymierzu
I po jassyrze cieszy się ojczyzną!“

Ha, trudno było prośbie Benjaminka,
Którego po mnie hetman wziął za synka,
Nie dać i folgi i w sercu posłuchu;
Nęciła serce ziemia sandomińska
I onęj ziemi Leliwa rycerska,
To mu téż rzekłem: „Jadę, jadę druhu!“

I za przewozem na powrót siadamy
Oba do onęj tatarskiéj kolebki?
Konie rozstawne, więc i w jeździe szybkiéj
Stajemy w końcu u zamkowej bramy.

Strażnik dał hasło o powrocie pana:
Opadły zwody i kolebka staje
I Benjaminek skłonił się w kolana
I wielką rękę w furcie zamku daje.
Marszałek tylko wyszedł na spotkanie,
A pan Bobola prowadząc mię w progi,
Kiedy Marszałek ze czią przy nas stanie,
Mówi do niego: „Tu uściskaj nogi,
Z jassyru
Do myru!

I powiedz pani, niech dom cały stawi,
Bo jeniec w Bogu mu pobłogosławi!“

Chłopiędziem jesczem razem z panem bywał
 W domu Bobolich; znałem, że w tym domu
 Krzyknąć nie wolno bywało nikomu
 I że nikt tutaj nigdy się nie gniewał.
 W zakonie Bożym chodził dom posłuchem,
 Wszystkie gromady, więc i wszystkie sługi
 Jednym się niosły i sercem i duchem,
 I gdy w dom wstąpi jeden albo drugi
 Człek obcej strony, lub cudzego kraju,
 To po spokoju i po obyczaju,
 W jakich dom wszystkich, a i dwór się chował,
 Dziedziców onych w sercu uszanował:
 „Bo u Bobolich dobrze, gdyby w rajul“
 Mawiał pan hetman, Leliwitów głowa;
 A i ksiądz Melchior powiadał proroczo:
 „Nie darmo ziemią w białej szacie kroczą,
 Znać krew Bobolich Bóg na służbę chowa“....

Zmieniłem szaty i pan mnie posadził
 W stołowej izbie na wielkim kobiercu,
 Więc i po chwili marszałek wprowadził
 I panią z dziećmi, i zadrzałem w sercu,
 Bo sześciu synów, więc i sześć cór w bieli
 Stanęło z matką, wszystkie jak anieli
 Błogosławieństwa upraszając rosy
 I świętym głosem wołając w niebiosy:

Z jassyru

Do myru!“

Błogosławiłem domowi z wnętrzości!
 Poczém mi pani w wielkiej nieśmiałości
 Wyniosła szatę, jaka bywa doma,
 Co ją uprzedła własnymi rękoma;
 Bo taka wiara jest w domu Boboli,
 Że nawet strzępka nie godzi się chować

Z ziemi jassyru i z domu niewoli,
Więc białą szatą chciała udarować.

Rzekłem jój na to, że mi nie przystoi
Brać takiej szaty, bo lat osiemnaście
Żyłem wśród pogan, wpadłszy w one paście
Bez sakramentów, więc chyba przystoi
Mnie już do truny.

I rzekła mi pani:

„Niech i tak będzie, wszak do téj przystani
Wszystkim nam w bieli potrzeba się stawić.“
Więc i przyjąłem szatę białej prządki,
Bo się nie dała słowami odprawić
I legnę biało w trunie dla pamiątki
Wiernych sojuszów z tym domem Boboli,
Co biało stoi w ziemi z Bożej woli!



KSIĘGI PIĄTE.

POWRÓT NA OJCOWIZNĘ I ZAKOŃCZENIE DIARIUSZA.

Anno Domini 1607. die 20 Maii.

Jechałem wolno pełen czułej troski,
Koło południa do rodzinnej wioski,
Więc i żal wielki serce moje chwycił,
Gdy z pod lip starych dwór zaświecił biały,
I młode lata obudził z tęsknotą
Za oném wszystkiém, co już legło w grobie,
A więc wysiadłem i idę piechotą:
Zarosły ścieżki — zapłakałem sobie....

Przed wsią zielone rozległo się błonie
I jak przed laty pasie stadnik konie.
Gdym z woli ojca zaczął gospodarzyć,
Raczy pan hetman końmi mnie obdarzyć
I ręką dane były mi z zawodu;
Więc był tam źrebiec i z Drużbiny rodu:
„Patrz go!“ rzekł hetman „bo to sławna strzecha,
Pod którą taka chowa się pociecha.“

Jakoż gdy spojrzę się po oném stadzie,
Widzę, że poszło po hetmańskiej radzie,
Boć mrozowate poszło po Drużbinie

I takie same, jakby z oka padło,
I kiedy stadem stadniczy zawinie,
Widzę, co dzielne na morozym siadło!

Więc idę dalej i śpiewa skowronek
Na Anioł Pański; ukląknę na grobie
I po umarłych zapłakałem sobie...
Już grób rodziców ocieniały cisy
I na kamieniach obsiadł mech napisy,
Poniżej stoją dwa dębowe krzyże,
Więc kiedy od nich zwolna się przybliżę,
Widzę, że napis jakiś na nich bywa
I czytam z żalem:

„Łucznik Grzelo Cywa.“

I czytam drugi, co na krzyżu stoi?
Chociaż przeczulem, co na sobie nosi:
„Anna Sufczyzna o paciorek prosi.“
I w żalum jęknął:

„Więc i wszyscy moi!“

I nie spostrzegłem, że lud za mną stoi:
„Tak mój paniczku wszyscy tutaj nasi!
A my witamy pana jako wasi!“
Na to powstałem od grobu Sufczyzny,
Patrzę, kto taki? Czy z grobu wstał Grzela?
A to syn Cywy stał z gazdami wiela,
Wziąwszy języka od mojej drużyny.

Proboszcz uderzyć dał we wszystkie dzwony
I podał wodę święconą u progu,
Więc i w kościółku, gdzie był niegdyś chrzczony
Wolno znów było podziękować Bogu.
Choć dzień powszedni, proboszcz z wystawieniem
Pieśń „Święty Boże!“ odśpiewał w kościele;
I padłem krzyżem i za tém natchnieniem

I lud się wszystek ze mną krzyżem ściele,
Błogosławieństwa upraszając rosy!
I aż sam proboszcz podniósł mię z podłogi
I tu dopiero ozwały się głosy:

„Z jassyru
Do myru!
Do myru
Z jassyru!“

I lud za szaty chwycił mię i nogi!
„Witaj paniczu! witaj panie drogi!“
Jest w Ziemi Świętej zwyczaj uświęcony,
Że strusie jaje okładają złotem,
A na niém święte malują ikony
I w Bożym grobie składają je potem,
Nocy czuwania pielgrzymów przy grobie.
Więc taki klejnot i jam wyniósł sobie
I tyle tylko uniosłem z jassyru
I tyle tylko Bułgar mi uchował,
Kiedy się doli mojej ulitował;
A więc z tym tylko wróciłem do myru.
Został mi także od grobu różaniec,
Co mi go nie wziął ni Grek ni pohaniec,
Więc go w kościółku dałem bractwu w darze,
A strusie jaje z świętymi ikony
U wielkiej lampy ksiądz powiesić każe.
I uderzono znów we wszystkie dzwony.

A gdzież z kościółka jak nie do proboszcza?
Gromada majem ścieżkę nam wymoszcza,
Patrzę, ksiądz młody, więc o poprzednika
Pytam niepewny: i on już przed Bogiem!
Więc chwaląc pamięć księdza nieboszczyka,
Z księdzem i z ludźmi łamię się pirogiem

I patrzę z ganku, gdzieś i nowe strzechy
I nowe płoty i porośły drzewa.

Ale też same u starych pociechy,
A i tak samo słowik w gąszczach śpiewa....

Z księdzem proboszczem i z całą gromadą
Idę powoli milczący do dwora,
A w bramę leci do koszary stado,
I jakbym z domu był odjechał wczora,
Wszystko na miejscu i stoi i leży;
Nawet pies dworski do nogi mi bieży
I widzę po nim, że jest z tego rodu,
Jakie bywały gdym tu żył za młodu.

Ukląkłem w progu rodzicielskiej strzechy
I patrzę w ogród, a Cywa powiada:
„Świętego Jacka rodzą już orzechy,
Więc i sok z drzewa wiosną ludziom zdrowy,
A ta węgierka Jadwigi Królowej,
To pod owocem do ziemi przysiada.“

Nowy ksiądz proboszcz niedawno dopiero
Był przy kościele, więc zapytał szczeró,
Zkądby tak zwano orzechy i śliwy?
A choć zapyta się o to u Cywy,
Widząc, że milczy, tom księdzu powiedział,
Com o tych śliwach i orzechach wiedział
Z ust świętobliwych mojego mentora:
Przed Świętym Jackiem włoskiego orzecha
Nie było w Polsce, lecz gdy za przeora
Sam Święty Jacek w Sandomierzu radził,
I ludzi grzecznych jął wybawiać z grzeczku,
Tedy i kościół i klasztor postawił,

A potem koło ogrodu się bawił
I całą kopę tych orzechów włoskich,
Które był w torbie z Rzymu przyniósł z sobą,
Pod świętym murem do słońca posadził;
I zeszył pięknie i były ozdobą
I dały olej z tych owoców Boskich,
Do Sakramentów i olei świętych.
Otóż z drzew onych od Jacka poczętych,
Po kaznodziejskim Jackowym zakonie
Wszystkie orzechy poszły w tój Koronie;
A śliwy z Węgier Królowa Jadwiga,
Koło psałteryi kazała naszczepić
I jest dla Polski oliwka i figa,
Jak w Ziemi Świątój i w rzymskiej krainie,
I jest czém ducha i ciało pokrzepić
I w drzewach rośnie pamięć ludu żywa
Bo po Jakcyncie wonny olej słynie,
A po Jadwidze jest zamkowa śliwa.

Lat więc dwadzieścia i osiem ubiegło,
Jak się odbiłem od swoich i domu,
A przecież wszystko szwanku się ustrzegło
I z opatrności było dojrzyć komu
Ludzi i statku i węgła i strzechy
I po jassyrze zesłał Bóg pociechy.

Chodzę po dworze i patrzę na ściany:
Więc każdy kącik dobrze sercu znany,
Lecz brak mi czegoś? coś mi niby głucho,
Czegoś się niby dopomina ucho?
I szukam czego? a tu zégar stoi.
Więc pytam Cywę: „A kto zégar kręci?“
I rzekł: „Nie idzie już od niepamięci,
To i nakręcić ręka go się boi...“

Więc pytam: „Czemu?”

Cywa się zasmucił,
A potem ręką niby łuczniczkę rzucił
I tak mi mówi:

„Panie! z pierwociny
Począć nam trzeba, by dojść temu końca:
Gdyś się pan wybrał do świętej krainy,
Naszła szarańcza nas od wschodu słońca,
A więc na bezrok wpadły i Tatarzy,
Łamała ręce Sufczyzna nieboga
I lud się kajał na te Boże kary,
A że przez pogan szła ta pańska droga,
Bywał i ojciec czasami żałobny,
To i z proboszczem tak w końcu uradził,
Że już po wszystkiém paciorek osobny
Za powrót pana w kościele wprowadził...
Ot i po dziś dzień mówi się ten pacierz.
W rok po Tatarach umarła nam macierz,
Bo po Tatarach nie bywa bez moru;
Trwożył się naród na te znaki Boże,
Co widząc ojciec przeniósł się do dworu
I siedział odtąd, a i zmarł w tym dworze.
Zarąbek cały oddał aż do znaku
Ze wszystkiój mojej braci najmłodszemu,
A mnie, żem starszy jest z całego pniaku,
Więc sobie służyć kazał po staremu.
I z woli ojca trzymam tutaj rządy
I jak on sądził, tak sprawuję sądy;
A jeśli panicz zapamięta może,
Że się sierotka chowa przy Sufczyni,
Więc ta sierotka jest mi żoną ninie
I jak nieboszczka rządzi dziś we dworze.
W dziesięć lat prawie po odjeździe pana,
Zachorzał ojciec, i jakoś do doby

Usnęła w Bogu i Sufczyzna z rana;
Więc razem pogrzeb i razem dwa groby
Przyszło nam sprawić.

W chwili prawie zgonu
Rzekł do mnie ojciec: „Aż pan nie powróci,
Niech nikt we dworze nie nakręca dzwonu.“
I stanął zégar na chwili skonania
I stoi dotąd wedle jego zdania,
Lecz gdy pan wrócił, niech się zégar cuci“

Więc nakręciłem zégar znów do miary,
„Bo pan Bóg znaczy, a człek czasy liczy“
(Jako pan hetman mówił mi w słodyczy).
A gdy się chodem puścił zégar stary,
Chłopięce lata ozwały się w uchu,
I byłem znowu niby dzieckiem w duchu.

Dobrze i łucznik i syn gospodarzył,
Boć to w szpichlerzu, w kątowym zasięku,
Grosz, co go łucznik zebrał swego wieku,
Leżał nietknięty, a owsem zasuty;
W drugim zaś kącie stał baniaczek kuty
Z miedzi a wosku kręgami nakryty,
I z lat następnych leżał tu grosz bity
W złocie i w srebro: i jest cnota polska
I za stragarzem zatknięte są karby,
Więc i fortuna jest chudo-pacholska,
Kiedy Bóg w ludziach daje takie skarby,
Patrzę, na półkach bieleją półsetki
I kręgi wosku jak młyńskie kamienie,
Więc i skór liczyć z lat wszystkich na setki
I futer różnych, co bywają w cenie.
Pełne wszystkiego i strychy i wschody
I po sąsiekach chleb z ojca na syna,

A pod śpichlerzem stoją w beczkach miody
I w szkle pleśnieją rodzicielskie wina.

Cywa zdał karby i daje mi klucze:
„A trzymaj wszystko! trzymaj miły bracie!
Jako zdał ojciec i ja zdaję na cię,
Toć i ja jeszcze czegoś się nauczę
Na ojcowiznie przy włodarstwie twojem;
I żyjmy razem w Bogu i pokojem!“
Więc chociaż nie chciał, wziął klucze do siebie.
I tak począłem z Cywą żywot nowy
I żyłem znowu na domowym chlebie;
Lecz że się miało już do siwej głowy,
To naprzód przyszło o Cywie mi radzić.
Więc z polan dworskich i z dworskiego gaju
Takim zarąbek wyciął wzdłuż ruczaju,
Że było na czém wybrańca osadzić
W nagrodę wiernój w pokoleniu służby.
Toć odsypałem kopce przy gromadzie
I z dobrej woli gromada mu kładzie
Wszystkie budynki, boć to z dobrej wróżby
Poszło téj między wdzięczne odoranie:
I gdy na tykach pług z gromady stanie,
Aż tu bliźniaki woły i parobki,
Więc bardzo dobrze obiecują chłopki,
Kiedy do orki znalazł się pług taki,
To szczęście będzie na nowój sadybie.
I przeszedł naprzód ksiądz po onój skibie
I miedze wodą pokropił święconą,
Z chlebem i solą szedłem ja w te znaki,
A za mną Cywa szedł z dziećmi i z żoną,
Za nim dopięro szła gromada cała
I biała czeladź i dziatwa tym szlakiem
I dziatwa miedzę posiewała makiem

I chleb się złożył, gdzie chata stać miała,
Z zieleń święconém; a że przenocował
Nietknięty cało, więc miejsce sposobne,
I na tém miejscu Cywa się budował,
Sprawiwszy ucztę za służby nadobne.
Cały zarąbek widać było z ganku
I gdy mak zakwitł po miedzy posiany,
Mówili ludzie, że Cywa siadł w wianku
I że Zarąbek dobrą ręką dany!

Po Różańcowej była jesień głucha,
Więc u komina przy ludziach się słucha
I sieci robią chłopaki po stronie,
I kądziel przędą prządki przy Cywinie,
A na kominie wdzięczny ogień płonie.
Ot i nie jeden wieczór tak się minie
Z księdzem proboszczem i z Cywą w rozmowie,
Boć wszystko wiedzieć pragnęli ludkowie,
Com w Ziemi Świętej widział na me oczy.
A więc do późna czynim wieczorynki,
I kiedy jedno za drugim się toczy,
Wdzięcznie składałem one upominki
Drużynie mojej pod rodzinną strzechą,
I było wielką dla serca pociechą,
Że Bóg dozwolił tak się jeszcze bawić
I o pielgrzymce i jassyrze prawić
Młodemu księdzu i wiernemu Cywie.

Bo i dwór chwytął każde słowo chciwie,
I nie raz, kiedy to opowiadanie
Rozgrzeje duszę, to i sieć opada,
Więc i wrzeczono prządek w miejscu stanie
I Cywa koszyk i pręcie odkłada,

I każde sobie chwyta w upominku,
Aż nas ksiądz proboszcz wezwie do spoczynku.

Kiedy rzecz miałem raz o tym młodzianku,
Co to z jassyru wyszedł tak bez szwanku,
Że po pacierzu trafił do ojczyzny,
A po sygnecie wrócił do puścizny,
To się Cywina zerwała z żałością:
„A biędne moje! święte niewiniątko!
Gdyby to takie zjechało tu gością,
Za własne dziecko wzięłabym paniątko.“
I łzy poczęła ocięrać przepaską:
„A bądź mu panie i ojcem i łaską!
A gdzież to biędne dziś na świecie bywa?“
I ksiądz zapłakał i zapłakał Cywa.

A więc zwiastuję wszystkim na pociechy,
Że wkrótce może zawita do strzechy,
Bom list otrzymał, że bawi na Rusi,
To po jassyrze mię odwiedzić musi.

Jakoż o trzecięd adwentu niedzieli,
Gdyśmy wieczorem razem tak siedzieli,
Zaszły przed ganek z trzaskiem bicza sanie,
I do stóp moich mój Stacho się ściele,
I wielkie było we dworze wesele,
Że duch z jassyru w progu naszém stanie!

Patrzę, Cywina w czułości przepada,
Bo tylko pyta: „Jak lubi? co jada?“
A więc powiadam: „Na baranięd tłuszczu
Jagły prażone jadaliśmy w puszczy.“
Więc na wieczerę z wielką nieśmiałością
Dała i jagły i wszystk o odłożył

Gość nasz od siebie, a tylko z radością,
Prażone jagły na wieczerzę spożył.

Osiem lat było ubiegło już prawie,
Jak pożegnałem pięknego młodzieńca
I do Kijowa wróciłem z Kamieńca
Z księdzem biskupem po rycerskiej sprawie;
A kiedy patrzę, jak stoi? co gada?
Lepiej mi jeszcze do serca przypada,
Bo duch poważny i bardzo spokojny,
Co dobry bywa do rady i wojny,
A na wszém jeszcze człowiek okazały,
Oszczędny w słowy, ale w zdaniu stały.

Więc wielkiem sercem ofiarę przyjąłem,
Że się przy żłobku poweselim społem,
Lecz nie tak miało być po Bożej woli;
Bo gdy nazajutrz wyiskrzył się ranek
I po śniadaniu wyszliśmy na ganek,
To ze trzech sani dworzanie Boboli
Wyskoczą ku nam; więc za nimi w ślady
I pan Jan sunie poważny i blady
W poszóstnych saniach na wilczym kobiercu.
I wielce miło przyszło witać sercu,
Kiedy zagościł gość tak bardzo drogi
I pan tak wielki w te ubogie progi,
Po służbie młodszy, ale krewny pana,
Więc go pragnąłem ująć za kolana,
Lecz rzekł poważnie: „Wszak ci w jednej szkole
Wzrosliśmy oba, więc ja ścisnąć wolę...”
A kiedym Stacha Nałęczu mu zlecił,
O którym dawniej mówiłem mu wiele,
Nagły rumieniec bladą twarz oświecił,
Bo ogień Boży uderzył w Bobolę,
Więc po ojcowsku począł go miłować

I gdy zezwolił rękę ucałować,

Rzekł mu :

„Znam losy i czczę Bożą wolę!“

Sprosiłem gości z całej okolicy :

Zjechali księża i możni dziedzicy

I tydzień cały święciłem „dzień mirny“

Goszcząc i racząc „w uczcie pojassyrněj.“

Więc po téj uczcie pan Jan nam powiada :

„Teraz już do mnie na święta wypada.“

Więc chociaż Stacho miał świętować u mnie,

Nie było rady, lecz z gościąną całą

Jedziem kulikiem wesoło i tłumnie

Aż w Sandomiérskie, kiedy na tém stało.

Gościna w domu Bobolich.

Na łowach zeszedł w poście dzień czuwania,

Ale gdy chlebem anielskim się złamać

Przyszło w tym domu Bożego kochania,

To nikt już sercem nie potrafił kłamać,

Kiedy dom cały w téj szacie zakonněj

Stanął przed gośćmi, niby wianek wońny.

Patrząc na Stacha, a on zadrzał w sromie,

I oraz znałem, że siądzie w tym domie

I że poszuka tu sobie bogdanki ;

Jakoż wziął rękę starszěj Bobolanki.

A choć Nałęczce i Bobole pany,

Na niego zdałem moją ojcowiznę,

Bo mi jest bardzo drogi i kochany ;

To niechaj po mnie bierze tę puściznę,
Byleby Cywów, jako ja miłował
I zawdy konie mrozowate chował.

Wesele w domu Bobolich.

Wspaniałe córce wyprawił wesele
Pan Jan Bobola starym obyczajem,
I stać musiałem tam na drużbów czele
Chociaż mi życie ubiegło za krajem;
A więc nie bardzo mogłem radzić temu,
Bom z Tatarami szedł piérwszego tańca
I nie weselno drużbił u pohańca.
Szczęściem, że młodzi pomogli siwemu
Drużbie w téj sprawie, stając rękodajnie;
Więc się odbyło wszystko obyczajnie
I po czci Bożej i ludzkiej bez sromu,
Jako jest zwyczaj w Leliwitów domu.

Bardzom się prosił Stacha od téj służby,
Lecz nie popuścił: „Kto mi był w jassyrze
Ojcem i drużbą, tego proszę w drużby!
I ten niech poda ślubny wieniec w myrze!“

Przy złobku Bożym i onéj kolędzie
Śpiewając pieśni poznali się młodzi;
Więc na Wielkanoc już i stryj przybędzie
I jak swat jawny w dom Bobolów wchodzi.
Jakoż skłoniły się rodziców zdania
I bez zabiegów i prózb onych wiela,
Już na dzień Matki Bożej Zwiastowania
Dzień wyznaczono onego wesela.

Podwójne rankiem zagorzały tęcze
I odmłodzone niebo zajaśniało,
I na wesele zjechali Nałęczę,
A więc i ziemia sandomińska cało,
Jakoż żadnego z domu Leliwitów
Nie brakło tedy, więc stare sojusze,
Wierne tój ziemi odnowiły dusze,
Pełne miłości i pełne zaszczytów.

Wielka tu pamięć żyła po hetmanie,
A że wiedziano o mnie i o Janie,
Jakośmy niegdy byli za chłopięta
Przy tój buławie, toć jak bliskich panu
Bardzo nas czczono z zasługi i stanu,
Bo pamięć była dla hetmana święta!
A jakie zdrowie Sandomińscy lubią
Pijać, gdy cnotą a sercem się chlubią,
Wiadome wszystkim toć było kochanie,
I w całej ziemi jedno tylko zdanie,
Że Bóg los Stacha palcem swym oznaczył,
Gdy w dom Bobolów wprowadzić go raczył.
Lecz i Bobolim przypadł niby zdrowie,
Bo wdział do ślubu domu szatę białą,
Więc też mówili sobie Bobolowie,
Że stadło one pójdzie Bożą chwałą....

W stołowej izbie i w zamkowej sieni
Na wielkich stołach i w skrzyniach cedrowych
Złożone wiano z skarbów Bobolowych,
A matka młoděj, jako domu ksieni,
Zdawała wszystko wyprawněj czeladzi
Zwyczajem rządnych domu tego matek;
Więc słów niewiela tu wszystkiemu radzi,
I cale inny Bobolów dostatek,

Niż bywać zwykło po domach zamężnych,
Bo nie kochano tu się w rzeczach próżnych,
Lecz co dla domu i gromady trzeba,
Od tych świętości począwszy i chleba,
Co w nowém miejscu zda się dla kościoła,
Duszy i zdrowia, niczego tam zgoła
Nie brakło wcale w wielkiej obfitości.
I wielki podziw był tam wszystkich gości,
Bo wszvstkie skrzynie stały tam otwarte,
Więc i sądzono, co jest wiano warte
Takięj panienki, chociaż w białej szacie.
Boć to na wszystkie święta Matki Bożej
Drogi aparat tuż przy aparacie
Leży po stołach na nowęj rogoży,
A tuż przy każdém i kielichy mszalne,
Więc i świeczniki i srebra kościelne
I bramowane adamaszki stalne,
Więc i mcnstrancye na dary weselne
I złote puszki; na stronie osobnej
Leżał tam także aparat żałobny
I stała skrzynia z napisem „Mamona“
I ta jedyna była już przymknięta,
A kiedy wiano obchodzą panięta
Z całém weselem, drży serce u łona,
Bo przy żałobnym mać rzekła ornacie:
„To za mą duszę po méj śmierci dacie!“
A przy zamkniętej mówi rodzic skrzyni:
„Kto biédnym radzi! sobie gospodyni!
Jeśli łyzy otrzéc, bierz klucz i otwieraj!
Lecz do mamony zresztą nie zazięraj.“

Jakoż nie było i odprawy dwornęj,
Bo dom Bobolich w Panu jest pokorny,
Więc kiedy przyszło odprawić za młodą,

To siwe woły poszły z tą podwodą
W pięćdziesiąt maży i odwiozły wiano;
A stado srebrnych kóz za niemi gnano.
Dalej dopiero szły już konne maże
Z czeladzią oną, co trzymała strażę
Nad tą wyprawą i nad oném wianem.
Dalej w podziękę za duchownym stanem
Sześć białych koni w pióra ustrojonych
Szło dla biskupa, co ślub dawał młodym.
Dalej sześć koni dla prałatów onych,
Co biskupowi w dniu służyli onym;
Więc i koniuszych na sześciu bachmatach,
Po za tém wianem szło z wielkim przewodem,
Co oddać mieli konie po prałatach,
A wozy z chlebem świeżo upieczonym,
Aby się młoda mogła poweselić
I w nowém domu miała czém obdzielić,
Kończyły orszak szczęśliwie wianowy,
Za którym naprzód wszystkie białogłowy
Jechały z młodą, a przy nich postronno
Wszyscy mężczyźni, co nas było, konno.

Takie wesele, takie przenosiny!
Stach mój pociągnął do onój dziedziny,
Jaką po matce był objął na Rusi;
I choć z boleścią, serce tu się kusi
Przypomnieć czasy onego napadu,
Kiedy wpadł Tatar do Nałęczów sadu.

Na gwałt we dworze powstał rodzic Stacha
I do drzwi z taką siłą sam się rzucił,
Że trzech na progu ściele jego płacha;
Poczóm się nagle do kolebki zwrócił
I porwał dziecię i do sadu skoczył,
A dwór do koła pohaniec otoczył.

We dworze onym bywał z dawna Tatar
Przy dzielnych koniach dobrze ugłaskany;
Więc gdy w najeździe Murza ostro natarł,
Tedy to panu jeniec się odwdzięczył,
Bo na proroka po swojemu ręczył,
Że wielki okup będzie ordzie dany,
Byleby wszystkich życiem udarować,
A państwo z dzieckiem w poczciwości chować.
Jakoż te słowa miał Murza na względzie
I wściekłość ordy powstrzymał w zapędie
I wyszedł Nałęcz z dziecięciem na rękę
I o przymierze prosił słowem miru,
I naród wszystek patrzył na to w lęku,
Że z dobrej woli dał się do jassyru.

Tedy dopiero pani Nałęczyna,
Co tak usnęła trudno samym rankiem,
Że ją zaledwo strzały obudziły,
Kiedy ujrzała i męża i syna
Pośrodku tłuszczy tatarskiej przed gankiem,
Zawoła w progę z całej serca siły:
„Daj mi śmierć Boże, a wybaw to dziecię!”
Jakoż się cudem podobało Bogu
Wysłuchać prośbę, i pękło to życie
I nagłą śmiercią upadła w tym progę....

Chowany Tatar Murzie to tłumaczy
I na znak nieba zaciął się ostrożnie
I znał pan Nałęcz, że sam Pan Bóg znaczy
Tu drogę jego i zdał się pobożnie
Na wolę Bożą i poszedł w te łyka;
Ale go znano panem i w jassyrze
I nikt go w złości, ni syna nie tyka,
Lecz go chowano tam we czci i w mirze.

Gdyśmy zjechali na te przenosiny,
Żył jeszcze Tatar, co Nałęczza zbawił,
Stach do weselnój prosił go drużyny,
I dziwne dzieje on Tatar nam prawił,
I każdy płakał, i zapłakał sobie
Stach razem z żoną na swój matki grobie.

„Cudowne dzieje i zrządzienia Boże!“
Rzekł pan Jan na to słuchając powieści:
„Mości Walenty, czy nie spisać może
Wszystkie te dzieje, ku narodu cześci?
Wszak cię sam hetman zaprawiał do pióra,
A gdy Ostrogskich na dziedzictwie góra,
To niech choć w dziejach ta nasza Leliwa
Światłem zasługi i chwały opływa!
Więcej znasz od nas, a to co my znamy,
Z ochotą wielką do skarbnicy damy;
Lecz uczyni, proszę, o co tu prosimy,
Niech wiek hetmana nie ostaje niemy!“
Co mówiąc ze czcią ścisnął za kolana.

„Gdzie się podziała kronika hetmana?“
Spytałem na to „bo onój-mi trzeba.“
Pan Jan wznosił oczy na chwilę do nieba,
A potem przed się patrzył bardzo smutny:
„Ha, tam gdzie wszystko!“ rzekł wreszcie po chwili,
„Wszystko Ostrogskich zagarnął dom butny,
To i kroniki także zatrapili!
Po śmierci pani wziął ją pan kasztelan,
Jako po ojcu, a po jego śmierci,
Jak wszystko poszło w kawałki i ćwierci,
Tak z skarbem całym i ten klejnot przelan
Jest do Ostroga; jeździłem tam po to,
Mówię: trzymajcie i ziemie i złoto,

Lecz wróćcie księgę, którą znałem z młodu,
Boć chwała dziejów dziedzictwem narodu!

„Otóż się księgi takowej zaparli,
Cóż było czynić? Żalę się u nieba!
A gdy w świadectwie nie stawają zmarli,
To z Ostrogskimi nie złamałem chleba,
Bo mi narodu mojego żal sławy
I najdzielniejszej w ojczyźnie buławy!“

Choć zawsze blady, nabiegł karmazynem
Pan Jan Bobola, bardzo żalem tknięty,
I lubo wieńczyć nie mnie to wawrzynem
Oną buławę, żalem tym przejęty,
Po leciech wielu wziętem się za pióro
I ufam w sercu, że cnót pamięć górą
Jako głos dzwonu pójdzie w pokoleniu
I stanie cało w czasów dopełnieniu....

Zkąd było pobrać wielkiej sprawy wątek,
Gdym jako świadek miał stanąć przed panem?
Więc z raptularzy wziętem tu początek,
Którym spisywał w Tarnowie młodzianem
I z onój księgi, co na wdowim dworze
Urosła była przy księdzu Melchiorze.

Kiedym do Ziemi Świętej się wybięrał,
Oddałem skrzynię Cywie z papiérami;
Nikt jój przez wszystkie lata nie otwierał,
Aż z panem Janem my dopiero sami.

Otóż co było po matce drogości
I po rodzicu i po panu moim,
Wszystko nietknięte leży w miejscu swoim

Od tych klejnotów, aż do świętych kości.
I tu dobyłem znów klepsydrę pańską
I dyjarjusze, com je pisał z młodu,
Idąc za sprawą i księgą hetmańską,
Więc téż to wszystko składałam dla narodu!

Gdyśmy to wszystko z téj skrzyni dobyli,
Rzekł pan Jan do mnie po niejakiéj chwili:
„Zróbmy ślub bracie, że co rok, w rocznicę
Śmierci hetmana, staniemy przy trunie,
To grób otworzy swéj łaski skarbnicę
I zagra dusza, jak lutnia po strunie!...“

I Stach do tego ślubu się zaprosił.
Więc i do roku na rocznicę piérwszą
I dzwon żałobę po panu ogłosił
I Leliwcyki duszą co najszczerzą,
Wszyscy się na mszę żałobną zebrali,
Sercem miłości i w harcie od stali...

Gdym wśród nich stanął, spojrzę po kościele,
A mauzoleum podniosło się duże
W miejscu, gdzie hetman w swéj ławie siadywał;
I kiedym ujrział hetmana w marmurze,
Wielce bolesne było mi wesele,
Bo pacholęciem jam przy żywym bywał,
A tu mi patrzeć, jako z truny wieka
Aż zmartwychwstania w całej zbroi czeka.
Więc i z żalością patrzyłem i długo,
Jako legł sobie u wieczystéj bramy,
Ha i łzy krwawą puściły się strugą,
Bo i w marmurze jeszcze taki samy!

Pewno nie byłaby dziś Litwa naszą,
Gdybyś jéj nie był twym puklerzem bronił,

A i Ruś pewno nie byłaby laszą,
Gdybyś Tatarzy nie był co rok gonią.

Kiedy się wichry wszczęły o Barbarę,
To król chciał zerwać to przymierze stare
I hetmanowi zażalon powiada:
„Cóż to za sejmy? Co mi to za rada?
Że za żałobą mam tu stawać licem?
Ha, ja na Litwie panem i dziedzicem!
To i znać nie chcę téj korony waszój
I łamać wiary dla téj buty laszój.“

Tedyś go sercem począł upominać:
— „O nie tak królu miałbyś sam poczynać!
Jak hetman wierny stałem przy rodzicu,
A i dziś stoję, jak Bóg wielki żywie!
Z narodem wolnym potrzeba cierpliwie,
To i na króla postąp po dziedzicu!“

„My się obronim, ale Litwę twoją
I wiara wschodnia i Moskwa ogarnie,
Więc się i w Rusi ludzie nie ostoją,
Lecz pod tatarski jassyry pójdą marnie;
Więc królu panie! nie idź własną wolą!
Bo trzy narody na ciebie zabolą,
I niech syn pana mojego nie błądzi,
Boć to Bóg Wielki dzieje królów sądzi!“

Tedy się Zygmunt na tronie obaczył
Na słowa twoje, a choć był dziedzicem,
To trzem narodom pokrólować raczył,
Wstępując w ślady za wielkim rodzicem:
Jakoż za wielkiem wszystkich stanów zdaniem
I trzech narodów Bożem miłowaniem,

Unia Lubelska doszła skutku w sejmie
 I trzy narody Bóg w jedno ści zejmie
 I jest poczczony w Trójcy Niepojęty
 I Pan Zastępów: Święty! Święty!! Święty!!!

Anno Domini 1610.

Przy łasce Bożej kończę księgi moje
 I jako wziąłem, tak daję w puściznie;
 Trzy walne bitwy, trzy pamiętne boje,
 Zapiszę jeszcze na méj ojcowiznie....

Zbroje rodzica i nasze i Cywy
 Wiszą pamiętnie w téj izbie stołowej,
 A tu klepsydra, dar pani życzliwy,
 Sączy w mych oczach pyłek rubinowy,
 I kończę księgi, kończę za jój miarą,
 Z tak pełném sercem i z tak silną wiarą,
 Że Bóg mi kazał w sprawie onój czynić.
 A kiedy oręż wyleci bezwładnie
 I pióro nawet skruszone upadnie,
 Znam, że Bóg będzie sprawie gospodynić....

Toć wielka duszę przejmuję otucha,
 Bo przejdzie ziemię to, co wyszło z ducha;
 Dziejów dziedzice, to ziemi dziedzicy,
 Na chwałę krzyża i Boga Rodzicy!

BITWA U ORSZE.

*Anno Domini 1514. die 8 Septembris,
w dzień Narodzenia Najświętszej Panny.*

Wstawiony rycérz na hiszpańskiej ziemi
Gdy z bojów wrócił, to już między swemi
Ku chwale polskiej stawił kroki sporsze,
Gdy przyszła bitwa pamiętna u Orsze....
Za wojskiem w pole, któremu Ostrogski,
Mąż wielkiej mocy, dzielności i troski,
W on czas hetmanił i mądrze i chobrze,
Lecieli krucy i mnodzy sępowie,
Więc ztąd o wojnie powróżono dobrze:
Bo gdy ptak z wojskiem, wrogom na bezgłowie.

A było za co Moskiewskiemu płacić,
Bo gdy wziął Smoleńsk za Glińskiego zdradą,
To w grodzie kazał bojary wytracić;
I już Moskiewscy w całej ziemi kładą
Śmiało obozy i ziemię pustoszą
I nad posłami pastwią się z rozkoszą.
Był w on czas Trepka posłem do Glińskiego
Od węgierskiego króla Władysława,
I kniaź pochwycić kazał Trepkę tego;
Więc i nagiego do rozna go dawa
I piec go każe, ażeby się sprawił,
Z czém Król Władysław Trepkę tu wyprawil?

Był i Jeżewski z Rzymu wyprawiony,
By glejt posłowi przywiózł papiézkiemu
Z Moskwy od kniazia i jest uwarzony
W oleju wrzącem, a to także temu,

Czy nie z czém inném u Glińskiego bawił?
Bo i Glińskiemu przyszło na więzienie
I już u siebie kniaź go także dławił.
A więc za ziemi wszystkiój spustoszenie
I taką wielką dla posłów pogardę,
Z którymi Wasyl niczego nie sprawił,
Bo chociaż Trepkę przypiekał u różna
A Jezewskiego po golenie zwarzył,
Słowa z nich dobyć nie było tam można;
I z dobrą sławą wyszli z tego sromu
I powrócili szczęśliwie do domu,
Chociaż kniaź obu tak u siebie parzył.

Otóż za taką narodu pogardę,
Przyszło i złamać w końcu karki twarde;
A chciał Ostrogski oddać i za siebie,
Bo odbył jassyr na moskiewskim chlebie,
Więc kiedy przyszło u pamiętnój Orszy,
Choć zawdy skory, był tu jeszcze skorszy
Ksiaźże Ostrogski.

Kniaź był się rozłożył
Za Berezyną na wysokim brzegu,
Ale się hetman nim tak mało trworzył,
Że po dniu jasnym i w pełnym szeregu,
W obliczu jego uczynił przeprawę
I w łądach stanął wojskiem w całym szyku
I wojsko nawet nie wydało krzyku,
Kiedy na harce iść już miało krwawe,
Lecz w miejscu stojąc patrzy tylko mroźno
I było bardzo i cicho i groźno.

Między wojskami wielkie pole legło
I stado sępów, na wróżbę zaguby,
Siadłszy na polu zaostrzały dzióby

I pilnie Moskwy sępiem okiem strzegło ;
A gdy litewskie i wszystkie koronne
Hetman chorągwie był sprawił do boju,
Tedy wyjechał na miejsce przestronne
Rycérz hiszpański w bardzo wielkim stroju,
I kiedy z miejsca wbrew ku Moskwie ruszył,
A andaluza zarżał i poruszył,
To wszystkie wojsko na nim okiem stani,
I patrzy nawet sam książę Ostrogski,
Bo pytać było, kto wojsku hetmani?
Czy stary hetman? czy młody Tarnowski?
Tak wielką dzielność, tak wielką miał wolę,
Choć to w ojczyźnie piérwsze było pole.
I zadziwienie wszystkich było duże,
Gdy przed szeregi wymknie pióra puże
I gdy Tarnowski tak wbrew Moskwie stał
I pojedynkiem z każdym czynić chciał,
Coby się dzielnym wobec niego znał!

W wojsku moskiewskim takiego nie było,
A huf panięcy, co się hardo nosił,
Gdy rycérz młody stanął taką siłą,
To go do koła swojego zaprosił
I z dobrej woli sobie go przełożył.
Więc go i sprawił jako husarz sprawny
I bez rozkazu poszedł z nim w bój sławny
I urwał Moskwę do razu lwim zębem,
Bo jedną lukę wyciął wstępny wrębem,
A drugą, kiedy powracał huf śmiały....
I jest rozcięta Moskwa w trzy kawały
I były w całym wojsku wielkie dziwy,
Bo poczt panięcy choć się tak powinął,
To tylko Kmita i Zborowski zginął;
Więc w niebo głośy, że to wódz szczęśliwy!

Tedy pan hetman rozpuścił zagony
I wszystką siłą uderzył w te luki
I on mur Moskwy bardzo najeżony
Krań niby nakrył i łamał na sztuki.

Tak tam chorągiew za chorągwią sunie,
Taki był impet Korony i Litwy,
Iż kiedy Moskwa w odwrót sobą lunie,
Na siedem godzin było téj gonitwy
I cztery mile wymoszczono trupem;
Ba i pogoni już nie wstrzymać więcéj
I samych koni dwadzieścia tysięcy
Na polu bitwy zabrał hetman łupem,
A do czterdzieści było w ludziach straty.
Takie za Smoleńsk wziął tam kniaź zapłaty,
I nie napróżno lecieli sępowie,
Bo poszło Moskwie cale na bezgłowie.
Znało to wojsko obojga narodu,
Że po Tarnowskim poszło bardzo sporo,
Bo gdy tak dzielnie był wyskoczył z przodu,
Wszystkie chorągwie pęd na wręby biorą.
Lecz stary hetman był mu gniewny w duchu,
Bo na wszém patrzył grozy i posłuchu;
A że poczt ruszył na bój bez rozkazu,
To i w niełasce miał go już do razu,
Choć tam chodzili Tęczyńscy, Czarnkowcy
I Szamotulscy i wszyscy Zborowscy
I Leliwcyki, co ich było w boju,
Ostrorogowie, Kmitowie, Zaręby
I choć czynili rzecz po wielkim stroju
„I rwali Moskwę lwiami niby zęby,“
Jako sam o nich i hetman powiadał;
Przecież buławie cale się nie nadał
Wódz tego hufu, choć tak dzielnie czynił!

Choć wszystkie wojsko mówi, „że szczęśliwy,“
To hetman prawi: „Nieposłuch zelżywy!“
Więc i o winę w sejmie go obwinił
I żądał twardo u Jego Miłości,
Aby ukaran był bardzo surowo,
Bo wrzek żołnierskiej w ojczyźnie karności
Nie puści chodzić, póki sam jest głową
I z woli Pana trzyma tę buławę.
Otóż gdy w sejmie wytoczono sprawę,
Tak tam się ozwał hetman Tarnowskiemu:
„Wiédź o tém: W Polsce posłuch po staremu!
I znaj co karność i co rząd hetmański!
Co insze Moskwa, co insze Maurowie,
I bez posłuchu przyjdzie na bezgłowie!“

Na to Tarnowski miał rzecz złotoustą,
Więc i okazał, że skarga jest pustą,
Boć sam gardłując jechał dla zachęty
I czysto powiódł do boju huf cięty,
Jako był uczon, a i ćwiczon z młodu,
Tak służby swoje poniósł dla narodu;
I wróg pobity, a huf wszystkim żywie!

Tedy król przejrzał bardzo miłościwie
I już obydwóm wzbronił onój mowy:
„Cześć dla buławy i dla siwój głowy!“
A do hetmana na ucho powiada:
„Toć z krwi Zawiszy! i u kardynała
Chował się z młodu, przebaczyć wypada.“

Jakoż przebaczył na królewskie słowo
Hetman młodemu, i już od téj sprawy
Był mu miłościw i bardzo łaskawy,
Bo go po sobie wiedział kiedyś głową;

To go jak syna wielce umiłował,
 Więc i hetmańską zbroję mu darował,
 Co ją tak wiernie pan do śmierci chował.

Jakoż wyruszył, o czasu niewiele,
 Młody on rycérz już z wojskiem na czele
 Bardzo potrzebny starszemu królowi,
 W ziemię węgierską, w odsiecz Ludwikowi,
 Broniąc nietylko krewnego i państwa,
 Ale i owszem i wszego chrześcijaństwa.
 I co tam było zagonów pogańskich
 Za Ostrogskiego, a potem Firleja,
 Na wszystkie chodził w tych potrzebach pańskich
 (Wszak za starszego króla dobrodzieja
 Było najazdów pogańskich czterdzieści),
 A z wszystkich wyszedł zwycięzko i w cześci.

POTRZEBA U OBERTYNA.

Anno Domini 1531. die 22 Augusti.

Gdyśmy do Dniestru dotarli taborem,
 Rozłożył wojsko pan hetman pod borem,
 Kiedy się zrobił wieczór, aż kometa
 Grozi swą różgą na wieczorném niebie,
 Więc powróżono zaraz o potrzebie,
 Bo różga sięgła strony Golofeta,
 Bo nowa stella, to i novus rex,
 Aut magnus vir, aut nova lex.
 Lecz że o królu nie wątpiono nic,
 Że jedném prawem rządżono się wciąż,
 To z dobrém sercem przyszło nam w bród biędz,

Bo się nam święcił chyba wielki mąż;
I pan Maruszka wyraźnie powiadał,
Że o tém znano w niejednym powiecie,
Bo mądry doktor był to przepowiadał,
Gdy pana zwiędzał już o nowém lecie,
Że się rok znaczy nam nieladajaki,
Że w porę będą i niebieskie znaki,
Że Bóg tam przejrzał o ojczyźnie dobrze,
Że będzie syto i sławnie i chrobrze:
Tak to upewniał Bernard z Rachtamowic,
Książdz, akademik i bystry gwiazdowidz.

Więc kiedy stanął nad brzegiem Tyrasu
Tabor hetmański, a kometa wschodzi,
Rzekł wojsku hetman: „A no, jako godzi
I zwiastowany był onego czasu.“
I cichym szeptem poszło po obozie,
A gdy wieczorne hasła otrąbiono,
Po onój wróżbie i hetmańskiej grozie,
Cale już dobrze we wojsku wróżono.

Święty Stanisław śnił się hetmanowi
I na świadectwo wziął Chrzyciciela Jana
I bardzo groźnie mówił do hetmana:
„Jeżeli ty wątpisz twemu orężowi,
To po raz wtóry wskrzeszę Piotrowina,
By dał świadectwo, co czyje, co nasze!
A gdzie jest łaska przedwiecznego Syna,
Tam będzie łaska i Ojca i Ducha,
Więc ufaj w krzyżu i puść białe ptasze!“

Zerwał się hetman i patrzy i słucha;
Brzask ledwo drasnął i szaro i mglisto,
Ale kometę widzi oczywisto,

Która świadectwo temu snowi daje;
Więc się przeżegnał i dźwignął i wstaje.

„W trąby i w kotły!“ i rozkaz bez bawy:
„Za Dniestr w czas Boży! dalej do przeprawy!“

Gdy hufiec pański już po tamtym brzegu
Porządnie stanął i w pełnym szeregu,
Rozbito namiot wedle znaku prawie
I Mszę o świętym miał tam Stanisławie
Ksiądz kaznodzieja, jako o patronie
Wszego narodu w tój polskiej Koronie,
Zlecając wojsko pod jego przyczynę;
Więc i odpuścił wojsku wszystką winę...

A po Mszy świętej, którzy lepsi w pola:
I gdy pan hetman potoczył tam koniem,
Tak mężna dusza i tak można wola
Znaczna tam była, że tylko iść po nim.
Z pierwszych kóp orlik zerwał się z klekotem,
Trawy pod końmi wyległy pomiotem,
Że ich już kosić nie było potrzeba.
Cicho i pusto, sine góry zdala
I Dniestr po jarach tylko się przewala,
A na podrywki wieje wiatr od nieba.
Cicho a cicho w wojsku i do koła,
Hetman na czele i groza od czoła
I wszystko w duszy i grzeje i studzi,
Bo tak miał zdatnie uchodzonych ludzi,
Że ani pytał, ni słucał, ni sądził,
I już nie słowem, ale okiem rządził.

Nim dalej pójdę, powiedzieć potrzeba,
Zkąd się w ojczyźnie wzięła ta potrzeba?

Był tam Petryło, gospodar wołoski,
Co zabaczywszy na straszny sąd Boski
I na przysięgi Koronie powinne,
Wdał się niebacznie w złe sprawy i inne,
W harmat nadzieje, których w Węgrzech dostał,
Chciał być sąsiadom w pograniczu srogi
I jakoż ludziom na Pokuciu sprostał
I wiele było i szkody i twogi,
Bo Kołomyi i Śniatyna dostał,
I Tyśmienicy i aż do Halicza
I wsie wypalił i ludzi pochłostał.

Więc gdy to doszło pańskiego oblicza,
Król Zygmunt Stary hetmana wyprawił,
Aby się z onym Wołoskim zabawił.
Więc po dwanaście kroć się nasi sparli
I naprzód Wołosz po twierdzach przytarli
I osadzili rządnie swoim ludem,
Nim się spotkali w czystém polu trudem.
A gdy pan hetman odbił już Pokucie
I wszystką ziemię aż po Gwóźdz graniczny,
Hospodar słysząc, że naród nieliczny,
Tak sobie począł w tój wołoskiej bucie,
Że sześć tysięcy wysłał jeno przodem,
A sam w dwadzieścia ciągnął już odwodem;
Ale się hetman nic tём nie zatrwożył,
Lecz pod Obertyn, i tam się rozłożył.
Różnie tam o tём dzieją, jako szyki
Pan hetman sprawił był u Obertyna;
Lecz mnie mówili o tём stare ćwiki.
Jaka tam była do harcu przyczyna,
A przed wszystkimi mówił pan Maruszka
I Ossoliński i poręcznik Gruszka,
Że tam vetera instituto było

Na czystém polu ono szykowanie.
Więc kiedy tabór już na miejscu stanie,
Bardzo się sprawnie wszystko uczyniło:
Wozy stoczono i spięto łańcuchem,
A w środek kocze i wielbłądy w środek,
I straż poboczna stanęła posłuchem
I plac rynkowy rządny i obszerny
I wielka brama trzymała mu przodek,
A małej bramy patrzył hufiec wierny.
W placu rynkowym hetman wojsko sprawił
I na trzy hufy wszystko był podzielił:
Więc hufiec piérwszy na czoło postawił,
Za nim huf walny gravis armaturae,
A już z trzeciego był uczynił chmurę
Z siekanych hufów, co po skrzydłach staje;
Więc po kozacku piérwszy, co od lica,
Więc posiłkowy, który za nim godzi,
Więc trzeci czarny, co z czeladzią chodzi,
A czwarty, który zwan jest "stracenica,"
Bo tych siekanych hufów tyle bywa
W tém szykowaniu po obojój stronie;
Hetman na czoło i orzeł w koronie,
Rzekłbyś, nie wojsko, kiedy tak wypływa.
Jakoż od wieków jest obyczaj taki,
Że każda ziemia w potrzeb huf swój dawa,
A gdzie na sejmie każda ziemia stawa,
Tam téż i w polu szczycą się jój znaki.

Orłem umyślił pan hetman uderzyć
I tę wołoską wielką moc zadzierzyć:
Naszych nie było jedno pięć tysięcy
I to nie starych, lecz wiele junoszy,
Dufał o sobie wprawdzie huf panięcy,
Lecz wielka orda była téj Wołoszy,

Bo na pięćdziesiąt tysięcy liczono
I dział pięćdziesiąt było za ich brona.
Więc gdy w obozie rozeszły się słuchy,
To się poczęły trapić płoche duchy,
Tedy mówili niektórzy, że dobrze
Porzucić działa i w zwrot do Halicza;
Ale pan hetman rzekł im na to chrobrze:
„A niech od tego Pan Bóg mię uchowa,
Bym ja klejnotu króla odbiédz miał,
Raczéj niech legnie w boju tutaj głowa,
Niżbym bez bitwy wrogom plecy dał;
Tutaj zwyciężyć, albo tutaj ledz!“
I do Sieniawskich, których było trzech,
Począł pan hetman taką mowę rzec:
„W Bogu nadzieja, w Bogu i w téj główni,
Wszakże my swoi, wszak my konherbowni,
To nam nie wątpić, ale w miejscu stać;
A jeśli przyjdzie tutaj gardła dać,
To niech mogiła na granicy tu,
Jako Piotrowin da świadectwo chrztu,
I niechaj znają, co czyje, co nasze!“

Na taką mowę wzniosły się pałasze,
A hetman z konia i padł krzyżem w prochu
I całe wojsko „Pod Twoją obronę“
I było wiele serdecznego szlochu.
Proporce wiały w nieprzyjaciół stronę
I wielkiém sercem powróżono dobrze,
Kiedy pan hetman tak zagał chrobrze;
Kiedy się dźwignął, nikt nie wątpił nic
I już na Wołosz pragnął każdy biédz.

Był tam Szafraniec z Tłumacza, mąż dzielny,
Co godzien stawić czoła w sprawie czelnéj,

Lecz go o świcie wysłał hetman precz,
Aż wszyscy patrzą, coby na to rzec?
Więc tylną bramą Szafraniec się zwinął
I w świat za oczy popędził i zginął.
I znowu chwila i cicho i głucho,
W miejscu a w miejscu stoją wszystkie szyki,
Hetman do ziemi sam przyłożył ucho
I słyszy one wołoskie wybryki,
Jak działa dudnią i chorągwie kroczą
I jako z wozy ciężki tabór toczą.
I do Sieniawskich: „Wielka moc wołoska,
Lecz większa, bracia, na niebie moc Boska!“
A w tém i Wołosz już na oko sunie
I coraz szerzej sięga i oblega
I wszystkie tabór do koła obiega
I jeno czekać, kiedy z dział swych runie.
W on czas pan hetman kazał Balickiemu
Zatylną bramą z chorągwią wyruszyć
I Balickiemu i Trojanowskiemu,
By snadniej było moc wołoską skruszyć;
A wielką bramą sam wyruszył przodem,
Bo hetman z czołem, to i Bóg z narodem;
Tam to Sieniawski za pomocą Boską,
Na sobie dzierżył wszystką moc wołoską.

Pięćdziesiąt harmat Wołoszyn zasadził,
Lecz niosły górą, jedno drzewce gładził,
I przez pięć godzin trwały te roboty;
Aż on Staszkowski herbu Bogoryja,
Starszy z puszkarzy i mąż dobrej cnoty,
Z onego działa, co zwane jest „Żmija“,
Ba też i „Samson“ tak Wołoszę parzy,
Że już i bitwa w końcu się przeważy
Na naszą stronę; tedy hufiec walny

Wyruszył wszystek z wielką armaturą
I okrzyk powstał: „Górami nasi, górą!”
I rozerwała wszystka moc wołoska,
Bo w téjże chwili z chrustu się wysunął
Zacny Szafraniec, i zajął od skrzydła,
Chorągwi całej nie dawszy wędzidla,
Więc i do razu wszystek tabór runął,
Bo rozumieli, że iście moc Boska,
Że to posiłki przybyły Polakom
I że nie ostać się wołoskim znakom.

Ranny Petryło i harmat zaniechał
I ledwo z życiem a z hańbą ujechał.
A nasi jeńców i te działa liczą
I cały tabór zabrali zdobyczą,
I każdy wierzył, co był na téj bitwie,
Że widział cuda na swe własne oczy
I o hetmańskiej powiadał modlitwie,
Co w powrót działa do ojczyzny toczy;
Bo co Jan Olbracht zostawił po stronie,
To Jan z Tarnowa powrócił Koronie.

Mówił Maruszka, co był w bitwie onéj,
Jako hetmańska tam się zdała sprawa:
Gdy z dział uderzą od wołoskiej strony,
Aż tu w tym hufcu, co na czele stawa,
Oraz zarżały straszno wszystkie konie
Niby na rozkaz, całe jakby z rządu,
I rżą i grzebią ku wołoskiej stronie,
Jak gdyby czuły dzień Bożego sądu;
I on las kopii załomotał w górze,
A już proporzec, niby piorun w chmurze.
I znowu strzelbę puścili Wołosi
I znowu koni jeszcze większe rzenie,

Aż strach w siedzeniu, tak się źrebiec prosi,
A górą w kopjach jeszcze chciwsze drzenie.
A gdy raz trzeci działa już zagrały,
W całym obozie wszystkie konie rżały,
Tak im ochotnie było i wyskocznie,
Że szyk wołoski męszał się widocznie.
Tedy pan hetman, który stał na skrzydle,
Rzecz Maruszcze z dobrą wróżbą w oku:
„A no, czy baczysz jaki popłoch w bydle?
Znaj, po com kazał strzelać przy obroku.“

Kiedy Wołosi ujrzeli tę sprawę
I taką straszną wszystkich źrebców rzawę,
Poczęli chytrze: nuż tabór oblegać
I z czoła groźnie, od tyłu obiegać.
Tedy pan hetman wysłał Balickiego
Z porządnym hufem na zatylnią bramę,
Aby ad skrzydła urwał wołoskiego,
Hufy rozerwał i wyrąbał szramę.
On to Balicki, acz był zaszły w laty,
Lecz na sercu nic! Więc tak stanął w radzie,
Że nie stawają już lepiej z bułaty,
Że gdy spał hufiec i konia na zadzie,
Koń na trzy kopje jeno zadem kroczył,
A pan Balicki sam próporcem toczył
I oraz Wołosz na pokosy kładzie.
Tedy pan hetman, Maruszka powiadał,
Gdy się Balicki tak z rycerska nadał,
Zdjął rękawicę żelazną z prawicy
I patrzył w pierścień, co go chował w darze
Na upominek pana kasztelana,
I po hetmańsku świeciło z źrenicy
I rzekł: „Nie darmo klepsydra jest dana!“
A wtém Szafraniec ukazał się w jarze,

I zwyciężyła iście już moc Boska,
Bo rozerwana wszystka moc wołoska.

Książd Orzechowski, którego znał dobrze
I który świadczył o bitwie zaszczytnie,
Mówił mi nie raz: „Że nigdy tak chrobrze
Już nie bywało, jak słyhać z daleka,
I nigdy dawniej i za jego wieka,
Chyba tak w Latium bito starożytnie!“
—„Magnus! a Magnus!“ mawiał pan Maruszka.
—„Amor! a Amor!“ powtarzał pan Gruszka.

WYPRAWA DO CHOMŁA I STARODUBA.

Anno Domini 1535.

Ledwo pan hetman po onój potrzebie,
Co nieco wytchnął w Wielowski u siebie,
A już posłańce bieżą z listy drogą,
Że książ moskiewski potargał przymierze
I już na Litwę z wojskami się bierze
I na Zygmunta podniósł wojnę srogą.
A że nie miała Litwa w onój dobie
Nic gotowego na wojnę po sobie,
Owo ku temu przyjść w końcu musiało,
Że na Tarnowskim, jakoby na tarczy,
Jak na Zawiszy, i Litwie wystarczy;
Boć i przypowieść niosła to już z chwałą,
Jako i po krwie był z Zawiszy rodu,
Że kiedy przyjdzie w Litwie i w Koronie
Zatkać złe dziury i wyskoczyć z przodu,
Jedno on zawsze na odsiecz przy tronie.

Król bawił w Wilnie bardzo niebezpiecznie,
A sejm piotrkowski na same Trzy Króle,
Chociaż bez pana, uradził statecznie
I potrzeb Litwy podjął bardzo czule,
Bo uchwalono, aby posłać panu
Wojska koronne i daninę z łanu;
A w Litwie wszystek sejm już na tym stał,
Aby Król Jana z Tarnowa im dał.

Był ci tam wprawdzie i wielki litewski,
Lecz gdy Bóg światu dał znów znak niebieski,
To ów srogota z dobrej woli niższy,
Sam się już poddał sprawie znacznie wyższej;
Bo była świeża pamięć o komecie,
Co był pogroził różgą Golofecie.
A z téj komety, co zjawił się świeżo,
Żle powróżono Moskwie od północy,
Lecz i w Koronie i na Litwie wierzą,
Że tylko jeden miał łaskę téj mocy,
Co z niebem w dobre wiąże się sojusze,
Że jeden tylko miał hetmańską duszę.
Otóż mi mawiał nie raz pan Maruszka:
Gdy się na Litwie nam znaczyła dróżka
Nie lekkich ludzi hetman wywiódł w pole:
Był tam Mielecki, rotmistrz Starzechowski,
A i Sieniawskich miał w rycerskim kole,
Dobrze służyłych w potrzebie wołoskiej;
Był Andrzej Herburt wielkiego ćwiczenia,
I w całym wojsku nie było jelenia.

Gdyśmy już byli wyruszyli z domu,
Spiął się pan Górka, kasztelan poznański,
I miał też z sobą hufiec także pański,
Że było w oczy całę pojrzyć komu.

Jeszcze od Orszy bawiło dwóch z Litwy
Szlachty rycerskiej na hetmańskim dworze:
Jeden podeszły i zwał się Czeszejko,
Drugi lat średnich, imieniem Norejko;
Stary już nie mógł na koń, ni do bitwy,
Ale z nim tylko hetman wówczas radził,
A on od siebie Norejkę wysadził,
By służył panu onych stron znajomy:
A kiedy weszli już w puszcę i w łomy,
Wiecznie Norejko chodził tylko przodem,
Jako świadomy w Zapuszczańskim szlaku,
I nocą tylko powracał do znaku,
A wojsko ciągnęło za jego przewodem.

Nikt się nie dziwił stróżliwości pana,
Że gęste straże rozsyłał na boki,
Bo wróg był chytry, a ziemia nieznana;
Ale się temi dziwiono obroty,
Że wziął na wojnę z Wieliczki otroki
I był nieznacznie dodał do piechoty.

Z Trok nie na Wilno, lecz szedł na Oszmianę,
Gdzie Nerekowi wszystkie ścieżki znane;
Dnia więc pewnego hetman wojsko minął
Samotrzcę tylko, z Norejką, z Maruszką,
I w bok się rzucił jakąś leśną dróżką
I na dzień cały gdzieś dla wojska zginął.

Gęstwinią jechali długo i powoli,
Strona odludna i niby zamarła,
W tém naprzód górą puszcza się przetarła,
Dałej poletki i dworek na roli
Świeci kominy za wielkim chmielnikiem.
Norejko ruszył i wraca z językiem,

A hetman pyta: „A gdzie Sawicz siedzi?“

A język na to:

„Da zabrał leziwo

I poszedł w barcie, bo to od niedźwiedzi

Wiele nam bywa dobrodziejstwa szkody.“

— „Więc prowadź w barcie!“ rzekł mu hetman żywo.

A leśnik ruszył po przed końmi wprzód.

Długo prowadził dziwnymi wykrętami:

Łosia spłoszono i klempę z cielęty,

Już pan Maruszka chciał wypalić do niej,

Lecz hetman gniewnie strzału mu zabroni

Bo psa szczekanie ozwało się z głębi;

Patrzą: wśród puszczy dym się jakiś kłębi,

Leśnik po sosnach bacznie okiem śledzi

I rzekł: „Ot Sawicz hen na barci siedzi!“

„Pomaga Bóg! Sawicz, dobrze umiesz radzić

O Bożym statku,“ rzekł hetman łaskawie,

„To i potrafisz niedźwiedzia odsadzić

Od naszych barci, a czas na to prawie.“

A Sawicz zdziwion: „A cóż tam u Boga!“

— „Złaz co najrychlej, bo znaczy się droga.“

Zwolna zlął Sawicz po barciem leziwie

I zląwszy, w oczy popatrzał stróżliwie

I do Norejki: „A co wy za jedni?“

A on mu na to: „Ja swój, bo Norejko,

To pan Maruszka, a to nie powszedni

Gość w naszej Litwie.“

Na to Sawicz: „Witam!“

I ścisnął pana pocziwie za strzemię

I rzekł mu ze czcią: „O tego nie pytam;

Bo już ciż widzę, że to hetman w ziemi!“

Lecz zkąd wam do mnie?*

— „Przysłał nas Czeszejko.“

Więc Sawicz na to: „Aż tędy to chodzi?

To wam aż droga poszła puszczą głuchą?

Więc proszę z konia, kiedy tak się godzi!“

I długo z panem rozmawiał na ucho.

Bardzo świadkowie dziwili się temu,
Że Sawicz poznał do razu hetmana,
Bo nigdy w oczy nie widywał pana,
A strojem równy był w ten czas szaremu.
Kiedy skończyli, rzekł Sawicz: „Do domu
Mnie już niewracać,“ a Maruszcze rzecze:
„Daj kindżał, czapkę i burkę bez sromu,
Bo ztąd już prosto Sawicz się powlecze.“
Hetman na drogę dał mu kiesę złota
I owo zgoła skończona robota.
„Jeżeli zginę, to panie hetmanie,
„Niech tam za duszę ofiara się stanie.“
A już odchodząc mówił do leśnika:
„Pilnuj mi barci mój poczciwy chłopie,
A coś tu widział, nie puszczaj z języka,
Bo jak powrócę w rojście cię utopię.“

Wjazd był wspaniały uczynił do Wilna
Pan hetman z wojskiem, witany od króla,
Od jego dworu i wszego narodu;
A gdy ujrzeli taką sprawę z przodu
I takie wojsko idące do pola,
Owiała Litwę otucha niemylna,
Że hetman dobrze poradzi już temu
I jak ma z rodu, opędzi się złemu.
Jakoż gdy doszły Iwana te słuchy,
Jaka tam sprawa i jakie tam duchy,

Umknął książ z wojskiem, choć się bardzo jadził;
Tylko Starodub i Chomłę osadził,
Bo już z imienia hetmana miarkował,
Że nie z starostą Czerkaskim mu sprawa,
Co po kozacku ziemię mu wojował,
Ale że wielka siła w polu stawa.

Chomła dobyli nasi bez odwłeki;
Więc pod Starodub zwrócił hetman kroki,
Obegnał zamek do koła z Owczyną,
A nocą puścił pod ziemię otroki;
Lecz i dnie całe i tygodnie płyną,
A zamek stoi zbrojny w dobre wieże,
W silne parkany i w setne okopy,
A osadzeni wybornymi chłopcy,
I pan ni wierzchem, ni spodkiem go bierze.

Dziwny niepokój wojsko opanował,
Miejsce nieczyste, tak mówiono sobie,
Gdzie wojsko stało: i albo bies kował
Nocą pod ziemią, albo w nocnej dobie
Puszczają Owczyna czarnoksiężkie sztuki,
Bo miał znachorów od ciemnej nauki,
Co bardzo ludziom bywają szkodliwi;
Więc gdy się żołnierz nocą niecierpliwi,
Hetman pod bronią wszystkich stawi głucho,
A sam do ziemi przyłożył już ucho.

Było to prawie jakoś przed północą,
Gdzie zły duch bywa dla ludzi z przemocą;
Wszyscy pod bronią stali jakby wryci,
A hetman kazał po poręczach śledzić,
Kędyby drgnęły, kiedy pocznie kować,
Więc by mu zaraz o tém opowiedzieć.

Jakoż znać dano jeszcze przed północą
Od pancernego hufu, że coś kowa
I że proporce coś z lekka migocą,
Choć wiatru niema. Hetman na te słowa
Poszedł na miejsce i przyłożył ucho;
Więc drugi, trzeci, i coś kuje głucho.
Kiedy podziemne kucie obsłuchano,
Kotły hetmańskie na rozkaz podano
I kilka grochów po skórze puszczone,
Czy się nie stoczą? I zadrgały grochy,
A hetman rzecze: „To puste popłochy.“
I w téjże chwili miejsce zatyczono
I straż stanęła, aby plac nie zginął.

Powyżej wojska wartki potok płynął,
W którym napawał cały obóz konie,
Więc ślad wyznaczył hetman ku téj stronie,
I nim odniało, kazał rów przerzucić
I cały potok do obozu zwrócić.
Potém pod ziemię puścił znów otroki,
Wybito stolnię, i nim dzień się schopił,
Puszczono potok do stolni głęboki,
A tak pan prochy i Moskwę zatopił...!
Więc i okazał, jaka moc szatańska,
A jaka służba w obozie hetmańska.

On wódz moskiewski, choć chował znachory,
Nie znał, że nasi podbićrają nory
I że co nocy pod ziemią się wożą
I pod zrąb prochy lada dzień podłożą.
Bardzo Owczyna hardził z tego zrębu,
Bo był w izbice urąbiony z dębu,
Że go ni strzały z obozu uszkodzić,
Ani wziąć wierzchem, ani téż ogłodzić;

Więc gdy pod węgly podłożono prochy
I zdatnie knotki obstawiono lochy,
Hetman dał głośne hasło do odvodu,
Jakby się trzymał w powrót do narodu;
A z wałów zamku wzniosły się okrzyki,
Gdy już z odwrotem ruszyły te szyki.
Tylko pan hetman nie poruszył kroku
I wielką wieżę miał ciągle na oku,
Więc jaki taki poglądał za siebie.
Kruk na Starodub zakrakał na niebie,
A chwilą później płomień z wieży błysnął,
A hetman chustką ku otrokom cisnął,
I poszedł ogień przez podziemne lochy,
I w niebo zamek wysadziły prochy,
I było cale wszystkim jak na stypie,
Bo sama Moskwa z płomieni się sypie.

Wtedy nabrano i skarbów i ludu
Nadspodziewanie, a prawie bez trudu;
A kiedy jeńców było znacznie więcej
Niżeli naszych, hetman ważąc sobie
To, co ojczyzna zdała mu pocziwie,
Ściąć bez omieszki dał kilka tysięcy,
Bo jużciż lepiej, by wróg leżał w grobie,
A ten co służy ojczyźnie, niech żywie.

Onego czasu, gdy Moskwę ścinano,
Z krwawej obłaści do pana znać dano,
Że jakiś człowiek nie miałby być święty,
Bo chce pokazać, gdzie jest skarb zamknięty,
Jeżeli życiem nasi go obdarzą.

Więc go stawiono przed panem pod strażą.
Chromął na nogę i miał ranną rękę

I nie zgojony jeszcze szram przez szczękę;
Spojrzał nań hetman, a to on ten samy
Sawicz od barci, założony szramy.
I hetman jęknął: „Kamień spadł mi z piersi,
Że jeszcze żyjesz i że cię Bóg chowa!“
A on mu na to: „Wy panie najszczerzy,
Bo moja służba, ale wasza głowa.“
— „A któż cię bracie tak szramy założył?“
A Sawicz milczał i patrzył przed siebie;
Hetman nacisnął, a Sawicz się zbożył:
„Sam poraniłem siebie w téj potrzebie,
Bo by Owczyna nie był dał mi wiary,
Że wracam do nich jako sługa stary.
Kiedy złą drogą pan Gliński nas wodził,
To jam po Moskwie wówczas za nim chodził;
Człowiek był młody i służył, bo służył
I strach pomyśleć komu się zadłużył,
Więc myślę: kiedyś za młodu był głupi,
To niech na starość bięda za to łupi,
Coś można było może zrobić złotem,
Ale krew tańsza, a nie swoje złoto,
Tom stare grzechy oblał krwawym potem,
A coś chciał panie, zrobiłem z ochotą.

Tu dobył kiesę i chciał oddać panu.
„Nagroda idzie z zasługi i stanu,“
Rzekł mu pan hetman, a on: „Czyż ja w biedzie,
Kiedy ojczyzna za wami bezpieczna,
A łaska wasza dla sługi stateczna?
Niech to na większy ołtarz panie idzie!“
Więc hetman szpinkę zapiął mu w koszulę
I z łzami w oczach uściskał go czule,
Potém pożegnał Maruszkę, Norejkę
I rzekł: „Pozdrówcie starego Czeszejkę,“

I nic o sprawie nie mówiąc nikomu,
Jak stał, tak prosto poszedł znów do domu.

Nie wolno było na hetmańskim dworze
O Starodubie wspomnieć nawet słowem,
Bo co Bóg nakrył całunem grobowym,
Tego człek tykać bez trwogi nie może.

Kiedy pan z wojny wrócił do Tarnowa,
Tylko z Czeszejką była o tém mowa,
Że z Staroduba poleciały strzepy,
A stypę Moskwie wyprawiły sępy,
Bo dał ściąć jeńców na kilka tysięcy,
Aby koronne rycerstwo ocalić,
Więc i do śmierci nie przestał się zalić
Panu Maruszcze, że mu to najwięcej
Żywot zchmurzyło, chociaż stał w tém hardo,
Że jako hetman zrobił tylko swoje:
„To i przed Bogiem ufam, że dostoję,
Bo mi buławę kazał trzymać twardo!“

Jakoż stwierdzała to każda potrzeba,
Że miał coś więcej dane sobie z nieba
Nad zwykłe dary i zwykłe sojusze;
Bo kiedy w sprawie zebrał wielką duszę,
To mu świadczyły w narodzie potęgi,
Więc i na niebie wielkie Boże znaki,
Że tylko pisać kroniki i księgi,
Jakiemi przeszedł w tej ojczyźnie szlaki....
Jakoż prawiono i w trwodze i w chlubie
Nie lada rzeczy i o Starodubie,
Bo i dnia tego i téjże godziny,
Gdy hetman sięgnął po gorzkie wawrzyny,
Wieść się rozbiegła po całym Krakowie,

Że Moskwie poszło cale na bezgłowie ;
I choć nikt nie znał, zkąd poszła wieść taka,
Każdy od króla wierzył do żebraka,
Że tak jest pewno i tak nieomylnie!
I gdy dzień wieści Bożej zapisano,
I z twierdzy onój wzięciem porównano,
Tedy uwierzył cały naród silnie,
Że jest koronnym i Bożym hetmanem,
Co łaski z nieba wziął bardzo tajemne
I że ma swoje anioły zajemne,
Co kroki jego prowadzą przed Panem,
A sławę jego w setne mile przodem,
Głoszą cudowną trąbą przed narodem!

Magnum in patria certavit certamen,
I była dusza wielka i ognista
I niech jój świeci światłość wiekuista
Na wieki wieków!

Amen! Amen! Amen!

K O N I E C .



Z WYPRAWY WIEDŃSKIEJ.

RAPSOD RYCERSKI.



Wielka potrzeba — idzie głos po kraju:
„Na odsiecz Wiednia, nad brzegi Dunaju!
„Aby ochełznąć niewierne pogaństwo,
„O! ratuj królu Wiedeń i Chrześcijaństwo!“—

I król się dźwignął i w sile i w wierze,
I uczuł wielkim mocarzem na tronie:
Więc i obesał wici po Koronie —
I zewsząd ciągną Maryi rycerze.
Do wielkiej służby wabi ich ochota:
A król za siebie, za naród i wiernych
Zbrojąc się w duchu, czyni święte wota.
I słychać o tém po ziemiach obszernych,
Że sam rycerstwo na potrzeb powiedzie
I lada dzień już do Krakowa zjedzie.
A że to w boju wstawiona Janina,
To i drży serce wiernój ziemi syna,
Że pójdzie znowu po kotle i trąbie,
I szczyrby szablą w tym wrogu wyrąbie,
Co mu tę ziemię nachodzi od wschodu.
I znów otwarta chwała dla narodu,
Kiedy na odsiecz zajdzie jemu w oczy,
I nad Dunajem walną bitwę stoczy.

Na miejsce zbioru wyznaczono Kraków:
Więc i hetmani przybyli tam przodem,

I émią się szlaki od rycerskich znaków,
I ciągną wojska ochotnym pochodem.
I stary Kraków rycerzy przytula —
I wszyscy tylko czekają na króla.
Król w Częstochowie z całego żywota
Uczył spowiedź, — więc niebios Królowy
Której był złożył buławę na vota
Jeszcze hetmanem, — żałośnemi słowy
Polecił siebie i naród i państwo
I wszystkich wiernych i całe Chrześcijaństwo.
I kiedy powstał, był w sercu wesoły. —
„Obejdziem jeszcze krakowskie kościoły“ —
Siadłszy na konia, do swoich powiada:
„To się i znajdzie na psa Turka rada —
„W Bogu nadzieja“ — rzekł duchem natchnięty —
„W Imie Maryi, w Imie Trójcy świętej!“

I ledwo stanął na zamku w Krakowie,
Pragnienie serca biskupom opowie,
Że chce procesyą obchodzić kościoły, —
I prosić Świętych Pańskich o przyczynę,
Którzy wspierali w bojach tę Janinę; —
I chce pożegnać progi stariej szkoły,
Gdzie go uczono téj bojaźni Bożej,
Zanim w obronie Krzyża się rozsroży.

I uderzono wraz we wszystkie dzwony —
I poczt wyruszył — stary Zygmunt jęczy:
Więc i powaga biła od korony:
Na chwilę mignął łuk podwójnej tęczy:
I od świętego Stanisława trumny
Ciągną na Skałkę pobożne kolumny —

Naprzód o wielkiej winy przebłaganie!
Za poprzedników niechciej karać Panie! —

A gdzież od grobu wielkiego patrona
Miała się uciec ta Polska Korona,
Jak nie do grobu kmiecia zakonnika,
Grobu świętego Szymona z Lipnicy,
Który w pokorze dla grzesznych odmyka
I łaskę nieba i Bogarodzicy? —

Przy świętym grobie wdowy Salomei
Oddał król serce pocziwój nadziei:
Że serc niewieścich cnotliwych tak wiele
Przyczyną swoją zastępem w Kościele;
A grzech rycerstwa, i Pan Bóg nie raczy
Pamiętać w łasce, gdy taki tór znaczy. —

Potém do grobu szli Jacka-Polaka —
Bo kiedy Boża była wola taka,
Że w ślady jego apostołskiej drogi
Dziś w naród jeden spoił się lud mnogi,
Pod jedném berłem, pod jednym kościołem,
Toć prośmy Jacka przed tą drogą społem,
By dał zwycięztwo obrońcom téj wiary,
Co śladem Ojców chodzą w ziemi starój. —

A cóż dopiéro w Maryackim kościele —
Tu już się krzyżem król i naród ściele,
A z ponad wieży ozwą się hajnały
Na okolice, na znak onój chwały.

Jak wonne kwiaty, w tym Bożym ogrodzie,
Rozsadził Pan Bóg swe święte w narodzie;
By wonią ducha i wonią żywota
Mocno podparta kwitła polska cnota. —
Otóż umiłuj człeku i wybiéraj
I w tym ogrodzie twe serce otwieraj

Niebu, i ziemi, i dziejowej toni, —
A duch cię świętych wesprze i obroni. —

Święty Floryanie! Ty wielki rycerzu,
Coś z dobrej woli do rycerskiej ziemi
Przeniósł Twe kości, my z Tobą w przymierzu,
To nas i wesprzyj prośbami Twojemi. —
Jako ty gasisz piekielne zarzewie,
Tak my w obronie krzyża stajem w gniewie,
W tym gniewie Bożym, którym sam Bóg miecie,
By prawdy jego świeciły na świecie. —
I miłościwie patrzył się z ołtarza
Ów rycérz święty na króla -rycerza;
A każdy sobie to w sercu rozważa,
Że nie odmówi rycerstwu puklerza;
Bo gdy się Polsce obrał za patrona,
To w nim gotowa dla Polski obrona. ---

Wieża, co strzelić ma w jasne obłoki,
Musi mieć dany fundament głęboki. —
Mizerny żaczku, co klęczysz przy grobie
Jana Kantego, świętego doktora,
I co na żywot zbierasz łaski sobie,
Ty opowiadaj, co to jest pokora:
Gdzie głąz węgielny téj maryackiej wieży
I jak wysoko ona w niebo bieży. —

I król łzę otarł, pomny swéj młodości,
Przy wielkim grobie, gdzie się młodzież zbiera,
I kędy rektor drogę życia prości,
I skarby ducha dla wiary otwiera. —

Od świętej Anny wprost już ku zamkowi
Ruszył poczt cały, — a król się zatrzyma,

I patrząc w niebo te słowa wypowie: —
„Bez świętej ręki łaski nieba niema:
„Gdyśmy obeszli krakowskie kościoły,
„I groby świętych, których ziemia sławi,
„To wstąpmyż jeszcze do tej stariej szkoły,
„Niech nam mąż boży w drogę błogosławi“ —
I gdy dwór cały wstrzymał się przed progiem
Tęj Almy Mater — król w trosce zapyta:
„A czy mój rektor może już przed Bogiem,
Że ucznia swego u tych bram nie wita?“

„Królu a Panie“ — rzekły mu doktory:
„Rektor Dąbrowski od dawna już chory,
„Z łoża boleści nie wstaje na nogi:
„Toć i sam nie mógł zaprosić w te progi
„Ucznia swojego, co mu przepowiedział,
„Że jak Piast będzie w tém królestwie siedział,
„W koronie Piastów i chwałą okryty,
„Dla szczęścia Polskiej Rzeczy-pospolity.“

Król spojrział w niebo i rzekł: „, Tak ci było—
„Co przepowiedział na mnie się ziściło
„Et inter pares starszym być kazano:
„Błogosławieństwo dał rektor na wiano;
„A to co przejrzał, gdy mi błogosławił,
„Pan Bóg w swęj łasce nie godnemu sprawił. —
„Wszystko co dane, dane było z nieba;
„Ale dziś ciężka zawisła potrzeba
„Nad ziemią ojców, i nad wszystkim światem:
„Turczyn pogroził Wiedniowi bułatem,
„I ku odsieczy biędz tam na nas padło,
„I Cesarz wzywa, — i Rzym błogosławi:
„Więc i świat cały w kościele to prawi,
„Że już na polskiej szabli wszystko siadło.—

„Juris et belli dubius est eventus;
 „A więc z ciężkimi myślami się noszę,
 „I tu, gdzie wiodła mnie niegdyś juvenus,
 „Król uciśnięty w te progi się proszę;
 „Bo bez krzyżyka mojego rektora,
 „Bardzoby była ta droga niespora“.—

„A jakże rektor przyjmie króla — pana?
 „Celka maleńka....“

„Ja klęknię na progu.“—

Otwarto drzwiczki — a król na kolana —
 I rzekł ksiądz rektor: „Witam króla w Bogu,
 „Jako zwycięzcę! i nie trap się w duchu:
 „Pójdzie rycerstwo z Bogiem i w posłuchu —
 „I błysnie boże dla ziemi zaranie
 „Dla mnie ostatnie, — i zwyciężysz panie...“

Na takie słowa wszystkich przeszło mrowie;
 Bo głos rektora był wieszczu i silny
 I jak proroctwo w Panu nieomylny. —
 Więc i po chwili rektor dalej powie:
 „Wszakżem ci Janku niegdyś przepowiedział,
 „Że będziesz panem w tej koronie siedział.
 „Dziś, królu-panie! przepowiadam tobie:
 „Że zbierzesz laury, gdy ja legnę w grobie:
 „Gdy wieść cię dojdzie o tej mojej śmierci,
 „Niby gad podły, porozcinasz w ćwierci
 „Tabor pogański — i Janina złamie
 „Wszystką moc jego, i Chrystusa znamie
 „Ostatnie w ziemi od pogan nietknięte.
 „Idź królu-panie! Spełń wyroki święte:
 „Bóg błogosławi tej krzyżowej sprawie,
 „A ja tym krzyżem tobie błogosławię!...“

Król schylił głowę, i łza błysła perłą
I westchnął z cicha — „Święty mój mentorze,
„Schylam mą głowę pod krzyżowe berło,
„I niech się pełnią te wyroki Boże.“ —

Gdy król się w duchu zbroił do téj drogi,
Rycerstwo polskie zalega obłogi
Do koła miasta, po obojój stronie,
I chrzęszczą zbroje i rżą chyże konie,
I postać hufców groźna i poważna,
I znak hetmański pośrodku migocze,
I las porpców barwami furkocze
I mówią ludzie: „Ziemiaż-to posażna,
„Co takie hufce na potrzeb wyprawia
„I sławne z ojców w synach znowu wsławia.“ —

Więc wielka była do boju podnieta,
Po onych słowach świętego rektora:
Drogę wskazywał na niebie kometa:
Dzielność w prawicy, a w sercu pokora.
Po takim stroju wszystko wojsko sunie:
Żelazny całun ledwo zdradza ruchy:
Każda chorągiew w żelaznym całunie;
A w duchu króla żyją wszystkie duchy. —

Szlakiem szło wojsko na tarnowskie góry:
Po niebie przeszły jarzębiaste chmury,
I nic pajęcza sunie się po ścierni,
I zaświeciła jesienna pogoda;
A wojsko sunie na przewał jak woda;
A ludzie mówią po sąsiednim kraju:
„Sam król ich wiedzie! Patrzenie, jacy wierni,
„Jak pieśń pobożną po starym zwyczaju
„Śpiwają sobie, i jak ciągną karnie. —

„Ej! będziesz wojna! — gdy Turka ogarnie
„Takie rycerstwo, niezłamane w duchu,
„A prowadzone w królewskim posłuchu. —

Okolo Berna zabiegł drogę panu
Prymas węgierski, arcybiskup Granu;
Bo już królestwo świętego Szczepana
Przeorał Turczyn i pod Wiedeń dążył.
Więc król z wojskami nie czekał do rana;
Ale gdy orzeł nad wojskiem zakrążył,
A wojsko zaszło na rozstajne drogi,
Za wróżbą orła odgadł, kędy wrogi
Toczyli tabor, wzdłuż brzegów Dunaju;
I wskazał drogę choć w nieznanym kraju. —

Pod Tulnem most już gotowy zastali
Nasi na czajkach — więc przez Dunaj dalej
Ciągnęło wojsko przez dwa dni i noce;
A na Dunaju, na wyspach, szeroco
Cesarskie wojsko, ba i elektorów
Legło porządnie — i wedle taborów
I nasi legli szerokim obozem. —
Z onójto kępy, osobnym przewozem
Elektorowie przybyli powitać
Króla naszego, i o zdanie pytać:
Stanęło tedy i consilium belli:
Elektorowie zdanie swoje mieli;
Lecz król jegomość ordynans cesarza
Pokazał w ówczas i rzekł postaremu,
Że wszystko wojsko jest oddane jemu
Razem z wodzami, — co gdy każdy zważa,
Zalimitował król radę na jutro
W nadziei, że się zdania lepiej utrą. —
Jakoż nazajutrz złożyły się rzeczy,

I nikt starszeństwa królowi nie przeczy.
Król elektorów zaprosił do stołu,
Gdzie nasi starsi siedzieli pospołu,
I gdzie honeste częstowano gości:
Więc po obiedzie król dla ich miłości
Wyskoczne konie, a w drogiem siedzeniu,
Przed swe namioty wyprowadzić każe,
I elektorom ofiaruje w darze. ●

Po tym obiedzie i sutém uczczeniu
Król się zapyta: „A macieź języka?
„Czy podjazd chodzi pod nieprzyjaciela?“
Tedy i jeden i drugi utyka,
I król zrozumiał w końcu ze słów wiele,
Że trzy tysiące dragonów wysłano,
Lecz że z nich żaden na powrót nie wrócił;
Otóż podjazdów teraz zaniechano.
Tedy król okiem w koło swoich rzucił,
I wybrał ludzie dzielne i co czystsze,
Byli-to z jazdy dwaj piękni rotmistrze,
Jeden z nich Ruszczyc, a Szumlański drugi:
Otóż król do nich na onczas powiada:
„Wziąć po sto koni zdatne do usługi;
„Bo bez języka, a w polu, zła rada:
„Dotrą mi Waszmość pod obóz wezyra,
„I który piérwszy czaty mi pozbiéra.
„Od nas do Wiednia nad dziesięć mil niéma;
„A więc mi ruszyć całym konia lotem,
„Za dobę czekam Waszmościów z powrotem.“

Tedy litością zmierzyli oczyma
Elektorowie obudwu rycerzy,
I szepczą sobie: szkoda ludzi, szkoda:

Bo nikt widocznie prócz naszych nie wierzy,
By ich nie miała spotkać zła przygoda.

Ale Bóg łaskaw, bo doba dobiega,
A Ruszczyc wraca z swojemi wzdłuż brzegą;
Trzynastu Turków przyprowadził w łyku,
A ani człeka nie utracił z szyku.
Siedmiu janczarów téż Szumlański wiedzie,
Ale rannego prowadzą na przedzie:
Jeden i drugi zrobił tedy swoje;
Lecz Szumlańskiego na wieczne pokoje
Złożyła wiara pod tym zamkiem wspólnie,
I pierwszy polski rycérz legł przy Tulnie.
Tedy głos zaraz poszedł po obozie
O tych-to jeńcach, i było nie mało
Podziwu z tego, gdy jeńców w powrozie
Na własne oczy starszeństwo ujrzało.

Król wydał rozkaz, by wojska ruszyły:
Toczono tabor każdy swoim szykiem,
I wielkie lasy wszystko wojsko skryły,
Które ciągnęło w góry komunikiem.

Tydzień przed bitwą odbito od brzegą;
Aż wśród obozu pochwycono szpiega:
Mówił po polsku, był Wołoszyn z rodu,
Przy dworskich króla służywał za młodu,
I znał z osoby króla jegomości;
Ztąd téż go wezyr wyprawił w skrytości,
Bo niechciał wierzyć, że król w swój osobie
Miał się znajdować pod Wiedniem w téj dobie.
Otóż gdy szpiega złapano w obozie,
Gdy król jegomość publice objadał,
I postawiono przed królem w powrozie:
Król go ośmielił i człek się rozgadał. —

„Nie bój się człeku, nic tobie nie zrobię;
„Kiedyś mnie widział, to powracaj sobie,
„Powracaj z Bogiem, ja ci dodam strażę,
„I po za czaty wyprowadzić każę; —
„A powieść o tém wezyrowi twemu,
„Że komunikiem idziem po starem,
„Że przed wojskami ja ciągnę na czele,
„I na śniadanie służę mu w niedzielę.

Nie łatwa była przeprawa przez góry;
A więc król odciął obozowe ciury —
I często w rękach prowadzą rumaki,
Samociąg działa wypychają w górę,
Drąc się przez lasy i skały i krzaki;
Ale szczęśliwie wszystką armaturę
Przez te bezdroża przeprowadzono sprawnie,
Że aż pod Wiedniem wojsko stanie jawnie.

W ciągu téj drogi wypadek cudowny
Uderzył wszystkich; — dészczyk począł padać:
Namiot dla króla kazano rozkładać;
A że grunt w miejscu był trochę nierówny
Zrównać kazali — i obraz cudowny
Najświętszej Panny wydobyto z ziemi.
Król ze czcią wielką do ust go przykłada;
A jeden z dworskich do pana powiada:
Są i litery — „A jakie?“ król czyta: —
„Przeczytaj waszmość“ — A dworzanin pyta: —
„Johannes erit victor“ — Król się zadziwował,
I sam przeczytał — obraz pocałował,
Więc i powtórzył: „Victor! Victor! erit —
Ale przy którym Janie będzie merit
Onéj victorii?..“ — Nadchodziło święto
Imienia Maryi, więc na hasło wzięto

To święte imie, na dzień walnej bitwy,
Jako Patronki Korony i Litwy.

Więc dnia siódmego od onój przeprawy
Stanęły wojska na wysokim dziale,
Krocząc w cichości bez ognia i wrzawy.
I był z téj góry Wiedeń znaczny wcale,
Wraz z wielką wieżą świętego Szczepana;
I w wielkim lesie w cichości do rana
Stać tam kazano po wydaniu hasła;
Bo już téż zorza wieczorna zagasła.
Do koła Wiednia, w równinie obszernej,
Rozłożył wezyr swój tabor niezmierny,
I jak daleko tylko sięgną oczy,
Tysiące ognisk pośród mgły się mroczy:
Wezyr o naszych nie wiedział w téj chwili,
Chociaż nie było jak dobre pół mili.

Król był strudzony — więc namiotek z troku,
Który wożono, w prędcie wydobyto,
I na przyczółku łysym go rozbito. —
Zégarek kazał król położyć z boku,
I na posłaniu usiadłszy powiada:
„Mnie trochę spocząć przed bitwą wypada,
„Bo jutro czeka nas gorąca praca:
„Czuwaj Matczyński proszę przed namiotem;
„A jak wyskoczy na Szczepanie raca
„Dla mnie na hasło, dawaj mi znać o tém.“

Usiadł Matczyński — patrzy w noc i czuwa:
Wtém piérwsza raca z wieży się wysuwa,
A on do króla: „Już piérwszy znak dany.“
A król: „Więc stanął człowiek tam wysłany,
„I nasz Kulczycki dowodnie się sprawił:

„Wie już Starenberg, żem Dunaj przepawił.“
A w tém po chwili znowu błysło z wieży:
A pan Matczyński: „Druga raca bieży!“ —
„To wie Starenberg, żem nie długo bawił.“
„Lecz od taborów w góry się przepawił.“
Po chwili trzecia wyleciała raca;
Więc król powiada: „Jutro czeka praca —
„Bądź pochwalone Panie Imie Twoje:
„Wie już Starenberg, że w tém miejscu stoję!“
I Matczyńskiego na nocleg odprawił,
Nakręcił zégar — excytarz nastawił
Na samą trzecią — i usnął spokojnie;
A wszystko wojsko noc przestało zbrojnie.

Gdy spadł excytarz, król się piérwszy budzi:
„Hej! jest tam chłopiec — wołać do mnie ludzi,
„I znać mi dawać do wodzów i panów;
„Więc i pobudzić księży kapelanów,
„Bo o mszę proszę — rażno i nie bawić:
„A z bębnów mensę w tém miejscu ustawić.“ —
(Bo trzeba wiedziéć, że to oną dobą,
Za ordynansem króla jegomości,
Jednego wozu nie toczono z sobą,
I dla złéj drogi i dla gotowości.)

Wyszła msza święta; a król krzyżem leżał
I przyjął hostyę — i los bitwy zwierzał
Królowej nieba. — Kapucyn, Włoch z rodu,
Miał tę mszę świętą. Ołtarz stał od wschodu;
Więc ku Wiedniowi niby obrócony,
Przez mgły przeziérał tabor rozłożony,
I gdy ksiądz przy mszy miał wyrzec te słowa:
„Ite missa est!“ — rzekł i usłyszeli:
„Johanne vinces!“ — Więc cisza grobowa

Była na chwilę — bo o bitwy losie
Czytali wszyscy w tym proroczym głosie. —
Tedy gdy po mszy wszyscy się pytali
Onego księdza: „A coś to powiedział?”
I słowom jego świadectwa dawali,
Ksiądz zadziwiony nic o tém nie wiedział;
Więc znać już Pan Bóg przez te słowa jego,
Wyrzekł prorocstwo dla dnia idącego.
I weszło słońce krwawe na wejrzeniu,
I na znak dany wysuwa z pod cieniu
Wieczystych lasów wojsko, jak wzrok sięże,
I w blasku słońca zagrały oręża.

Król trzymał środek gravis armaturae
Na biodrach góry, jak gradową chmurę:
Więc prawe skrzydło cesarscy trzymali,
Na lewém skrzydle nasi w szyku stali.

Jako się piętrzy kra w wielkim zatorze,
I zanim runie, wspiera się na chwilę,
Tak wojsko one stało w strasznój sile;
A u stóp góry, tabor niby morze.
I gdy królowi rumaka podano,
Rwał grunt z pod siebie (Pałaszem go zwano);
A jak się orzeł pod obłokiem waży,
Zanim z wysoka na zdobycz uderzy,
Tak król przez chwilę oba wojska zmierzy,
I w końcu krzyknie do przybocznej straży:
„Niech tu Zwierzchowski z królewicza znakiem
„Staje przedemną!” — Goniec pomknął ptakiem.

Otóż niebawem i chorągiew staje,
A rotmistrzowi król ten rozkaz daje:
„Widzisz ten namiot? To namiot wezryra:

„Więc piérwsze laury niech królewicz zbiera.
„Weźmiesz chorągiew i z kopyta ruszysz,
„I przed wezyrem piérwszą kopję skruszysz;
„A potém nagle na miejscu się rzucisz,
„I da Bóg do nas szczęśliwie powrócisz.
„Trzeba się spisać i dzielnie i z gracka,
„By nie rzekł wezyr, żem napadł z nienacka.“

Król pojunażył — Zwierzchowski pozuszył,
I niby piorun z tą chorągwią ruszył;
A obóz cały jak gniazdo szerszeni
Zakipiał strasznie — i w wielkim tumanie
W środku taboru — bies się niby żenie:
A każdy czeka, co się z tego stanie?
Król karawaką ten tuman zażegnał,
Każdy nie wierzy, za oczy się maca;
Aż on Zwierzchowski i namiot obegnał,
I z małą stratą do króla powraca.

Bój się rozpoczął już po téj igraszcze
Na obu skrzydłach — i jako kra runie,
Całun żelazny spada po całunie;
W Imie Maryi i po Bożej łasce
Jest każdy całun już całunem śmierci,
Tabor wezyra rozcięto na ćwierci,
I gdy pochodem następują srogiém,
Goniec z Krakowa do króla przypada
Tylko z językiem — i z żalem powiada:
„Rektor Dąbrowski, królu! już przed Bogiem.“
Król konia wstrzymał i łzę z ocz ociéra:
„Serce-ż to było! dusza w Panu szczéra,
„I sługa Boży i kapłan proroczy.“
I w żalu serca zakrył ręką oczy.

Taka jest powieść o świętym rektorze,
I owo raspod o królu-rycerzu:
Oba się zdali na te sądy boże,
I stali z niebem w tém polskiém przymierzu;
A ztąd płynęły łaski niewymowne,
I w pasmie dziejów przygody cudowne.

A zem Polonus, więc nihil alieni,
Coby tam było, a me esse puto,
I co ceniono, to me serce ceni,
A czém się struli — tém i mnie otruto.

Otóż w pięćsetną składam ja rocznicę,
Jako grosz wdowi naszej Almie Mater,
To, czém od wieków stali tu dziedzice,
I czém stał naród i ów król-bohatér.

A teraz końca powieści dopowiem —
Nie przeszły dzieje po ziemi pustkowień,
Ale są w starój szkole zapisane,
I w pokolenia pismami podane.

Był ksiądz Dąbrowski uczonym doktorem,
W téj akademii — i szedł świętym wzorem
Jana Kantego, co jój w niebie świeci,
I do rozumu wiedzie ludzkie dzieci.
Różna to młodzież do téj szkoły chodzi,
Gdzie nauczają w imie Trójcy świętej.
Więc w onym czasie między pacholęty,
Chodzili także dwaj Sobiescy młodzi.
Maraś jednemu, Jaś drugiemu było,
I spojrzeć w duszy na chłopięta miło,
Bo i pobożni i oba dorodni
I choć młodzianki, już u ludzi godni.

Ródzic tych chłopiąt był panem krakowskim;
A już Jasiowi, za przejrzeniem boskiem
Ów ksiądz Dąbrowski z młodu przepowiedział,
Że będzie królem w téj Koronie siedział.
Do tego była okazyja tam taka:

Wiecznie na wierzchu są śmiechy u żaka:
Raz więc, na lekcyi, tak się wydarzyło,
Że ksiądz Dąbrowski biret sobie strącił,
Co wszystkich uczniów bardzo rozśmieszyło;
Więc gdy śmiech pusty spokój szkoły zmacił,
Rzekł ksiądz Dąbrowski: „Wszakżem wam oddany:
„Gdzież wstyd i rozum na Chrystusa rany!“
A tu się głośniéj jeszcze roześmiano:
Wtedy Jaś groźno spojrział chłopcom w oczy,
I zdjąwszy biret ku katedrze skoczy,
I podał biret całując kolano. --
Łzy trysły z oczów księdzu Dąbrowskiemu:
„Kiedy czcisz starszych, to Bóg po staremu
„Poczi Twą głowę — krzyż tu na niéj składam,
„I Bóg to ziści, co Ci przepowiadam. —

„Na pomazańca czoło Twoje znaczę,
„I widząc przyszłość przepowiadam Tobie,
„Mój miły Janku, że nie legnę w grobie,
„Póki w koronie Ciebie nie zobaczę.“
I spowaźniała nagle młodzież pusta:
A Jaś Sobieski pobladł niby chusta,
I przerażony kapłańskimi słowy,
Nie zdołał z piersi wydobyć już mowy;
Więc ksiądz profesor powstał i powiada:
„Skończyć tę wielką lekcję nam wypada.“
Odmówił pacierz z uczniami zwyczajny,
I zabrał Janka do téj celi skrajnej;

Co tam mówili, o tém nikt nie wiedział,
Dość że Jan królem w téj Koronie siedział.

W błogosławieństwie leży treść żywota,
I droga życia, i siła, i cnota
Na długie lata, — ba na pokolenia!
Błogosławieństwo trzyma głos sumienia
W obliczu Boga, i dziejów, i domu:
Błogosławieństwo od gromu i sromu
Ustrzeże duszę. — Bóg mógł tylko zbawić;
A człek, po Bogu, może błogosławić.

Życ za swe czasy, czić czasy ubiegłe,
I sad zasadzić, a i dom postawić,
I sławy ojców za siebie poprawić,
I do kościoła dodać chociaż cegłę,
I źródło dobyć, a i księgę nową
Na starą pułkę położyć dębową;
I zdobyć serce i dziecię wychować,
I młodą duszę w życiu pokierować,
Utwierdzić w wierze i w miłości kraju,
I co godziwe podać w obyczaju:
Wszak to się godzi po ludzku od wieka,
I taka droga pono dla człowieka
Wskazana w dziejach, w domu i w kościele.
Nie wiele zdołasz, więc rób, choć nie wiele:
Bo tylko pracą znaczą się te lata,
Jeżeli nie chcesz milczkiem zejść ze świata.
Otóż przy starych grobach powieść starą
Składam ja dzisiaj — bo nam żyją groby;
A składam sercem, z tą głęboką wiarą,
Że z podań płyną dla życia zasoby,
I że to z grobów tylko zmartwychwstaje,
Co śmierci ducha przystępu nie daje! —



OBJAŚNIENIA.

Objasnić nam tu wypada w tym rasporządzie parę historycznych faktów, na których się oparliśmy.

Zawsze miło jest sercem powracać do téj pięknej postaci króla bohatera, którego Janina jak była puklerzem chrześcijaństwa, tak została do gwiazd wyniesioną, i dziś przyświeca światu, jako znak niebieski — tém milój powracać do téj postaci króla Jana, że się z temi wspomnieniami wiązą tradycye akademii krakowskiej i starożytnego Krakowa.

Pamiętne na zawsze w życiu tego króla zostaną przed wyprawą wiedeńską chwile, w których się uzbrajał w duchu potęgą wiary, odwiedzając uroczystą procesyą groby Świętych Pańskich po wszystkich kościołach krakowskich i prosząc o błogosławieństwo dla oręża polskiego. Tradycya o księdzu Dąbrowskim, rektorze akademii krakowskiej, jest zapisaną w rocznikach biblioteki jagiellońskiej — kumunikował mi ją ś. p. mój kolega Muczkowski, były bibliotekarz biblioteki jagiellońskiej — a są także ślady téj tradycyi i po innych książkach i pismach. Przed restauracją starożytnego kolegium św. Jana Kantego wskazywało miejscowe podanie nawet ową celkę księdza Dąbrowskiego, w której król, idący na wyprawę, odwiedził mentora młodości swojej, nie mogąc się w tak ciężką drogę wyprawić, jak mówił, bez błogosławieństwa swojego rektora i bez jego krzyżyka.

Piękną jest ta wiara w moc błogosławieństwa sprawiedliwego — i rzuca piękne światło na dzieje starożytnej szkoły, wiernej córy kościoła, która przez pięć wieków nauczała w imie Trójcy przenaświętszej — której dał naród wielki tytuł *Alma Mater*, o

której powiedziano jest w dziejach, że komu nie była matką, temu była babką albo prababką — która będąc żywą krynicą światła w narodzie, wyprawiała z błogosławieństwem każde nowe pokolenie w drogę żywota!

Widziałem nieraz klęczących u progu téj szkoły starców, którzy przed kapliczką świętego Jana Kantego rozpamiętywali w modlitwie młodość swoją i święte dzieje staréj szkoły: widziałem téż nie raz żaczków ubogich, modlących się obok nich, w całej trwodze serca o przyszłość i proszących o łaskę na drogę żywota; a ten głęboko wychodzony próg kamienny zdawał się świadczyć, ileto pokoleń po nim przeszło.

Była chwila uroczysta pięćsetletniej rocznicy od założenia akademji krakowskiej, a obchód ten był tylko poważnym milczeniem narodu podjęty. Jak pamięć drogiej matki chowa każdy w sercu aż do śmierci, chociaż nie święci swojej miłości przed światem, tak obchodziliśmy pięćsetną rocznicę staréj szkoły i tylko w książce pozostanie ślad uroczystego obchodu narodowego święta.

Przy starych grobach i pamiątkach żółkiewskiego kościoła, składając podanie *Almy Mater* o królu Janie, obchodziłem w sercu pięćsetletnią rocznicę wyższego światła w narodzie, które się poczyna od założenia akademji krakowskiej.

Dyaryusz Dyakowskiego, współczesnego świadka wyprawy wiedeńskiej, umieszczamy tu w całości, jako najlepiej objaśniający ówczesne stosunki.



DYARYUSZ
WIEDEŃSKIEJ OKAZYI

R. 1683.

OPISAZ

MIKOŁAJ DYAKOWSKI

POKOJOWIEC KRÓLA JANA III.

DYARYUSZ WIEDEŃSKIEJ OKAZYI

PRZEZ NAJJAŚNIEJSZEGO KRÓLA IMCI POLSKIEGO JANA TRZECIEGO, Z WIEKOPOMNĄ SŁAWĄ NARODU NASZEGO EXPEDIOWANEJ, TERAZ PRZEZ W. IMCI PANA MIKOŁAJA NA DYAKOWCACH DYAKOWSKIEGO, PODSTOLEGO LATYCZEWSKIEGO, NATENCZAS W POKOJU TEGOŻ NAJJAŚNIEJSZEGO KRÓLA IMCI SŁUŻĄCEGO, I POD WIEDNIEM AKTU BĘDĄCEGO, ILE PRZY MŁODÉJ NATENCZAS APLIKACYI, CO ROZUM UWAŻYĆ, OKO WIDZIEĆ, UCHO SŁYSZĘĆ, A PAMIĘĆ POJĄĆ MOGŁA, WYPISANY.

PRZESTROGA LEKTOROWI.

Pospolita mnie uczy praktyka, że lubo wielu spektatorów na jednoż razem zapatrywać się może *objectum*, a każdy z nich pod inną, a inną, konsyderować go formalną racyą; tak lubo od wielu znacznych i godnych Wiedeńskiej okazji dosyć obszerne i prawdziwe, dla wiekopomnej sławy, na świat wyszły Dyaryusze, że jednak tego nie dotknęły, co ja uważałem i słyszałem, przeto nieprejudykując niczyjéj edykcyi, nowy a prawdziwy ten, w czém czego tu nie dostaje referujący się do innych edykcyi, umyśliłem wypisać Dyaryusz, z radykalnego fundamentu.

KTÓRY JEST TAKOWY.

Jako jest nieśmiertelna królów i królestwa francuzkiego *ad imperium* o cesarską koronę pretensya, tak i lukta o to prawie wieczna; do której lubo zawsze subtelnego Francya zażywała conceptu, osobliwszym jednak sposobem w ten czas, tego użyła modeluszu. Rzeczpospolita nasza miała pakta z cesarzem *ad impe-*

rium, z Turczyńcem Solimanem Wielkim zawarte; który (roku że niepamiętam którego*), więc dla doczytania się odsyłam do kronik) był sam w osobie swojej pod Wiedniem, i całą kampanją na dobywaniu jego strawił, ile że go zaszły jesienne słoty, i następowały zimowe czasy, w które, czyli podług zwyczaju, czyli podług Alkoranu Mahometańskiego, że za granicami swemi nigdy nie zimują, ale się na święta swoje, przed Ś. Marcinem, na półtóry czyli na dwie Niedziele przypadające, Kassym zwane, z pola do domu wracają; i już wtenczas, choćby był jak najźwawszy wódz, wojska w polu nie zatrzyma; a w Wiedniu téż były dużo nadwątlone siły, więc tak cesarz chrześcijański, jako i ten Soliman, nakłonili się do traktatów; przez które między innemi punktami te wymógł Turczyń na cesarzu chrześcijańskim: aby na wieczną pamiątkę, że tu sam cesarz turecki w osobie swojej był, z kościołów katolickich w Wiedniu pozrucane były krzyże, a miesiące tureckie podawane, na co wtenczas Rzesza Niemiecka dla słabych sił pozwolić musiała i tak uczyniła. (Niechaj czytelnik patrzy po dawnych mapach, to nieinaczej znajdzie Wiedeń kopersztychowany.) Którego punktu traktatów tak na swoją stronę zażywa Francya: Ludwik wielki, król Francuzki przez XX. Jezuitów, prowincyi, czyli francuzkich czyli hiszpańskich, prokuruje missyą w Rzymie do Węgier, aby ciż Jezuiti Luteranów i Kalwinów tam zagęszczonych nawracać mogli; co w Rzymie otrzymawszy, jako Węgry są pod cesarzem, tak udają się do dworu wiedeńskiego upraszając cesarza o pozwolenie *liberi exercitii* wiary w Węgrach; który cesarz natenczas Leopold, jako pan nabożny i Jezuitów kochający, ochotnie tego dopuścił z wielkim respektem. Wyprawuje tedy starszy tych missyonarzów, co nad nimi był, dwóch tylko Jezuitów do Węgier na missyą, zalecając im pilnie pieczołowanie i ochotną żarliwość, do pozyskania dusz Bogu.... Ci dwóch wyprawieni od starszego swego missyonarza Jezuiti.... jako baranki niewinne, idą do Węgier, gdzie poczęli dużo namawiać Lutrów i Kalwinów, z czego tumult się zaraz wszczął, który łapie tych dwóch Jezuitów, i jednego z nich żywcem ze skóry obdziera, i bęben z niej robi *in laesionem* wiary katolickiej; drugiego *in*

*) 1529.

Julio, gdy mucha największa, nagiego, nasmarowawszy miodem, przywieszają w lesie do drzewa, przy którym od much i innego robaictwa zajedzony, męczyńską otrzymał koronę. Dowiaduje się o tém, tych pomęczonych misyonarzów starszy w Wiedniu zostający, który jako mający adres do cesarza, donosi dworowi wiedeńskiemu popelniony przez Węgrów excés, remonstrując tyranją na misyonarzach uczynioną. Każe cesarz zaraz łapać, sekwestrować, exekwować, tak pryncypałów owego buntu, jako też faktorów, i popelnionego kryminału zloczynców, z czego większy w państwie węgierskiem wszczął się bunt. Aże między pryncypałami, czyli faktorami tego buntu zostawał Tekieli, który nie tylko sam przez siebie był panem wielkim, ale i przez ożenienie jeszcze większym, bo wziął był Rakocynę, (tego Rakocego który rebellizował matkę) udaje się do Turka szukając protekcyi u niego; lecz mu Turczyn protekcyi odmówił dając racyą: „że mam pakta z *Imperium*, a przyczyny nie mam do zrzucenia się z nich, ponieważ mi ich we wszystkiém dotrzymuje *Imperium*, więc i ja je, podług Alkoranu mego, muszę trzymać.“ Czego odebrawszy wiadomość Francya, stara się przez subordynowaną ową osobę wyżej misyonarską, aby *Imperium* przez zrucenie miesiąców z kościołów katolickich mogło złamać traktaty z Turczynem zawarte. Co pomieniony misyonarz starszy, u cesarza, jako pana pobożnego, przez żarliwość o honor Boski wyrobił, że zrzuceno miesiące mahometańskie z kościołów katolickich. O czém dowiedziawszy się porta otomańska, składa dywan, to jest sejm generalny, na którym proponuje, że nam Giaurowie nie dotrzymali traktatu, ponieważ *insignia* naszego Mahometa z kościołów swoich pozrzucali. Turcy, jako nie tylko z wiary, ale z praw i z natury, nieprzyjaźni chrześcianom, jednostajnie krzyknęli, aby *Imperio* wypowiedzieć wojnę, i zaraz *preparatoria* wojenne i zaciągi poczynili. Rzeczpospolita zaś nasza miała natenczas z Turczynem, na siedm lat, po żurawińskiej zawarte pakta, przez Jana III. króla polskiego, do którego i całej Rzeczpospolitej, cesarz chrześciański i Wenetowie przysyłają posłów, abyśmy im dopomogli wojny przeciw Turczynowi, remonstrując nam: że jeżeli potencya turecka jakie niebezpieczeństwo przyniesie *Imperio*, to się i Polsce łatwo dostanie; a do tego, za panowania Jana Kazimiérza króla polskiego, kiedy Rzeczpospolita była od

Szwedów uciśniona, dał cesarz chrześcijański Rzeczypospolitej 20.000 przeciwko Szwedom ludzi swoich, (którzy się na ów czas ani bili, ani w okazyi byli, tylko chleb nasz w Wielkiej Polsce wytrawili, i tylko ich junakierji tyle było, że przyszli pod Warszawę, ale się żaden nie chciał ruszyć do atakowania zamku warszawskiego, w którym się był zamknął król szwedzki, gdzie natenczas Pan Bóg sam dopomógł Polakom naszym, przez liczną czeladź, którym chorągwie podawano, oficerów między nimi porobiono, i czyli po czerwonemu złotemu, czyli po talarze na osobę rzucono, gorzalki kufami dodano, asekurując: że kto co zdobędzie, jego będzie, i tém ich najbardziej zachęcili do ochoty: jak się ta hołota ponapijała, tak serdecznie do ataku się rzucili, że król szwedzki z życiem ledwie na szkucie ku Gdańsku salwował, a Szwedów w pień wycięli, z czego potem oliwskie pakta nastąpiły ze Szwecyą). Których ludzi cesarskich gdy król Jan Kazimierz zaciągał, musiał dać cyrograf z podpisem niektórych senatorów natenczas królowi przytomnych, że *post fata* któregokolwiek króla polskiego, cesarz chrześcijański będzie miał moc podawać następcę na państwo polskie, którego Rzeczypospolita przyjąć będzie powinna, jednak to do exekucyi dla różnych zabaw nie przyszło.

Gdy się te cudzoziemskie legacye u dworu polskiego agitują, w tém pan Proski, nasz polski rezydent u cesarza tureckiego zostający, daje znać królowi naszemu Imci, o wypowiedzeniu wojny tureckiej przeciwko Rzeszy Niemieckiej, i do tego, że Porta gotuje posła do Rzeczypospolitej z tém, aby Turcy mogli przez Polskę pójść do cesarza chrześcijańskiego i do Wiednia, za swój grosz; aby zaś sobie tego Rzeczypospolita nie miała za wioleńcą i zgwałcenie przynierza, chcą się przez posła Turcy ogłosić, że swoim kosztem będzie się wojsko sustentowało przechodzące, i jeszcze ten uczyni profit Rzeczypospolitej, że tak będzie płaciło żywność, jak sami zechcą. Traktem zaś tym chcą iść do Wiednia, na Wołoską ziemię, na Śniatyn, na Podgórze, wyrzynając się ku Krakowu, a od Krakowa w Szlązk aż do Wiednia. Król tedy Jmć na odwrót wyprawuje do tegoż rezydenta swego pana Proskiego, aby wyrabiał, żeby tym traktem nie szli i posła nie przysyłali. Posyła oraz król Jmć mapę do remonstrowania wezyrowi i ministrom tureckim, że tam jest insza droga, pięćdziesiąt mil

bliższa, niż na Polskę, byle tylko most postawić na odnodze morskiej, który najwięcej może kosztować pięćdziesiąt tysięcy talarów, o które cesarz Jmé turecki, mniej będzie stał dla wygody wojska i bliższego marszu: do tego remonstrować to Turkom, że w Polsce lud swawolny, lubo go turcy zaczepiaćby nie chcieli, jednak Polacyby Turków zaczepiać mogli, aźby z tego nastąpiło zerwanie traktatów. Chwycili się tedy Turcy tego, nie wiedząc, że nas już Niemcy wachają.

Wtém u nas tu w Polsce sejm *colligationis* nastąpił, na którym deklarował się król Jmé sam w osobie swojej pod Wiedeń, z tą jednak kondycją, aby restytucja była cyrografu na królu Janie Kazimiérzu i senatorach wymożnego. Zaraz tedy na tenże sejm przywieziono ten cyrograf i oddano. Rzeczpospolita też na aukcyą wojska pozwoili komputowego, *ad complementum* trzydziestu sześciu tysięcy; bośmy natenczas nie mieli wojska, tylko ośm tysięcy dla pokoju, które, po Żurawińskiej, na trzy partye podzielone było. Jedna partya, to jest pułk królewski i hetmański, to jest xięcia Dymitra Wiśniowieckiego, stała pod Bucniowem. Druga partya, to jest pułk Stanisława Jabłonowskiego, wojewody i generała ziem Ruskich, natenczas hetmana polnego, stała pod Trembowlą; a z trzecią partyą stał, pod Śniatynem, Zbrozek, strażnik polny, i tak przez pólśiodma roku stali w pokoju.

Tego zaś nas Polaków z Niemcami skolligowania się na wojnę turecką przez sejm wielki, tak się trzymał sekret, że Turcy, choć blisko nas byli, bo Kamieniec Podolski jeszcze natenczas trzymali, nic nie wiedzieli; iż ta tak nagła aukcyja wojska, dla wszelkiej ostrożności, zaczepienia nas od której strony, i dla pilnowania granic, jest postanowiona, rozumieli. Jakoż hetman wielki koronny, naonczas Stanisław Jabłonowski, wojewoda i generał ziem Ruskich (bo już był wziął bulawę wielką, po Dymitrze Wiśniowieckim, pełną zaś był razem wziął z województwem wołyńskiem, Hieronim z Granowa Sieniawski, marszałek nadworny), wydał był ordynanse, aby się wojsko ściągało pod Kraków, puszczając echo, że na granicach będzie stało od Węgier i Szlązka; ponieważ turecka potencya w pięććróć stotysięcy, z ordą rachując, ruszyła się pod Wiedeń, aby pod ich imieniem swawolne jakie kupy w granice nasze nie wtargnęły. I tém się sekret najbardziej utrzymał w wojsku, że chociażśmy szli pod Wiedeń, żaden z mniejszj kondycyi woj-

skowej nie wiedział gdzie idzie. Król zaś Jmć już czekał w Krakowie, póki się wojsko nie ściągnęło. W Polsce zaś został się książę prymas *ni fallor* Władysław; a z partją wojska od Kamieńca i Pokucia został się Andrzej Potocki, natenczas wojewoda kijowski, a potem po Wiedeńskiej, kasztelan krakowski i hetman polny, terazniejszego Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego, ojciec.

Z pod Krakowa ruszyło się wojsko na tarnowskie góry, Opawę i Ołomuniec traktem ku Wiedniowi, gdzie prowianty obfite dla nas były nagotowane i magazyny założone, co cztery mile przez ziemię cesarską: przy każdym magazynie była szopa budowana pełna owsów, chleba ledwo nie z pieca prosto wyjętego, bydeł, baranów trzodami, sian straszniemi styrtami, piwa beczkami, do tego przy każdej szopie stało kilka tysięcy bryk, w których po pięć, po sześć koni gotowych dla rozwożenia prowiantów. Jakaśmy się gdzie przybliżali ku magazynowi któremu, to podług zwyczaju obożny szachownice zatykał dla zatoczenia wojska, które się zawsze lokowało przed magazynem, z którego prowianty ordynaryjnie dobrą dyspozycją wydawano; najprzód stanowniczy królewski odebrał na królewski dwór, potem na dwory hetmańskie, dopiero pułk królewski, na pułki hetmańskie, na pułki różnych panów, na przednią straż, na piechoty *et id genus*, to zaś wszystko wydawano z rejestru, który już był piérwój, nim wojsko przyszło do każdego magazynu podany. Tego zaś prowiantu taka *sufficiencia* była, że nasi musieli połowę na każdym noclegu, co cztery mile, odchodzić. Potem już ku Wiedniowi, jak minęliśmy Berno miasteczko, nie mogli Niemcy wystarczyć nam dawać prowiantów, a to dla opustoszenia kraju przez inkursją tatarską, i tak ciągnęliśmy do Dunaju ku Tulnu miasteczku, natenczas wcale zbuzronemu, gdzie tylko, zamek jakikolwiek był, i w nim *praesidium*. Tam mosty na czajkach robione gotowe zastaliśmy, przez które za dwa dni przebyliśmy Dunaj, bo tak porządne te mosty były, że dwiema linjami wozy przez nich szły: zastaliśmy téż tam wojska cesarskie i z elektoralnemi posiłkami, tego wojska więć się nie rachowało jak siedemdziesiąt tysięcy, które o pół mili od Tulna, nad Dunajem leżącego, stało na kępie, i tak dobrze opatrzonój, że się wszystkie 70 tysięcy z armaturami zmieścili. Od téj kępy szedł most rzeczony na czajkach, a przed mostem dana była ba-

riera, to jest szaniec, w którym dwa tysiące zostawało piechoty, z kilka sztuk armat, dla wszelkiej ostrożności od nieprzyjaciela, który gdyby był napadł, toby się była piechota rejterowała na kępę, rzuciwszy most i nieprzyjacielaby nie aprendowała, bo tak daleko była od brzegu kępa, że i z armaty byłby do niej nie doniósł, a do tego uprowiantowana była w wszelką żywność dla koni, jako i dla ludzi, i jeszcze Dunajem większe przychodziły prowianty.

Jak się tedy wojsko nasze i król przeprawił, dopiéro przyjechał wojska cesarskiego *generalissimus ni fallor* xiążę bawarskie z innymi elektorami, i przednięszymi generałami do powitania króla: po powitaniu nastąpiła konferencya i *consilium belli*, na którym prezentuje im król ordynans cesarski, iż w komendzie królewskiej zostawać mają, co przez politykę przyjęli elektorowie usty, ale sercem nie, bo najbardziej obstawał i kontrował xiążę saskie, N. Augusta drugiego ojciec, dając tę polityczną racyą, że: co potém azardować się osobie królewskiej, i w takie się niebezpieczeństwo wdawać, a uchowaj Boże przegranej, toby nieprzyjaciel większą górę wziął, że w okazyi był sam król *in persona*, komenderował wojsko, a przecież przegrał; a tak choćbyśmy przegrali, to nieprzyjaciel rzecze, jest jeszcze cesarz i król polski, i będzie przynajmniej osoby, jeżeli nie wojska aprendował; a że się to *consilium* w długą noc przewlekło, dla tego zalimitowana była sessya nazajutrz, i elektorowie z generałami do swego obozu na kępę odjechali. Nasi zaś hetmani, pułkownicy i towarzystwa gmin jeszcze się byli pozostali, którym król *palam* mówił te słowa: „Panowie Niemcy rozumieli, że na mnie jak na dudka trafili, iż się nieznam na sobie; jeżeli oni do mnie jutro z tém przyjdą, z czém się dziś rozjechali, a przy oporze stać będą, to ja im zagram z innego końca i z wojskiem nazad rejterować się będę, i już nie będę ich o prowianty prosił, ale je sam sobie wezmę, i choćby téż i *hostiliter* sobie postąpię, kiedy mię tu sprowadzili.“ — Słyszało to z ust królewskich wielu przytomnych, którzy byli różni, bo tak Niemcy z polskiego wojska, jako i nasi Polacy, ale z Niemcami korespondencyą mający; supponowaliśmy tedy, że ktoś Niemcom przyjazny z przytomnych słysząc to, doniósł elektorom, ponieważ nazajutrz przyjechawszy w inszej figurze się pokazali, bo komendę królewską przyjęli, do woli

się jego stosowali, mandatu cesarskiego trzymając się.

Zaraz tedy król wydał ordynans, aby się cesarskie wojska z kępy ruszyły wraz z naszym polskim, co tego dnia się stało, i zataczyli swój obóz blisko obozu naszego; a tym czasem poczęli stoły nakrywać u króla, do których król prosił elektorów i generałów przedniejszych, gdzie dano dostatek wina: Niemców ochoczo traktowano, nakoniec elektorom wszystkim, po koniu bardzo pięknym i bogato przybranym kazał król dać, gdzie konie oddawał Gordon natenczas nadworny, a potem koniuszy koronny. Po uraczeniu Niemców i rozdaniu koni, ruszył się król od stołu, i wszyscy goście, gdzie zaraz król pytał się *generalissimum* i elektorów: „Musicie WMość panowie mieć języka nieprzyjacielskiego od podjazdów swoich, ponieważ tu tylko dziesięć mil od Wiednia.“ — Aż *generalissimus* i elektorowie odpowiadają: „Jakże my mamy posyłać podjazdy? chyba na to, ażebyśmy jeżeli nie wszystko, to przynajmniej połowę wojska stracili.“ — Król się na to odezwał. „Jakim to sposobem być może, żeby się wojsko wygubiło?“ — Odpowiada *generalissimus*: „Posłaliśmy jednego generała z trzema tysiącami dragonji komenderowanego na podjazd; nie wrócił się tylko kapral z kilku żołnierzami salwującymi ucieczką a drudzy wszyscy zginęli, spotkawszy się z pięciuset tylko Turków, do których i wystrzelić naszym nie przyszło.“ — W tym punkcie obróciwszy się król, spojrział po Polakach, uważając kto mu jest przytomny, i postrzegłszy niejakich dwóch, Romana Ruszczyca i Damiana Szumlańskiego, letkiej chorągwi rotmistrzów, zawołał ich do siebie, mówiąc te słowa do nich: „Weźcie Wać sobie każdy z osobna, po sto koni dobrych z przedniej straży, bo pójdziecie na podjazd.“ — A potem król, obróciwszy się do hetmana wielkiego, mówi: — „Kaź im Waćpan dać ordynans i surowo przykazać, ażeby się języka starali, albo jeżeli nie dostaną języka, niechże zaraz w ciele swoim przywożą; a niechaj się wracają we 24 godzinach: wszak to tylko 10 mil do Wiednia, to na dobrych koniach mogą się obrócić, bo ta rzecz odwłoki nie cierpi.“ — Znowu król do tychże rotmistrzów rzecze: — „Przyjedźcie tu w przód z tymi ludźmi przed namiot, żebym ich widział.“ — Jak tedy zebrali ludzi, przyjechali z nimi przed namiot królewski, w którym jeszcze *generalissimus* i elektorowie byli; ci zoba-

czywszy rotmistrzów z tymi ludźmi, przed namiotem, poczęli sobie szeptać i mówić: „Na zgubę ten król tę garstkę ludzi posłał pod tak wielkie wojska.“ — Inni mówią: — „Nasz podjazd we trzy tysiące poszedł, a nie wrócił się.“ — Trzeci mówią: „Żał się Boże tych ludzi, a najbardziej tych komendantów“ (że byli urodziwi, dla tego ich żalowali.) — Aż tu mało co nad 24 godzin przeciągnęło się, dają znać do obozu, iż podjazdy wracają z językiem: zaraz się to rozgłosiło i doszło do niemieckiego wojska, z którego elektorowie i generali przyjechali na dziwowisko, widzieć Turków, których 13 jak baranów przyprowadził Ruszczyk; nie straciwszy żadnego swego człeka. — Szumlańskiego zaś powracającego napadł podjazd turecki, który przecie z siedmiu janeczarami uszedł, nie bez straty ludzi; i sam w pępek postrzelony, czwartego dnia pod Tulnem umarł, pochowany pod pałacem nad Dunajem. Dziwna to rzecz była Niemcom bardzo, ponieważ im się nie trafiło, jako sami powiadali, i razu 10 Turków razem przyprowadzić, koło których, na co *hisce oculis* patrzałem się, chodzili rękę zakładając, a dziwili się, co to za Polacy. To się działo przed batalją w Poniedziałek na tydzień, pod Tulnem, gdzieśmy się przeprowadzili.

Nazajutrz zaraz łapają w namiotach królewskich, podczas samego obiadu, tureckiego szpiega Wołoszyna, od samego wezyra przysłanego, który *expedite* umiał po polsku, bo przedtém u dworzanina królewskiego służył. Ten szpieg takim sposobem przebrał się do naszego obozu: naprzód przyjechał do przedniej straży naszej, i postawił sobie konia u Wołochów, których natenczas w służbie naszej była siła pod lekkimi chorągwiemi, i poszedł sobie piechoto do namiotów królewskich, bo taką miał instrukcyą, żeby w twarz króla widział, jeżeli się tu w osobie swojej znajduje, co z takiej przyczyny poszło.

Han tatarski Selim Gieraj, przyjaciel i pobratym wielki królewski, i już z królem mający *condictamina*, aby się w nich podejrzanym nie pokazał, przyjeżdża do wezyra, któremu donosi, że „z mego wojska ludzie przyprowadzili kilku niemieckich języków, którzy powiadali, że król polski w osobie swojej przeprawia się pod Tulnem przez Dunaj.“ Wezyr temu negował i odpowiedział hanowi: „Czy to podobna żeby król polski miał być jeszcze

w osobie swojej: wszakże pakta jeszcze nie wyszły przez wszelkie racye; fałsz to jest, ale to tych Polaków Niemcy chyba widzieli, co za cesarskie pieniądze Lubomirski zaciągnął.“

Ten zaś Lubomirski kawaler, który potem był kasztelanem krakowskim i hetmanem na tę kampanją, miał cztery tysiące ludzi, zaciągnionych za cesarskie pieniądze, pod swoją komendą, bez wszelkiej dependencji od Niemców i apart sobie zawsze chodził; a gdzie mógł, to urywał Turków, jakoż nimeśmy przyszli, to niektóre znaczne partyjki tureckie poznosił.

Do których namiotów królewskich przyszedłszy ów szpieg, na sam obiad, gdzie już król publicznie siedział u stołu, (który ordynaryjnie był na 50 osób, i nikogo od niego, kto się mógł docisnąć nie odpychano,) począł przezierać, i snować się pomiędzy ludźmi królewskich, w twarz królewską jako w tęcz patrząc się; co spostrzegłszy niektórzy, poczęli się pytać jeden drugiego: Czyj to? i co za człowiek? Ale gdy go żaden nie znał, przeto poszedł jeden do warty, do oficera od gwardyi, który paradę trzymał przed namiotami królewskimi, powiadając: że jakiś nieznamy płąta się w namiocie królewskim, a wszystko w oczy zagląda królowi, oficer odpowiedział: „Djabeł wie, czyli nie szpieg jaki? Proszę pokazać mi go, spytam się ja jego, co za człek.“ — A gdy mu go pokazano, że był bardzo blisko stołu królewskiego, kiwnął oficer na niego, mówiąc: „Proszę do siebie.“ — Jak się do niego zbliżył, tak go za ramię uchwycił oficer, i niespodzianie z ferworem krzyknął na niego: „A ty pogański synu, szpiegu, poznałem cię!“ — Tak Wołoszyn w tym punkcie odpowiedział ze strachu: „Tak jest prawda Mei Dobrodzieju“ — I zaraz go kazał pod wartę wziąć. Co zaraz donieśli królowi, że w namiocie szpiega złapano, którego król, skończywszy obiad, kazał przed siebie przyprowadzić. Przyprowadzono go tedy, ale z wielkim strachem i bojaźnią, bo ledwie w nim dusza była, do króla, który go tak wita: „A ty to hultaju od tureckiego wojska szpieg“ — On ze strachem odpowiada: „Prawda ja Mei królu“ — Król się pyta: „Któż cię tu posłał?“ Odpowiedział, że wezyr. Że tedy król widział człeka zmięszanego, łaskawie do niego mówić począł: „Nie bój się, mówiąc to królewskiem słowem, że ci i włos z głowy nie spadnie, ani cię śmierć, ani żadna kara nie spotka.“ — I kazał

go odprowadzić do koniuszego swego Gordona, a warty mu nie przydawać, i owszem rzekł król: — „Niech go nakarmią i wina dadzą; nie między bisurmany trafił, ale między Chrześciany; tak rozumiem, że i sam Chrześcianinem jesteś“ Odpowiedział Wołoszyn: „Chrześcianin.“ — Przyniesiono tedy jeden i drugi półmisek dla niego, wina dano, różnie z nim (bo go król *civilliter* kazał traktować, aby strach od niego odszedł) gadano; że tak się zobaczył, iż do siebie przyszedł. Znowu mówił król do niego, kazał go do siebie zawołać; który jak przyszedł, mówi do niego: „Jakom ci powiedział pierwój, że nie bój się, ani ci włos z głowy nie spadnie, tak i teraz toż ci powiadam, i co cię będę pytał, bezpiecznie odpowiadaj; naprzód pytam się ciebie: „Ktoś ty jest?“ — Odpowiedział: „Żem Wołoszyn, i służyłem na dworze W. K. Mci u dworzanina tego a tego; musi tu być przeszły mój pan.“ — Król mu odpowiedział, iż go tu nie masz, bo się zaciągnął do wojska litewskiego. Wołoszyn na to odpowiada: „Moje to nieszczęście! Dalby mi świadectwo, jakim mu wiernie i poczciwie służył kilka lat, i ja tu bardziej dla tego przyjechał, mniemając, że pana mego zastanę, a nazad się nie wrócę, i tak proszę miłosierdzia W. K. Mci, abym się mógł mieścić w polskim wojsku.“ — Król mu odpowiedział: „Trzeba, żebyś się wrócił z relacją i dam ci konwój; bo i nieprzyjacielowi trzeba dotrzymać wiary.“ — Wołoszyn odpowiada: „Jak wola W. K. Mci.“ Król się pyta: „Jakim cię tu sposobem wyprawiono; czyli ty na dworze wezyrskim zostajesz, czyli się jakim sposobem bawisz?“ Wołoszyn odpowiada: „Ja pod chorągwią Karałasów służę, (Karałasi są zaś ci, którzy za pieniądze służą, jak u Moskalów Kompańczykowie) wyprawiony tu jestem takim sposobem: Jak oznajmił han wezyrowi, o wojsku W. K. Mci i o osobie jego, że się pod Tulnem przeprawiasz, nie chciał temu wierzyć wezyr; ale posłał po hospodara naszego wołoskiego, nazwiskiem *Duka* (który potem tu w Polsce umarł, w niewolę we Lwowie wzięty, przez Dymideckiego regimentarza Pokucia, pod Jasami, w dzień Narodzenia Pańskiego Ruskiego, jakośmy powrócili z pod Wiednia), któremu przykazał surowie, aby się starał o takiego człeka, któryby po polsku dobrze umiał i w Polsce służywał, mówiąc: „Musi być w twojej ojczyźnie takowy człowiek; gdyż ty blisko Polski zosta-

jesz.“ — My zaś wszyscy jak niewolnicy jesteśmy u Turków i z hospodarem naszym; który mnie wynalazłszy, stawił mnie przed wezyrem. Wezyr przez tłumacza mnie się pytał: Czy umiem po polsku dobrze? Odpowiedziałem, że umiem, bom służył kilka lat u dworzanina królewskiego. — Wezyr rzekł: „Takiego mi też potrzeba“ i mówił dalej: „Bylebyś mi dobrze usłużył, będziesz miał nagrodę dobrą.“ I zaraz przynosi podskarbi wezyrski 50 duk. i daje mi w ręce, i mówi: „Żebyś dotarł aż do samego Tulna, bo się tam ma wojsko polskie przeprowywać, i król z nimi, jeżeli to prawda.“ Wezyr znowu do mnie „Pytam się ciebie, jeżeli ty jakim sposobem nie widział króla.“ Odpowiedziałem „Widziałem i nieraz“ — Wezyr znowu: — „Jakim sposobem być może, bywszy u służki sługą, a miałeś go widziéć kilka razy? Wieleś w Polsce służył? — Jam odpowiedział: „Cztery lata“ — wezyr znowu — „Dośćby na ciebie było, żebyś przez te cztery lata raz widział króla.“ Jam rzekł: „Mógłbym go po cztery razy widziéć na dzień gdybym był chciał.“ W tém wezyr z fukiem powstał na mnie po turecku: *halam swyle diawor*, to jest: łżesz poganinie; jam odpowiedział: „Nie łżę, bo prawdę powiadam; ciebie miłościwy panie pierwszy raz widzę, a króla, kiedym chciał, tom widział.“ — Tém bardziej z większym ferworem na mnie się porwał z wezgłówka, tak dalece, że rozumiałem, iż mi leć każe uciąć wezyr, co u nich nie trudno. Potém upamiętawszy się, mówi do mnie: — „Idź, a uczyni to, coć każe, a będziesz miał nagrodę dobrą, jak z dobrą wiadomością powrócisz.“ Potém wysłuchawszy tego Wołoszyna relacyi, król pyta się go: „Tenżeto ja król, co w Żółkwi i Jaworowie? Wołoszyn odpowiedział: — „Ten W. K. Mość.“ Dopiero król powiedział „Idźże z panem Bogiem, a powiedz wezyrowi swemu, żeś mnie nie tylko widział, aleś i gadał ze mną, i oznajmij mu, że król polski kazał ci powiedziéć: „Miłościwy Wezyrze, że ci się w Niedzielę stawi na śniadanie.“ I zaraz król do przedniej straży kazał go zaprowadzić do strażnika i konwój dać za mil dwie.

Potém o tymże Wołoszynie taką wzięto relacyą od pokojowych wezyrskich, o których wspomnę niżej, iż gdy przyjechał Wołoszyn do wezyra i czynił mu relacyą: „że wojska polskie są wielkie i sam król w osobie swojej jest, którego nie tylko widział, alem

z nim i gadał, i kazał W. Wezyrskiej Mci powiedzieć król, że się w Niedzielę stawi na śniadanie.“ Wezyr temu nie wierząc kazał mu za kłamstwo łeb uciąć.

We Środę tedy, porzuciwszy tabory pod Tulnem, a komunikiem się z wojskami tak swemi jako i cesarskimi wybrawszy król, poszedł szczęśliwie na imprezę, gdzie Kałnuszowie niezwyčajnym traktem, bo wielkimi lasami i górami prowadzili wojska, które przyszlęj wiktoryi otrzymało *praesagium* takowym sposobem: Stanęły wojska tak między lasami, jako i koło lasów na płaszczyźnie, gdzie był murowany pałac od Turków spustoszony, w którym luźni wyszperali piwnicę, gdzie było wina mało 200 beczek; poczęła hołota strasznie pić; o czém dowiedziawszy się król, posłał do hetmana W. koronnego natenczas Jabłonowskiego, aby tego nie pozwalał. Hetman zaś, jako wódz przezorny, ordynował sto czyli więcej piechoty, aby hołotę odpędzili od beczek, i beczki z winem kazał porozcinać. W tém puścił się dęszcz spory, gdzie namiotek bardzo mały i mizerny dla króla rozbito, który w trokach wożono i poczęli okopywać około namiotku, aby go woda nie podechodziła: w tém wykopują obraz Niepokalanie Poczętej Najświętszej Maryi Panny, arkuszowy, na płótnie malowany w trąbkę zwinięty (jest on po dziś dzień w skarbcu żólkiewskim, u królewicza Jmei) który gdy przyniesiono do króla, a król go rozwinął, z wielką weneracją pocałował; aż w tém któryś ze stojących mówi: „Miłościwy Królu są litery jakieś na drugiej stronie“. — Król mówi: „Czytaj“ — Aż tam napis takowy łacińskim charakterem czyta „*Erit Victor Joannes*“ Król się odzywa: Co ty bestio gadasz?“ — Czytający odpowiada: „Ja to czytam, co napisano.“ — Król mówi: „Daj mi go sam.“ Czyta znowu sam król, a że toż samo znowu, pocałował król ten obraz, mówiąc te słowa: „Któż wie co za *Joannes* będzie *Victor*.“ Potem w Sobotę ruszył się z tego miejsca z wojskiem król, ciągnął ku Wiedniowi, i cały tydzień szliśmy, nie publiczną drogą, ale manowcami do marszu niesposobnemi, osobliwie do prowadzenia armat, gdzie gdy jaka górka trafla się, to sobą piechoty musiały wyciągać; i takieśmy strawili cały dzień na tym marszu, który czyli umyślnie, czyli z przypadku tak był powolny, żeśmy aż ku zmrokowi po zachodzie słońca stanęli z wojskiem na nocleg w Dębinie, wielkie pół mili od Wiednia: jed-

nakże widać nam było wieże od Świętego Szczepana, kościoła katolickiego w Wiedniu, i lubośmy tak blisko stanęli, jednak Turcy o nas nie wiedzieli, a to dla nocy, na którą się każdy żołnierz do swego obozu ściga. Hasło w naszym wojsku przez Abskurd otrąbiono, które wyszło w imię Panny Maryi, Panie Boże dopomóż; bo téż ta Uroczystość nazajutrz w Niedzielę przypadała: przy hasle wojskowym przykazano wszelką ostrożność, ogniów aby nie kładziono, tytoniów aby nie kurzono, pod gardłem. Konie w rękę trzymano, którym jeżeli kto miał co w torbie to dał, a kto nie miał, to garściami zbierał liście a konie karmił. Namiotek maleńki królowi rozbito i materac porzucono, który za nim na koniu wożono, na którym materacu król siadłszy, mówi do nas dworzanów: „Nie mam się na kogo spuścić, a samem sfatygowany bardzo; trzebaby abym miał wczas jaki, na jutrzejszą pracę: będzie dzisiaj dawał znaki komendant wiedeński Sztaremburg, trzebaby mi ich przypilnować, a nie mogę“ — Na to odzywa się Jmé pan Mateczyński (który natenczas był koniuszym koronnym i dyspozytorem dworu królewskiego, a potem wojewodą ruskim. Waresz jego był dziedziczny, gdzie XX. Piarów fundował: umarł po śmierci królewskiej, podczas *interregnum*) „Miłościwy królu, trzeba się wywezasować, choć nie tak jak należy; już na mnie się W. K. Mć. spuść, a ja dopilnuję“ — Król mówi: „Nie mogę też komu innemu tego powierzyć“ — i w tém położył się król na materacu, a Mateczyński siadł sobie przy drzwiach na taboretku, który wozil masztalerz zawsze w trokach, bo po nim król, ile *corpulentus* na konia wsiadał. Po godzinie *circiter* dziewiątej, wypada raca z wieży Świętego Szczepana z Wiednia, która nam w oczy widna; odzywa się Mateczyński do króla, „Miłościwy królu już jeden znak wyszedł.“ Król odpowiada: „To już wie, zem już Dunaj przeprawił.“ — W kilka pacierzy znowu wypada druga raca, za którą odzywa się Mateczyński i do króla mówi: „Miłościwy królu już drugi znak.“ — Król odpowiada: „To już wie, zem się od taborów ruszył.“ — Potém trochę poczekawszy trzecia raca wypada, znowu do króla Mateczyński mówi: „Miłościwy królu już trzeci znak.“ Dopiero król się odzywa: „Niech będzie Bóg pochwalony! Już wie o tém, że się tu na tém miejscu z wojskiem znajduję.“ (ta zaś wiadomość jako supponujemy ztąd musiała być,

że sekretna poczta przez rybaków z Wiednia chodziła do Tulna, pod którym się łączyły wojska cesarskie z naszymi.)

Po wydaniu tych znaków, uspokoił się król, nakręciwszy na godzinę trzecią po północy zegarek, który blisko siebie kazał położyć, żeby go ekscytarz obudził. Jak przyszła godzina trzecia z północy, tak za spadnięciem excytarza budzi się król, i woła na nas: „Chłopiec jest tam który?“ — Jam się odezwał i drugi, cośmy koło namiotu królewskiego mieli swoje legowiska; król mówi do nas: „Biegaj który do xięży kapelanów, i pobudź ich, żeby się do Mszy gotowali, a z bębnów niechaj zrobią mensę.“ (Bośmy żadnego stołu nie mieli, ani wozu.) Pobudziliśmy tedy kapelanów, bębnów kilka od piechoty przyniesiono i mensę na nich pod dębem ustrojono. Pierwszą Mszę miał Dominikan obserwant Skopowski; drugą Kapucyn Włoch, na którego Mszy to *praesagium* przyszłej wiktoryi było: gdy albowiem przy dokończeniu Mszy, zamiast *Ite Missa est*, wymówił *Vinces Joannes*. Na której Mszy komunikował król, krzyżem leżał, i błogosławieństwo brał. Po skończonej Mszy i odejściu od ołtarza tego Kapucyna, mówią niektórzy z panów do niego, to włoskim to lacińskim językiem, bo po polsku nie umiał. „Może Pan Bóg da, że profecya twoja xięże kapłanie weźmie swój skutek.“ — Włoch pyta się „Jaka profecya?“ Powiadają mu, że zamiast *Ite Missa est*, wymówił *Vinces Joannes*: czego mocno parł się Włoch i gniewał mówiąc: „Co wy na mnie za imposturę składacie, alboż to ja szalony takie rzeczy mówić: nie jestem ja żaden prorok.“ Dostyc że słyszało to wiele ludzi godnych z ust jego. Król zaś sam, czy to uważał i słyszał, tego nie wiem. Po skończonych Mszach, zaczęło się na dzień zabić w który czas przychodził z chorągwią swoją nowo zaciężną, na tę kampanję erygowaną, z którą się był trochę opóźnił, Denhoff wojewoda Pomorski, ojciec wojewody Połockiego (który *secundo voto* miał za sobą Sieniawską kasztelanę Krakowską, ostatniego Adama Sieniawskiego, kasztelana Krakowskiego, hetmana W. koronnego, córkę) który też wojewoda Pomorski zginął od Turków pod Parkany. Jak tylko słońce zaczęło wschodzić, kazał król i hetman wojsku na konie wsiadać, które jak z pod umbry z lasu wychodziło. O czém dają znać wezyrowi, że polskie wojska wielkie następują, bo wezyr nigdy temu wierzyć nie chciał, aby się król

z swemi wojskami tak daleko znajdował. Które wojsko polskie zobaczywszy wezyr, (jakośmy mieli z relacyi pokojowych jego) rzekł o królu; „Nie mogłeś czynić téj krzywdy panu memu.“ Zabięrało się tedy wojsko nasze polskie do szyku, które respektem komendy królewskiej trzymało prawe skrzydło; na lewém zaś skrzydle było wojsko cesarskie. Wojsko nasze polskie miało miejsce niepoczciwe i niesposobne do szyku; bo się na winogrady trafiło naszym; co zaś winograd, to gospodarz każdy sobie swoją winnicę podmurował, na kształt miedzy, albo granicy. W tém przyjeżdżają dwóch xiążąt do króla o precedencyą, kontrując z sobą, to jest: xiąże lotaryński i drugi xiąże, ale nie pamiętam jaki, między któremi była lukta, kto się z nich miał pierwój potykać z nieprzyjacielem; król ich inaczej pogodzić nie mógł, aż przez losy, do czego przyniesiono bęben i kostki, które rzucali z koni na bęben, trzymany w górę od dwóch piechoty; któremuby zaś los padł, tego nie wiem, bom daleki był w tenczas od tego, a do tego zem najbardziej konsyderował strój xięcia lotaryńskiego, który siedział na koniu roslým i dzielnym, w karacnę ustrojonym; sam zaś xiąże był kirysem od głowy do stóp przybrany. Drugi zaś xiąże w samych tylko był sukniach, i dla tego mniej uważaliśmy go, i niepytali się o niego. Król zaś nasz był w czarnym kontuszu grodetorowym: siedział na płowym koniu, którego zwano Palasz: król był przepasany złotym łańcuchem i rozkazał, aby od największego żołnierza polskiego *authoramentu*, do najmniejszego ciury, którzyby się znajdował w okazji, każdy był przepasany powrozem słoniannym, a to dla dystynkcyi naszych od Turków Selingerejowskich, (któren to Selingereja, podczas okazji téj z półtora stokroć tysięcy Ordy, tylko otarł się o skrzydła nasze prawe, i żadnej nie wypuściwszy strzały poszedł i odstąpił Turków, czém nie mało nam do wiktoryi pomógł) żeby Niemcy nie strzelali naszych zamiast Turków, którzy takowego stroju zażywają jak i my.

Jak się już uszykowało wojsko, i król stanął na swoim miejscu, zawołał król: „A jest rezydent od chorągwi królewicza Aleksandra?“ — (Bo takowa jest reguła wojskowa, aby od każdej chorągwi przy wodzu był rezydent.) Przybiega zaraz do króla téj chorągwi rezydent, któremu rozkazuje król: „Biegaj Waszcé do chorągwi swojej, aby tu pan porucznik do mnie z nią przychodzil.“

— W tym punkcie przyprowadzono chorągiew; porucznik natenczas Zwierzchowski, podkomorzy Łomżyński, mówi do króla: „Przyszedłem tu ze znakiem pańskim, czekam dalszego ordynansu W. K. Mci.“ Król wzięwszy perspektywę, a rekognoskując tureckie wojsko, mówi do porucznika: „Widzisz Waszeć tę kupkę, panie poruczniku?“ Odpowiada: „Widzę Miłościwy królu.“ — Król do niego mówi: „Otóż to tam, sam wezyr stoi.“ — I znowu król wzięwszy perspektywę, a przypatrując się mówi: „Dopiero sznury rozciągają Sejwanowe. (Sejwan zaś jest ten, którego dla chłodu i cienia zażywają, a tego dnia był wielki upał) Żebyś mi Waszeć panie poruczniku tam w nim kopią skruszył, rozkazuję.“ — Odebrawszy ten ordynans ustny, porucznik ruszył się na tę imprezę swoją jedną chorągwią, złożywszy kopią w pół ucha końskiego, według reguły i zwyczaju huzarskiego, i prosto pod samego wezyra poszedł, któremu od żadnej chorągwi posiłku dać zakazał król, i owszem z tą prekawcą posłał do niego Matczyńskiego, koniuszego królewskiego, żeby mu powiedział: iż jeżeli weprze go nieprzyjaciel, żeby na króla nie nawodził nieprzyjaciela, ale żeby on tamtą ścieszką salwował się, którą mu z rozkazu królewskiego pokazał koniuszy koronny. Turcy widzą tak małą garstkę ludzi, bo ich tylko 200 ludzi było pod tą chorągwią, nic ich nie atakowali, ale im jeszcze miejsca ustępowali, i umykali się, gdy widzieli, że pod samego wezyra szli, rozumiejąc, iż się na turecką stronę przedają. Jak się tedy już podsunęli pod samego wezyra, tak też w ten tłum ludzi, co przy wezyrze byli, uderzyli kopiami. Co widząc Turcy, tak jakby kto w ul pszczoł dmuchnął; rzucili się na tę jedną chorągiew, to z dzidami, to z szablami, oni zaś jak się tam salwowali, już nie mogliśmy rozeznać dla wielkiego tumanu z prochów, który jak trochę osiadł, to też widzieliśmy, że kiedyś niekiedyś błysnęła się chorągiew, która była w pół czarna z żółto-gorącą kitajką, na niej orzeł biały. W tenczas zaś gdy widział król, że już Turcy na nich wsiedli i nie ich widać nie było, tylko tuman nad nimi, dobył krzyża z drzewa Świętego, i karawaki z odpustami wielkimi, zegnął ich mówiąc te słowa: „Boże Abraamów, Boże Izaaków, Boże Jakubów, zmiłuj się nad ludem twoim!“ Potém osobliwszą protekcją Matki Najświętszej, a cudem prawie Bożym, z pośrodka tak

wielkiej tłuszczy ludzi, salwowali się pod wojsko, pod które jak się dobrze zbliżyli, Turcy ich opuścili. Otrzepawszy się z kurzawy przyjeżdża porucznik z tą chorągwią (pod którą zginęło było wtenczas kompanji godnych i zacnych dziewiętnastu, pocztowych 35) i mówi: „Podług rozkazu W. K. Mści sprawiłem się.“ — Król odpowiada: „Chwała Bogu, że Waści Pan Bóg żywo i zdrowo przyprowadził; a co za szkodę Waść masz między ludźmi?“ — Odpowiada porucznik: „Jeszcze się pomiarkować nie mogę.“ — Król mówi: „Żebyś mi Waść po hasle raport uczynił rejestrem z imienia i z przezwiska kto zginął.“ — Co to zaś za tajemnica była, że król tę jedną chorągiew wydał na jatki, fundamentalnie Bóg tylko wie; z konjektur jednak niektórych, a osobliwie z jednego królewskiego słowa, które przy daniu sobie przy hasle przez porucznika rejestru i czytaniu jego, że między poginionymi poległ towarzysz Wojna, wymówił król: „I pan Wojna to zginął?“ — Porucznik odpowiedział: „Zginął, jest tu na rejestrze.“ — Król mówi: „Wojna nie rodzi ludzi, tylko pani Wojnina.“ — Inferowaliśmy tę przyczynę: na *colligationis* sejmie król pretendował wszelkimi racjami, przez niektórych posłów dworowi się akomodujących, i mocno przy tém się upiérających, aby królowej Jój Mości przyznała była Rzeczpospolita reformacją. Ten zaś Wojna był natenczas posłem, tylko nie pamiętam z którego województwa, mocno kontrował pretensyi królewskiej, i przy kontradykcyi swojej utrzymał się; bo inaczej na tym punkcie chciał zerwać sejm, który że był potrzebny, musiał dwór odstąpić swoich pretensyi. Czy to była ta prawdziwie przyczyna, czyli nie ta, my ją z okoliczności wnosili, Bóg zaś już osądzi z istnej rzeczy.

Tu już król kazał się szczęśliwie z Turkiem potykać, naprzód Szczęsnemu Potockiemu, natenczas wojewodzie sieradzkiemu, terazniejszego wojewody wolyńskiego ojcu, z huzarską chorągwią swoją, którego rodzony synowiec, a brat starszy terazniejszego wojewody kijowskiego, Stanisław Potocki, starosta halicki, z miłości ku stryjowi swojemu, bez ordynansu hetmańskiego z swoją chorągwią pancerną, posilkować swego stryja porwał się, który uczyniwszy ze stryjem swoim znaczną klęskę w Turkach, sam zginął; ale z wielkiem podziwieniem, bo Turczyn dojeżdżając go ściał mu głowę w misiuurce, która ile u takiego pana, nie podłą

być musiała; głowa z denkiem odleciała, a czepiec, że dostatni był, został na ramionach tój głowy; jako powiadali, bom ja tego nie widział, znaleźć potém nie mogli, ale inną do ciała przyłożyli. W tém dają znać królowi, że janczarów przysadziło się do murków, czyli tysiąc, czyli więcéj, i bardzo rażą konie i ludzi wszystkich; król posyła z cesarskiego wojska regiment, aby ich z tamtąd wyrugować, i w krótcie dają znać, że tego regimentu nie staje, bo przy dobrych murkach są janczarowie. Rozkazuje król drugiemu regimentowi następować, w którym było 1200 ludzi pięknych i okrytych; płaszcze mieli szare, kamizele białe, których dobrzem uważał, bo wedle nas szli. Dają znać, że i z tego regimentu mało jest ludzi, którzy byli jak na cel wystawieni, a Turcy się przy fortelu trzymają. Dopiero król wydaje do kiraserów cesarskich ordynans, aby skoczyli i szpadami wykłuli. Turcy tóż już byli nadwątleni od piérwszych dwóch regimentów, ten trzeci już ich kończył; i już poczęli się regimenty z janczarami, jazda nasza z jazdą turecką uciérać, i gdy już nasi poczęli tureckie łamać szyki, król mówi: „Że za Bożą pomocą dziś tę górę opanuję, jutro tamtę, co nie daleko była, a we Wtorek, co komu Pan Bóg przysądził.“ Aż w tém dają znać królowi, że lewe skrzydło już jest w namiotach tureckich od Dunaju. Zawołał tedy król: „Biegajcie mi po pana Miączyńskiego¹⁾ starostę lidzkiego i krzepickiego, (a potém wojewodę wołyńskiego), niechaj mi tu przychodzi z pułkiem swoim.“ — Który jak przyszedł mówi do niego król: „Zaraz mi Wać idź z pułkiem i opanuj namioty wezyrskie“ — I poszedł. Nasi tóż Polacy wsiedli mężnie na Turka, cesarscy ich pędzili od Dunaju tak dobrze, że jak który na koniu siedział Turczyn, tak uciekać musiał, zostawiwszy nam wszystkie łupy w obozie, które jakeśmy opanowali, tośmy jeszcze zastali potrawy w kociołkach, pieczenie na rożnach, ryże w mlékach; nawet im nie pomogło i to, co już w ostatniém niebezpieczeństwie za największą salwę mają, iż mahometańską chorągiew rozwijają i podnoszą, przy której do ostatniego trupa na trupie padać musiał i powinien, a tój chorągwi nie odstępować. Jakoż wtenczas, niepraktykowanym tego wieku w ich narodzie na wojnach sposobem, rozwinioną i

¹⁾ W innéj kopji tego dyaryusza Matczyński tu jest wezwany.

podniesioną tę chorągiew bardzo bogatą, którzy, przeciw Alkorowi swemu, jako pod nią nasi zabili chorążego i konia, odbiegli. Tę chorągiew zaraz król z pod Wiednia posłał Ojcu Świętemu do Rzymu, gdzie jest zawieszona na Watykanie. Jakaśmy się już rozkwaterowali w obozie tureckim, to ledwośmy z wojskiem cesarskiem czwartą część zastąpili namiotów zostawionych, w którychcheśmy nocowali; król zaś na swoim zwyczajnym taboretku tylko przesiedział całą noc, który po rozprószonym Turku jak prędko stanął w namiocie na noc, zaraz przyszły dwa regimenta cesarskiej piechoty, której *circiter* na dwa tysiące było, i stanęły w cyrkuł około namiotu, w którym był król, tak gęsto, że ramię z ramieniem stykało się i kogo przy królu zastali, już nazad wynieść nie pozwolili; a kto od króla wnieść chciał, już go nie dopuścili, oprócz jednego z raportem, który dał znać, że janczarowie jak atakowali Wiedeń tak jeszcze i atakują, nie wiedząc, że wezyr uciekł. Zarazże ordynował król część wojska, która wycięła janczarów w aproszach; gdy zaś król, podczas dniowej batalji, widział Turecką przegraną, w głos przy nas wszystkich rzekł: „Nie będę królem, jeżeli jutro Sztaremburga (to jest komendanta) wśród rynku obwiesić nie każę: Widząc że nieprzyjacieli uchodzą, i mając w Wiedniu dwanaście tysięcy wojska, a on go nie przeżywa.“ A król o tém nie wiedział, że się Turcy z nami bili, a janczarowie Wiednia dobywać nie przestawali, który Wiedeń tak był w wielkiem niebezpieczeństwie, że gdyby był król nie pospieszył, to już miał we Wtorek kapitulować komendant z Turkami, i poddać fortecę, bo już jeden lud był pomordowany pracą, drugi pozabijany, trzeci głodem wielkim zmorzony, tak dalece, że już koty i szeszury jedli; a do tego że Turcy minami wielką sztukę murów i wałów wysadzili, którą dziurę latali tylko gnojami, faszynami, drzewami, rozbiierając budynki; i to jeszcze, że kontrminierowie wiedeńscy dociekli tych założonych min, przeto ludziom nie szkodziły, tylko że nie rychło postrzegli, że tym minom nie mogli zabieżeć, tak kilku tysiącom ludzi kazali stanąć naprzeciwko téj dziury, którą miny wysadzić mieli, a tym czasem gnoje, faszyny gotowe mieli, i już z armatami, z karacami czekali, że jak prędko miny wysadzili mury, tak jedni strzelali, drudzy dziurę latali. Mieli téż Wiedeńczykowie wtenczas parkan żelazny duży

w kratę robiony, gwoździami ostremi i dużemi nabity do obalenia na Turków, gdyby się w byli dziurę cisnęli, którego jednak obalić nie przyszło, bo na gotowych Wiedeńczyków trafili.

Téjże saméj piérwszój nocy, którą nocowali w obozie tureckim, hultaj jakiś z polskiego wojska zapalił wszystkie tureckie prochy, pozostałe na milion blisko taxowane, z których tak wielki był ogień i strach, żeśmy rozumieli, iż się niebo na ziemię wali. Wojsko wszystko wsiadło na konie i stało w paradzie póty, póki się nie dowiedziano, że to prochy zapalono. Jak zaś dzień się dobry uczynił, aż się pokazał drugi taki obóz turecki za rzeką (którego z wieczora nie widzieliśmy, bo już było ze trzy godziny w noc, nim wojsko ukartowało, i nim się luźni od rabunku owego piérwszego obozu, i palenia prawie całą noc namiotów tureckich, których nie było na co brać, bośmy żadnego wozu nie mieli, pou-spakajalo), który postrzegłszy, luźna czeladź hurmem rzuciła się na konie, mniemając, że albo jeszcze ludzie są w nim jakowi, albo że owa rzeczka głęboka; ale zmiarkowali, że woda na niéj mała, bo ledwie w pół goleni była, porzucili konie a pieszo się rzucili, tak, że aż woda wyżej nich wytryskiwała; a przybiegłszy, tak prędko zrabowali ów obóz, że w godzinę żadnego namiotu nie było widać.

Był téż tam niedaleko pałac murowany, w którym pełno zastali sucharów *ad instar* kukiełek pieczonych, których nie brali; był w nimi lew w klatce, ale i tego nie brali. Strusia zaś zastaliśmy świętego przed namiotami wezyrskimi; jedni powiadali, że go nasz któryś ściał, drudzy że Turczyn, aby taka *raritas* Polakom nie dostała się.

Tegoż tedy poranku wyprawił król w pogoń za wezyrem Miączyńskiego, starostę lidzkiego, z pułkiem dwutysięcznym, którzy tak dojeżdżali Turków na lada przepawie, że im aż ręce ustawały od rąbania nieprzyjaciela, a żaden się nie oparł; taki to strach na nich przypuścił Bóg; i powrócił ten pułk aż trzeciego dnia z dobrą zdobyczą.

Potém o dziewiętej godzinie z rana, przyprowadzili od straży połowój trzech wezyrskich pokojowych, którzy z młodości w Polsce zabrani byli. Piérwszy zwał się Pochojski (?), Wołynianin, szlachcic, który miał tamże na Wołyniu dziedziczny kawałek i braci

rodzonych, którzy się nie zapierali; drugi Skalka, trzeci Podolski, ale ci dwa czy byli szlachta czy nie, relacyi o sobie uczynić nie umieli, powiadając: że ich bardzo małemi wzięto i nie wiedzieli jakiej byli kondycyi; bardziej jednak z nich pokazywało się, że byli plebejcykowie. Wszyscy porządnie przyjechali mając po kilkoro czeladzi, tak z Turków jako i z Greków; konie były piękne i dobrze juczone, bo u Pochojskiego znajdowało się 45000 duk., u Skalki 42 tysięcy duk., a u Podolskiego 39 tysięcy duk., których takim sposobem dostali: jak wezyr widział przegraną, iż uchodzić musiał, wpadł do namiotu i kazawszy pootwierać sepey, krzyknął: „Bierz co kto może.“ — Tak i my to co mamy wzięliśmy a potem zmówiliśmy się, że jako jesteśmy Chrześciance, tak wrócmy się do Chrześcian. Sami byli przybrani dobrze, wszyscy trzech w pancierzach cudnych bogatych i przednio dobrych, w złoto oprawnych, cyfry po nich szczerózłote, rubinami przedniemi sadzone; jest z tych pancierzów jeden w skarbcu nieboszczyka Sieniawskiego, kasztelana krakowskiego. Ale ci niebożęta nie umieli tego Bożego daru zażyć, bo to wszystko marnie stracili i ledwie nie o żebranym chlebie poumierali, jako mieliśmy z relacyi; bo ich król zaraz tegoż dnia, którego przyjechali, przy zdobyczy zabranéj z wezyrskich namiotów, gdzie wielkie miliony i klejnoty były, ordynował do Krakowa, aby tam byli do powrotu królewskiego, przy wszelkiej sufficiencyi: jak się zaś powrócił król do Krakowa, w którym stanął w wigilią Bożego Narodzenia, tak się zaraz o nich spytał; „A panowie pokojowi wezyrscy jak się tu sprawują?“ — Powiadają królowi, że bardzo luczno, bo garściami dają czerwone złote metresom. Król rzekł: „Hultaje to widzę, nie będzie z tego nic dobrego.“ — I tak o nich zaniedbał.

Po tych pokojowych przyprowadzeniu, tegoż dnia w Poniedziałek, koło dziewiętej godziny z rana, ruszył się król z hetmanami do Wiednia na *Te Deum laudamus*, do którego nie bramą, bo jój tak prędko odtarasować nie mogli, ale wycieczką bardzo ciemną i to przy pochodniach wjeżdżaliśmy, gdzie król mszy Ś. słuchał i *Te Deum laudamus* śpiewano. Po mszy, Sztaremburg komendant prosił króla na obiad, gdzie dla samego króla i hetmanów postawiono osobny stół, a drugie dwa stoły dla pułkowników i innych wojskowych, Jak król siadł z hetmanami do swego stołu,

do którego sam komendant służył, tak przedniejsi oficerowie, przydani od komendanta, zapraszali do drugich stołów naszych wojskowych, jako to: pułkowników będących w burkach, a kompanją będącą w lampartach, temi słowy: piérwszy oficer mówi: „*Domini tigrides ad primam mensam.*“ — Drugi „*Domini tapetes ad secundam mensam.*“ — Na to król się uśmiechnął i hetmani. Postrzegłszy Staremborg komendant, że się król i hetmani śmieją, a z wojskowych żaden się do stołu żadnego niebierze, pytał się, co to jest; dopiero go informują, że to ci *tapetes* tymi *tygrysami* komenderują, bo ci oficerowie, a ci towarzysstwo. Za którą informacją skonfundował się komendant i przeproszał, że to z niewiadomości uczynili, jakoż tak w saméj rzeczy było. W témże hetman rzekł: „Mci panowie pułkownicy siadajcie WCPP.“ — I dopiero godniejsi *ad primam mensam*, a drudzy *ad secundam* siedli. U którego stołu nie bawiwszy, bo nie wielki był bankiet, gdyż i sami ledwie mieli czém żyć, pojechał król do obozu i ruszył zaraz po południu wojsko, które do noclegu uszło milę czyli półtory. Armaty zaś i amunicye, od Turków pozostałe, Wiedeń zabrał; gdyż nam brać ich nie podobna było, bo bardzo wielkie działa były, które Turcy z przywiązanych na wielbłądach metalów lali tam pod Wiedniem, do którego gdyśmy ową furtką, czyli ucieczką ciemną wjeżdżali, to ludzie jedni na kolana, a drudzy krzyżem padali, wołając to niemieckim, to łacińskim językiem: *Ave Salvator.*

Potém we Wtorek z noclegu ruszyło się wojsko, aby forteccę bardziej nie ogłodziło i poszło za dwie mile czy dalej, gdzie spodziewaliśmy się cesarza. Jakoż we Środę nadciągnął do nas, bo był o 12 mil od Wiednia w jednéj fortecy, ale nie wiem jak zwanéj; który cesarz jak się zbliżył, dano znać. Wojsko w szyku go czekało, a król z wojska nie daleko wyjechał z hetmanem wielkim Stanisławem Jabłonowskim *obviam* cesarzowi, hetman zaś polny Mikołaj Sieniawski został się przy wojsku. Jak tedy postrzegł osoby królewskiej majestacją, porwał się do kapelusza, ale ministrowie jego przytrzymali mu rękę mówiąc: „Stój Mści cesarzu! przeciwko twojéj powadze.“ — Gdy zaś tak się już zjechali, że ledwie konie ich głowami się nie zetknęły, dopiero król porwał się do czapki, a cesarz do kapelusza; obadwa prawie razem zsiadli z konia, witali się i z sobą rozmawiali. Pułkownicy

téż nasi poczéli się zjeżdzać, a który przyjechawszy pokłonił się cesarzowi, to on tylko głową kiwnął, a kapelusza nie zdjął. W tém hetman polny Mikołaj Sieniawski idzie do powitania cesarza i pyta się powracających. „A jak tam cesarz przyjmuje naszych generałów i pułkowników? — Odpowiadają mu: „Wszystkich jednakowo, bo gdy mu się kłania kto z naszych, to kapelusza nie zdejmuje tylko głową kiwa.“ — Hetman mówi: „Jadę tam i ja, może tak i mnie uczynić, ale ja sobie muszę w tém radzić.“ Przyjechawszy tedy zsiada z konia hetman i prosto idzie ku królowi, i cesarzowi w czapce, samą mu się buławą skłonił, nie zdejmując z głowy czapki, i podparłszy się buławą, tak przy nich stał. Gdy się zaś ten hetman kłaniał królowi, rzekł mu król „Mści panie“ — dając znak, aby się był piérwój skłonił cesarzowi. Na co hetman odpowiada: „Wiem miłościwy królu, że on cesarz cesarstwa, a W. K. Mśc król i pan mój.“ Pogadawszy tedy król z cesarzem trochę, wsiedli obadwa na konie i począł cesarz wojsko stojące w szyku objeżdzać, począwszy od królewskiego pułku, i jako zwyczaj jest, że przed monarchami zniżają chorągwie, tak i w pułku królewskim i hetmana wielkiego zniżali. Gdy zaś przyjechał cesarz na pułk hetmana polnego, żadnej chorągwi nie zniżono, co uważając cesarz, pyta się zaraz: „Co za racya, że górniejsze pułki zniżają przedemną chorągwie, a w tym nie zniżają.“ — Ktoś mu odpowiedział: „Ten hetman, co jego pułk, ma urazę do W. cesarskiej Mści.“ — Pyta się cesarz: „O co?“ Odpowiadają mu: „Że kiedy waszą cesarską Mość witał, nie uchylił kapelusza.“ — Na co cesarz odpowiedział. „Czemuście mnie nie przestrzegli.“ — Już tedy po uczynionój sobie relacji, gdy gdzie, na którą chorągiew przyjechał, to ledwie nie na chorągiew kapeluszem pchał, nawet wołoskim i tatarskim chorągwiom, po admonicji, ten honor czynił.

Objechawszy wszystkie nasze wojsko, stanął sobie tam na skrzydle, gdzie król i hetmani byli, i prosił króla, aby mógł *exercitium* kopji widziéć, jakim ich sposobem zażywają. Zaraz tedy obróciwszy się król do hetmana mówił; aby pokazać, jak kruszą kopje, ale wybrać doświadczonych gońców, aby było z honorem narodu naszego. Tak tedy hetman, jako przezorny i doskonały wódz, 24 od różnych chorągwi, kompanji i oficerów, którzy się

umieli z tém dobrze sprawiać, (dawszy im rumaki swoje, jeżeli który nie miał sprawnego swego konia), na to ordynował, i sam tenże hetman na to instruował ich, jakim sposobem tego oręża prezentę mieli czynić; których rozdzielił na dwie partje; kazał im do siebie skoczyć złożywszy kopje i jak już mają w same piersi składać, tak w tym punkcie aby do góry podnieśli; wszystko to za instrukcją hetmana zrobili, i udało się bardzo chwalebnie, bez żadnej próby, z czego był bardzo kontent cesarz, ale czy im co za to dał, tego nie wiem, bo jedni afirmowali, że im za to kazał kilka set duk. dać, a drudzy negowali.

Pożegnawszy cesarz króla, do Wiednia pojechał, a król marsz swój dalej kontynuował z wojskiem, któremu, jako publiczna fama była, miał cesarz na zimowe kwatery morawską ziemię deklarować, i po 300 tynfów na konia (a potrójna była natenczas służba) naznaczyć. Ale tego król nie miał akceptować z téj podobno racyi, jako powiadano, iż mieli być posłowie od Tekielego, cesarzowi rebelizującego, przysłani sekretnie do króla, aby z wojskiem spieszo ku Koszycem ciągnął, gdzie deklarowali ukoronować królewicza Jakóba na węgierskie królestwo; czego pan, jako już napełniony wiktoryą, miał się chwycić i dać się uwieść tym baśniom, i dla tego miał się zbyć wojska cesarskiego, które go pod Strygoń odprowadzić miało, jakoż tam się z nami rozstało.

W nadzieję tedy ukoronowania przyszłego królewicza, jako *fama ferebat*, ruszył się z wojskiem ku Presburgu, węgierskiemu miastu, a *quondam* stolicy, dziesięć mil od Wiednia leżącemu. Z tamtąd poszło wojsko ku Kamarynowi, fortecy pospolicie zwanéj *Intacto Virgo*: że w niej jeszcze żaden nieprzyjaciel nie był, gdzie w pośród rynku stoi statua wielka, wieniec w rękę trzymająca. Z pod Kamaryna poszliśmy ku Parkanom, przeprawivszy się przez mosty na odnodze Dunajowój, i zaraz ztąd wyprawuje hetman podjazd ku Parkanom, pod pancernym rotmistrzem Gurskim, który przyprowadził Turków jedynastu dla języka i relacyi uczynienia, siła w Parkanach może bydź Turków, na *praesidium* zostawionych. Ci przyprowadzeni, pojedynczo pytani z groźbą i pod gardłem, zeznali na jedno się zgadzając, że nie może być nad dwa tysiące. Pytano ich, jeżeli się nie spodziewają jakiego wojska, odpowiedzieli: „Że nie słyszeliśmy, choć jest most gotowy

na Dunaju pod Strygoniem.“ — Ale się król zawiódł na tój relacyi. W tém otrąbiono hasło, po którém przyjeżdża oboźny polny do króla, pytając się, czyli jutro ruszy wojsko, jako otrąbione, i dokąd i gdzie obóz zataczać? Król odpowiada: „Pod same Parkany obóz zatoczyć. Znajduje się téż tam dwa tysiące Turków, to niech się na nich pożywi hołota: wiem, że ich łatwo dobędą, bo to tam zbierana drużyna, okopek mizerny, armat téż nie mają.“ — Jakoż tak było; a tego król nie wiedział, że po wyjeździe z Parkanów tych złapanych Turków, w nocy naciągnęło czterdzieści tysięcy wojska.

Idzie tedy oboźny natenczas Charczewski nazwiskiem, (który potém był kasztelanem halickim) z szachownicą podług zwyczaju przed przednią straż, i luźni przy szachownicy, ciągnąc się ku Parkanom, podług ordynansu zatoczenia obozu i rozdania miejsc; aż tu pokazują się nieprzyjacielskie kupy, które postrzegłszy oboźny zatrzymał się z szachownicą, a posyła do strażnika natenczas Zbrożka, z przednią strażą idącego, aby pośpieszał, żeby mógł oboźny rozdać miejsca na wojska. Naciąga strażnik z przednią strażą, aż tu nieprzyjaciela przybywa, a jeszcze więcéj z za góry się wyciąga. Posyła strażnik do króla i do hetmana, aby z wojskiem spieszyli. „Bo nie wytrzymam z piérwszą strażą, gdyż się ochotnik z piérwszą strażą bardzo gęsto spiera.“ — Naciąga król i hetman natenczas Jabłonowski, (gdyż drugi hetman Sieniawski został chory w Presburgu). Zaraz *in confuso* wszystkie rzeczy poczęły iść; piechoty i armaty nie dociągnęły, wojsko cesarskie nie zbiegło, nasi się poczęli szykować ale nie do ładn, bo rozvodu nie dał nieprzyjaciel, któryto jest Pasza Silistryjski (co się potém w Sobotę w niewolę naszą dostał). Najpiérwój wsiadł na lewe skrzydło: w tém przypada sam król do dragonji konnej, bardzo pięknej i mundurowanej, osobliwie w konie, (bo co chorągiew, to insza maść koni, prawie jak do cugu zbierane) każe jój król, aby z konia zsiadła, oficer mówi, „że niezafasowane lonty“ — (bo jeszcze lontowój strzelby używano). Król drugi raz mówi „Z koni!“ — tak ci jak z koni zsiadli, tak Turcy na nich wsiadli i jak owce szablami wyrznęli, tak, że żadnemu nie tylko wystrzelić, ale zapalić lontu i zafasować nie przyszło. A potém z impetem jak na całe wojsko nasze skoczyli, tak nasi wszysey w rozsypkę, bo żaden

nie miał nabitego muszkietu. W ten czas tedy dał był król ordynans wojewodzie pomorskiemu Denhoffowi, aby się był z swoją chorągwią piękną, okrytą i mundurową potykał, którą jak muchy zmiatali Turcy, bo żaden z kompanji, albo pachółków, pistoleta i karabina nabitego nie miał. Pod samym wojewodą zabito konia; drugiego choć mu dano, nie mógł go dosiąć, bo był człowiek *corpulentus*. Pokojowy jego w tém nieszczęściu pana nieodjeżdżający a salwować się wyśmienicie mogący, rozumiejąc, że się razem z panem dostanie w niewolę i w niej mu usługiwać będzie, z szczególnego efektu, dobrowolnie zsiadł z konia, i pana odstąpić nie chciał; w tém przypadli Turcy w okazji, nikogo w niewolę nie biorąc, obudwóch trupem położyli, który wojewoda, że był mężczyzna osobisty, rozumieli Turcy, że króla zabili, i jeden z nich dostawszy głowy tego wojewody, (jak mi potem czynił relacją niejaki Janicki, którego zaraz spomnę) przyniósł ją do Seraskier Paszy, to jest regimentarza, i rzucił pod nogi mówiąc: „Otom ci przyniósł głowę króla polskiego.“ Za co ten Turczyn osobliwsze wziął *præmium* nad inszych (bo to jest u Turków w obserwie, że za każdą głowę płacą swym żołnierzom, a im jest kogo znaczniejsza głowa, tym sowitsza rekompensa). Z której głowy bardzo był kontent Seraskier Pasza, a mając niewolnika naszego w swojej turmie, niejakiego Janickiego, (tegoż znaku wojewody womerskiego towarzysza, moję ciotkę za sobą mającego, w niewolę na podjeździe pod Nowemi Zamkami zabranego, z pod komendy Stadnickiego, który potem był wojewodą wolyńskim, będąc bowiem natenczas młodym napałł się komendy i wiele ludzi wygubił) kazał go do siebie przywołać, którego się pytał Seraskier Pasza: „A znasz ty króla swego?“ Odpowiedział: „Znam dobrze.“ — Kazał zaraz tę głowę przynieść, którą gdy na miednicy przyniesiono, mówi znowu do niego: „Witaj że go teraz.“ — Odpowiedział Janicki: „Nie królewska to głowa, ale to jest rotmistrza mego, pod którą chorągwią ja służyłem.“ W tém krzyknie Seraskier Pasza na niego: „*Halam swylę diavor*“ — to jest: łiesz poganinie — i kazał go nazad porwać do turmy. Oprócz tego wojewody, wielu godnych innych poginęło wtenczas, bo najbardziej to naszych w salwowaniu gubiło, że się trafiło na rolę oraną, która była z rana przymarzła, a potem rozpuściła,

na której i sam król ledwie głowy nie położył, gdyby go był pod boki niewyprowadził, z obudwóch stron trzymając z Czerkasem, Matczyński koniuszy koronny, który, jak tylko który towarzysz mijał króla, to koniuszy koronny wołał: „Mości panowie, widzicie, kto jest, wstrzymajcie konie, a salwujecie, będzie osobliwszy respekt.“ — Ale każdy co mijał, odpowiedział nieuczciwie . . . a dalej umykał. To nie cudzą powieść piszę, ale to uszy moje słyszały i na to oczy moje patrzyły, gdyżem sam nie prosto z królem ale bokiem uchodził, niedaleko z Piotrem Rzeckim, paziem królewskim. Aż w tym punkcie nadgania i mija rajtar, na którego miłosiernie woła koniuszy koronny: „Panie rajtar, tyś z pod królewskiego regimentu, wstrzymaj konia, a pilnuj nas, będziesz miał wielki respekt i nadgródę, tylko nie odstępuj.“ — Wstrzymuje tedy rajtar konia i po zadzie króla zostaje, aż Turczyn jeden, wysforowawszy się przed innymi z dzidą, już blisko dopędza króla; koniuszy koronny obróciwszy się woła na rajtara z prozbą: „Zmiłuj się panie rajtar, obróć się na tego Turczyna.“ Obrócił się rajtar, i zrównawszy się z Turczynem, jak strzelił, tak Turczyn z dymem spadł. Znowu dwóch Turków wysforowało się za królem. Rajtar się też do nich obrócił, koło którego poczęli bawić ci dwóch Turków; a inni nadciągając i uczyniła się kupka około tego rajtara, który czyli zginął, czyli go zabrali, nie wiem, tylkośmy słyszeli dwa razy strzelenie w tój kupie, a tym czasem umknął król, pod którym już się począł koń rozpięrać na tój roli. Nasze też chorągwie poczęły się do kupy zbierać i i przeciwko nieprzyjacielowi obracać. Wojsko cesarskie poczęło nadeciągać, które postrzegłszy Turcy, wrócili się, gdyż też i oni mieli konie zmachane, i na tém się dzień czwartkowy skończył, gdzie jaki taki dziękował Panu Bogu, że żyw został,* witając się z sobą, jak gdyby z tamtego świata powrócili.

W Piątek tedy rano składa król *consilium bellicum* z panami polskimi, z pułkownikami (nie wokując nikogo z cesarskiego wojska, do których miał wyborną mowę, którą kończąc, rzekł: „*Peto consilium* WMościów panów.“ — Aż zaraz odzywa się nasamprzód Czarnecki, pisarz koronny, królowi bardzo nieprzyjazny, który jako *orator extemporaneus* mówił *fluide*, ale królowi nie do gustu, bo jako pamiętać mogę, zaczął, w ten sens od axioma

polskiego: „Kto się mści, dwa razy bity bywa. Wiesz to W. K. M. bardzo dobrze, że tu assistując majestatowi jego, *flos* ojczyzny wysypał się i wszystkie ordines za granicę wyszły. Któż się w Polszcze został? Baby i dzieci. Nie daj Boże takięj drugiejęj kłęski, żebyśmy na Warneńskie nie przyszli, gdzie król Władysław Polski i Węgierski obojga narodów wojska zgubił i sam zginął, tak że dwóch Polaków, którzy *nuntii cladis* byli, ledwo uszli. Dosyć nam z łaski Boskiejęj zwycięstwem wiedeńskim zaszczycać się“ *etc.* — Więcej nie pamiętam mowy. Potem jaki taki począł wotować, idąc *ad vota* pisarza koronnego, tak że się wszyscy na jeden sentyment zgodzili. Po ostatniego mowie, porwał się król, uderzył obiema rękami i krzyknął: „A to co Mci panowie? Gdzie u was staropolska odwaga, gdzie zaszczyt ojczyzny, który nam zostawili przodkowie nasi? Właściem to duchem prorockim przeczuł, że tu nie prosił nikogo z cudzoziemców. O jakieby to było zgorzenie, jak wieczna konfuzia, na takie WPanów sentymenta! Nie słucham tego; kogo poczciwość rządzi i kto w służbie wojennejęj zostaje, odpowiadam, że jutro wydaję batalią.“ — Zruszył się w tem król z miejsca swego, będąc dużo malkotent z tych sentymentów. Zarazże konwokował generałów cesarskich, z którymi drugie *consilium bellicum* złożył i na nim zaraz na papierze, podług zwyczaju wojennego, szyk erygowali; bo taki jest zwyczaj, że pierwęj na papierze szyk formują, a potem według ułożonejęj formy czynią go w polu.

Nazajutrz tedy raniusieńko, w Sobotę, wyciąga się nasze wojsko do szyku i cesarscy, których tylko wtenczas było 18.000 (bo się już byli elektorowie rozjechali, a te 18.000 Austryjackie nam assistowali). Tureckie się też wojsko sypie, którego nie 40 ale 50 tysięcy było, do których znowu w nocy z pod Budy 30 tysięcy przybyło, tak że ich 80 tysięcy nie będących jeszcze w wiedeńskiejęj okazji, zebrało się. Staje tedy w szyku dobrą sprawą wojsko nasze, na które tymże impetem, co i we Czwartek, wysunął się Sylistryjski Pasza, na kobyle białejęj tureckiejęj ale cudnejęj siedząc, wpada na huzarską chorągiew hetmana wielkiego, i tak dobrze osobą swojęj Turków przywiódł na nie, że ledwo naszym kopji z rękami nie poucinali Turcy; ale mężnie stawiła się

chorągiew, a do tego blisko piechoty nasz regiment stojący, wydaniem ognia wsparł ich, a cesarscy w rezerwie nam zostawali. Potém téż nasi tak się pomknęli i wsiedli na nich, tak ich jak bydło w Dunaj napędzili; z początku zaś batalji król kazał kilkadziesiąt dział wyrzutować do mostu i nadwątlić go; gdy tedy na most tłumem Turcy się rzucili uciekając, tak się pod nimi załamał w samym środku Dunaju; a który niemógł docisnąć się do mostu, to w pław w Dunaj puszczał się, ale z rzadka, który do brzegu dociągał, bo się Dunaj tak od zawojów i mycek tureckich zabielił, jak gdy kwiat na stawie kwitnie.

W siedm lat potém, gdy byłem rotmistrzem, zdarzył mi był Pan Bóg na podjeździe pod Kamieńcem, wziąć kilkunastu Turków w niewolę, których z osobna pytałem się, na której, który bywał wojnie, a osobliwie o Wiedeńską i Parkańską, jeżeli tam który z nich nie był, i zaklinałem ich na bisurmańską wiarę: tedy jeden z nich przyznał mi się, że był pod Parkany, i że było Turków świeżych co na Wiedeńską nie nadążyli 80 tysięcy, z których więcej Dunaju nie przepłynęło nad 300.

Po tém zwycięztwie stanęliśmy nad Dunajem, nie daleko Parkanów, gdzieśmy cztery niedziele stali. Kazał tedy król atakować fortecę nazwaną Strygoń, która lubo jest mała, ale obronna; jak nasi przystąpili do ataku, tak *praesidium* tureckie w kapitulacyą weszło; które ten najpiérwszy punkt położyło: „Że my, nie na cesarskie, ale na królewskie imie poddajemy się.“ — Gdyż na imie cesarskie, nie poddawać się, ale krew do ostatniej kropli lać oświadczyli się. Za takową tedy kapitulacyą wyszli z fortecy, które król kazał konwojować aż do Budy. Ta zaś sobotnia wiktorya dosyć piękna była; bo wojsko nasze wzięło w niewolę dwóch paszów, to jest Silistryjskiego, owego wielkiego dowódcę: tego wziął towarzysz huzarski hetmana W. z kolegą swoim niejaki Cińskim, który potém był rotmistrzem pancernym; którego Paszę Silistryjskiego, jako komenderującego wszystkiemi 80 tysiącami, nad Dunajem złapali, na téjże białej kobyle, która się potém chowała w stajni hetmańskiej. Drugiego paszę mniejszego, to jest Ali-paszę wziął towarzysz pancerny także hetmana W. niejaki Mikulicz. Jak ich ci kompanja oddali hetmanowi, tak marszałek hetmański przezwiskiem Zamojski, chorąży Łomżyński,

kazał namiot rozbić i obydwóch paszów do niego zaprowadzić, przydawszy im ludzi dla straży i dla posługi. Ten Silistryjski pasza posłał kogoś do marszałka hetmańskiego z tą propozycją: „Że nie znają się na mojej osobie, gdy mi w kupie dają stancyą z Ali-paszą, z którym dla mojej powagi i honoru razem stać nie mogę, bo on o jednym buńczuku chodzi, a ja o trzech, zarówno jak i sam Wezyr.“ — Kazał mu marszałek odpowiedzieć, że jak mu Pan Bóg da na wolność wyniść, to się u siebie będzie rządził, a teraz niech wie, że jest niewolnikiem. Szacowali się ci paszowie na wielki szacunek, osobliwie Silistryjski, bo był wielki pan, i całą Babilonją pod sobą miał i władzą swoją, i dla tego o nich była lukta między królem i hetmanem. Król pretendował aby jemu byli oddani, hetman téż mówił: „Moja ich kompanja pobrała, jam téż hetman, więc mnie się należą.“ Na których okup już wielkie miliony wieziono do Polski, ale z téj przyczyny król przeszkodził. Tym czasem ten cesarz, który na nich był łaskaw, czyli umarł, czyli go zrzuciono, inszy nastąpił o nich nie dbający; fortuna według zwyczaju ich poszła *ad fiscum*, dla tego tu koło 10 lat siedzieli w niewoli we Lwowie, co z niemalą było expensą hetmańską, bo ich *honestissime* kazał traktować, suknie piękne, futra, sobole sprawować, a okup, którym się okupili, nie wiem czyli stał za to, bo pieniędzy i szeląga za nich nie przyszło, tylko tytuny brykami przywieziono, i inne towary; najznacniejsza rzecz była namioty bardzo piękne, które jednakowo mizernie poszły, bo po śmierci hetmańskiej dostały się sukcesorom, u których wziął ich kontraktem Działyński, wojewoda Malborski, na podarunek carowi moskiewskiemu od króla Augusta, który go *propria auctoritate*, bez żadnego sejmu i *Senatus consilium* (przeciwko czemu po dziś dzień są protestacye nieboszczyka Sieniawskiego, natenczas wojewody Bełzkiego, i hetmana polnego), posyłał do Moskwy, dla zawarcia ligi na Szwedów, przeciwko którym Moskwa w Polskę weszła. Nowa się kłótnia zaczęła, podczas której umiéra wojewoda Malborski, którego fortuna na dłużników nie wystarczała, i tak przepadły te namioty dane w okupie paszów, których portrety są w zamku Podkamienieckim nieboszczyka Jabłonowskiego hetmana W., które wielką sztuką malowane, bo się Turcy żadną miarą malować nie dadzą, mając

takowego już za przekłętego; przeto w ten czas nagotowano do stołu w ogrodzie, do którego jak siedli, dopiero ich malarz w tenczas za drzewem siedzący malował.

Po wyjściu sześciu niedziel od sobotniej wiktoryi, ruszył się król na Węgry z wojskiem, a cesarscy osadziwszy swoje *praesidium* w Strygonie, wrócili się; i poszliśmy prosto ku Koszycom, w samą wigilią Wszystkich Świętych; a Węgrowie jak biegają tak biegają, do króla z fakejami, obiecując nam, „że tylko do Koszyc przyjedziecie, i prowianty i wszystko gotowe mieć będziecie, a co większa, że królewicza na królestwo ukoronujemy i całe państwo poddamy“ — (jako publiczna niosła fama).

Gdy tedy przychodzimy pod Koszyce, miasto stołeczne węgierskie, aż nam z Koszyc prowianty dają z armat kulami, nie pozwalając ani przystąpić pod miasto; musieliśmy tedy założyć obóz tak daleko, żeby kule do nas nie doszły, a gdy się z naszych kto pod miasto pokazał, to na niego po nieprzyjacielsku wypadli nie Niemcy, ale Węgrowie, nazwani Łabańcy, którzy za cesarzem trzymali; którzy zaś przy Tekielim byli, nazywali się Kurucy, a gdy się Łabaniec z Kurucem zjechał, to się tak zabijali jak główni nieprzyjaciele. Gdzie tylko cośmy się roztaborowali, i namioty rozbili i do noclegu zabięrali, (bo już było po zachodzie słońca) aż tu otrębują do ruszenia zaraz, i tak wojsko *extra proxim*, nie wiedząc z jakiej przyczyny, musiało się z taborami, z armatami ruszyć zaraz, gdzie rzeka była jakaś duża, bo aż tebinki koniom zabierała woda. Przez tę tedy rzekę, musieliśmy się w nocy przeprawiać uciekając, choć nas nikt nie gonił; z obu dwóch zaś stron była wieś duża, którą z obu stron zapalono, aby był widok do przepawy. Przeszedłszy przez tę rzekę o pół mili, czyli o ćwierć mili, znowu wojsko położyło się obozem i stało cały dzień, aby się wojsko do kupy zjechało. Potemśmy się ruszyli ku Syczynu, gdzie było *praesidium* tureckie; tamże fortecę kazał król atakować, która trzymała się z pół dnia, gdzie podkomorzemu krakowskiemu Lanckorońskiemu, natenczas w służbie cudzoziemskiej zostającemu, z działa nogę ustrzelono; potem się *praesidium* akordowało, których nasi konwojowali o kilka mil ku Budom.

Z tamtąd szło już wojsko ku granicom polskim, gdzie pod Sabinowem, miasteczkiem jeszcze węgierskiem, spotkaliśmy się

z wojskiem litewskim, ciągnącym ku Wiedniowi, z pod któregośmy już wracali się: jednakże z Litwy mieliśmy ten awantaż, że nas podsycili gorzalkami, o które tam bardzo trudno było i drogo, bo po dwa złote kwatérkę płacić musieliśmy, gdyż była potrzebna na wojskową chorobę, to jest dysenterya, na którą siła godnych wojskowych poumieralo; ta zaś choroba (jako doktorowie zeznawali) była z wody Dunajewskiej, która nigdy czysta nie była, ale zawsze mętna; a do tego jakeśmy się od Wiednia ruszyli, to piwa i nie widzieliśmy w wojsku; tylko raz jednego dnia zjawilo się czajkami przywiezione, jakeśmy stali pod Parkanem, pod Strygoniem; i tośmy garniec płacili po ośm złotych. Przybiegł tamże był wyrostek węgierski, z 18 lat mający z tytoniem, którego miał torbę na sobie; jakeśmy stali pod Dunajem po zwycięztwie sobotniém Turków; który stanąwszy przed namiotem królewskim, krzyknął: „A chce kto kupić tytoniu?“ Rzuciło się hołoty od wozów i luźnych więcej jak tysiąc, którzy w okamgnieniu rozkupili tytuń, każdy listek od ręki placąc po orlanec, tak, że kilka tysięcy nie spodziewając się zabrał orlanek, ufundowawszy sobie bezpieczeństwo u janczarów królewskich, którzy go pilnowali od napaści.

Z pod Sabinowa jakeśmy się ruszyli, tak na noclegu odłączył się król od wojska i poszedł w miasteczko węgierskie Pławcze; a hetman z wojskiem ciągnął na Muszynę, do biskupstwa krakowskiego należące, gdzie odprawiwszy koło jeneralne wojskowe, a wojsku rozdawszy assygnacye, rozeszły się chorągwie, na konsystencyą. Król zaś z Pławczy poszedł do Lubomli z senatorami, biskupami assystującymi; któredy téż spieszył za królem hetman polny Hieronim Sieniawski, który przyjechawszy do Lubomli, razem skończył kompanją i życie, bo 17 Xbris umarł. Król zaś na święta Bożego Narodzenia, przez Sącz pospieszył do Krakowa, w którym stanął w wigiliją Bożego Narodzenia; tam odprawiwszy zapusty, aż w pół postu wielkiego wyjechał na Ruś do Żółkwi, na święta wielkanocne.

I tak się skończyła ta okazyja wiedeńska, zostawiwszy po sobie nasienie, z którego wyrosła Zwaniecka, na której tenże król był osobą swoją. Po Zwanieckiej, nastąpiła Bukowińska, gdzieśmy byli *in obsidione* już bez prezencyi królewskiej, gdzie

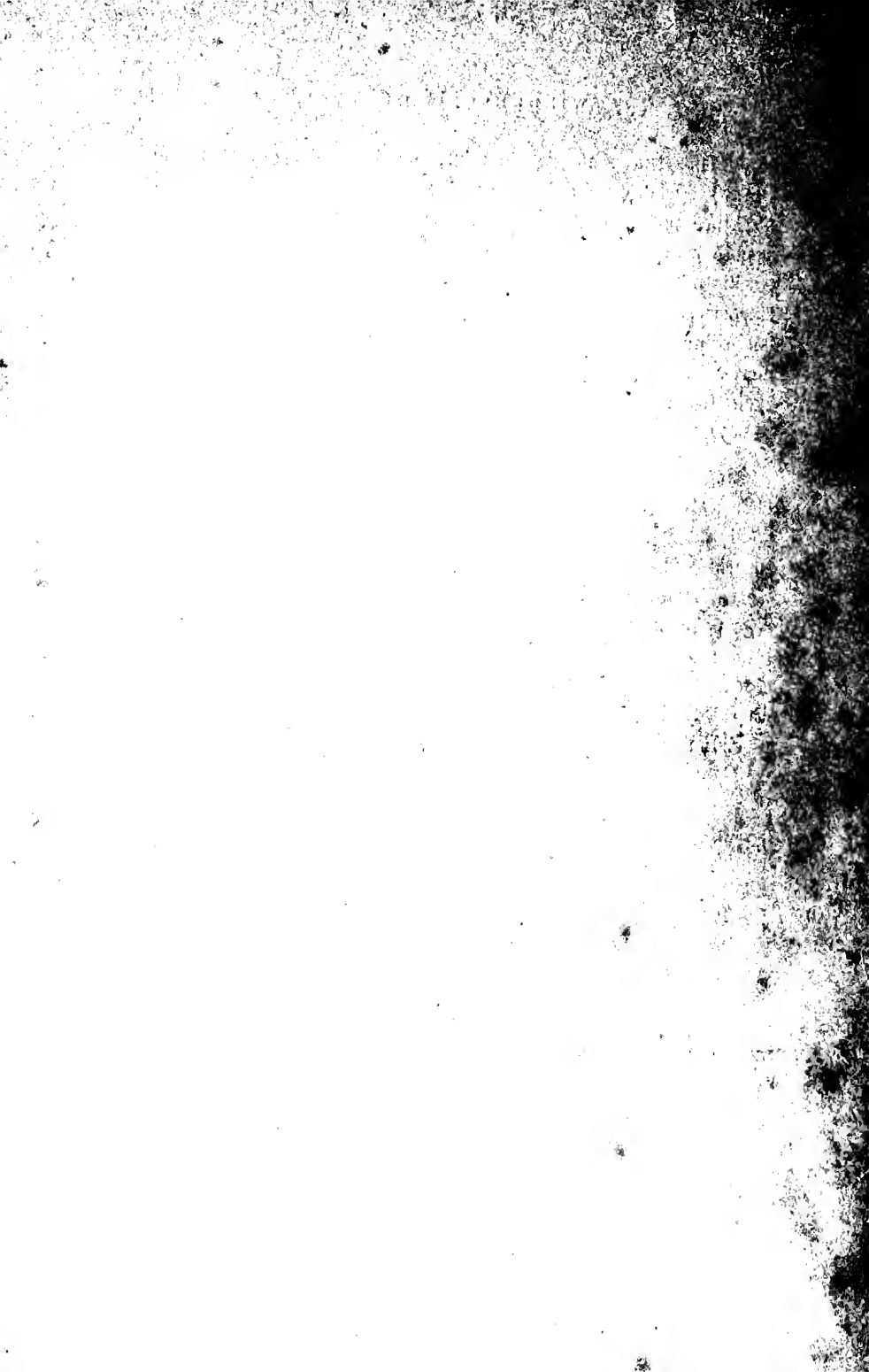
szcześliwie wyprowadził wojsko hetman W. Stanisław Jabłonowski, którego wojska dosyć mała kwota była, bo się na tę kompanją pod Glinianami tylko popisało 10 tysięcy naszych. Andrzej zaś Potocki, kasztelan krakowski, a natenczas hetman polny, z partją został wojska pod Śniatynem; Turków zaś na nas, w tych 10 tysiącach będących, rachowało się 50 tysięcy z armatami, okrom 80 tysięcy Ordy; od których Turków w wielkiem niebezpieczeństwie byliśmy przez niedziel dwie, przez które co dzień jak tylko zaświtało, na dobry dzień w nasz obóz ze stu dział dawano. Ale osobliwsza była nad nami Boska *Providentia*, że ani nam, ani ludziom, ani koniom nie szkodzili, bo nas na dole stojących, od nich na górze będących, kule przenosiły. Potém *ex consilio bellico* pacholecy co dzień przez tydzień po 50 od chorągwi komenderowani rąbali las, który jak tak wyrąbali, że wozy mogły pójść we dwie kolumny przez niego, zostawiwszy pod każdą chorągiew tylko 12 wozów, a resztę popaliwszy, ruszyliśmy się. Do którego bezpiecznego miejscea, albo raczej przejścia, salwowały nas z jednéj strony błota, a z drugiej Prut rzeka. Na odwodzie zaś szła piechota i armaty, z jenerałem artylleryi natenczas Kąckim, wojewodą kijowskim, który bardzo chwalebnie obstawał w odwodzie; bo tak kommunik turecki naciérał na niego, że aż niektórzy z nich za rogatki, co się niemi piechota obstawia, przeskakiwali z końmi, ale który przeskoczył, to się téż nie wrócił, i tak nam assistowali ze dwie mile do noclegu, który mieliśmy dobry, bo nam szkodzić nie mogli i szcześliwie dociągnęliśmy do Śniatyna. Po téj kampanji, nastala Budziacka, na której sam król był w osobie swojej; i tak jedna za drugą ciągnęła się kampanja aż do drugiej Bukowińskiej, chociaż przy osobistej prezencyi królewskiej, jednak bardzo nieszcześliwej, na której, bez żadnego nieprzyjaciela wojsko się zrujnowało, bo dzień i noc dęszce laly, a śnieżnice się wałily. Myśmy od Soczawy weszli w Bukowinę, gdzie co dolina albo potoczek, to nam się Dunajem stawał; tam ani ognia nalożyć, ani się gdzie schronić; z góry się leje, pod nogami się pluskocze, dla koni żywności ani myśleć dostać; jedném słowem mówiąc, niewypowiedziana bięda była; a co największa, że nam konie od głodu, od zimna zdychały, i z rzadka kto się z naszych na koniu wrócił; a choć go kto i przygnął do domu,

to już pożytku z niego nie miał, bo już zmizerowany zdychał. Dla wyzdychanych koni, armaty i amunicje w Bukowinie zakopali, po które potem chodził Gałęcki, natenczas kuchmistrz koronny, a potem wojewoda kaliski. Samego nawet króla karetę wołami wieźli pótý, póki świeże nie przyszły cugi, i inne konie ze starostw, które na siebie trzymał; ale nie królem już będąc ich sobie przywłaszczył, lecz gdy jeszcze chorązym koronnym, marszałkiem koronnym, i hetmanem zostawał, według opisania życia jego:

Bellator, post signa ferens, post Scipio, Dux, Rex.

Jam końca téj oplakanéj kampanji nie czekał, ale nas trzy chorągwie, ja ze swoją, i Turkułów dwóch ze swojemi, widząc co się dzieje i dziać będzie, poszlismy z pod Soczawy. W téj wojnie tureckiej odumarł nas król waleczny, mężny, odważny, pobożny, zwycięzca, Polak JAN TRZECI: po nim nastąpił August drugi. za którego pokój z Turkami stanął. Kamieniec i Podole przez traktaty odebrane; pokój sowity od traktatów konfederacyi 1717 szczęśliwie się zachowuje, któremu żyjącemu, niech Bóg użyczy zdrowia długiego, umarłemu niech da wieczny pokój, a od złego następcy niech nas zachowa na wieki wieków Amen. —









PG
7158
P55
1875
t.1

Pol, Wincenty
Dzieła wierszem i prozą
1. wyd. zupełne, przejrz. i
uporządkowane

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

